

graham

MASTERTON



Walthalla

Graham Masterton

Walhalla

***Ale każdy początek to tylko ciąg dalszy,
A księga przeznaczenia otwiera się pośrodku.***

Polski wiersz

Kapłani Majów mieli kalendarz obrzędowy, wedle którego ustalano daty trzynastu festiwali po dwadzieścia dni każdy. Kalendarz obrzędowy toczył się przez kolejne lata niczym wielkie koło i w każdym roku festiwale przypadały na inne dni, ale zawsze odbywały się w tej samej kolejności. Kapłani potrafili obliczyć, co w danym dniu będzie robiła, widziała albo słyszała cała społeczność. Karty zostały rozdane już wcześniej.

William Burroughs

Gdyby czas był sadzawką, moglibyśmy klęknąć przy jej brzegu i przyglądać się naszym odbiciom, ii także temu, co widać, pod nimi. Zamiast oglądać sic w czasie wstecz, moglibyśmy patrzeć w głąb tak jakbyśmy usuwali kolejne warstwy palimpsestu i różne fragmenty przeszłości widoki, dźwięki, glosy i sny – unosiłyby się ku powierzchni: unosiły i opadały, a głęboka sadzawka Zawierałaby je wszystkie tak aby nic nie przepadło i nic nie odeszło na zawsze

Lucie Duff Gordon

Wtorek, 16 marca, 20.07

–Nie może pan spróbować Broadwayem? – zapytał Craig. Padał tak gęsty deszcz, że wycieraczki taksówki nie nadążały zbierać wody. Przed nimi wzdłuż całej Ósmej Alei bez przerwy zapalały się i gasły czerwone światła hamulcowe.

–Na Broadwayu jest to samo, przyjacielu – odparł beznamiętnie kierowca. Miał śniadą pociągłą twarz i dziwną wełnianą czapeczkę, która wyglądała jak odwrócona do góry dnem doniczka. Z napisu na blaszanym identyfikatorze wynikało, że nazywa się Zaghlul Fuad. – Zakorkowana jest cała dzielnica teatralna – powiedział i pociągnął nosem. – Pada deszcz.

–Pada deszcz? – powtórzył z przekąsem Craig. – Co pan powie? W ogóle bym nie zauważył.

Zerknął na zegarek, choć od momentu, kiedy robił to po raz ostatni, nie minęła jeszcze minuta. Miał zjawić się w restauracji Petrossian najpóźniej o wpół do ósmej, by zasiąść do wystawnej kolacji razem z panem Ipi Hakayawą. Pan Ipi Hakayawa był ich najbogatszym i najbardziej prestiżowym klientem i zaprosił Craiga oraz jego partnera Stevena na uroczysty wieczór z szampanem i kawiozem – nie tylko po to, żeby podziękować im za znakomite przygotowanie sprawy przeciwko Nash Electronics – najbardziej kosztownego procesu o pogwałcenie praw patentowych w historii sądownictwa – ale by zapoznać ich z kolejnym etapem walki, jaką zamierzał podjąć z amerykańskim protekcjonizmem, składając pozew przeciwko Departamentowi Handlu.

Craig znał wystarczająco dobrze zasady japońskiej etykiety, żeby wiedzieć, że choć pan Hakayawa nie skomentuje ani jednym słowem jego spóźnienia, prywatnie będzie się czuł głęboko urażony.

Jeśli ktoś buli facetowi milion trzysta tysięcy za usługi prawne, może oczekiwać, że w spotkaniu nie przeszkodzi mu tak banalny incydent jak oberwanie chmury.

Samochody przesunęły się kilka kolejnych jardów do przodu i ponownie rozbłysły światła hamulcowe. Deszcz bębnił wściekle o dach i zalewał zaparowane szyby. Craig przetarł okno rękawem i wyrztał na zewnątrz. Znajdowali się dopiero na wysokości Czterdziestej Szóstej – do celu pozostało jeszcze jedenaście przecznic.

–Niech pan skręci w prawo w Czterdziestą Ósmą – warknął.

–Mówiłem ci, przyjacielu, na Broadwayu jest to samo.

–Niech pan po prostu skręci, dobrze? Jeśli na Broadwayu jest to samo, niech pan spróbuje Szóstą.

–Na Szóstej jest to samo, na Madison też to samo.

–Słuchaj pan, nie potrzebuję, żeby jakiś pierdolony Egipcjanin mówił mi, jak mam jeździć po moim własnym mieście.

Zapadła chwila ciszy. Taksówka przed nimi podpełzła trochę do przodu, ale Zaghlul Fuad nie ruszył za nią, lecz obrócił się i utkwiał w Craigu swoje czarne, duże, zażawione oczy.

Stojący za nimi taksówkarz nacisnął klakson. Craig wzruszył ramionami.

–Dobra, przepraszam. Jestem po prostu spóźniony i miałem zły dzień.

Przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny.

Zaghlul Fuad wpatrywał się w niego dalej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. A potem, nie odwracając się do przodu, skasował licznik.

–Miałeś zły dzień, przyjacielu? A wiesz, co mi się dzisiaj przydarzyło? Dzisiaj umarł mój ojciec.

–Niech pan posłucha, przecież pana przeprosiłem. I przykro mi z powodu pana ojca. Czy nie moglibyśmy po prostu... – Craig wskazał głową w stronę taksówki przed nimi, która przesunęła się dalej o kolejne trzy długości samochodu. Taksówkarz z tyłu trąbił jak oszalały.

–Mój ojciec też był pierdolonym Egipcjaninem – powiedział Zaghlul Fuad. Wymawiał każde słowo z wielką delikatnością. Miał piskliwy, prawie kobiecy głos. – Starał się zawsze ze wszystkich sił, tak samo, jak ja zawsze się staram. Czasami mu się nie udawało. Mnie też nie zawsze się udaje. Czasami nie udaje mi się dowieźć pasażerów tam, gdzie sobie życzą. Nie zawiozę pana tam, gdzie pan sobie życzy. Niech pan wysiada z mojej taksówki.

–O czym pan mówi? Oszalał pan?

–Powiedziałem: niech pan wysiada z mojej taksówki.

–Pada deszcz, na litość boską!

–Pada deszcz? Co pan powie? W ogóle bym nie zauważył. Craig poczuł nagły przyływ frustracji i gniewu, nad którym ledwie potrafił zapanować. Referując stanowisko swojej kancelarii na sali Sądu Handlu Międzynarodowego Stanów Zjednoczonych, stawiał czoło dwa razy od siebie starszym adwokatom. Wymownym, twardym, siwowłosym, odzianym w srebrzyste garnitury mężczyznom o grzmiących mentorskich głosach. Ale jak miał poradzić sobie ze stukniętym egipskim taksówkarzem, którego ojczyznę właśnie nieopatrznie obraził i który miał do stracenia najwyżej parę dolców?

–W porządku – powiedział. – Zawrzyjmy umowę. Niezależnie od tego, ile wystuka

taksometr, płacę podwójnie. – Wyjął portfel z krokodylej skóry i wyciągnął z niego studolarowy banknot. – Proszę popatrzeć. Daję panu setkę. Niech pan mnie tylko tam zawiezie. Mam bardzo ważne spotkanie z bardzo ważnym klientem. Jestem spóźniony, i to już jest katastrofa. Ale jeśli pojawię się tam poważnie spóźniony i na dodatek przemoczony, to będzie prawdziwa katastrofa. Chcę powiedzieć, że to będzie... – Craig przerwał i przesunął palcami po grdyce.

Na twarzy Zaghlula Fuada nadal nie odbijały się żadne uczucia.

–My, Egipcjanie, mówimy, że człowiek, który nie liczy się ze słowami, na pewno skończy z poderżniętym gardłem.

–Naprawdę? A my, nowojorczyki, mówimy, że taksówkarz ma obowiązek zawieźć pasażera w każdy punkt miasta i jeśli tego nie zrobi, wydział komunikacji odbierze mu koncesję.

Zaghlul Fuad opuścił i podniósł niczym jaszczurka swoje ocienione długimi rzęsami powieki – tak, jakby chciał na zawsze zapamiętać twarz Craiga.

–Utrata koncesji będzie niewielką ceną za pozbycie się kogoś, kto nie traktuje z szacunkiem swoich bliźnich. Proszę, niech pan wysiądzie z mojej taksówki.

–Co to za wygłupy? Oszalał pan? Wypuścili pana z Bellevue?

–Proszę wysiąść.

Wokół nich rozbrzmiewała ogłuszająca kanonada klaksonów.

–Zabieraj stąd dupę, ty głupi brudasie! – usłyszał Craig. – Zjeżdżaj z drogi, sukinsynu! – Gdzie, do diabła, są gliniarze. kiedy się ich naprawdę potrzebuje, pomyślał.

Zacisnął zęby i wziął głęboki oddech. I tak stracił już kilka drogocennych minut na kłótnię. Pozostawało mu tylko jedno: wysiąść i iść dalej na piechotę. Wyjął portfel i zapisał drżącą ręką numer koncesji Zaghlula Fuada. Był tak wściekły i upokorzony, że ledwie mógł utrzymać długopis w ręku.

Otworzył drzwi taksówki. Do środka natychmiast wpadły potoki deszczu.

–Jesteś skończony – powiedział, grożąc palcem Zaghlulowi Fuadowi. – Rozumiesz? Postaram się, żeby odebrano ci koncesję, nawet jeśli będzie miało mi to zająć całe życie, ty głupi egipski kutasie.

–Salaam, effendi – odparł Zaghlul Fuad bez śladu ironii w głosie.

Craig przebiegł Czterdziestą Ósmą Ulicę, klucząc między trąbiącymi hordami taksówek i limuzyn. Poniósł wysoko klapy swojej szarej marynarki od Alana Flussera, ale niewiele to pomogło. Deszcz zaciął lodowatymi strugami, rynsztokami płynęły rwące potoki wody, wszędzie wały się szkielety połamanych parasoli. Craig przemókł do suchej nitki, zanim dobiegł do chodnika, a potem wdepnął prosto w kałużę i cały but zalała mu lodowata woda.

Podniósł jeden z połamanych parasoli, potrząsnął nim i próbował go otworzyć, ale parasol był sztywny niczym martwy pterodaktyl, więc po chwili, klnąc głośno, rzucił go z powrotem na ziemię. Swoją własną płaszcz i parasol zostawił w kancelarii Fishera i Bellmana na siedemdziesiątym szóstym piętrze World Trade Center II. Co gorsza, zostawił tam również swój przenośny telefon, mając zamiar zabrać wszystko po lunchu. Niestety lunch przedłużył się aż do godziny siódmej pięć, kiedy Khryssna

obudziła go pocałunkiem, pytając: „Czy nie musisz już przypadkiem wyjść?”

A potem odgłos pierwszego gromu zatrzęsł szybami mieszkania Khryssy i z kominka spadł pluszowy miś, którego dał jej kiedyś w prezencie.

Teraz mógł tylko biec truchtem do Petrossiana, mając nadzieję, że Steven dotrzyma towarzystwa panu Ipi Hakayawie, a kelner znajdzie dla niego suchy garnitur. Będzie musiał wymyślić jakąś niesamowitą historię, żeby usprawiedliwić swoje spóźnienie. Z całą pewnością nie mógł poinformować pana Hakayawy, że spędził całe popołudnie w łóżku ze swoją dziewiętnastoletnią kochanką. Może powie, że zmarł mu ojciec.

Tupiąc głośno, zbliżał się do Broadwayu. Gęste brązowe włosy oblepiły mu czaszkę i wyglądał teraz, jakby miał na głowie pływacki czepek. Był dużym, zdrowym mężczyzną i w ogóle nie przypominał z wyglądu swego ojca (który umarł przed ponad siedmiu laty na raka płuc). Miał kwadratową, mięsistą twarz, która ludziom kojarzy się na ogół z zamożną farmerską rodziną albo dynastiami demokratycznych polityków. Jego obecny wygląd z pewnością nie przywołał na myśl astmatycznego dzieciństwa, spędzonego w obskurnej kamienicy bez windy przy Lispenard Street, ani bladego samotnego chłopca w okularach i zrobionej na drutach zielonej wiatrówce, z powodu której tak bezlitośnie mu dokuczano.

Kiedy tak biegł, rozchlapując kałuże na Czterdziestej Ósmej Ulicy, mógł być przemoczony do suchej nitki i zdyszany, ale wciąż sprawiał wrażenie zamożnego i wpływowego obywatela i pewnie dlatego kuląca się w wejściu do drogerii K-Plus dziewczyna z kręconymi włosami wyskoczyła nagle na chodnik i złapała go za rękaw.

–Niech pan mi pomoże!

–Puszczaj! – zawołał, próbując się wyrwać, ale ona nie dawała za wygraną.

–Niech pan mi pomoże! Musi mi pan pomóc...

Craig zatrzymał się, czując chlupoczącą w butach wodę. Dziewczyna ścisnęła go za rękaw, jakby miała za chwilę utonąć, i tak rzeczywiście wyglądała. Miała okrągłą, spuchniętą białą twarz, a z czoła i nosa płynęła jej zmieszana z krwią woda. Ubrana była w mokrą kurtkę z czarnej skóry oraz krótką czarną spódniczkę i kuśtykała na połamanych obcasach. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście, szesnaście lat.

–Niech pan mi pomoże! – powtarzała piskliwym, zdyszonym głosem. – Wciągnęli tu moją przyjaciółkę! Wciągnęli tu moją przyjaciółkę! Niech pan mi pomoże!

–Posłuchaj, wezwę gliniarza – powiedział jej Craig. – Ty zostań tutaj. Słyszysz mnie? Zostań tutaj, a ja wezwę gliniarza.

–Musi mi pan pomóc, oni ją gwałcą! Proszę! Musi mi pan pomóc! Craig złapał ją za ramiona.

–Spokojnie, opanuj się! Kto gwałci twoją przyjaciółkę? Gdzie?

Dziewczyna obróciła się i wskazała drzwi do drogerii. Dopiero teraz Craig zorientował się, że sklep jest zamknięty i opuszczony. Obok reklam Pepto-Bismolu, Maaloxu i Yaseline Intensive Care na brudnych zaczernionych szybach nalepione były paski z napisem „Sprzedaż z powodu bankructwa”. Drzwi były uchylone, ale wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność.

Craig puścił dziewczynę i zajrzał bez zbytniego entuzjazmu do środka. Wokół

niego bębniły krople deszczu, głośnie jak stojąca owacja. Trąbiły klaksony, wyły syreny. Dziewczyna spoglądała na niego swoimi podobnymi do rodzynek czarnymi oczyma, trzęsąc się cała i nie zwracając uwagi na kapiącą jej z podbródka krew.

–Proszę, niech pan mi pomoże, oni ją gwałcą – wymamrotała.

Craig podniósł rękę do twarzy i otarł wierzchem dłoni krople deszczu.

–Ilu ich jest? – zapytał.

–Tylko dwóch. Proszę, niech pan mi pomoże.

Obejrzał się do tyłu, ku Ósmej Alei, a potem spojrział w przeciwną stronę, w kierunku Broadwayu. Wszystkie korkujące ulicę samochody miały pozamykane szczelnie szyby. Chlapiąc wodą ruszył do najbliższej taksówki i zapukał w okno kierowcy, jednak ten potrząsnął tylko przecząco głową. Omijając głęboką kałużę, podbiegł do następnego samochodu, niebieskiego buicka, z siedzącym za kierownicą łysiejącym biznesmenem w samej koszuli, i postukał również w jego szybę, ale biznesmen zablokował wszystkie drzwi i nawet nie obrócił się w jego stronę.

Craig zapukał po raz drugi w szybę buicka.

–Gwałcą tutaj dziewczynę! Słyszysz mnie pan? Gwałcą tutaj dziewczynę! Niech pan wezwie gliniarzy, to wszystko, co musi pan zrobić!

Biznesmen mruknął coś i przejechał kilka jardów dalej. Craig wyprostował się, ociekając wodą i czując, jak ogarnia go desperacja. Dziewczyna ponownie złapała go za ramię.

–Proszę! – krzyczała. – Proszę!

–Słuchaj! – zawołał, próbując przebić się przez uliczny hałas i szum deszczu. – Czy któryś z nich jest uzbrojony? Czy mają pistolety, noże albo coś w tym rodzaju?

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową. Jej twarz była śliską maską lepkiej, rozwodnionej deszczem krwi.

–Jest ich tylko dwóch. Proszę...

Co tam, do diabła, pomyślał Craig. I tak jestem już spóźniony. I tak zmoczył mnie deszcz. Na Boga, dam sobie przecież radę z dwoma wyrostkami. Na pewno nie są zbyt sprawni. Wątpię, czy przebiegają każdego ranka sześć mil i ćwiczą trzy razy w tygodniu w adwokackim klubie sportowym. Zresztą jestem w tej chwili wystarczająco wkurzony, żeby poradzić sobie z każdym.

Ruszył z powrotem w stronę uchylonych drzwi. Dobiegał zza nich zapach wilgoci, pleśni i uryny. Pchnął drzwi szerzej i utkwiał wzrok w ciemności.

–Jest tam kto? – zawołał. – Jeśli mnie słyszycie, wynoście się stąd, do diabła, i to szybko!

Nie było żadnej odpowiedzi. Tylko szmer ciekącego po murach deszczu. Oczy Craiga przyzwyczajają się stopniowo do ciemności. Zobaczył przed sobą rząd pustych regałów.

–Jak się nazywa twoja przyjaciółka? – zapytał dziewczynę.

–Susan – odparła, mrugając prawym okiem, jakby nie spodziewała się, że jej uwierzy.

–W porządku. – Craig sięgnął do kieszeni i wyjął dziesięć centów. – Wezwij gliniarzy i ambulans, a ja poszukam tej twojej przyjaciółki.

Dziewczyna pokuśtykała w stronę Ósmej Alei, ocierając twarz chusteczką. Craig stał w wejściu i obserwował ją przez kilka chwil, nie dosyć długo jednak, żeby zobaczyć, jak się obraca i na jej twarzy pojawia się uśmiech.

Wszedł do pograżonej w mroku drogerii, stąpając po potłuczonym szkłe i piasku.
–Susan! – zawołał. – Jeśli mnie słyszysz, Susan, musisz tylko krzyknąć albo dać jakiś znak. Kopnąć obcasem w podłogę, cokolwiek.

Przystanął przy rzędzie regałów i zaczął nasłuchiwać. Z początku nie słyszał kompletnie nic, ale potem dobiegło go cichutkie kapanie. Trapp, trapp, trapp, jakby ktoś stukał obcasami po podłodze z surowych desek. Woda kapiała również z jego garnituru – miękkie nieregularne plip, plop, plip. Zaczął podejrzewać, że nikogo tutaj nie ma; że dziewczyna z zakrwawioną twarzą zrobiła mu głupi kawał. W Nowym Jorku, gdzie po ulicach szwendało się tylu świrów, wszystko było możliwe.

–Susan? – zawołał.

Minęła prawie cała minuta i nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Chciał już odwrócić się i odejść, kiedy dobiegło go nagle stłumione kwilenie. Przypominało miauczenie kota, ale niezupełnie. Bardziej już dźwięk, jaki wydaje dziewczyna z zakneblowanymi ustami.

Ruszył po omacku w głąb sklepu.

–Susan? To ty, Susan? Jeśli mnie słyszysz, kopnij obcasem w podłogę. Śmiało, kopnij!

Dał kolejny krok do przodu i natknął się na stos drucianych półek i stojaków. Odsunął je na bok, ale potem nadepnął na kilka leżących na podłodze szyb, które pękły z ostrym brzękiem pod jego podeszwą.

Właśnie z powodu tego brzęku nie usłyszał, kiedy ktoś podbiegł do niego i uderzył go z całej siły w żołądek.

Nieraz już w życiu porządnie oberwał – uprawiając boks, racquetball i inne sporty – ale nigdy nie otrzymał takiego uderzenia. Runął do tyłu na stos drucianych półek i potłuczone szkło, jakby potrąciła go rozpędzona taksówka. Jego głowa uderzyła w ścianę ze strasznym głuchym łomotem i przygryzł sobie górną wargę. Był tak oszołomiony, że nie mógł oddychać, a kiedy oparł się o podłogę, próbując się podnieść, lewą dłoń pokaleczyły mu ostre jak brzytwa okruchy szkła.

A potem ktoś złapał go za klapy marynarki i podniósł na nogi. Ktoś młody i szczupły, pachnący deszczem, papierosami i alkoholem.

Był także ktoś inny. Ktoś, kto stał bardzo blisko za jego plecami. Zbyt blisko, żeby żywić przyjazne zamiary.

–Co tutaj robisz, koleś? – zapytał ten, który stał z tyłu. – Ktoś cię tutaj zapraszał?

Craig zacharczał i zakaszał. Miał wrażenie, że żołądek płonie mu żywym ogniem. Nigdy nie myślał, że uderzenie może tak boleć.

–Szukałem Susan – udało mu się w końcu wykrztusić.

–Nie ma tutaj żadnej Susan, koleś. Żadnej panienki. Tylko on i ja.

–W takim razie w porządku. Pomyliłem się. Przepraszam.

–Cieszy nas to, że przepraszasz. Ale samo „przepraszam” nie wystarczy.

„Przepraszam” nic nie kosztuje. Od „przepraszam” nikt nie poczuje się lepiej z

wyjątkiem frajera, który to mówi.

Craig poczuł, jak ogarnia go przerażenie. Dygotał z zimna, tak jakby ktoś wylewał na niego jedno po drugim kolejne wiadra lodowatej wody. Było mu niedobrze, ale nie mógł wymiotować. Miał wrażenie, jakby wycięto mu żołądek. Dlaczego było mu tak zimno?

–Czego chcecie? – zdołał zapytać zdławionym głosem.

–Twoich pieniędzy, koleś. Twoich kart kredytowych. Twoich klejnotów.

Wszystkiego, co masz.

Craig wziął głęboki oddech i chciał coś powiedzieć, ale nagle targnęły nim torsje i wymiotował żółć, krew i do połowy przetrawioną bułkę z kurczakiem, którą zjadł u Khryssy.

–Hej, koleś, jesteś obrzydliwy. Jesteś chory.

–Weźcie, co chcecie – wystękał.

–Dobrze, dobrze. Ale nie puszczaj na mnie pawia.

–Zabierajcie wszystko, po prostu weźcie, co chcecie – powtórzył, wypluwając kawałek kurczaka. U podbródka zawisła mu kwaśna nitka śliny.

–Odrażający z ciebie frajer, wiesz? Widziałem psy, które Kicho wy wały się przyzwoiciej.

Craig stał dygocząc, z opuszczoną głową i skulonymi ramionami. Młodzieniec sięgnął do wewnętrznej kieszeni jego marynarki i Wyciągnął portfel. Szybkie brudne palce przeszukały inne kieszenie, wyjmując długopis, wieczne pióro, kalkulator i drobne pieniądze.

–Będziesz się cieszył, że to zrobiłeś, koleś. Nie każdy ma okazję dofinansować Aktuz.

Craig podniósł głowę. W pogrążonym w ciemnościach sklepie niewiele mógł zobaczyć – niewyraźne odbicie ulicznych świateł na czarnej kości policzkowej, zarys czarnego ramienia i lśniąca jak robacznicze oczy.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na napastnika, który stał za nim. Tamten przesunął się lekko w smudze światła i przez ułamek sekundy Craig zobaczył, że ma przed sobą wysokiego Murzyna o zapadniętych oczach, ściągniętych wargach i wyszczerzonych nierównych zębach. Najbardziej jednak uderzyły go włosy chłopaka, usztywnione żelam i okalające głowę niczym błyszcząca czarna korona, oraz ciężki czarny surdut, w który był ubrany. Wyglądał niczym statysta z filmu o Mozarcie, z tą różnicą, że nie trzymał w ręku laski ze srebrną gałką ani skrzypiec. Trzymał młotek.

Boże, pomyślał Craig, nic dziwnego, że to uderzenie w brzuch tak mnie zabolowało.

–Zegarek i obrączka, koleś – zażądał młodzieniec.

Craig niechętnie zdjął swojego rolexa i ślubną obrączkę. Znowu targnęły nim torsje, ale tym razem udało mu się przełknąć żółć. Nie chciał jeszcze bardziej rozdrażniać swoich prześladowców.

Murzyn w czarnym surducie stanął tuż za nim.

–Teraz się stąd zmywamy – powiedział. – Wiem, co chodzi ci po głowie, koleś. Myślisz: załatwili mnie na cacy, ale pójdę za nimi, dowiem się, gdzie się zamelinowali, i sprowadzę im na łeb gliniarzy. Więc słuchaj uważnie, co ci powiem, koleś. Nie

pójdiesz za nami.

–Nie miałem nawet zamiaru próbować – wyjąkał Craig.

–Tylko tak mówisz.

–Dlaczego, do diabła, miałbym za wami chodzić? Jestem przemoczony do suchej nitki, chce mi się rzygać. Wszystko, czego chcę, to wrócić do domu.

–Tylko tak mówisz – powtórzył czarny chłopak.

–Na litość boską, zabraliście mi wszystkie pieniądze. Czego jeszcze chcecie?

–Chcemy gwarancji, koleś.

Zanim Craig zdążył zapytać, o jakiego rodzaju gwarancje im chodzi, drugi chłopak złapał go brutalnie od tyłu i przyciągnął do siebie. Craig próbował się wyrwać, ale Murzyn w surducie uderzył go dwa razy w twarz, z lewej i prawej strony, wystarczająco mocno, żeby zadzwoniło mu w uszach.

Razem zaciągnęli go do starej lady drogerii.

–Co wy robicie? Co, do diabła, robicie? Puśćcie mnie, na litość boską!

Nie zwracając uwagi na krzyki Craiga, pierwszy młodzieniec przycisnął go do zakurzonej mahoniowej lady, a ten w surducie rozpiął mu pasek.

–Odwalcie się! Nie dotykajcie mnie! Co wy robicie? Poczul, jak rozpinają mu guziki i otwierają rozporek. A potem

czarna ręka o długich palcach wsunęła się pod jego szorty.

–Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj mnie! Ale młodzieniec w surducie złapał go brutalnie za genitalia i wyłożył je na ladę. Penis Craiga skurczył się ze strachu, a moszna napięła tak mocno, że Murzyn ledwie mógł złapać jądra.

–Posłuchaj, dam ci wszystko, czego chcesz – bełkotał Craig. – Mam BMW, siódemkę, jeśli chcesz, możesz ją sobie zabrać, nigdy nie jeździłeś czymś takim. Mam dużo pieniędzy. Jestem naprawdę bogaty. Mogę załatwić, żeby wypłacono każdemu z was po dziesięć tysięcy. Jeśli chcecie, dwadzieścia...

Murzyn w surducie pociągnął znacząco nosem.

–Zadziwiające, jak szczodry staje się frajer, kiedy trzymasz w ręku jego nabiał.

Craig pocił się i dygotał. Sposób, w jaki młodzieniec ugniatał powoli swymi długimi, suchymi palcami jego penis i jądra, nappełniał go wstrętem. Naciągał i ścigał napletek prawie roztargnionym gestem, ale nadawało to jego ruchom straszliwą intymność, jakby był żoną, która zabawia się z mężem.

–Zadziwiające, ile niektórzy frajerzy gotowi są zapłacić za swój nabiał – powtórzył. – Ile byś zapłacił, koleś?

–Dam wszystko, co chcecie. Tylko mnie puśćcie.

–Daję dwadzieścia dolców za prawe jajo – odezwał się nagle drugi młodzieniec.

–Dwadzieścia dolarów? Czy dobrze słyszę? Dwadzieścia dolarów za prawe jajo?

–Puśćcie mnie! – ryknął Craig, próbując się wyrwać. Ale Murzyn w surducie znowu trzasnął go w twarz, tym razem o wiele mocniej, a potem walnął swoim młotkiem w ladę, tylko kilka cali od genitaliów Craiga. Craig poczul, jak fala uderzeniowa rozchodzi się po blacie i odbija od jego ud.

–To ostatnia oferta? Nikt nie zamierza dać więcej? – zapytał z udanym zdziwieniem czarny chłopak. – Dwadzieścia dolców to tyle co nic za dojrzałe, dobrze

funkcjonujące męskie jajo.

–Trzydzieści – powiedział Craig. Tortury, jakie mu zadawali, były wyjątkowo podłe, ponieważ nie wiedział, czy chcą, żeby wygrał, czy żeby przegrał – ani co się w każdym z tych przypadków stanie. Bał się, że jeśli wygra, utną mu jądro i dadzą jako coś, co kupił na licytacji. A jeśli przegra... cóż, jeśli przegra, Bóg jeden wie, co wtedy zrobią. Przyszła mu na myśl sprawa Bobbitta, któremu mściwa żona Laurene odcięła penis i wyrzuciła go potem przez okno samochodu. Powtarzał sobie, że musi dobrze zapamiętać, gdzie tych dwóch wyrzuci jego genitalia, jeśli go wykastrują, żeby mógł je szybko odnaleźć; musiał także pomyśleć, gdzie znajdzie trochę lodu, żeby zachować je w dobrym stanie, zanim uda mu się wezwać ambulans.

Przypomniał sobie, że po drugiej stronie ulicy widział jakiś bar. Tam będą mieli lód. A potem pomyślał: Co się ze mną dzieje? To jakiś koszmar.

–Trzydzieści pięć – oznajmił drugi młodzieniec.

–Sto – podbił cenę Craig. Powiedział to o wiele głośniej, niż miał zamiar.

–Sto dwadzieścia pięć.

–Dwieście.

–Pięćset.

–Milion.

Na chwilę zapadła cisza.

–Milion? Daj spokój, koleś, niczyje jajo nie jest warte milion.

–Moje jest, dla mnie.

Murzyn w surducie przysunął się do niego bardzo blisko.

–Mówisz serio?

–Jasne, że mówię serio. Jeśli-mnie. puścicie, macie milion dolarów, bez żadnych pytań.

–Cóż... teraz mówisz do rzeczy.

–Nie żartuję. Milion dolarów w gotówce, w nie oznaczonych, używanych banknotach. Dostarczę tę forszę, gdzie tylko chcecie i kiedy tylko chcecie.

–Wydaje mi się, że mówisz serio, koleś. Naprawdę sądzę, że mówisz serio.

–Jasne, że mówię serio, na litość boską. Po prostu powiedzcie, gdzie i kiedy chcecie pieniądze. Albo dam wam mój numer telefonu i załatwimy to później.

–Milion – szepnął czarny chłopak i ostentacyjnie oblizał wargi. – Co o tym myślisz, bracie? Myślisz, że możesz postawić więcej niż milion?

–Nie ma mowy, człowieku. Pasuję.

–W takim razie załatwione. Za jeden milion dolarów to drogocenne jajo... jedno z dwóch wspaniałych drogocennych jaj... przechodzi na własność... przechodzi na własność...

Craig podniósł z ulgą oczy. Po raz pierwszy od chwili, kiedy go dopadli, usłyszał jadące ulicą samochody i szum deszczu. Na suficie zobaczył pomarszczone cienie spływających po oknie drogerii strug wody i migające długonogie odbicia przechodniów.

A potem Murzyn w surducie podniósł młotek, tak jakby kończył aukcję, potrzymał go przez chwilę w górze i roztrzaskał nim prawe jądro Craiga. Tkanka rozpląszczyła

się niczym plasterk cielęcego pasztetu, a obuch młotka wybił w skórze moszny półkolistą dziurę.

Craig doznał zbyt wielkiego szoku, żeby krzyczeć. Chłopak, który go trzymał, cofnął się szybko do tyłu, unosząc w górę obie ręce, a Craig obrócił się wokół własnej osi i opadł na kolana, dygocząc niczym rażony prądem wół.

Nigdy w życiu nie doświadczył jeszcze takiego bólu. Miał wrażenie, jakby ktoś wsadził mu między nogi palnik acetylenowo-tlenowy. Nie widział nic poza napływającymi jedna po drugiej falami oślepiającego szkarłatu i nie słyszał nic poza monotonnym dźwiękiem, który wydawała krew pulsująca mu w uszach.

Nie usłyszał nawet głosu Murzyna w surducie, kiedy ten nachylił się i powiedział: –Wzięłeś mnie chyba za jakiegoś głupka, koleś. Mówisz, że gdybyśmy cię wypuścili, wciąż miałbyś ochotę zapłacić mi milion dolarów... zapłacić milion dolarów za coś, co tkwiłoby bezpiecznie schowane w twoich portkach? To ty jesteś głupkiem, koleś.

Drugi chłopak wydał radosny okrzyk i wybuchnął skrzekliwym śmiechem; potem obaj wyszli z drogerii na zalaną deszczem ulicę. Nie spieszyli się. Nie musieli. Wiedzieli, że Craig nie będzie ich śledził i że mają mnóstwo czasu, zanim zawiadomi policję.

Na rogu Ósmej Alei z zaśmieconej sklepowej wnęki wyszła dziewczyna z kręconymi włosami i białą spuchniętą twarzą, wzięła pod rękę Murzyna w surducie i wszyscy troje pomaszerowali dalej w strugach deszczu, jakby nic się nie zdarzyło.

Odwrócił się, dotknął niezgrabnie przegubu jej ręki i pokiwał

Czwartek, 17 czerwca, 15.11

–Samochód stoi przed domem – powiedziała Effie. Craig nadal wyglądał przez okno. Na dole, na Osiemdziesiątej

Szóstej Wschodniej, kładły się jasne smugi słońca. Obserwował dwójkę małych dzieci, które nie potrafiły w żaden sposób przejść przez ulicę, mimo że ruch był bardzo niewielki. Opiekowała się nimi starsza siostra i chłopczyk. Wyglądali tak samo, jak wyglądał kiedyś on i jego siostra Rosie, z tą różnicą, że te dzieciaki pochodziły prawdopodobnie z bogatej rodziny i uczęszczały pewnie do Sutton Place School. Za każdym razem, kiedy ulica była pusta, starsza siostra upierała się, żeby zaczekali przy krawężniku, a potem, kiedy zbliżał się jakiś pojazd, dawała dzielnie krok na jezdnię, i po chwili musieli uciekać z powrotem na chodnik.

Craig zastanawiał się, czy kiedykolwiek im się uda: może pozostaną tu przez następnych dwadzieścia lat, podczas gdy ich matka zestarzeje się, a kolacja obróci w proch.

Effie podeszła bliżej i położyła mu rękę na ramieniu. Zrobiła to bardzo ostrożnie, bo wiedziała, jak bardzo jest wrażliwy na niespodziewane dotknięcia. Wciąż rzucał się w nocy w łóżku, śniąc o tym młotku. Wciąż siadał spocony i zdyszany w pościeli, próbując powiedzieć coś, czego nie sposób było wyartykułować.

„Słuchaj pan, nie potrzebuję, żeby jakiś pierdolony Egipcjanin mówił mi, jak mam jeździć po moim własnym mieście”.

Gdybym tylko tego nie powiedział. Gdybym mógł odciąć sobie język, pomyślał.

–Chodź, Craig – powiedziała Effie. – Pora jechać. Chcę dotrzeć do Cold Spring jeszcze przed ósmą.

–Dobrze, oczywiście. Przyglądałem się tylko tym dzieciom. Możesz mieć dzieci, możesz mieć dzieci jak każdy normalny mężczyzna, o mało nie wymusnęło się Effie. Ale nie powiedziała ani słowa. Nauczyła się nie poruszać tematu potencji. Wciąż kończyło się to dzikimi atakami nie kontrolowanej wściekłości i skośnymi wrzaskami, po których następowały okresy głębokiej skruchy i płaczu, jeszcze gorsze od kłótni. Od napadu na Craiga minęły już trzy miesiące i Effie miała serdecznie dosyć jego łez.

Był zawsze taki witalny, taki pewny siebie. Chwilami zbyt pewny siebie. Ale nawet zbyt duża pewność siebie była lepsza od tego kompletnego załamania. Czasami miała wrażenie, że próbuje pobudzić do działania szurającego nogami sklerotycznego dziadka.

Najlepsza przyjaciółka Effie, Shura Janowska, straciła prawą pierś z powodu raka, lecz mimo to była dzielna i wesoła i nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że stała się przez to w mniejszym stopniu kobietą. Dlaczego więc Craig uparł się, że nie jest już teraz prawdziwym mężczyzną?

Craig wziął do ręki laskę i pokuśtykał za Effie w stronę wyjścia. Na korytarzu czekał, aby zamknąć za nimi drzwi, czarny portier Jones. Craig omiół wzrokiem pogrążony w ciszy wysoki apartament, wypełniony miękkim światłem popołudniowego słońca. Sukcesy, jakie odnosił w dziedzinie międzynarodowego prawa gospodarczego, pozwoliły wyposażyć go w kolonialne antyki i pozłacane lustra i zawiesić w oknach kunsztowne kremowożółte zasłony. Nad kominkiem

wisiałoby abstrakcyjne malowidło Maxa Webera – warte ponad trzy czwarte miliona dolarów wibrujące błękity i rozśpiewane szkarłaty. Cały, liczący cztery sypialnie apartament wyglądał, jakby umeblowano go z zamiarem zaprezentowania w Architectural Digest, ale Craig nie potrafił się nim cieszyć. Miał przeczucie, że nigdy go już nie zobaczy, i zastanawiał się, czy nie będzie wtedy przypadkiem szczęśliwszy.

Na jednej z sof leżała poduszka z wyhaftowanym ręcznie napisem: ZMIERZYŁEM SIĘ Z PRAWEM I PRAWO PRZEGRAŁO.

Jones zamknął za nimi drzwi.

–Jak długo zamierzają państwo zostać na północy, pani Bellman? – zapytał. Miał na sobie mundur i był bardzo układny. Nawet niosąc ich walizki wyglądał, jakby sunął pół cala nad ziemią.

Effie obejrzała się.

–Zorientujemy się na miejscu. Odwiedzimy moją siostrę w Albany, a potem spędzimy trochę czasu w Glens Falls – odparła.

–Wybierze się pan na ryby, panie Bellman? – zapytał Jones. – Powiadają, że żaden pstrąg nie może się równać z tymi z Oscawana Lake.

–Na ryby? – zdziwił się Craig. – Nie. Choć właściwie nie wiem... może się wybiorę. Zależy od tego, dokąd zajedziemy. Jazda na północ nie wydaje mi się najlepszym pomysłem na pożyteczne spędzenie czasu.

Effie wzięła go pod rękę i uśmiechnęła się, chociaż widać było, że nie przychodzi jej to z łatwością.

–Pożyteczna będzie każda minuta, dzięki której uporządkujesz sobie wszystko w głowie.

Craig wysunął ramię spod jej ręki.

–Rozumiem. Teraz z kolei nie w porządku jest moja głowa. Wymień choć jedną część mojego ciała, która jest w porządku.

Wsiedli do windy. Jones sprawiał wrażenie zażenowanego i nie odzywał się ani słowem, stojąc ze złożonymi jak do modlitwy dłońmi w rękawiczkach. Patrzyli z Effie na swoje odbicia w lustrzanych ścianach kabiny, ale żadne z nich nie dało po sobie nic poznać. Jones był idealnym portierem. Nigdy nie wyrażał opinii o jakimkolwiek lokatorze The Sutton, nawet jeśli ten lokator wpadał bez powodu w szewską pasję.

Patrząc w lustro Effie zorientowała się, że jest bardzo blada. Była drobną ciemną brunetką z owalną twarzą, którą jeden z jej dwu byłych kochanków porównywał zawsze do twarzy z obrazów Berniniego: lekko średniowieczną w rysunku, z wąskim prostym nosem, wydatnymi ustami i oczyma koloru skrzypiec Stradivariusa – orzecha laskowego, bursztynu i jasnego miodu, kolejnych warstw przezroczyściego werniksu, nakładanych na siebie tak długo, aż zaświeciły.

Miała na sobie prosty lniany niebieski kostium, może nieco zbyt elegancki jak na wycieczkę na wieś. Wybrała go, gdyż czuła się w nim spokojna i opanowana, a tego dnia bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała spokoju i opanowania. Poza tym czuła się w nim wygodnie. Od dłuższego czasu podejrzewała, że ma nieco za duże piersi jak na swój wzrost, a sposób, w jaki został skrojony ten kostium, sprawiał, że

wyglądała szczupłe Pamiętała, że wątpliwości na temat własnej figury opadły ją w dniu, kiedy Craig powiedział: „Wiesz co? Przypominasz mi Elizabeth Taylor”. Effie nigdy nie odważyła się wyznać, że nie znosi Elizabeth Taylor, a przynajmniej jej typu urody.

Opanowania, tego właśnie potrzebowała. Spokoju i opanowania.

Tylko ciemne kręgi pod oczyma zdradzały, ile kosztował ją wypadek Craiga.

Upierał się, żeby nazywać to „wypadkiem” zamiast „napadem” i Effie rozumiała, dlaczego. Nie dopuszczał po prostu do siebie myśli, że przez te wszystkie lata przeznaczenie wiodło go krok po kroku ku ciemnemu wejściu do drogerii K-Plus. Nie mieściło mu się w głowie, że urodził się i dojrzewał, otoczony miłością i oddaniem, tylko po to, aby któregoś dnia wejść przez te drzwi i stanąć twarzą w twarz z trzymającym w ręku młotek Murzynem w surducie. Jego rodzice nie po to posłali go przecież na wydział prawa. Z pewnością nie po to wywalczył sobie w trudzie i znoju czołową pozycję w swojej profesji, aby jakiś zboczeniec rozbił na proch jego męskość w opuszczonym budynku.

Nie chciał uwierzyć, że tak właśnie było, ponieważ gdyby uwierzył, oznaczałoby to, że Bóg gra znaczonymi kartami. Z całą pewnością Bóg nie mógł być tak podły. Nie pozwoliłby mu odnieść takiego sukcesu tylko po to, żeby pokazać, jak bardzo jest podatny na ciosy. Dlatego właśnie nazywał to „wypadkiem”. Wypadek to tylko coś w rodzaju pecha – nie idzie człowiekowi karta, źle padają kości. Przeznaczenie to coś zupełnie innego. Przeznaczenie to coś przerażającego, co czeka na ciebie za rogiem, kiedy się tego zupełnie nie spodziewasz.

–Niech pani uważa na siebie, pani Bellman – powiedział Jones, wkładając ich torby do bagażnika szkarłatnego BMW Effie. – Wie pani, co robiła moja babka, zanim się dokądkolwiek wybrała? – zapytał i dotknął dłonią prawego ramienia. – To najlepszy sposób, żeby odpędzić diabła. Żeby nie pojechał razem z panią i nie szeptał do ucha diabelskich nonsensów.

–Diabelskich nonsensów? – zapytał Craig, podnosząc brew.

–Nigdy nie wiadomo, panie Bellman. Diabeł zna przeróżne sztuczki, a jego oddech jest niczym dym z komina. Zakrztusi się pan, zanim się pan spostrzeże.

–Dziękuję za dobrą radę – powiedział Craig, po czym wsiadł do samochodu i zatrzaskał drzwiczki.

–A ja dziękuję za napiwek – odparł półgłosem Jones, kiedy Bellmanowie znaleźli się w bezpiecznej odległości.

Jechali na północ Henry Hudson Parkway, słuchając Madame Butterfly z płyty kompaktowej. Effie wychowała się w rodzinie, w której uwielbiano operę, i w ciągu siedmiu lat małżeństwa udało jej się stopniowo przekonać Craiga do Verdiego i Pucciniego, wciąż jednak nie mógł słuchać Wagnera. Pierścień Nibelungów porównywał do „objijającej się o blaszany biustonosz puszki ze smalcem”.

–Naprawdę tego nie potrzebuję – oświadczył, kiedy przecięli Harlem River i wjechali do Bronxu. Przed nimi toczyła się powoli wielka brudna ciężarówka, na której tylnych drzwiach wymalowany był szczerzący zęby dzoker i napis: Lucky Times, Inc. Nie było ani słowa o tym, co sprzedawała albo produkowała firma Lucky

Times, Inc.

–Potrzebujesz po prostu trochę czasu, żeby odpocząć od pracy, kochanie – powiedziała Effie. – Miałeś paskudną przygodę i musisz teraz dojść do siebie, wszystko sobie przemyśleć.

–Przemyśleć? Rozmyślam o tym od chwili, kiedy to się stało, godzina po godzinie. Na litość boską, Effie, ja nie potrafię myśleć o czymś innym.

–To minęło, Craig. Naprawdę minęło. Nie ma sensu dalej się torturować. Byłeś niesamowicie dzielny.

–Raczej chyba niesamowicie głupi. Dlaczego nie powiedziałem po prostu tej dziewczynie, żeby się wypchała trocinami?

–Bo jesteś sobą. Bo obchodzą cię inni ludzie.

–Nie wszedłem do tej drogerii dlatego, że obchodzą mnie inni ludzie. Wszedłem tam, bo byłem wkurzony na tego cholernego taksówkarza za to, że nie zna miasta, i byłem wkurzony na Hakayawę za to, że czuję się przez niego jak nieokrzesany barbarzyńca z Zachodu, który nie potrafi nawet przyjść punktualnie na kolację.

Minęli wysoki mur z brunatnoszarego betonu, a potem wyjechali z powrotem na słońce. Mimi śpiewała Un bel vedremo.

–Pamiętaj, co ci powiedział doktor Samstag – podjęła Effie. – Musisz zacząć myśleć o sobie w inny sposób. Musisz zrewidować swoje spojrzenie na samego siebie. To, co wydarzyło się w tej drogerii, sprawiło, że zwątpiłeś w swoją męskość, zwątpiłeś w to, że panujesz nad swoim życiem. Mogli cię zabić. Mogli ci zrobić wszystko, co chcieli, i nie potrafiłeś na to nic poradzić.

–Myślisz, że o tym nie wiem? – warknął na nią Craig. – Myślisz, kurwa, że o tym nie wiem?

–Nie – odparła, powściągając gniew. – Myślę, że o tym wiesz. Dlatego właśnie powinieneś zdawać sobie sprawę, jak bardzo może ci się przydać kilka dni odpoczynku. Może uda ci się pozbyć choćby części tego gniewu. Może zdołasz się nauczyć, że są w życiu takie rzeczy, na które nie masz żadnego wpływu, rzeczy, na które nie możesz nic poradzić, niezależnie od tego, jak fantastycznym jesteś adwokatem.

Craig nie zadał sobie nawet trudu, żeby odpowiedzieć. Przez cały czas przyglądał się obskurnym magazynom i zaniedbanym osiedlom mieszkaniowym Bronxu. W pomarańczowym letnim słońcu wyglądały jak pejzaż z Maroka. Obok nich jechała poobijanym brązowym mercurym czarna rodzina, ojciec, matka, tłusta córka i dzieciaki z włosami zaplecionymi w rastafariańskie warkoczyki, i Craiga uderzyło, jacy wydają się szczęśliwi. Oddałby wszystko, żeby być z czegoś zadowolonym – z pracy, z żony, z przyjaciół, ze swojego życia, z czegokolwiek.

Nieświadomie dotknął dłonią prawego ramienia.

Piątek, 18 czerwca, 7.54

Effie otworzyła powieki i wbiła wzrok w sufit. Promienie słońca tańczyły na nim niczym szereg porcelanowych baletnic. Obok niej leżał Craig, opatulony kołdrą, spod której wystawały tylko włosy. Miał chrapliwy, agresywny oddech. Effie natężyła słuch, ale usłyszała tylko krzyk łabędzi i szelest zasłon ocierających się o okienną klamkę.

Nie po raz pierwszy zastanawiała się, dlaczego tak właśnie potoczyło się jej życie. Nie miała dziecka, mimo że zawsze chciała mieć dzieci. Nie miała czasu malować, mimo że zawsze chciała malować. Nie miała czasu na nic z wyjątkiem pracy w Verulian Galleries przy Trzeciej Alei, skąd biegła szybko do domu, żeby przebrać się do kolacji i stanąć w charakterze atrakcyjnej ozdoby przy boku Craiga, kiedy zabawiał swoich klientów. Zawsze powtarzało się to samo. Lutece we wtorki, La Bernardin w środy, La Cote Basque w czwartki i La Reserve w piątki.

Co wieczór kłaniała się i uśmiechała do żon japońskich i koreańskich biznesmenów. Co wieczór brała udział w niemrawej, bezsensownej konwersacji. Wiedziała, że to jej obowiązek, i nie mogła udawać, że nie lubi bogactwa, które im to przyniosło. Ale przecież nie dlatego wyszła za Craiga. Wyszła za niego, bo był wysoki i nieśmiały, zawsze pomniejszał swoje osiągnięcia i stale ją rozśmieszał.

Pomyślała o pierwszych latach, które spędzili razem przy Lafayette Street. Pamiętała każdy szczegół parapetu nad kuchennym zlewem, chabry w słojach po marynatach, postrzępione szczotki do garnków i wylegującego się z podwiniętymi łapami kota Marmaduke'a. Poczula, jak łzy napływają jej do oczu i na pewno by gę rozpląkała, gdyby nie to, że nazywała się Effie, a matka powiedziała jej kiedyś, że dziewczynki, które mają na imię Effie, nigdy nie płaczą.

–Dzień dobry, jestem żoną Craiga Bellmana, jak się pani miewa? – wyrecytowała.
– Czuję się bardzo dobrze, dziękuję – odpowiedziała sama sobie.

Usiadła na łóżku. W pokoju dominowały czerwienie i żółcie, kolory lata. Obok kominka stał fotel na biegunach, a trochę dalej wielki dębowy kredens. Na ścianie naprzeciwko wisiał obraz przedstawiający opóźnioną w rozwoju pasterkę.

Craig wciąż sapał i dyszał, jakby śnił jakiś skomplikowany sen. Pocałowała go w ramię i wstała z łóżka, po czym podeszła nago do okna i wyjrzała na Main Street, wysadzaną rosnącymi w równych odstępach klonami i zabudowaną świeżo pomalowanymi domami z przełomu stulecia. W oddali, u podnóża skarpy, widziała błyszczącą wstęgę rzeki i przygotowującego swój sprzęt windsurferowca.

Pozwoliła opaść firance z powrotem, a potem obejrzała się przez ramię i zobaczyła swoje odbicie w stojącym po drugiej stronie pokoju lustrze: blady owal pleców i ciemną kaskadę włosów. Jej białe stopy tonęły w grubym, włochatym dywanie. Za każdym razem, kiedy wracała do Cold Spring, czuła się taka Spokojna, tak bardzo u siebie w domu. Wierzyła, że pewne miejsca mają moc przyciągania ludzi, nawet jeśli się tam nie urodzili. Ale Craig był typowym mieszczuchem. Potrzebował tlenu węgla i perfumowanej dusznej atmosfery nowojorskich restauracji o międzynarodowej renomie.

Wiedziała, że jej mąż musi tam wrócić. W przeciwnym razie niedługo zaczniesz się

niecierpliwie – będzie bębnił palcami po Stole, zerkał co pięć albo dziesięć minut na zegarek i wydzwaniał do swojej kancelarii. Może jednak uda jej się zatrzymać go tu wystarczająco długo, żeby odzyskał wiarę w siebie, zwłaszcza wiarę w siebie jako mężczyznę. Chciała, żeby się z nią choć raz pokochał, żeby udowodnił samemu sobie, że nie został pozbawiony męskości. Chciała dotknąć jego ocalałego jądra i utwierdzić go w przekonaniu, że jest jedyną kobietą, której pragnie.

Wychodząc spod prysznic, wciąż zasłaniał się ręcznikiem. Nadal nie pozwalał jej na siebie patrzeć i dotykać swojego ciała.

Podeszła do lustra i stanęła przed nim, przyglądając się własnemu odbiciu. Starła się nie mrugać. Aktorki filmowe uczą się, żeby nie mrugały. Jej piersi były blade i upstrzone żyłkami niczym blaszka liścia. Na lewym ramieniu widniało pięć małych pieprzyków. Jestem kobietą z krwi i kości, pomyślała, obserwując swoje podnoszące się i opadające w oddechu piersi. Jej włosy miały barwę czarnych jagód, kiedy dotyka ich pierwsze poranne światło.

Usłyszała, że Craig przeciąga się na łóżku. Zamruczał, zupełnie tak, jak mruczy pies, gdy zwiery zapach zwierzęcia, którego nie ma specjalnej ochoty złowić, na przykład skunksa. A potem otworzył oczy i utkwiał w niej wzrok.

Usiadła naga na skraju łóżka, pocałowała go w czoło i zmierzwiła mu włosy.

–Zapowiada się piękny dzień – powiedziała. – Zapowiada się piękny dzień i należy do nas każda jego minuta.

–Która godzina? – zapytał.

–Dwie po ósmej.

–Jezu, dwie po ósmej! Słuchaj, może byś tak wzięła prysznic? Muszę zadzwonić do Stevena. Dzisiaj rano ma reprezentować w sądzie Filipino Oil.

–Nie musisz dzwonić do Stevena, Craig. Steven potrafi sobie świetnie poradzić z Filipino Oil.

Craig usiadł na łóżku.

–Filipino Oil to bardzo skomplikowana sprawa. To moja sprawa.

–Jasne, kochanie. Ale Steven wie o niej tyle samo co ty. Sam to powiedziałeś.

Więc może pozwolisz mu działać i przestaniesz wtykać nos w nie swoje sprawy.

Uśmiechnęła się i dotknęła kilka razy palcem czubka jego nosa. Wiedziała, że jest ładna; wiedziała, że dobrze wygląda. Gdyby tylko Craig zapomniał o drogerii K-Plus i o tym przeklętym młotku, który go okaleczył...

–Craig – dodała, patrząc mu prosto w oczy. – Kocham cię, Craig.

Craig zakrył usta dłonią.

–Kocham cię, Craig, i sądzę, że pora już, abyś zapomniał o tym, co się stało, i pomyślał o mnie.

Wciąż nic nie mówił. Effie pogładziła palcami delikatny wzór włosów na jego dłoni.

–Musisz dać temu spokój, Craig – oświadczyła cicho. – Nikt nie poradziłby sobie lepiej na twoim miejscu. To nie uczyniło z ciebie tchórza. Nie uczyniło z ciebie głupca. Nie pozbawiło cię męskości. Wciąż możemy mieć dzieci. Słyszałeś, co powiedział doktor Reinhardt. Nic się nie zmieniło, absolutnie nic. Wciąż cię bardzo kocham.

Powoli powiodła palcem po jego nadgarstku, w stronę łokcia, potem w górę po ramieniu. Nie patrzył na nią; jego oczy utkwione były nie wiadomo dlaczego w elektrycznym gniazdku przy biurku z atlasowego drzewa. Wydawał się ogromnie smutny, tak alby doznał największego w całym swoim życiu rozczarowania, przesunęła palcem w dół i dotknęła brodawki jego piersi, która lekko się skurczyła. Pociągnęła go za kilka rosnących wokół Czarnych włosków, a potem jej palec ruszył w dalszą podróż, tropiąc zarys każdego smukłego, wyćwiczonego w siłowni mięśnia, aż dotknął w końcu nagiego biodra.

Spojrzał na nią.

–Nie, Effie. To nic nie da – mruknął.

Zignorowała jego protest, wsunęła rękę pod kołdrę i zacisnęła dłoń na grubym, miękkim penisie. Musnęła palcami jego pojedyncze jądro i poczuła, że nic się nie zmieniło, nic, naprawdę. Na chwilę zabrakło jej tchu. Tak bardzo chciała upewnić go, że wciąż jeszcze ją podnieca, że wciąż jest mężczyzną.

–Na litość boską! – zawołał, odsuwając się od niej. – Nie rozumiesz po angielsku?

Effie wyciągnęła ponownie rękę, ale on odepchnął ją mocno. Wyprostowała się, czując, jak ogarnia ją zażenowanie, frustracja i gniew.

–Musisz kiedyś spróbować, Craig.

–Ciągle mi to powtarzasz. Ciągle powtarza mi to doktor Samstag.

–Kocham cię, Craig. Nie możesz mnie wciąż odtrącać.

Nie odpowiedział, ale nie pamiętała, żeby popatrzył na nią kiedyś z taką urazą. Tkwiąca w nim gorycz była tak silna, że czuła prawie jej smak. Przypominał smak pokropionych cytryną miedziaków.

Wstał z łóżka, odwrócił się do niej plecami i wziął z oparcia krzesła o kilka numerów na niego za duży szlafrok frotte. Patrzyła, jak go wkłada, ale sama pozostała naga.

–Potrzebuję po prostu trochę więcej czasu – powiedział.

–Doktor Samstag twierdzi, że im dłużej będziesz to odkładał tym trudniej będzie ci się przemóc.

–Doktor Samstag nie dostał w jaja tym cholernym młotkiem.

–Craig... musisz sam się postarać, jeśli chcesz wrócić do zdrowia. Nie możesz wiecznie się nad sobą użalać. Jesteś wciąż płodny, jesteś wciąż mężczyzną. Wciąż cię kocham, tak samo jak kochałam przedtem. Ale nie mogę ci pomóc, jeśli ty nie spróbujesz pomóc samemu sobie.

Przez chwilę się nad tym zastanawiał, jednak nic nie odpowiedział.

–Co masz ochotę dzisiaj robić? – zapytał w końcu.

–Nie wiem. Wszystko, co chcesz. Moglibyśmy pojechać do Boscobel Restoration i obejrzeć meble.

–W takim razie lepiej się ubierz.

Wstała i spojrzała mu prosto w twarz. Chciała powiedzieć mu kilka słów prawdy, ale wiedziała, że tylko pogorszy tym sytuację. Jeszcze gorsze od frustracji było to, że właściwie nie wiedziała, czy nadal go kocha. Nie mogła żyć bez miłości i aprobaty i zaczęła dochodzić do wniosku, że być może będzie musiała poszukać ich gdzie

indziej.

Mogła nim potrząsnąć, mogła wbić paznokcie w jego ramiona i podrapać go do krwi. Zamiast tego otworzyła szufladę komody i spojrzała na swoją bieliznę, tak jakby zobaczyła ją po raz pierwszy w życiu.

Piątek, 18 czerwca, 11.47

Ranek spędzili zwiedzając Boscobel Restoration, federalistyczny dwór wznoszący się pośród różanych ogrodów i jabłoniowych sadów, z przepięknymi widokami na Hudson River i rozciągające się za nią Hudson Highlands.

–Moglibyśmy urządzić piknik – odezwał się niespodziewanie Craig, osłaniając oczy przed południowym słońcem.

Effie wzięła go pod rękę i tym razem nie starał się od niej odsunąć.

–Piknik? Po takim śniadaniu? Wziąłeś chyba trzy dokładki naleśników.

–Muszę nabrać sił, jeśli ponownie mam się stać mężczyzną.

–Cały czas jesteś mężczyzną.

–Ciągle mi to powtarzasz.

Obeszli musztardowego koloru dom i ruszyli wolnym krokiem przez sad, kierując się w stronę samochodu.

–Jeśli jesteś naprawdę głodny, to niedaleko jest gospoda – powiedziała Effie. – Po drugiej stronie Bear Mountain Bridge. Chcesz jej poszukać?

Wsiedli do samochodu i zjechali krętą drogą w dół pod baldachimem szeleszczących drzew.

–Ojciec zabierał nas tam prawie w każdą sobotę na lunch -mówiła dalej Effie. – Nazywała się Red Oaks Inn. Gospoda pod Czerwonymi Dębami. Sam zamawiał zawsze Krwawą Mary. a mnie dawał umaczany w niej kawałek selera. Matka powtarzała, że wpędzi mnie w alkoholizm, ale on twierdził, że tylko próbuje w ten sposób zrobić ze mnie wegetariankę.

Minęli trzy kolejne serpentyny i nagle Effie obejrzała się do tyłu.

–Zatrzymaj się! Zatrzymaj! – zawołała. – To chyba tutaj w lewo!

Craig ruszył do tyłu z wyjąca skrzynią biegów. W mroku między dębami znikła wąska, biegnąca w dół droga, opadająca pod tak ostrym kątem, że gdyby Effie nie wiedziała, czego szukają, najprawdopodobniej by ją minęli. Na zniszczonym drogowskazie widniały dwie ledwie czytelne nazwy: Red Oaks i Walhalla.

–Walhalla? – zdziwił się Craig, zawracając. – Co to jest Walhalla?

–To czyjś dom. Nie wiem, do kogo należał. Kiedy byłam mała, zajrzałam do encyklopedii, żeby sprawdzić, co to znaczy Nazwa Walhalla pochodzi z nordyckich legend, no wiesz, o Odyńie i innych bogach. Tak nazywał się zamek martwych bohaterów Mój ojciec powtarzał zawsze, że to ostrzeżenie dla niego, żeby nigdy więcej nie zaglądał do Red Oaks Inn, bo skończy dokładnie tak jak oni.

–Był imponującej postury, prawda?

–Imponującej postury? Nie musisz się tak dyplomatycznie wyrażać tylko dlatego, że nie żyje. Był gruby, gruby jak beka.

Skręcili w boczną drogę i natychmiast znaleźli się w chłodnym cichym ustroniu, pośród wiszących nisko gałęzi i splątanych gęstych krzewów. Przez zarośla błyskał z rzadka jasny promień słońca, ale na przeważającym odcinku droga była mokra i pogrążona w półmroku. W powietrzu unosił się zapach rozkładających się liści.

–Jesteś pewna, że dobrze skręciliśmy? – zapytał Craig, kiedy o karoserię BMW zaczęły zaczeplać z trzaskiem gałęzie wrzośców

–To musi być tutaj. Na drogowskazie było napisane Red Oaks, prawda? I Walhalla.

–Zgadza się. Zamek martwych bohaterów.

Biegnąca z boczem góry droga zaczęła się po jakimś czasie wznosić, najpierw łagodnie, potem z każdym zakrętem coraz bardziej stromo. Poszczerbionym asfaltem sunęły ukośne win źródlanej wody. Po jednej stronie widzieli tylko wierzchołki drzew, za to po drugiej mogli podziwiać wilgotny przekrój wnętrza ziemi z poskręcanyimi korzeniami, warstwami przegniłych liści i wydzielającymi ostrą woń, przypominającymi purchawki białymi grzybami.

–Wygląda na to, że nikt tędy nie jechał w ciągu ostatnich kilku lat – stwierdził Craig. – Może powinniśmy zawrócić i poszukać jakiejś innej knajpy?

–Tu i tak nie damy rady zawrócić – stwierdziła Effie. – Równie dobrze możemy podjechać do tej gospody.

Serpentyna goniła serpentynę, ale w końcu wyjechali na prosty odcinek szosy, baldachim liści zaczął się przerzedzać i na asfalcie pojawiły się cętki światła. Red Oaks Inn 200 jardów. Ogień w kominku i telewizja, głosił niewyraźny napis na stojącej przy drodze tablicy.

Gospoda wydawała się o wiele mniejsza, niż zapamiętała ją Effie, i znajdowała się w kompletnej ruinie. Stała po lewej stronie drogi w cieniu olbrzymich dębów: oszalowany budynek z zapadającą się werandą i dziurawym dachem. Większość szyb w oknach była powybijana, a rowy odpływowe zasypały osuwające się piargi.

Craig skręcił na parking i zaciągnął ręczny hamulec.

–Wygląda na to, że lunch mamy z głowy – powiedział. – Gdzie teraz pojedziemy?

Effie wysiadła z samochodu i podeszła do frontowych schodów. Wchodząc przed wielu laty wraz ze swoim ojcem po tych stopniach, nigdy nie pomyślała, że kiedykolwiek tu wróci i zastanie gospodę w takim stanie. Weszła na werandę i zajrzała do środka. W drzwiach tkwiły kolorowe niegdyś szybki, przez które zerkąca czekała, aż ojciec skończy płacić rachunek, a matka pudrować nos. Wyobrażała sobie, że przez każdą kolorową szybkę może zajrzeć do innego sekretnego świata, którego nie sposób normalnie zobaczyć: do świata czerwonego, zielonego i chorego świata bursztynowego.

Kiedyś – zerkając przez czerwoną szybkę – zobaczyła przechodzącego przez parking mężczyznę w kapeluszu na głowie. Gdy zaraz potem spojrzała przez normalne szkło, już go nie zobaczyła.

Usłyszała za sobą trzaśnięcie samochodowych drzwi i po chwili dołączył do niej Craig. Frontowe drzwi były zamknięte na łańcuch z kłódką, ale Effie widziała przez nie wyraźnie jadalnię, a za jej oknami koryto strumienia, który płynął kiedyś po skałach. Teraz z całego umeblowania jadalni pozostało jedno przechylone na bok krzesło, a strumień zarósł trawą.

–Wspomnienia? – spytał Craig, spoglądając na dziurawy dach.

Effie kiwnęła głową.

–Tato zabrał mnie tutaj na moje osiemnaste urodziny. Położył niespodziewanie dłoń na jej plecach. Zaskoczona Effie

obejrzała się, ale miał odwróconą głowę.

–Podoba mi się tutaj – powiedział takim tonem, jakby sam w to nie wierzył.

–Cieszę się. Mnie zawsze się tu podobało. Gospodę prowadziło urocze małżeństwo, państwo Berrymanowie. Uwielbiali gotować i cieszyli się, kiedy ludzie czuli się u nich zadowoleni i szczęśliwi. Pani Berryman pozwalała mi przychodzić do kuchni i lepić ludziki z ciasta.

Zeszli na dół. W oddali widać było błękitne szczyty Hudson Highlands i ciemniejszy, zasnuty chmurami zarys Storm King Mountain. Stojąc obok tego opuszczonego i walącego się w gruzy domostwa Effie miała przez chwilę wrażenie, że są zupełnie sami na świecie – badacze dawno zaginionej cywilizacji. Od wzgórza do wzgórza niósł się smutny głos lelków kozodojów.

–Pojechałaś kiedyś dalej? – zapytał Craig. Potrząsnęła głową.

–Przyjeżdżaliśmy tu coś zjeść i wracaliśmy do domu. Tato obiecywał zawsze, że przespacerujemy się po lesie, ale nigdy nic dotrzymał słowa. Po lunchu był zawsze zbyt pijany.

–Chciałbym zobaczyć, jak wygląda ta Walhalla.

–To po prostu czyjś dom.

–Nieważne, chcę go zobaczyć.

–Dobrze – zgodziła się Effie. Było jej wszystko jedno, co będą robić, chciała tylko, żeby Craig nadal był w pogodnym nastroju. Nie widziała go tak odprężonego, odkąd wydarzył się tamten „wypadek” i zaczynała dochodzić do wniosku, że te wymuszone wakacje naprawdę były potrzebne.

Tego ranka Craig włożył lniany garnitur w kolorze wielbłądziej sierści. Było to maksymalne ustępstwo, na jakie mógł pójść taki zdeklarowany mieszczuch jak on. Ale teraz zdjął marynarkę, podwinął rękawy i rozpiął kolejne dwa guziki u koszuli.

–Nie powinienem wkładać tych cholernych półbutów -stwierdził. – Kiedy wrócimy do Cold Spring, może kupię gdzieś pionierki.

–Ty? W pionierkach?

Craig uśmiechnął się szeroko i poklepał ją po plecach.

–Jestem chyba na wakacjach, wolno mi.

Za gospodą stromizna była tak duża, że Craig musiał wrzucić dwójkę. Ale po kilku minutach wspinania się pod górę droga zrobiła się bardziej płaska i zaczęła zataczać szeroką pętlę w lewo wzdłuż linii zakreślonej granią wzgórza. Jego zbocza porastała brązowa sucha trawa, w której kołysały się wątle polne kwiatki.

Byli teraz tak wysoko, że wiatr zaczął gwizdać i furkotać w otwartych oknach samochodu. Kiedy znaleźli się na szczycie, ich oczom ukazała się potężna tyraliera zgarbionych dębów, wyglądających jak podnoszące się na nogi olbrzymy. Chociaż wszystkie były stare, deszcze i wiatry zdeformowały i przygięły do ziemi większość z nich, a niektóre pnie rozszczepiły na dwoje uderzenia piorunów. Tworzyły naturalną barierę oddzielającą obie strony wzgórza. Kiedy Effie była dzieckiem, uważała, że ktoś, kto nazwał swój dom Walhalla, musiał być bardzo romantyczny, teraz jednak, gdy się do niego zbliżała, nazwa wydała jej się irytująca i perwersyjna?

Sprawdziła to wtedy w swojej encyklopedii, pod hasłem „Legendy nordyckie”.

Walhalla była zamczyskiem, w którym mieszkali polegli w szlachetnym boju rycerze. Każdego ranka budzili się i wychodzili z zamku przez czterdzieści różnych bram, aby walczyć z olbrzymami i złymi duchami. I każdego wieczoru wracali, żeby bawić się, grać w kości i śpiewać swoje pradawne pieśni.

Dom mógłby równie dobrze nazywać się Czyściec albo Mictlampa – tak, jak nazywała się meksykańska kraina zmarłych, gdzie tańczyły szkielety. Kiedy była dzieckiem, pokojówka jej rodziców, Juanita, opowiedziała jej o Mictlampie i na wspomnienie tych historii wciąż jeszcze przechodził ją dreszcz.

–Tak tu strasznie – powiedziała.

Ale Craig jechał dalej z nawiedzonym wyrazem twarzy.

–Fantastyczne miejsce. Podoba mi się – oświadczył. Jechali teraz popękany, poprzerastany trawą i zielonym asfaltem i szutrem. Craig pędził szybko zataczając łuk drogą wcale nie zwalniając, chociaż wyglądało na to, że zbliżają się do jej końca. Za ostatnimi dębami ukazała się osadzona między dwoma kamiennymi słupami brama z kutego żelaza. Craig zahamował ostro i zatrzymał się tuż przed nią.

–To musi być tutaj – powiedział. – Walhalla.

Kute żelazo było przeżarte rdzą, a słupy porastały kępki mchu. Mimo to brama wywierała potężne i posępne wrażenie i ten kto ją wybudował, miał chyba dokładnie taki zamiar.

Wkraczacie na teren, mówiła, który należy do mnie.

Craig wysiadł z samochodu i rozejrzał się dookoła. Letni wiatr smagał żółtą trawę wokół jego kostek. Effie wysiadła również.

Craig pokuśtykał do bramy i potrząsnął nią. Lewe skrzydło wypadło z przerdzewiałych zawiasów, jego dolna część tkwiła kompletnie zakopana w szutrze, ale można było prawdopodobnie otworzyć drugie skrzydło. Za bramą droga skręcała w prawo, opadając po przeciwległej stronie wzgórza, jednak poza rosnącymi gęsto drzewami nie sposób było tam nic zobaczyć.

–Czuję się jak... – zaczął nagle Craig, a potem przerwał i rozglądał się przez chwilę dookoła.

–Jak się czujesz? – zapytała Effie.

–Sam nie wiem. To naprawdę dziwne. Czuję, jakby sądzono mi było tutaj przyjechać.

Pomyślała o jego „wypadku” i o tym jak uparcie zaprzeczał, że to złe fatum zawiodło go do mrocznych drzwi drogerii K-Plus. A jednak teraz najwyraźniej sugerował, że przywiodło go w to miejsce przeznaczenie.

–Jesteś po prostu zrelaksowany – powiedziała. – Nic nie krępuje twojego umysłu. To rodzaj deja vu.

–Nie, nie – odparł kręcąc głową. – To wcale nie jest deja vu. Nie mam wcale wrażenia, że bym był tu wcześniej. Nie mogę tego wyjaśnić, ale po prostu czuję, że sądzono mi było tu przybyć

Effie złapała za bramę i też próbowała ją potrząsnąć, ale kute żelazo nawet nie drgnęło.

–Może rzeczywiście sądzono było ci tu przybyć, ale na pewno nie jest ci sądzono

wjechać do środka.

Craig przez kilka chwil chodził w tę i z powrotem.

–Może spróbujemy otworzyć bramę liną holowniczą?

–Zwariowałaś, Craig? To czyjaś posiadłość. Mogą nas podać do sądu. Poza tym nie chcę, żebyś zniszczył mi samochód. Co będzie, jak zatrze się silnik? Albo brama runie i zgniecie bagażnik?

–W porządku. To był tylko taki luźny pomysł.

Effie przez chwilę go obserwowała. Wydawał się niezwykle pobudzony, ale także zadowolony. Zacierał bez przerwy ręce, jak zwykł robić, kiedy coś go podnieciło albo zainspirowało.

–O co chodzi, Craig? – zapytała, biorąc go za rękę. Jego twarz promieniała radością. – Powiedz, o co chodzi?

Wziął ją w objęcia, a potem mocno do siebie przytulił, napraw dę przytulił, po raz pierwszy, odkąd wyszedł wtedy rano z domu szesnastego marca. Effie była tak zdumiona i wzruszona, że po czuła nagle, jak łzy napływają jej do oczu. Minęło tyle czasu odkąd po raz ostatni odezwał się do niej z uczuciem i w ogóle je okazał, że nie mogła się po prostu powstrzymać.

–Było mi sądzone tu przybyć – powtórzył. – Nie wiem, po co i dlaczego. Ale czuję się prawie tak, jakbym słyszał muzykę.

–Muzykę? – Effie była wzruszona, lecz również kompletnie oszołomiona.

Wypuścił ją z objęć, jednak wciąż trzymał za rękę.

–Nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu nie potrafię. Ale wiesz, jak to jest, kiedy mijają się czyjś dom w letnie popołudnie i dyszy się płynącą przez otwarte okna muzykę. Muzykę taneczną. Rozumiesz, co mam na myśli? Coś lekkiego... Tango, fokstrot, tego rodzaju rzeczy. Zastanawiam się, jakie wspomnienia budzą te melodie w człowieku, który ich słucha. Smutne czy radosne? Może ktoś tańczył przy dźwiękach tej muzyki z kimś, kto już nie żyje? A może nie miał nigdy nikogo, z kim mógłby przy niej zatańczyć?

–Craig... – szepnęła Effie, szczęśliwa, ale zarazem zatroskana. Ten nagły wybuch uczuć sprawił jej olbrzymią przyjemność, lecz również zaniepokoił. Nie pamiętała, żeby tak się zachowywał, nawet w pierwszych latach po ślubie.

–W porządku – powiedział. – Wszystko jest w porządku. Wszystko będzie dobrze.

Wsiedli z powrotem do samochodu i Craig zapalił silnik. Obrócił się w fotelu, wrzucił wsteczny bieg i ruszył powoli do tyłu. Effie rzuciła po raz ostatni okiem na zardzewiałą bramę. Przypominała jej rysunki Edwarda Goreya: posępne gotyckie podwoje, które pasowały do The Dwindling Party albo Gashlycrumb Tinies („»A«jak Amy, która spadła ze schodów”).

–Musimy ustalić, do kogo należy ta posiadłość – oświadczył Craig. – Powinien to wiedzieć któryś z agentów nieruchomości w Cold Spring.

–Dlaczego to takie ważne, czyja to posiadłość?

–Chcę ją obejrzeć, dlatego.

–Na pewno jest zdewastowana tak samo jak Red Oaks Inn.

–Chcę ją po prostu zobaczyć, czy to coś złego?

–Nie, nie, oczywiście, że nie – odparła Effie. Teraz, kiedy był taki ożywiony, nie chciała go denerwować. Jeśli wizyta w opuszczonym starym domu miała mu pomóc wydobyć się z depresji nie zamierzała protestować.

Dojechali prawie do miejsca, w którym Craig mógł wykręcić kiedy daleko za bramą, w najgłębszym cieniu dębów. Effie zobaczyła nagle jakiś ruch. To mogło być cokolwiek – na przykład zabłąkany w liściach promyk słońca. Ale Effie była pewna, że widzi jakąś postać: bardzo szczupłą, bladą postać w białym albo kremowym ubraniu, która patrzyła, jak odjeżdżają.

Nie wiedziała dlaczego, lecz ta biała postać przestraszyła ją o wiele bardziej, niż powinna. Otworzyła usta, żeby powiedzieć o niej Craigowi, jednak po chwili postać zniknęła, rozplynęła się w powietrzu albo zapadła pod ziemię. Nagle przypomniał jej się mężczyzna w kapeluszu, którego zobaczyła przez czerwoną szybkę w Red Oaks Inn.

Świat czerwony, świat zielony i chory świat bursztynowy. Może istniał jeszcze jakiś inny świat. Świat, który można było zobaczyć przez zamknięte bramy i na wpół uchylone drzwi. Świat, w którym słyszeć muzykę dobiegającą z otwartych okien cudzych domów Popatrzyła na Craiga, a on odwzajemnił jej spojrzenie. Zastanawiała się, czy rzeczywiście rozumie, o co mu chodzi.

Sobota, 19 czerwca, 3.23

Otworzyła oczy. Ktoś stał w nogach łóżka i patrzył na nią. Ogromna, mroczna postać, z połyskującymi w ciemności oczyma. Ogarnął ją taki lęk, że nie mogła złapać tchu, nie mogła się odezwać. Chciała szepnąć „Craig” i dotknąć jego ramienia, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk, a dłoń zacisnęła się kurczowo na prześcieradle.

–Kochanie... – odezwała się nagle postać. – Nie śpisz? Głośny oddech ulgi, który z siebie wydała, niewiele różnił się od krzyku.

–Boże, ale mnie przestraszyłeś! O mało nie dostałam ataku serca!

Craig obszedł łóżko i usiadł tuż przy niej. Miał na sobie tylko białe bawełniane spodnie od piżamy. Ujął ją delikatnie za nadgarstki i pocałował w czoło.

–Przepraszam. Nie mogłem zasnąć.

–Myślałam, że jesteś duchem albo kimś w tym rodzaju.

–Duch ważący dwieście funtów? – uśmiechnął się i znowu ją pocałował.

–Dać ci nytol? – zapytała. Craig potrząsnął głową.

–Nie chce mi się spać. Mam wrażenie, jakbym dopiero co się obudził.

–Więc co chcesz robić? Zagrać w scrabble’a?

–Wiem, że to zabrzmiało po wariacku, ale pomyślałem, że moglibyśmy pojechać jeszcze raz do Walhalli.

–Nie mam nic przeciwko temu, ale myślałam, że chcesz porozmawiać najpierw z agentem nieruchomości.

–Nie mogę rozmawiać z agentem o wpół do czwartej rano Effie oparła się na łokciu. Prześcieradło zsunęło się i odsłoniło jej nagie piersi.

–Chcesz jechać tam teraz?

–Sam nie wiem. To taki wewnętrzny impuls, nic wciężej Nigdy tak się przedtem nie czułem. Mam wrażenie, że jeśli tam pojadę, znajdę rozwiązanie wszystkich moich problemów.

–Och, Craig, to niemożliwe. Pojadę tam z tobą rano, kiedy będzie jasno. Ale nie teraz.

Craig wyprostował się. Przez chwilę wydawało jej się, że znowu go straciła; że znowu będzie się dąsał. Ale on pokiwał tylko głową

–Masz rację – mruknął. – Najpierw porozmawiamy z agentem, a potem tam wrócimy.

Położył się z powrotem do łóżka. Przez ułamek sekundy myślała, że ma ochotę się z nią pokochać, ale on odwrócił się do niej plecami, tak jak robił to zawsze, i kiedy zegar w hallu wybił czwartą, pogrążony był już w głębokim śnie.

Sobota, 19 czerwca, 10.19

–Pan van Buren może państwa teraz przyjąć – oznajmiła sekretarka w jaskrawozielonej sukience. Miała płomienne włosy, jaskrawoczerwone usta i wielkie okrągłe okulary. Wstała zza biurka i kołysząc biodrami poprowadziła ich korytarzem.

Walter van Buren okazał się sympatycznym starym poczciwcem w beżowej perkalowej marynarce, brązowych spodniach i kra wadę, który ogłaszał wszem i wobec, że jego właściciel jest przyjacielem Filharmonii Hudson Valley. Miał miękką beżową twarz i najjaśniejsze oczy, jakie Effie zdarzyło się kiedykolwiek widzieć, oczy rozwodnione do koloru słabej herbaty.

Na beżowych, obitych jutą ścianach gabinetu wisiały fotografie jego dzieci i wnuków oraz oprawione w ramki nagrody Stowarzyszenia Agentów Nieruchomości z Hudson Valley i Koła Łosi z Cold Spring. Za oknem widać było parking, na którym smażył się na słońcu dziesięcioletni potężny buick. Obok znajdował się plac zabaw dla dzieci, gdzie siedziała, czytając książkę, samotna matka, podczas gdy jej ubrane w szkarłatny kombinezon dziecko kręciło się bez końca na karuzeli.

–Rozumiem, że jesteście państwo zainteresowani Walhallą – powiedział Walter van Buren. wskazując im dłonią fotele. – Budynek stoi pusty od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku. Prowadzono tam trochę prac remontowych, ale jedynym powodem, dla którego jeszcze stoi. jest to, że się nie zawalił i nie znalazł się w okolicy nikt kto by go zburzył.

–Mimo to chciałbym go obejrzeć – oświadczył Craig. Jego dłonie spoczywały spokojnie na kolanach.

Walter van Buren wzruszył ramionami.

–Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście państwo go obejrzeni. Jeśli jednak szuka pan dużej, atrakcyjnej posiadłości w rejonie Hudson Valley, mogę pokazać panu wiele domów, które z pewnością bardziej się panu spodobają i które mają o wiele większą wartość. Jeden z nich jest na sprzedaż dopiero od tygodnia... niech pan tylko spojrzy: Oscawana, wspaniała rezydencja z siedmioma sypialniami, czterema łazienkami i dwiema półłazienkami nie wspominając już o basenie, korcie do squasha i widoku na Lake Oscawana. Proszę, niech pan popatrzy.

Przesunął broszurę w stronę Craiga, ale ten nawet jej nie dotknął. Walter van Buren rozparł się wygodniej w fotelu i zamrugał swoimi wypłowiałymi oczyma.

–Walhalla... muszę być z panem szczery... to coś więcej niż tylko poważna inwestycja – powiedział. – Ten dom był kiedyś, dawno temu, jedyny w swoim rodzaju. Trzeba jednak będzie wydać setki tysięcy, żeby móc w nim zamieszkać. Może nawet miliony. Do kupna przymierzał się Trump, ale kiedy jego inspektorzy budowlani bliżej przyjrzelisi się posiadłości... no cóż...

–Wydawało mi się zawsze, że agentom nieruchomości zależy na tym, żeby je sprzedać – mruknął Craig. – Nawet kosztem mijania się z prawdą. Że powinni zachęcać do kupna swoich nieruchomości, choćby to była tylko sterta gruzu.

–Och, nie, proszę mnie źle nie zrozumieć – odparł Walter van Buren, podnosząc rękę. – Walhalla ma wspaniałą lokalizację. Niezrównane widoki. Odosobnienie, intymność. To dom jeden na milion.

–Ale jest bardzo zdewastowany, prawda? – wtrąciła Effie, próbując odszukać w tym wszystkim trochę sensu i pohamować Craiga.

–Nie potrafiłbym pani okłamać, pani Beliman.

–Jak bardzo? – zapytał Craig.

Walter van Buren wziął do ręki zniszczoną jasnobrązową teczkę, otworzył ją i wręczył im szkic bocznej elewacji Walhalli oraz niewyraźną czarno-białą lotniczą fotografię. Dom zaprojektowany był w stylu neogotyckim, z wysokimi kominami i witrażami, i wydawał się naprawdę wielki.

–Mój Boże – szepnęła Effie i głośno się roześmiała.

–Pozwolą państwo, że ujmę to w ten sposób... – powiedział van Buren. – To jest dom, w którym trzeba się zakochać.

Craig podniósł fotografię i wpatrywał się w nią przez długą, bardzo długą chwilę.

–To niewiarygodne. Naprawdę niewiarygodne – oświadczył.

–Ta rezydencja należy do innego czasu – wyjaśnił Walter van Buren. – Do czasów Rockefellerów, czasów Francisa Delano Roosevelta, czasów Vanderbiltów. To bardzo duży dom, dla bardzo dużego człowieka.

–Wie pan w przybliżeniu, co trzeba tam zrobić? – zapytał Craig.

–Jak już mówiłem, panie Bellman, nie potrafiłbym państwa okłamać. Naprawy wymaga cały dach i większość okien. Poza tym, podobnie jak to ma miejsce w wielu starych domach, trzeba będzie prawdopodobnie założyć nową instalację elektryczną i kanalizacyjną.

–Ale można go odrestaurować?

–Tak, jeśli ktoś włoży w to sporo pracy.

–Craig... – zaczęła Effie. – Mam nadzieję, że nie myślisz poważnie o tym, o czym wydaje mi się, że myślisz. Ten dom potrzebny nam jest jak dziura w moście.

–Uspokój się, kochanie. Chcę go tylko obejrzeć – odparł Craig. – Kto jest właścicielem? – zapytał agenta.

–Zobaczmy, co tutaj piszą... – powiedział van Buren. – Fundusz powierniczy, którym zarządza firma Fulloniego i Jahna z Albany. Oczywiście pod warunkiem, że nie sprzedali domu albo nie przekazali prawa własności, w ogóle nas nie powiadamiając. Od ponad roku nikt nie pytał o Walhallę.

–Może powinienem porozmawiać z ludźmi z tej firmy?

–Może pan, oczywiście, jeśli pan chce. Dam panu numer ich telefonu. Ale chciałbym być w tej sprawie realistą, panie Bellman. Walhalla może poważnie nadwerężyć pańskie finanse, a ja bardzo bym sobie tego nie życzył, ponieważ nigdy by mi pan tego nie wybaczył. Przejeżdżając obok mego biura albo widząc mnie na ulicy, mówiłby pan zawsze: To Walter van Buren, który sprzedał mi ten cholerny dom i wpędził mnie w ruinę.

Odchylił się do tyłu w fotelu i zaśmiał się sucho. Zabrzmiało to jak szczekanie psa.

–Nie wydaje mi się, żeby mnie pan dobrze rozumiał – stwierdził Craig. – Nigdy nie widziałem Walhalli. nawet nie rzuciłem na nią okiem. Ale w momencie, kiedy wjechałem na tę górę i stanąłem przed tą bramą... nie wiem, jak to powiedzieć... Poczulem, że zjawilem się tam nie bez powodu. Że sądzono mi było tam przyjechać.

Walter van Buren spojrział z ukosa na Effie i odchrząknął.

–A co pani o tym myśli, pani Bellman? – zapytał.

–Myślę... – zaczęła Effie. – Myślę, że... – Craig obrócił ku niej głowę i utkwiał w niej wzrok. – Myślę, że rzeczywiście moglibyśmy obejrzeć ten dom. Jeśli to panu nie przeszkadza.

Walter van Buren za bębnił palcami po jasnobrązowej kopercie

–W porządku... – odparł po chwili. – Jeśli państwu naprawdę tak na tym zależy, w takim razie obejrzycie go, naturalnie Jak pan słusznie zauważył, panie Bellman, jestem tu po to, żeby sprzedawać nieruchomości, a nie zniechęcać ludzi do ich kupna

Wstał z fotela, przykucnął w rogu gabinetu, gdzie stał mały szary sejf, i zaczął ustawiać tarczę z kombinacją szyfrową.

–Kiedy chcielibyście się państwo tam wybrać? – zapytał.

–Może dzisiaj? – zasugerował Craig. – Co pan powie, żebyśmy pojechali tam zaraz? Nie mamy żadnych innych planów?

–Nie zapominaj, że na wpół do drugiej zarezerwowaliśmy stół w Vintage Cafe – odezwała się Effie, ale Craig uciszył ją skinieniem ręki.

–W porządku, w porządku – mruknął. – Na pewno zdążymy.

Walter van Buren wyjął z sejfu brązową kopertę z kluczami.

–Proszę bardzo. Ale jeśli chcecie państwo obejrzeć Walhallę teraz, obawiam się, że będziecie ją musieli obejrzeć sami. Umówiłem się dzisiaj z sześcioma albo siedmioma innymi klientami Mam bardzo atrakcyjny dom niedaleko Rhinebeck... może również będziecie chcieli mu się przyjrzeć. Wspaniała oferta. Pięć sypialni, trzy łazienki wyłożone kararyjskim marmurem i widok, który ustępuje tylko widokowi z nieba.

–To naprawdę wspaniałe, panie van Buren, ale my chcemy obejrzeć tylko Walhallę.

–Pozwoli pan, że coś panu zakomunikuję, panie Bellman -powiedział Walter van Buren – i chciałbym, żeby pan to potraktował poważnie. Kiedy zobaczy pan Walhallę, zapragnie pan jej z całego serca albo odwróci się na pięcie i szybko o niej zapomni Ten dom wymaga od ludzi o wiele więcej, niż mogą mu dać, i nu mam na myśli tylko finansów. Walhalla to miejsce, w którym ludzie zakochują się od pierwszego wejrzenia i które potem łamie ich. łamie ich dusze, kawałek po kawałku.

–Nie jestem z tych, którzy łatwo się łamią, panie van Buren – powiedział Craig, ale Effie usłyszała w jego głosie echo marcowego deszczu, huk młotka i śmiech czarnego chłopaka z usztywnionymi żelazem włosami.

–Mam nadzieję – odparł Walter van Buren. – Walhalla została zbudowana w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku przez Jacka Beliasa, milionera, który zrobił fortunę w przemyśle tekstylnym. Po jego śmierci, gdzieś od trzydziestego siódmego, stała pusta aż do drugiej wojny światowej, kiedy armia wynajęła ją, żeby zakwaterować tam słuchaczy Akademii Wojskowej West Point. Problem polega na tym, że pięciu stacjonujących tam kadetów popełniło samobójstwo. Zanim zrobi to ktoś inny, wolę sam poinformować państwa, że już wtedy zaczęły krążyć plotki, iż

dom jest nawiedzony.

–Nawiedzony? – zapytała Effie. – Nawiedzony przez kogo?

–Nie wiem, i tak naprawdę wcale w to nie wierzę. Ale wiecie państwo, jacy są ludzie. Od trzydziestu ośmiu lat sprzedaję nieruchomości w Hudson River Valley i nie trafiłem jeszcze na dom, w którym straszy. Moim zdaniem ci chłopcy bali się po prostu iść na wojnę... Ale któż może ich o to winić?

–Co się działo później z tym domem? – zapytała Effie.

–Z tego co pamiętam, przez dłuższy czas stał pusty. A potem wynajęła go kobieta o nazwisku Turlington. Chciała urządzić y nim szkołę jeździecką dla synów i córek dobrze sytuowanych mieszkańców Manhattanu. Na początku szło jej całkiem nieźle, ile kiedy zabrała na wycieczkę podczas burzy grupę młodych jeźdźców, jeden z jej najbogatszych podopiecznych został śmiertelnie rażony piorunem. To ją oczywiście wykończyło finansowo, bo wytoczono jej proces o milionowe odszkodowanie... i psychicznie, ponieważ chłopak umarł na jej oczach.

–O mój Boże – westchnęła Effie. – Nad tym domem rzeczywiście wisi jakaś klątwa.

Walter van Buren wzruszył ramionami.

–To zależy od tego, czy ktoś wierzy w klątwy. Moim zdaniem te duże, drogie posiadłości przyciągają po prostu ludzi, którzy lubią ryzykować, ludzi, dla których cały świat jest za ciasny. Jeśli żyje się na samej krawędzi, zawsze można stracić równowagę i porządnie się potłuc.

–Kto był ostatnim właścicielem? – zapytała Effie. Walter van Buren zajrzał do swoich papierów.

–Zanim przejęła ją firma Fulloniego i Jahna... Walhalla należała do Fishkill Hotel Corporation. Zamierzali urządzić w niej luksusowy hotel, z polem golfowym i wszelkimi możliwymi bajerami. Wydali trzy czwarte miliona na remont sali balowej i kilku Sypialni, ale potem wpadli w finansowe tarapaty i od tego czasu nikt poważnie nie interesował się tą posiadłością. Większość ludzi, którzy przyjeżdżają na weekend do Hudson Valley, szuka przytulnych pensjonatów w rodzaju Pig Hill Inn czy Beekman Arms. Nie interesują ich sztywne hotele z polami golfowymi.

–Ma pan rację – powiedziała Effie. – My też zatrzymaliśmy się w Pig Hill Inn. Przyjechaliśmy tutaj wyłącznie po to, żeby odpocząć. Może pamięta pan państwa Berrymanów, którzy prowadzili kiedyś Red Oaks Inn? Zastanawiałam się, czy...

–Oto klucze do zamku zmarłych bohaterów – przerwał jej nagle Craig, rozdierając brązową kopertę i rzucając z brzękiem klucze do Walhalli na biurko van Burena.

Walter van Buren posłał mu lekko zniecierpliwione spojrzenie

–Tym właśnie była Walhalla – wyjaśnił Craig. – Zamkiem zmarłych bohaterów. Tak w każdym razie powiedziała mi moja żona. Zamek zmarłych bohaterów ze starej skandynawskiej legendy.

–Prędzej już zamek martwej sztukaterii – odparł oschle Walter van Buren.

Effie podniosła jeden po drugim klucze i obróciła je w palcach. Z jakiegoś powodu wcale jej się nie podobały. Pierwszy pokryty był zieloną patyną i niezwykle duży,

niczym klucz do klasztoru. Drugi, mały i zardzewiały, wyglądał, jakby pasował najwyżej do kredensu. Trzeci był naoliwiony i prawie nowy.

–Ostatni klucz otwiera kłódkę przy bramie – wyjaśnił Walter van Buren. – Ten duży jest do frontowych drzwi.

–A ten mały?

–Nie wiem. Nigdy tego nie odkryłem. Proszę tylko nie zapomnieć zamknąć za sobą drzwi.

–Na pewno nie zapomnimy – powiedziała Effie.

–A jeśli zdecydujemy się na kupno? – zapytał z chytrym uśmieszkiem Craig.

Walter van Buren zaśmiał się znowu sucho.

–Jeśli zdecyduje się pan na kupno, panie Bellman, niech pan pamięta o jednym: to pańska własna decyzja. Ja nie starałem się pana w żaden sposób zachęcić. Więc niech pan potem nie zwala winy na mnie.

Sobota, 19 czerwca, 12.03

Kiedy przejeżdżali z powrotem przez Bear Mountain Bridge, zerwał się wiatr. Nad ciemnymi wierzchołkami Hudson Highlands sunęły chmury, przypominające stado wygłodniałych szarych psów. Z pobocza wzbijały się wirujące tumany kurzu.

Pod mostem rzeka była prawie czarna i pieniała się niespokojnie.

–Zbiera się na burzę – powiedział Craig. – Mam nadzieję, że będzie porządna. Uwielbiam burze.

–Dziękuję ci bardzo. Spędzamy ze sobą pierwsze wakacje od trzech lat, a ty chcesz, żeby zmoczyła nas burza?

–Burza wszystko odświeża. Poza tym jestem w takim nastroju, że chętnie ją obejrzę.

–Cóż to za nastrój? – zapytała Effie. – Apokaliptyczny?

–Nastrój podniecenia. Na litość boską, dlaczego nie mogę być po prostu podniecony? Czy jest jakieś federalne prawo, które tego zabrania?

–Przepraszam. Po prostu nigdy przedtem nie widziałam, żebyś się tak zachowywał.

–Nigdy przedtem nie widziałas, żebyśmy byli podniecony?

–Oczywiście, że widziałam. Widziałam, jak podnieca cię jakaś sprawa sądowa, która zbliża się do pomyślnego rozstrzygnięcia. Widziałam, jak podnieca cię nowy samochód. Ale nigdy nie sądziłam, że podnieci cię jakiś zrujnowany budynek, którego nie chciał nawet Donald Trump.

–Donald Trump ma takie samo prawo do błędu jak każdy. Effie parsknęła głośno i potrząsnęła energicznie głową. Na

Północnym zachodzie niebo ciemniało szybko i widzieli przecinarce je pierwsze zygzaki błyskawic. Od samego początku Effie nie miała zbytnej ochoty odwiedzać Walhalli, ale teraz naprawdę nic chciała tam jechać. Jeżeli Craig zachowywał się w ten sposób, zanim ją jeszcze zobaczył, co będzie, kiedy ją dokładnie obejrzy? Cieszyło ją, że jest taki podekscytowany, ale miała nadzieję, że Walhalla okaże się do tego stopnia zrujnowana, iż nie pomoże jej nawet największa ekscytacja.

Przypomniła sobie zamieszczone w encyklopedii staloryty, na których siwi, brodaci i ślepi nordyccy wojownicy wracali po zachodzie słońca do Walhalli w swoich rozsypujących się i po-przebijanych włóczniami zbrojach.

Craig spojrział na nią raz i drugi, a potem położył rękę na jej dłoni.

–Jedziemy tylko rzucić okiem – powiedział z uśmiechem. Muszę przecież prowadzić swoją kancelarię. Nie miałbym po prostu czasu zajmować się takim domem.

–Ani pieniędzy.

–Kiedy naprawdę się czegoś chce, Effie, pieniądze nie mają znaczenia.

–Daj spokój, Craig, bądź poważny. Słyszałeś chyba, co powiedział Walter van Buren. Walhalla ma trzynaście sypialni, dziewięć łazienek, trzy sale recepcyjne i jedną balową. Taki dom kosztowałby nas miliony, a my nie mamy milionów.

–To tylko pieniądze – powtórzył Craig, nawet na nią nic patrząc.

Znał teraz dobrze drogę i tym razem nie ominął ciemnego, podobnego do jaskini

skrętu, przy którym stał drogowskaz z napisem Red Oaks Inn i Walhalla. Pędzili pod nisko wiszącymi gałęziami, krzaki czepiały się z głośnym trzaskiem karoserii. Effie czuła w powietrzu zapach ozonu, tę dziwną niepokojącą świeżość przed zbliżającą się burzą. Jednak nie tylko burza budziła jej obawy. Craig prowadził, jakby nie mógł się wprost doczekać, żeby zobaczyć Walhallę, jakby klucze, które dostał od Walter van Burena, paliły go w kieszeni.

–Ten Jack Belias, który zbudował Walhallę... słyszałeś coś o nim? – spytała Effie, próbując odwrócić jego uwagę. Wyjechali właśnie z lasu i pokonywali z piskiem opon pierwszą serpentynę

–Jack Belias? Jasne. W latach trzydziestych cieszył się dość dużym rozgłosem. Albo złą sławą, zależy, jak się na to spojrzy. Na studiach musieliśmy analizować niektóre jego transakcje. Potrafił tak wykręcić prawo, że wyglądało jak precel. Zarobił ogromne pieniądze na tej swojej nie gniożącej się tkaninie. Zapomniałem, jak się nazywała. Zanim wynaleziono nylon, zbił na niej całą fortunę. Włożył coś koło dziesięciu milionów dolarów w Empire State Building, kiedy Craigowi Jacobowi Raskobowi skończyły się pieniądze. Właśnie dzięki niemu tak szybko wzniecono ten budynek. Założył się z Raskobem o pięćdziesiąt tysięcy, że nie uda mu się go zbudować w trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć dni. – Ale udało się w czterysta.

–Zgadza się. I to kolejna przyczyna, dla której Jack Belias stał się bogaty. Często się zakładał i na ogół wygrywał.

–Zastanawiam się, jakiego pokroju człowiek mógł zbudować dom na tym odludziu – powiedziała Effie.

–Pewnie zależało mu na prywatności.

–Jest różnica między prywatnością a totalną izolacją.

–A cóż jest takiego złego w totalnej izolacji? Może potrzebował trochę czasu, żeby przemyśleć różne rzeczy. Może potrzebował czasu, żeby odkryć, kim jest, bez innych ludzi, którzy mu to bez przerwy podpowiadali?

Effie zerknęła na niego zdumiona. Powiedział to z takim przekonaniem, jakby to on właśnie był człowiekiem, którego pozbawiono prywatności; jakby traktował bardzo osobiście wszystko, co wiązało się z Walhallą: jej powstanie, obrócenie się w ruinę i tragedię, które miały tu miejsce. Wyraźnie nie mógł się doczekać, żeby ją zobaczyć. Jego niecierpliwość była prawie widoczna, niczym rysa na mającej zaraz pęknąć szklanej tafli. Nigdy dotąd nie prowadził samochodu tak szybko i tak nerwowo. Effie trzymała się kurczowo siedzenia, kiedy ich BMW brało kolejne zakręty i podskakiwało na wertepach i odcinkach luźnego szutru.

–Na litość boską, Craig! Przecież wcale nam się nie spieszy! Lunch mamy dopiero o wpół do drugiej!

Craig nie odezwał się ani słowem, pokonując z piskiem opon następny zakręt. Przez ułamek sekundy żołądek podszedł Effie do gardła, samochodem zarzuciło i była pewna, że zaraz wylecą z szosy.

–Craig, na miłość boską, czy mógłbyś trochę zwolnić? To jest mój samochód i nie chcę w nim zginąć!

Przejechali przez odcinek mokrego asfaltu, wzbijając za sobą tuman wodnego

pyłu.

–O co ci chodzi? – roześmiał się głośno Craig. – Nie ufasz mi czy co?

–Oczywiście, że ci ufam...

Minęli znak zapowiadający Red Oaks Inn. Kiedy Craig zwolnił przed zakrętem, Effie zobaczyła siedzącego na werandzie młodego mężczyznę. Unosił w górę rękę i miał otwarte usta, jakby do nich wołał.

–Zatrzymaj się, Craig! – krzyknęła, łapiąc męża za kolano. – Zatrzymaj się! Ktoś do nas macha!

Craig skręcił na parking i zatrzymał się z efektownym poślizgiem.

–O co ci chodzi, do diabła? – burknął.

–On do nas macha, zobacz!

–No i co z tego? To tylko jakiś dzieciak! Effie otworzyła drzwi samochodu.

–Macha do nas, widzisz? Chcę się dowiedzieć, czego chce.

–Macha? Na litość boską, ludzie machają bez żadnego powodu. Machają, kiedy przejeżdża pociąg. To wcale nie oznacza, że chcą, aby się zatrzymał.

Effie odwróciła się do niego poirytowana.

–Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, nie obchodzi mnie, dlaczego macha. Chciałam, żebyś zwolnił. Nigdy tak przedtem nie jeździłeś.

Craig wydał policzki.

–W porządku. Przepraszam. Ale jaki jest pożytek z szybkiego samochodu, jeśli nie można nim szybko jeździć?

–Jaki jest pożytek z szybkiego samochodu, jeśli leży się w grobie?

–Jezu, Effie...

Wysiadając z samochodu nadal się kłócili. Oboje zatrzasnęli drzwiczki o wiele mocniej, niż to było potrzebne, i podeszli do gospody, zachowując między sobą gniewny dystans. Chudy młodzieniec w okularach, który siedział na werandzie, opierając o balustradę nogi w wysokich butach, obserwował ich z wyraźnym przejęciem. Miał długie kasztanowate włosy i ubrany był we flanelową koszulę w żółto-czarną kratę i bezrękawnik z grubego rudego tweedu. Choć ubranie mogło sugerować, że spędza dużo czasu na świeżym powietrzu, jego cera przypominała odcieniem pszeniczną mąkę. Miał duże piwne oczy, powiększone dodatkowo przez soczewki okularów, i duży ostry nos, który był po prostu duży, bez konieczności powiększania.

Za gospodą stał należący prawdopodobnie do niego zakurzony dodge charger rocznik 69 – prawie cały czarny, z wyjątkiem białej maski i zielonych drzwi od strony kierowcy.

–Cześć! – zawołał Craig z wymuszoną wylewnością, kiedy wchodzili po stopniach. Młody człowiek przyglądał im się bez słowa, nie zdejmując nóg z balustrady. Ustawił na werandzie jeden z ocalałych stolików gospody i Effie natychmiast zafascynował posiłek, który rozłożył przed sobą na otwartym egzemplarzu National Enquirer. Lunch składał się z kilku kromek pumpernikla, pomarańczy, w połowie Opóźnionego słoika dżemu jagodowego, kartonu Philadelphia Cream Cheese, czterech słonych krakersów, pomidora oraz korniszona.

–Pan do nas machał – powiedziała Effie z uśmiechem.

Młody człowiek utkwiał w niej wzrok i powoli zamrugał, a potem tak samo powoli zamrugał do Craiga.

–Pan czegoś chciał? – zapytała Effie. – Czy też może machał pan tak sobie?

–Och, przepraszam, oczywiście, że czegoś chciałem. Państwo Bellmanowie, nieprawdaż? Próbowałem zwrócić na siebie waszą uwagę. – Miał bardzo wyraźny akcent Massachusetts, a jego głos był zaskakująco głęboki. Effie domyślała się, że pochodzi z bostońskiego North Shore, z Salem albo Marblehead.

–Próbował pan zwrócić na siebie naszą uwagę? – powtórzył Craig, przybierając ton męczennika przemawiającego do opóźnionych w rozwoju.

–Zgadza się.

–No więc zwrócił pan. Zwrócił pan naszą uwagę. Zamieniamy się cali w słuch. I co?

–Mieszka pan gdzieś w okolicy? – zapytała Effie. – Pytam, bo kiedy byłem małą dziewczynką, odwiedzałem często tę gospodę, to znaczy zabierali mnie tu rodzice, i pomyślałem, że może wie pan, co stało się z właścicielami.

–Aha – mruknął młodzieniec. – Z właścicielami.

–Effie, kochanie – wtrącił Craig. – Ten młody człowiek chciał zwrócić na siebie naszą uwagę, tak w każdym razie twierdzi. Nie uważasz, że powinniśmy go zapytać, dlaczego?

–Państwo Berrymanowie, pamięta ich pan? – nie dawała za wygraną Effie. – Ona była trochę pulchna i miała białe włosy. a on był wysoki, chudy i nosił okulary. Pytałam o nich w naszym Pensjonacie i w Country Goose ale nikt nie mógł sobie nic przypomnieć.

–Wcale się nie dziwię – pokiwał głową młodzieniec. – Mieszkańcy Hudson Valley często zapominają o pewnych rzeczach, zwłaszcza kiedy nie zależy im, żeby o nich pamiętać.

–Pan wie, co się z nimi stało? – zapytała Effie.

–Jezu – jęknął Craig. – Przejeżdżamy drogą, on do nas macha, ale nie możemy się dowiedzieć, dlaczego. A potem nagle zaczynamy rozmawiać o właścicielach gospody, o których dawno już wszelki słuch zaginął.

–Nie znam całej historii – oświadczył młody człowiek. Przez chwilę trwało niezręczne milczenie. Niedaleko, z trzaskiem przypominającym rozdzierany perkal, strzelił piorun, a potem od wzgórz odbiło się stłumione echo.

–Co się stało? – zapytał Craig.

Młody człowiek zamrugał i rozejrzał się dookoła.

–To chyba piorun – odpowiedział.

–Wiem, że to piorun. Pytałem, co stało się z Berrymanami.

–A, z nimi... To było sześć albo siedem lat temu. Interes szedł coraz gorzej i w końcu zbankrutowali. A potem pani Berryman zginęła w pożarze. Nie wiem, co stało się z panem Berrymanem. Zaraz po pożarze wyjechał i nikt już o nim więcej nie słyszał. Niektórzy mówią, że przeniósł się do Minnesoty, ale nie wiem.

–Tak mi ich żal – powiedziała Effie. – Byli tacy szczęśliwi Młody człowiek zdjął

nogi z balustrady.

–Moja mama zawsze mówi, że szczęście nie jest nieskończone. To właśnie czyni je szczęściem. Gdyby trwało zbyt długo, zaczęlibyśmy go nienawidzić. To tak, jakbyśmy codziennie mieli na obiad pieczone żeberka, a orgazm trwał przez całe tygodnie.

–Wygląda na to, że pańska mama jest prawdziwym filozofem – stwierdził Craig.

–Moja mama? Daj pan spokój. Mojej mamie powinno się przeszczepić mózg.

Effie roześmiała się.

–Niezbym pochlebnie pan się o niej wyraża.

–Skądże znowu... ona sama to przyznaje. Gdybyście z nim przez chwilę porozmawiali, pomyślelibyście, że przed godziną przyleciała z Marsa. Jeśli zatrzymaliście się w Cold Spring, pewnie już ją spotkaliście. Prowadzi Hungry Moon, sklep ze zdrowymi artykułami spożywczymi przy Main Street. Naturalna żywność kryształowe kule okultystyczne rekwizyty. Wiecie, jak się u znalazła? Moi dziadkowie przywieźli ją w sześćdziesiątym dziewiątym roku na festiwal w Woodstock i zapomnieli zabrać z powrotem. Potraficie to sobie wyobrazić? Zapomnieć zabrać własne dziecko jak jakiś parasol?

–Kobieta, która prowadzi Hungry Moon, jest pańską matką – zapytała z niedowierzaniem Effie.

–Jasne. Zgadza się. Spotkaliście ją? Nie będzie wam przeradzać, jeśli skończę swój lunch?

–Nie, nie. Proszę, niech pan je. Ale pańska mama wygląda tak młodo! Młody człowiek starannie rozsmarował ser na pumperniku.

–Wygląda młodo, bo jest młoda. Miała tylko dwanaście lat, kiedy moi dziadkowie zostawili ją w Woodstock. Musiała mieć chyba końskie zdrowie, bo mieszkała potem przez trzy albo cztery lata z bandą hipisów. Dziadkowie wrócili co prawda po kilku miesiącach, żeby ją zabrać, ale ona nie chciała już z nimi wracać. – Kiedy pana urodziła?

–Gdy zaszła w ciążę, miała szesnaście lat, nie więcej. Ale miała trochę szczęścia. Państwo Berrymanowie dali jej pracę i mieszkanie tutaj, w Red Oaks Inn. Odkładała prawie wszystko, CO zarobiła, a potem otworzyła ten swój sklep. To cała historia mojego niewiadomego pochodzenia.

–Pana mama ma na imię Pepper, prawda? – zapytała Effie. – Rozmawiałam z nią raz albo dwa razy.

–Zgadza się. Pepper Moriarty. Ja mam na imię Norman. Ale W świadectwie urodzenia zapisano No Man, ponieważ mama chciała nazwać mnie po ojcu, a nie była pewna, kto nim jest. Czasami mówi, że urodziłem się w wyniku niepokalanego poczęcia. Że leżała któreś nocy na polu z zadartą sukienką i nagle z nieba spadła błędna gwiazda i ją zapłodniła. Twierdzi, że zobaczyła potworny błysk białego światła i za chwilę było już po Wszystkim: miała mnie w swoim łonie.

Zmarszczył brwi pod swymi długimi, zwisającymi na czoło Włosami i rozsmarował dżem jagodowy na jednym z krakersów.

–Mam bardzo otwarty umysł, ale szczerze mówiąc nie wydaje mi się to zbyt

prawdopodobne – dodał po chwili.

–Tak czy owak. to sympatyczna historia – stwierdziła z uśmiechem Effie. – Czy to, co pan je jest zgodne z dietą zalecaną przez pańską mamę?

Norman przyjrzał się uważnie posmarowanemu dżemem krakersowi.

–Nie, to raczej moja własna dieta. Jest bardzo zbilansowana i tak się składa, że możecie to zobaczyć na własne oczy. Kolor czarny jest przeciwieństwem białego, w związku z czym jem czarny posmarowany białym serem. Niebieski jest przeciwieństwem żółtego, więc jem żółte krakersy z niebieskim dżemem. Czerwony jest przeciwieństwem zielonego, i tak dalej... Chodziłem do szkoły plastycznej – oświadczył z żalem. – Podejrzewam, że powinienem zamiast tego zapisać się do szkoły gastronomicznej. Craig niecierpliwie potrząsał w kieszeni kluczami do Walhalli

–Wspaniale było pogadać z tobą, Norman, ale musimy ruszać w drogę. Zmitrężyliśmy trochę czasu.

–Nigdy przedtem nie widzieliście Walhalli? – zapytał Norman.

Craig był wyraźnie poirytowany. Kiedy się złościł, oczy robiły mu się zawsze wąskie jak u lisa.

–Skąd wiesz, że jedziemy do Walhalli?

–Nie możecie jechać nigdzie indziej. Oprócz Red Oaks Inn i Walhalli nie ma tutaj niczego godnego uwagi. Poza tym miałem was tutaj spotkać. Dlatego machałem. Pan van Buren zadzwonił do mnie i poprosił, żebym z wami pojechał. Jako doradca i ktoś w rodzaju przewodnika. Nie sądziłem, że tak szybko się pojawicie. W Pig Hill Inn powiedzieli mi, że wrócicie dopiero po lunchu, i pomyślałem, że najpierw pojedziecie coś zjeść.

–Mojemu mężowi bardzo się spieszy, żeby zobaczyć Walhallę – powiedziała Effie. Spieszy się? – pomyślała. Boże, potrząsał tymi kluczami niczym szalony strażnik w Sing Singu.

–Może skończysz najpierw ten swój... lunch? – zaproponował Craig. – Mógłbyś do nas potem dołączyć.

–Chyba nie – odparł Norman. – Pan van Buren poprosił, żebym dotrzymywał wam towarzystwa przez cały czas, ponieważ budynek nie jest zbyt bezpieczny. Poza tym wspomniał, że będziecie prawdopodobnie chcieli wiedzieć, ile będzie kosztować doprowadzenie go do porządku, a to jest moja specjalność. Zajmuję się między innymi remontami starych domów. Przyznaje, że nigdy dotąd nie odnawiałem tak dużych budynków jak Walhalla, ale jestem bardzo dobry, jeśli chodzi o podłogi i sufit. Potrafię kłaść tynki i glazurę. Postawiłem trzy spiralne klatki schodowe, dwie drewniane i jedną z lanego żelaza. I całą kuchnię w dębie.

–Chcemy tylko rzucić okiem – wyjaśniła Effie. – Nie potrzebujemy specjalisty budowlanego.

Norman wsadził krakersa do ust i zawiązał całą resztę swojego lunchu w egzemplarz National Enquirer.

–Jasne, wiem, że chcecie tylko rzucić okiem. Ale pan van Buren powiedział, że nie zaszkodzi, jeśli się z wami zabiorę.

_____ W porządku – zgodził się Craig. – Nie zaszkodzi. Czy

możemy już teraz jechać? – zapytał i ruszył sztywnym krokiem do BMW. W tej samej chwili eksplodował nad nimi piorun przez moment trwała cisza, a potem na ziemię lunęły duże ciepłe krople deszczu.

–Lepiej się pospieszmy – powiedział Norman, biorąc Effie pod ramię. – Za chwilę otworzy nam się nad głowami pocziwy stary firmament.

Craig wszedł do samochodu i zatrzasnął drzwiczki. Norman miał zamiar otworzyć drzwi przed Effie, ale ona zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy.

–Co takiego powiedział ci pan van Buren, Norman? Chcemy tylko rzucić okiem, nic więcej.

Norman wzruszył ramionami.

–Pan van Buren powiedział, że prawie każdy, kto chce obejrzeć taki dom jak Walhalla, ma go zamiar kupić... Wie pani, jakie są domy. Nie różnią się wiele od cracka. Albo w ogóle pani o nich nie myśli, albo zabiłaby pani, żeby je zdobyć.

–A co ty myślisz?

–Nie wiem. Jeśli przyniesie wam to szczęście...

–Spójrz na nas. Myślisz, że Walhalla przyniesie nam szczęście?

Norman zgarnął obiema dłońmi włosy z czoła i wzruszył ramionami.

–Przez jakiś czas tak. I w tym cały sęk. Mówiłem wam, co twierdzi moja mama. Szczęście musi się skończyć prędzej czy później, w przeciwnym razie wcale nie jest szczęściem.

Sobota, 19 czerwca, 12.36

Norman jechał za nimi, utrzymując odległość nie więcej jak dwóch, trzech stóp od tylnego zderzaka BMW. Jego dodge miał dziurawy tłumik i silnik ryczał tak głośno, że Craig i Effie nie byli w stanie usłyszeć własnych myśli, nie mówiąc już o rozmowie.

–Jesteś jakiś podenerwowany! – zawołała Effie, przekrzykując hałas.

–Nie wiem... wolałbym po prostu, żebyśmy obejrzeeli ten dom sami.

–Norman wydaje się w porządku. Może jest tylko trochę ekscentryczny.

–Trochę ekscentryczny? Facet, który uważa, że zbilansowana dieta oznacza posiłki w komplementarnych kolorach?

Effie roześmiała się. Chociaż zdumiewał ją niezwykle upór. z jakim Craig dążył do tego, żeby obejrzeć Walhallę, obserwowała z radością i zadowoleniem, jak bardzo się ożywił. Może tego właśnie potrzebował -jakiejś odmiany, czegoś, co odciągnęłoby jego myśli od japońskich biznesmenów, przepisów antytrustowych i koszmarnych wypadków z młotkami.

–Zapomniałem już, jak piękne potrafią być Highlands – po wiedział nagle. – Zwłaszcza przy tej pogodzie. Spójrz na te błyskawicę, tam w dolinie. Wspaniały widok.

–Ale nie chciałbyś chyba tutaj zamieszkać? Jesteś przecież zdeklarowanym mieszczuchem. Zawsze powtarzałeś, że najwspanialsza była błyskawica uderzająca w Empire State Building.

–Wiesz, co mówią ludzie. Dom jest tam, gdzie twoje serce. Effie wzruszyła ramionami. Była trochę zła, że Walter van Buren wysłał im na spotkanie Normana, wiedziała bowiem, że człowiek zaraz zacznie opowiadać Craigowi o pracach budowlanych i ewentualnych kosztach. Walter van Buren mógł wydawać się miękki, bezbarwny i pocziwy, ale było jasne, że nie prowadziłby od trzydziestu ośmiu lat swego biura, nie znając się dobrze na psychologii handlu nieruchomościami i nie wiedząc, które domy sprzedają się same, komu i dlaczego. Ale z drugiej Strony może to i dobrze, ponieważ Craig przestanie wreszcie rozmyślać o swoim wypadku.

Nigdy nie byłoby ich stać na Walhallę, nawet gdyby zainwestowali wszystkie swoje zasoby, a poprzedni właściciele zachowali ją w stanie zdatnym do zamieszkania; Effie ani przez chwilę nie sądziła, że Craig chce na serio złożyć ofertę kupna. Jeśli jednak cała sprawa zaabsorbuje go przez tydzień albo dwa, jeśli pomoże mu odzyskać jego dumę i męskość, mogła mu tylko z radością przytakiwać.

Nie rozumiała, dlaczego Walhalla tak bardzo go zainteresowała. On sam też tego jeszcze nie rozumiał. Nigdy w życiu nie wyobrażał sobie, że chciałby zamieszkać w Hudson Valley Highlands, i wielokrotnie ostrzegał własnych klientów, żeby kupując nieruchomości nie angażowali w nie wszystkich swoich finansów. Zbyt wielu z nich straciło domy podczas bessy w końcu lat osiemdziesiątych. Jego najlepszy przyjaciel, Josh Marias, postradał piękną nadmorską rezydencję w East Hampton, a razem z nią swą równie piękną żonę.

Może podobało mu się dzikie i odludne otoczenie i nazwa Walhalla, zamek martwych bohaterów – a może coś innego, coś tak silnego jak głód, pragnienie albo seksualna żądza. Może było to przekonanie, że aby tu zamieszkać, trzeba być

prawdziwym mężczyzną, prawdziwym królem gór. Kimś bogatym, kto odnosi sukcesy i zna własną wartość. Kimś, kto nie będzie musiał wychodzić stąd do ludzi, ponieważ ludzie sami przyjdą do niego.

Craigowi także nie podobało się, że nie będą mogli obejrzeć Walhalli sami; jednak w przeciwieństwie do Effie cieszył się że Norman zapozna ich z kosztami i pokaże jego żonie, że Walhalla nie jest tylko marzeniem, ale praktycznym przedsięwzięciem.

Gdyby Norman sporządził wstępny kosztorys możliwy do zaakceptowania dla Effie, Craig mógłby po pewnym czasie pomyśleć o luksusowym wyposażeniu, na jakie zasługiwały wielkie domy w Hudson Valley. O połączonych kranach i marmurowych posadzkach. O bibliotece, w której unosić się będzie zapach dębowych Półek i oprawnych w skórę książek. O sali bilardowej.

Deszcz zaczął bębnić mocniej w przednią szybę i w tej samej chwili zobaczyli wyłaniającą się zza wzgórza tyralierę ciemnych zdeformowanych dębów. Craig podjechał pod samą bramę i otworzył drzwiczki BMW, walcząc z wiatrem wiejącym z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę.

–Mam nadzieję, że to na pewno dobry klucz! – zawołał do Effie.

Podszedł do bramy i wziął do ręki zardzewiałą kłódkę. Wiatr zawodził głucho i groźnie, tak jakby ktoś dmuchał w szyjkę butelki. Deszcz siekł Craiga po policzkach i zostawiał ciemne cętki na koszuli. Kiedy wkładał klucz w otwór w kłódce, na horyzoncie zatańczyła błyskawica. Apokaliptyczny? – pomyślał. Tak, mam zamiar być apokaliptyczny, powiedział sobie. Otwierani bramę do zupełnie nowego życia. Huk gromu przetoczył się nad jego głową i w tej samej chwili Norman podbiegł, żeby mu pomóc.

–Zamek pewnie zardzewiał! – zawołał. – Nie otwierano go od kilku lat.

–Poradzę sobie – oznajmił Craig. – Nie na darmo wzmacniałem nadgarstki, ćwicząc kung-fu.

–W porządku, wspaniale. A jeśli kung-fu nie pomoże, mam w samochodzie kilka puszek WD-40.

–Poradzę sobie, rozumiesz?

–Naturalnie. Ale lepiej się pospieszmy. – Spodnie Normana trzepotały wściekle na wietrze i widać było, że ma niezłego stracha, choć stara się tego nie okazywać. – Nie jest to zbyt olśniewający pomysł: stać podczas burzy na samym szczycie góry, trzymając w ręku żelazny łańcuch – powiedział. – Efekt może się okazać aż za bardzo olśniewający.

Zamek był zardzewiały i brudny, ale w końcu ustąpił. Zapadki odskoczyły jedna po drugiej i Craig mógł zdjąć skorodowany łańcuch.

–Kto by się spodziewał? – pochwalił go Norman. – Sylvester Stallone może się schować.

Razem, cal po calu, otworzyli na oścież prawe skrzydło bram; i unieruchomili je schowanym w trawie zardzewiałym starym hakiem.

–Rozumiem, że znasz dobrze Walhallę! – zawołał Craig, przekrzykując wiatr.

Norman zdjął na chwilę zaparowane i zachlapane deszczem okulary. Włosy fruwały mu na wszystkie strony.

–Jasne – odparł. – Bawiłem się tutaj z kolegami, kiedy byłem mały. Biegaliśmy po salonach, po sali balowej, po kuchni, weszliśmy nawet raz na pierwsze piętro. Bawiliśmy się w różne rzeczy. W gwiazdne wojny, Indianę Jonesa, gotyckie zamki. Ale baliśmy się zapuszczać dalej z powodu duchów.

–Duchów! Ty i ten Walter van Buren macie chyba nie po kolei w głowie.

–Kto to może wiedzieć?! – odkrzyknął Norman. – Teraz już nie wierzę w duchy.

Ale kiedy miałem osiem lat, wierzyłem. pan nie wierzył?

–Wracajmy do samochodów – burknął Craig.

–Pan jest szefem.

–Zgadza się. Jestem szefem. I nie życzę sobie więcej bzdur na temat duchów. Nie chcę, żebyś denerwował moją żonę.

–Rozkaz, szefie.

Przejechali przez bramę i ruszyli wysadzaną dębami aleją. Dzień był w ogóle dość ciemny, ale drzewa rzucały tak głęboki cień, że chcąc zobaczyć drogę przed sobą, Craig musiał włączyć przednie światła. Jadący za nim Norman też zapalił potężne reflektory i Craig przestawił w dół tylne lusterko, żeby uniknąć oślepienia.

–Jezu, ten twój młody przyjaciel ma naprawdę kielbke we łbie – stwierdził z sarkazmem, mrużąc oczy przed światłem.

–A czego się spodziewałeś? To jeszcze dziecko. Nie wyżywaj się na nim.

–Dziecko? Musi mieć co najmniej dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata.

–Czyli jest jeszcze dzieckiem.

–Jakie dzieci prowadzą własne firmy remontowe?

–Powiedziałałabym, że przedsiębiorcze. I tak się składa, że go polubiłam, mimo tej jego głupiej diety i całej reszty.

–Cóż... może masz rację – zgodził się Craig. A potem wziął jej rękę, podniósł do ust i niespodziewanie pocałował. – Kocham cie, wiesz o tym? Nie wiem, jak zdołałaś ze mną tak długo wytrzymać, ale kocham cię. I owszem, lubię Normana. Mógłby Pójść do fryzjera, ale lubię go.

BMW zaczęło podskakiwać na wertepach i Craig zdjął nogę z gazu. Teraz, kiedy już tu się znalazł, chciał maksymalnie przedłużyć pierwsze spotkanie z Walhalą, chciał się nim napawać wiedział oczywiście, że to śmieszne, czuł jednak, że ten dom Przyciąga go coraz mocniej i mocniej. I co najdziwniejsze, sam Pragnął być przyciągany, było mu to potrzebne. Magnetyzm, który odczuwał, był tak silny, jak ziemski grawitacja.

Równocześnie poczuł ukłucie ostrego i niewytłumaczalnego żalu. Powinienem znaleźć się tu dużo wcześniej, pomyślał. I znalazłbym się, gdyby moje życie potoczyło się inaczej. Tutaj właśnie należę. Dlaczego nie odnalazłem tego miejsca wcześniej?

–Czy czułaś kiedyś, że całe twoje przeznaczenie czeka na ciebie dosłownie za rogiem? – zapytał Effie.

Popatrzyła na jego rozchylone w uśmiechu usta, masywna szczękę i gęste włosy. Nie uśmiechał się w ten sposób od wielu miesięcy, nawet na długo przed swoim „wypadkiem”, i nagle uświadomiła sobie, że udało jej się go wyzwolić. Wyglądał

znowu jak Craig Bellman, wysoki wesoły student prawa, który usiadł tuż obok niej w Corner Bistro przy Jane Street i zapytał, czy podoba jej się Mallarme.

–Mallarme? Czy to jakiś koktajl?

–To francuski poeta. „O, zwierciadło! – wyrecytował. – Ile razy i ile godzin, snami zrozpaczona i wspomnień poszukując, co pod twoim lodem są jak liście głęboko wciśnięte pod wodę, widziałam siebie cieniem dalekim, grobowym... ”

Spojrzała na niego zdumiona.

–I co dalej? – spytała.

–Nie mam pojęcia. Wyglądałaś po prostu na dziewczynę, której może zaimponować taki cytat.

Może za bardzo przypominał jej ojca, który zawsze lubił wszystkim rządzić. Jedyna różnica między Craigiem a nim polegała na tym, że ojciec, przyjmując na siebie nowe obowiązki, stawał się coraz łagodniejszy i bardziej wyrozumiały, podczas gdy Craig przeciwnie – robił się coraz bardziej gruboskórny i nieustępliwy

Teraz, kiedy znaleźli się w Walhalli, zaczęła go z powrotem poznawać. Było to nieoczekiwane i naprawdę wspaniałe. Czuła to samo przyjemne zmieszanie, którego doświadczyła owego wieczoru w Corner Bistro. Kim jest ten mężczyzna? Skąd przychodzą mu do głowy takie rzeczy?

–Que de fois et pendant les heures, desolee des songes e: cherchant mes souvenirs, je m'apparus en toi comme une ombre lointaine – powiedziała.

–Co takiego? – zapytał.

–Nie pamiętasz? Mallarme.

Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że jest poirytowany. A potem uświadomił sobie chyba, o czym ona mówi i uśmiechnął się

–Une ombre lointaine – powtórzyła, opierając głowę o jego ramię. – Daleki cień.

Niebo rozdarła błyskawica, a zaraz po niej druga i na ułamek sekundy świat zalała elektryczna biel. Huk piorunu był tak głośny, że Effie zakryła głowę rękoma, mając wrażenie, że zaraz zwali się na nich cały nieboskłon.

–To nic takiego, kochanie – mruknął uspokajająco Craig, dotykając opiekuńczym gestem jej karku. – Nie ma się czego bać.

Jechali dalej wysypaną szutrem drogą, między dębami, które szarpały się i miały niczym spanikowane konie. Po chwili szpaler drzew skończył się i wyjechali na otwarty teren, porośnięty wysoką, zmoczoną deszczem trawą – teren, na którym mogło się kiedyś znajdować boisko do krykieta, kort tenisowy albo wiele kortów tenisowych. Nad trawnikiem górował przypominający średniowieczne obwałowanie kamienny taras, czarny od mchu, ze zniszczoną fontanną i poprzewracanymi wazami. Za tarasem wznosił się sam dom, Walhalla. Deszcz był tak gęsty, że Craig musiał przełączyć wycieraczki na szybszy bieg, ale nawet przez kaskady wody i śmigające wściekle pióra wycieraczek widzieli oboje, jaka to wspaniała budowla.

–Przyjrzyj się dobrze – powiedział Craig, zatrzymując samochód.

Dom był olbrzymi, dwupiętrowy, zbudowany z wpadającej w brąz czerwonej cegły, z kamiennymi obramowaniami okien. Zaprojektowano go pierwotnie na planie wielkiego krzyża, jak katedrę, ale późniejsze dobudówki i stajnie zmieniły krzyż w

literę L. Wzniesiony był w dumnym neogotyku, stylu popularnym po pierwszej wojnie światowej, zwłaszcza wśród zamożnych spekulantów i tych, którzy dorobili się na wojennych dostawach. Taki dom zapewniał właścicielowi wysoką pozycję, poczucie dostojności i złudzenie, że jest dziedzicem starej fortuny.

Niebo za Walhalla było ciemne niczym zatruty staw, ale jej dachy połyskiwały, a w oknach migotało światło, jakby ktoś w niej mieszkał. Kominy były tak wysokie, że niknęły w chmurach i wydawało się, że dymią. Dopiero w świetle błyskawicy Craig i Effie zobaczyli, że okna są czarne i powybijane, a dach zawalił się w wielu miejscach i deszcz pada na gołe belki stropu.

Im bliżej podjeżdżali, tym wyraźniej widzieli opłakany stan budynku.

–Mój Boże, Craig, ależ to istna katastrofa! – zawołała Effie i natychmiast tego pożałowała. Po chwili jednak uznała, że nie ma czego żałować. Nie mogła wiecznie przeproszać, że żyje. Chciała, żeby Craig doszedł do zdrowia po wypadku, ale częścią tego procesu był powrót do normalności, do sytuacji, w której mogła mówić to, co myśli. Był ostatnio taki wściekły, tak niemożliwie wściekły, że bała się cokolwiek powiedzieć; chciała z tym nareszcie skończyć.

–Masz rację – odparł ku jej zaskoczeniu Craig. – Spójrz tylko, w jakim stanie jest dach.

Nadal jechał powoli aleją, która omijała łukiem rozciągający się po prawej stronie trawnik. Effie nie widziała prawie nic poza strugami deszczu, mrocznymi cieniami i jaskrawymi światłami reflektorów Normana w swoim tylnym lusterku. Ale potem droga zaczęła się stopniowo wznosić i wkrótce znaleźli się na szerokim, wyłożonym cegłą placu przed głównym wejściem. Pośrodku stał ponury posąg bezgłowej kobiety, której plecy okrywały niczym podarty płaszcz kępki porostów. W jednej dłoni trzymała złamany sztylet, a w drugiej coś, co przypominało worek martwych szczeniaków, ale było zbyt obrosnięte ociekającym wodą mchem, żeby Effie mogła się dokładnie zorientować.

Norman zatrzymał się za nimi, podbiegł w strugach deszczu do ich samochodu i zapukał w szybę.

–Macie parasol? – zapytał, przekrzykując huk piorunu.

–Mamy dwa – uspokoila go Effie.

–To bardzo dobrze, bo będziemy ich potrzebować. W niektórych miejscach dach kompletnie się zawalił.

Effie wzięła Craiga za rękę.

–Naprawdę sądzisz, że jest sens się w to bawić? – zapytała. – To musiał być kiedyś piękny dom, ale spójrz, co się z nim teraz stało. Nie stać by nas było nawet na remont dachu.

–Sama powiedziałaś, że rzucimy tylko okiem, zgadza się? Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Miał w oczach te same ciepłe ogniki co dawniej. Pocałował ją w czoło, potem w policzek tuż obok nosa, a potem prosto w usta.

–Nie zaszkodzi chyba, jeśli to zrobimy? – dodał.

Odwzajemniła jego pocałunek. Musiał ogolić się bardzo dokładnie tego ranka, bo miał niezwykle gładki policzek, gładki jak u niemowlęcia.

Z włosów Normana leciała woda.

–No to jak będzie? – zapytał, marszcząc nos. – Wychodzicie czy nie? To znaczy, nie mam nic przeciwko temu, żeby stać tutaj dalej i złapać zapalenie płuc, ale martwię się o was. Ludziom drętwieją nogi, jeśli siedzą zbyt długo w samochodzie.

–Chodźmy – powiedział Craig, otwierając drzwiczki BMW.

Nie zdołałam go powstrzymać, w każdym razie nie dzisiaj, pomyślała Effie, uśmiechając się z rezygnacją. Za bardzo jest podekscytowany. Jutro albo pojutrze zda sobie sprawę, jaka to ruina i ile będzie kosztował remont. Boże, trzeba by wyłożyć dwa albo trzy miliony wyłącznie po to, żeby załatać dachy, wstawić szyby i sprawić, żeby Walhalla chociaż częściowo nadawała się do mieszkania. I kolejne trzy albo cztery miliony, aby kupić meble, dywany i nadać jej wygląd prawdziwego domu.

Craig pokuśtykał do bagażnika, wyjął dwa parasole, otworzył je i pobiegli w strugach deszczu przez placyk.

–Boże, jak tu zimno! – zawołała Effie.

Wdrapali się po półkolistych ceglanych stopniach i stanęli przed podwójnymi drzwiami Walhalli – zniszczonymi, matowymi i prawie pozbawionymi farby. Pośrodku każdego skrzydła tkwiła ciężka, skorodowana klamka, a z prawej strony wisiał uchwyt dzwonka, odlany w brązie w kształcie szczerzącego zęby wilczego pyska.

–Myślicie, że powinienem zadzwonić, żeby ostrzec duchy, że już tu jesteśmy? – zażartował Craig.

Norman nie wydawał się tym szczególnie ubawiony.

–Widzicie ten uchwyt? Przedstawia Kojota, indiańskiego demona. Jeśli pociągniecie za dzwonek, a nie jesteście tu mile widziani lub macie w sercu złe zamiary, Kojot odgryzie wam rękę.

–Gdzie się nauczyłeś tych bredni? – zapytał Craig, wkładając w zamek klucz, który dał mu Walter van Buren.

–O, przepraszam, to nie są żadne brednie. Powiedziała mi o tym moja mama. Ona jest ekspertem od tych rzeczy. Mówiła, że to ma coś wspólnego z faktem, że drzwi wychodzą na wschód.

–Twoja mama była tutaj? – zapytała Effie. Craig nie mógł poradzić sobie z zamkiem.

–Jasne, robiliśmy sobie tu pikniki, udawaliśmy, że jesteśmy bogaci. Kiedy świeci słońce, dom wygląda całkiem ładnie.

Craigowi udało się w końcu przekręcić klucz i pchnął drzwi, które otworzyły się bezszelestnie.

–Wejźmy do środka – powiedział. – Zobaczymy, czy to rzeczywiście taka straszna ruina, czy tylko tak nam się zdaje.

Weszli do wielkiego hallu o ścianach obitych dębową boazerią i posadzce z jasnego marmuru. Po obu stronach wznosiły się szerokie dębowe schody, prowadzące na okoloną balustradą galerię. Na pierwszych tralkach stały odlane w brązie posągi trzymających pochodnie nagich kobiet, ale szklane płomienie pochodni były rozbite, a jedna z kobiet nie miała głowy, podobnie jak posąg na zewnątrz.

Effie podniosła wzrok. Po lewej i po prawej stronie znajdowały się wysokie

witrażowe okna, przez które wciąż widać było zygzaki błyskawic. Wiele szybek było powybijanych, a na podłodze leżały odłamki szkła i drobny żwir.

W całym domu unosił się dziwny zapach. Nie próchna lub rozkładu, czego można się było spodziewać, lecz raczej jakiejś maści lub olejku, w którego skład wchodziła kamfora, mentol i anyż. Przywodził on Effie na myśl woń szpitala, w którym umarł jej ojciec. Przypomniała sobie nagle matkę, stojącą na samym końcu długiego, jaskrawo oświetlonego korytarza, z twarzą zdruzgotaną nieszczęściem.

Norman zapalił latarkę, którą zabrał ze sobą z samochodu. Snop światła skoczył ku galerii, a potem opadł w dół i zatrzymał się na marmurze.

–Hall wydaje się dość dobrze zachowany – stwierdził chłopak. – Podłoga jest w niezłym stanie, trzeba ją tylko oczyścić. W Albany jest firma zajmująca się renowacją marmurów. Zrobią to prawdopodobnie za mniej niż cztery tysiące dolarów.

–Cztery tysiące? – powtórzyła z niedowierzaniem Effie. Za samo czyszczenie podłogi?

–To wspaniały marmur, importowany z Belgii. W dzisiejszych czasach nie kładzie się już takich posadzek. Warto zapłacić te pieniądze tylko po to, żeby zobaczyć, jak wygląda prawdziwy porządny marmur.

Craig stał pośrodku hallu, odwrócony do nich plecami.

–Cztery tysiące to całkiem mało jak na taką posadzkę stwierdził. Jego głos odbijał się tak silnym echem, że Effie miała wrażenie, jakby Craig schował się pod schodami z prawej strony. a jego brat bliźniak przemawiał z galerii.

Promień latarki oświetlił okna.

–Podłoga to pestka, ale okna będą pana kosztować masę forsy. Są ręcznej roboty, ze szkła ołowiowego. Niektóre z nich na przykład te na górze, są przeskalowane inne niedoskalowane.

Craig odwrócił się. Przez chwilę jego oczy znowu zrobiły się małe jak szpilki, ale zaraz się opanował.

–Co to znaczy, przeskalowane i niedoskalowane?

–To znaczy, że niektóre z nich są większe, niż powinny być rozumie pan, a niektóre mniejsze. To rodzaj architektonicznej sztuczki, żeby je bardziej zróżnicować. Tak czy owak, żadne z nich nie jest standardowe, w związku z czym usługi szklarskie będą pana kosztować od dwustu do trzystu tysięcy, i to pod warunkiem, że znajdziemy kogoś taniego, kto robi te szybki dla samej satysfakcji.

Craig pokiwał głową, nie mówiąc ani słowa. Effie nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że jego kiwnięcie głową również odbiło się echem, chociaż odbyło się to w kompletnej ciszy; tak jakby dom rozumiał, że jest tu ktoś, kto docenił jego urok. Obserwowała czasem na koktajlach kobiety, które naśladowały bezwiednie afirmatywne kiwnięcia głową Craiga – „Och, tak, Craig, tak, Craig, tak” – i brała go wtedy ostentacyjnie pod rękę, na wypadek gdyby ktoś żywił wątpliwości, czy są szczęśliwym małżeństwem.

Promień latarki podniósł się ku galerii i oświetlił wyryty w mahoniu herb.

–Widzicie? – powiedział Norman. – Umieścił to tutaj człowiek, który zbudował Walhallę, Jack Belias. Szpula w górnej ćwiartce ma symbolizować przemysł

tekstylny. Naprzeciwko wyryte są kości, bo facet był zapalonym hazardzistą. Poniżej smok, ponieważ nazwisko Belias miało podobno coś wspólnego ze smokami. I na koniec czaszka.

–Co ta czaszka ma symbolizować? – zapytała Effie.

–Nie wiem. Może życie i śmierć. Jack Belias był znany z tego, że lubił ryzyko. Latał samolotami, jeździł samochodami wyścigowymi, pływał motorówkami. Mówią nawet, że trzymał w szafce rewolwer z jednym nabojem i każdego dnia przed śniadaniem obracał cylinder, wkładał lufę do ust i pociągał za cyngiel.

–To motto pod spodem... wiesz, co ono oznacza? – zapytał Craig.

–Non omnis moriar? Kto to może wiedzieć?

–To znaczy coś w rodzaju: nie wszyscy umrzemy – wtrąciła Effie. – Nie, nie, poczekajcie, to pierwsza osoba liczby pojedynczej. Znaczy: nie całkiem umrę.

–Niezbyt przyjemne motto jak na dom, w którym straszy – stwierdził Norman i oświetlił sobie z dołu twarz, tak że wyglądała jak rozjarzona pośmiertna maska.

–Powiedziałem ci chyba, żebyś skończył tę gadkę o duchach – upomniał go ostrym tonem Craig. – Moja żona tego nie lubi.

–Wcale mi to nie przeszkadza – stwierdziła Effie. – Lubię dobry horror. Nie proście mnie tylko, żebym spędziła tutaj noc to wszystko.

–To znaczy, że wierzy pani w duchy? – zapytał Norman.

–Raczej nie.

–Cóż, dobrze, że w ogóle ktoś jeszcze w nie wierzy, inaczej w ogóle by zaginęły. Zagrzmiał kolejny piorun, ale burza najwyraźniej przesuwiała się na południowy wschód.

–Chodźcie zobaczyć salę balową – zaproponował Norman. – Fishkill naprawdę dużo w nią zainwestował. Szkoda, że skończyły im się pieniądze.

Minął wybite okna, przez które wpadały do środka krople deszczu, i poprowadził ich wyłożonym boazerią korytarzem w stronę południowego skrzydła domu. Pod ich stopami chrzęściły okruchy szkła i piasek. Za „przeskalowanymi” i „niedoskalowanymi” oknami Effie widziała taras i siąpiący na trawnik deszcz. Większa część tarasu porośnięta była kępami czarnego mchu. a pomiędzy cegieł strzelały w górę niewiarygodnie wysokie osty. Effie miała wrażenie, jakby szła przez pogrążony w stuletnim letargu zamek Śpiącej Królowny. Wierzyła niemal, że w pokojach na górze wciąż śpią ludzie. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale rosło w niej przekonanie, że Walhalla nie została opuszczona, lecz zapadła w sen. Waliły się kolejne połacie dachu, gawrony wiły sobie gniazda w kominach, deszczówka lała się przez dziurawe sufity, podłogi pękały w letnim upale, ale dom wcale nie umarł: zamknął po prostu oczy i zapadł w drzemkę.

Wzięła Craiga za rękę, a on zacisnął palce na jej dłoni.

–Nie widzisz, jak wspaniale by się nam tu mieszkało? zapytał. – Pomyśl tylko: musielibyśmy co wieczór przebierać się do kolacji.

–Do kolacji? Musielibyśmy się chyba przebierać, żeby pójść do toalety.

Roześmiał się i pocałował ją.

–Zapomniałem cię. Zapomniałem, jaka jesteś zabawna.

Odwzajemniła jego pocałunek i to, co zaczęło się od skromnego cmoknięcia w usta, przeobraziło się nagle w długi, napięty uścisk. Przerwali dopiero wtedy, gdy Norman odwrócił się w ich stronę ze swoją latarką.

–O, przepraszam. Nie chciałem przeszkadzać.

–Nic nie szkodzi – odparła Effie. – Nieruchomości powyżej stu tysięcy stóp kwadratowych zawsze działają na mnie w ten sposób.

Craig nadal trzymał w obu dłoniach jej rękę zaciskając ją tak jakby była lilią włożoną między kartki Biblii, w jego oczach jarzyło się światło.

–„Czyż więc znów się obudzę, w swej żądzy pierwotny, w antycznej fali światła, prosty i samotny, lilie! do was podobny w swojej niewinności”.

–Mallarme – szepnęła Effie.

–Pamiętasz?

–Czy pamiętam? Nigdy nie zapomniałam.

Ruszyli w ślad za Normanem i po kilku chwilach stanęli przed szerokimi podwójnymi dębowymi drzwiami, zwieńczonymi gotyckim architrawem.

–Moja mama twierdzi, że w sali balowej z całą pewnością straszy – oświadczył Norman. – W gruncie rzeczy to najczęściej nawiedzane przez duchy miejsce w całym domu, z wyjątkiem jednej sypialni na górze, gdzie pojawiają się tak często, że mama nie zbliżyłaby się tam bardziej niż na pięćdziesiąt stóp.

–Myślałam, że masz nas zachęcić do kupna, a nie wystraszyć na śmierć – powiedziała Effie, ściskając mocniej rękę Craiga.

Norman potrząsnął swoimi długimi mokrymi włosami.

–O mnie się nie martwcie. Nie obchodzi mnie, czy kupicie Walhallę czy nie, tyle tylko, że gdybyście się zdecydowali, miałbym na jakiś czas robotę. Przyjechałem tutaj, żeby was oprowadzić, za co pan van Buren odpali mi dziesięć dolców, i jeśli sobie tego życzyacie, mam was zapoznać wstępnie z kosztami. To wszystko. Tak czy owak, zdziwilibyście się, ilu ludziom podobają się domy w których straszą duchy. Gotowi są za to dodatkowo zapłacić.

Otworzył oba skrzydła drzwi i dodał:

–Nie powinniście się przejmować tym, co moja mama ma do powiedzenia na temat spraw nadprzyrodzonych. Ona uważa, że praktycznie każdy dom w Hudson River Valley jest nawiedzany Przez duchy. Nawet supermarket w Cold Spring. Mówi, że w nocy wózki na zakupy jeżdżą tam same wzdłuż półek. Nikt ich nie Popycha. To może być gorsze nawet od sali balowej, w której straszy.

Ale nie było. Kiedy Norman otworzył drzwi i zajrzeli do środka ich oczom ukazało się puste zakurzone wnętrze, wypełnione wspomnieniami, które większości ludzi kojarzą się z bajkami, snami lub na pół zapomnianymi urywkami czarno-białych filmów.

Wzdłuż długich na ponad sto stóp ścian biegła wsparta na kolumnach wysoka galeria. W suficie osadzony był elegancki owalny świetlik. Żadna z szyb nie była stłuczona, ale pokrywała je gruba warstwa spadłych liści i zielonego porostu. Z samego środka zwisał długi łańcuch. Kiedyś prawdopodobnie umocowany był na nim wielki żyrandol, ale teraz kończył się tylko potężnym hakiem i czterema obwiązanymi

taśmą izolacyjną przewodami.

Effie ogarnął zachwyty. Mimo że wszędzie unosił się kurz, sala została nieskazitelnie odrestaurowana. Stiukowe białe kolumny oplecione były połączanymi liśćmi akantu, w ścianach zamontowano eleganckie brązowe kinkiety w kształcie kobiecych rąk, trzymających płonące szklane pochodnie. Stolarkę okienną i boazerię zdjęto i wypolerowano, a cała podłoga została położona na nowo i nawet pod dwuletnią warstwą kurzu wydawała się wyfroterowana na wysoki połysk.

–Widzicie ten parkiet? – zapytał Norman, wodząc na lewo i na prawo światłem latarki. – Kanadyjski klon... najlepszy parkiet do tańca, jaki można sobie wyobrazić. Kiedy się po nim stąpa, dosłownie sprężynuje.

Craig obracał się dookoła, przyglądając się kolumnom, galerii i ozdobionemu sztukaterią sufitowi.

–Czy to nie zdumiewające? – szepnął. – Człowiek słyszy prawie grającą muzykę i widzi tańczące pary.

–Ta sala wymaga tylko porządnego sprzątnięcia – stwierdził Norman. Dostrzegł małą chropowatą plamę na jednej ze ścian i podrapał ją palcem. – Wdało się trochę wilgoci, ale to da się szybko naprawić.

Craig wziął Effie w ramiona i przetańczył z nią kilka taktów walca. Na zewnątrz zaczęło się przejaśniać i do środka wpadł rysując wzory na podłodze, pierwsze promienie słońca.

–Pan Craig T. Bellman wraz z małżonką – powiedział, Craig – mają zaszczyt zaprosić państwa na wielki letni bal Strój, jeśli to możliwe, ekstrawagancki. Kolacja o dziesiątej, śnią-, danie o czwartej, powozy o szóstej.

–Jesteś szalony – roześmiała się Effie.

–Szalony? Ja? W poniedziałek kupię ten dom, a do końca tygodnia wydrukuję zaproszenia.

–Pokażę wam teraz kuchnię – powiedział Norman. Masz latarkę. – Tam przynajmniej nie straszy.

Za salą balową znajdowały się dwa pomieszczenia: duży pokój poranny z przeszklonymi drzwiami wychodzącymi na ogród i zniszczona sala, w której mogła się kiedyś mieścić biblioteka. Zawalił się tu częściowo sufit, a od ścian odstawały lizaje mokrego tynku. Pokryta szarymi płachtami brezentu podłoga była spaczona; gdy po niej stąpali, klepki grzechotały, jakby mieli na nogach pewniaki.

Kiedy dotarli do kolejnej klatki schodowej, Effie wspięła się na piętro, żeby zobaczyć, co jest na górze. Szerokie schody prowadziły na otoczony wąskimi oknami i zwieńczony wysokim sufitem rozległy podest. Gdy go zbudowano, musiał być przewiewny i jasny, ale teraz większość szyb pokrywała gruba warstwa brudu, a osad z kapiącej bez przerwy wody utworzył na podłodze coś w rodzaju przeżartej grzybem zgarbionej postaci, która miała nawet jakby jedno łzawiące oko i łypała nim na Effie spod guzowatego, przywodzącego na myśl Człowieka-Słonia omszałego czoła.

–Po tej stronie domu woda poczyniła dużo szkód – stwierdził Norman. – Pośrodku dach jest płaski i przeciekał od samego ukończenia budowy. Większość

wychodzących na północ sypialni wymaga położenia nowych sufitów i nowych podłóg.

–Ile to będzie? – zapytała Effie, biorąc Craiga pod rękę.

–Jeden przecinek siedemdziesiąt pięć, plus minus. Oczywiście jeśli chcecie, żeby wszystko wyglądało dokładnie tak, jak sześćdziesiąt lat temu.

–Jeden przecinek siedemdziesiąt pięć? To znaczy milion siedemset pięćdziesiąt tysięcy?

–Plus minus.

–Cóż... nie wydaje mi się, żebym musiała oglądać kuchnię.

–Zajrzyjcie tylko, jest naprawdę interesująca. Jest tam oryginalne wyposażenie z lat trzydziestych, w doskonałym stanie. Zlewy firmy Elkay, lodówki Westinghouse'a...

–Norman – przerwała mu Effie – jestem przekonana, że kuchnia jest bardzo interesująca, ale jeśli trzeba będzie wyłożyć milion siedemset pięćdziesiąt tysięcy tylko po to, żeby deszcz nie padał do środka, musimy po prostu powiedzieć dziękuję.

–Daj spokój, kochanie – mitygował ją Craig. – Nic się nie stanie, jeśli rzucimy tylko okiem.

–Nie mam ochoty oglądać kuchni. Jeśli mamy dość pieniędzy, żeby kupić taki dom. będziemy dość bogaci, żeby zatrudnić służbę. Nie myślisz chyba, że Jack Belias odwiedził kiedykolwiek kuchnię.

–Ona ma wartość historyczną – oświadczył Norman. Oryginalna kuchnia z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego, jak z obrazka.

–Masz na myśli zabytkową kuchnię, której renowacja będzie kosztowała jakieś pół miliona dolarów?

Norman przygryzł opadające mu na usta włosy.

–Przypuszczam, że można to tak ująć. Ale znam w Newburgh faceta, który instaluje importowany sprzęt kuchenny za niesamowicie niską cenę. Lubicie Neff? Możecie mieć Neff praktycznie za grosze.

Wziął Craiga pod łokieć i poprowadził go korytarzem. Coz. kuchnia ma wartość historyczną i powinna mnie chyba zainteresować, pomyślała z rezygnacją Effie i już miała ruszyć za mężczyznami, kiedy nagle dobiegł ją jakiś dźwięk.

Stała i przez chwilę nasłuchiwała, spoglądając w stronę podestu, na którym stała ociekająca wodą gipsowa postać. Norman wciąż rozmawiał z Craigiem, wyjaśniając mu, że pochodzący z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego model Butler Pantry zlewy Elkaya sporządzony jest z miedzi, niklu, białego metalu oraz płyty krodonowej lub stopu Monela i że...

Pchnęli wahadłowe drzwi do kuchni, które skrzypiąc zamknęły się za nimi. Effie pozostała u stóp schodów, natężając słuch.

Wiatr wciąż zawodził w wybitych oknach; w oddali słychać było jeszcze pomruk burzy. Effie dałaby sobie jednak uciąć rękę, że słyszy oprócz tego szloch kobiety.

Zawahała się, a potem weszła kilka stopni na górę i znowu zaczęła nasłuchiwać.

Była pewna, że go słyszy. Niski, udręczony szloch kobiety, która jest naprawdę w skrajnej rozpacz, którą naprawdę coś boli. Dobiegał z daleka, z jednej z sypialń na piętrze, nie było co do tego cienia wątpliwości.

–Craig! – zawołała Effie, odwracając się w stronę kuchni Odpowiedziała jej cisza. Podeszła do wahadłowych drzwi i otworzyła je. W urządzonej w kremowym odcieniu przestronnej kuchni nie było nikogo, zauważyła jednak uchylone drzwi do piwnicy. Norman zaprowadził prawdopodobnie Craiga na dół. żeby pokazać mu kotłownię.

–Craig! – zawołała ponownie, ale i tym razem nie doczekała się odpowiedzi.

Chwilę odczekała, a potem wróciła do hallu. Im dłużej nasłuchiwała, tym wyraźniej dochodził ją ten okropny, udręczony szloch.

Zaczęła wspinać się po schodach.

Sobota, 19 czerwca, 13.11

Wchodząc na górę trzymała się poręczy, ponieważ przy ścianie, po której sphywała woda, schody były kompletnie przegniłe. W trzech czwartych drogi jeden ze stopni ugiął się cał pod jej stopą i Effie usłyszała gwoździe wysuwające się ze starego mokrego drewna. Wstrzymała oddech i zatrzymała się, nie wiedząc, Czy powinna iść dalej.

.Ale potem znowu usłyszała ten bolesny szloch, który teraz wydawał się dobiegać z o wiele mniejszej odległości. Kimkolwiek była ta kobieta, nie mogła jej tak zostawić. W jej głosie brzmiało zbyt wiele cierpienia.

Dotarła na pierwsze piętro. Podest wysłany był pofałdowanym grubym dywanem, niegdyś żółtym i ozdobionym kwiecistym deseniem, teraz jednak poplamionym i spłowiałym. Po drugiej stronie stała pokraczna szarozielona postać z mchu i gipsu, obserwując ją swym pojedynczym kaprawym okiem. Miała w sobie coś z żywej istoty i wyglądała, jakby wzorem Człowieka-Słonia nienawidziła całego świata z powodu swojej zniekształconej fizjonomii.

Z podestu biegły dwa korytarze: jeden na lewo ku sypialniom Położonym nad kuchnią, drugi na prawo. Prosto przed sobą Effie miała schody prowadzące na drugie piętro Walhalli.

Zatrzymała się i przez chwilę nasłuchiwała. Płacz wydawał się wchodzić z góry: stamtąd, gdzie częściowo zawalił się dach.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi na dole i odwróciła się.

–Craig?! – zawołała, mając nadzieję, że skończył już zwiedzać piwnice. Ale to były tylko drzwi biblioteki, poruszane przez Przeciąg.

Szloch zmienił się teraz w dźwięk przypominający ciche kwilenie – nie kończąca się, żalostną litanię nie dających się rozróżnić słów. Effie wstrzymała oddech, żeby lepiej słyszeć, ale nie potrafiła odgadnąć, o co chodzi płaczącej kobiecie. Podeszła do schodów prowadzących na drugie piętro i zacisnęła palce na ozdobnym słupku balustrady. Na półpiętrze znajdował się witraż utrzymany w kolorach jasnego bursztynu, żółci i spłowiałego rózu. Przedstawiał kobietę w habicie mniszki, stojącą z zamkniętymi oczyma pośród wysokich lilii. Niedaleko za nią stał odwrócony plecami, ubrany na czarno mężczyzna, a dalej, na horyzoncie, widać było zamek, nad którym powiewały czarne sztandary.

Był to najdziwniejszy witraż, jaki Effie zdarzyło się kiedykolwiek oglądać, i chociaż chciała jak najszybciej odnaleźć płaczącą kobietę, zatrzymała się na schodach, żeby mu się przyjrzeć z uniesioną stopą i dłonią zaciśniętą na poręczy. Na samym dole witrażu widać było powiewającą flagę z napisem: Gut ist der Schlaf, der Tod ist besser. Chociaż Effie nie znała niemieckiego, domyśliła się, że „Schlaf ma coś wspólnego ze snem, ponieważ mniszka wydawała się spać. Dlaczego jednak stała wśród lilii i kim był ten odwrócony od niej mężczyzna? Cała ilustracja przypominała scenę z karty tarota, mistyczną i pseudośredniowieczną, o bardziej magicznym niż historycznym charakterze.

Przez moment, kiedy Effie przyglądała się witrażowi, wydawało jej się, że szlochanie umilkło. Ale potem kobieta wydała z siebie przenikliwy okrzyk i zaczęła

znowu płakać, tak jakby ktoś krzywdził ją i nie chciał puścić.

Effie ruszyła cichym i szybkim krokiem na drugie piętro. Kiedy mijała witraż, cień zamkniętych oczu zakonniczy padł na jej policzek, a czarne chorągwie przez ułamek sekundy załopotały na jej czole.

Na górze znalazła się na skrzyżowaniu trzech korytarzy: pierwszy na wprost, mroczny i usłany kłębami kurzu, prowadził do północnego skrzydła domu; drugi, biegnący na zachód, wyglądał jakby mieściły się przy nim kiedyś pokoje dla służby, ponieważ drzwi umieszczone były bardzo blisko siebie; trzeci, bardzo długi, biegł na wschód, z powrotem do głównego wejścia.

Ostatni korytarz znajdował się częściowo w słońcu, częściowo w cieniu. W kilku miejscach zapadł się tu dach i drogę tarasował połamane belki, zwały tynku i sterty popękanych kafli. Effie widziała przez dziurę strzegące bram Walhalli rosochate dęby a za nimi zbrocza gór, nad którymi wciąż jeszcze wisiały ciężkie popielate chmury. Nad wierzchołkami drzew nadal mrugały błyski.

Ściany wystawionego na deszcz korytarza ociekały wodą, a mokra papa trzepotała na wietrze niczym skrzydła śmiertelnie jej wrony. W powietrzu unosił się silny zapach, który wcale Effie nie podobał. Składała się nań nie tylko woń wilgoci i rozkładu, lecz również woń śmierci. Kiedy Effie wdrapała się na pierwszą stertę kafli, odkryła jego źródło. Jej stopa wpadła między popękaną glazurę i spróchniałe listwy i utkwiała w cuchnącym grzędzawisku piór, słomy i podartych szmat. Smród, jaki wydzielala ta masa, był obezwładniający. Dopiero kiedy udało jej się oswobodzić stopę, Effie zdała sobie sprawę, że wdepnęła w grubą warstwę wiewiórczego ścierwa, sprężystą i włóknistą jak materac. Pełno tu było truchełek młodych wiewiórek: z niektórych zostały same kości, inne częściowo się zmumifikowały, jeszcze inne zmieniły się w makabryczny zlepek sierści, pazurów i Żółtawoszarego śluzu.

Effie poczuła, jak szarpia ją torsje. Wyrwała nogę spomiędzy kafli i utykając przebiegła kilka kroków przez korytarz. Miała Wrażenie, jakby wielka ćma wpadła jej do serca i starała się desperacko wydostać na zewnątrz.

Przez długą chwilę stała bez ruchu, przyciskając dłoń do czoła. Słyszała kiedyś, jak pewien cieśla ostrzegał ojca, aby nie pozwalał wiewiórkom zagnieździć się na strychu, dopiero dzisiaj jednak odkryła, dlaczego.

Wzięła sześć albo siedem głębokich oddechów, żeby się uspokoić. W domu panowała cisza, płacz umilkł. Opierając się ręką o ścianę Effie przeszła przez kolejną stertę płytek, a potem zatrzymała się i nadstawiła ucha. W oddali słyhać było szum Samochodów pędzących drogą numer 9.

Zaczęła się zastanawiać, czy szloch nie był przypadkiem wytworem jej wyobraźni. Może to tylko wiatr, który zawodził wiejąc pomiędzy belkami? W końcu kto mógł się tu zabłąkać i dlaczego miałby tak desperacko płakać?

–Zbierała odwagę, żeby przejść z powrotem przez stertę potłuczonych kafli i wiewiórczych gniazd, kiedy szlochanie rozległo się ponownie. Tym razem brzmiało o wiele bliżej.

–Proszę pani! Czy pani mnie słyszy? – zawołała. – Gdzie Pani jest? W którym pani

jest pokoju? Idę pani pomóc!

Nie doczekała się żadnej odpowiedzi, ale szlochanie nie umilkło.

Przeszła kilka kroków korytarzem i otworzyła pierwsze z brzegu drzwi. Były spęczniałe od wilgoci i musiała je popchnąć ramieniem. Kiedy to zrobiła, przesunęły się chybocząc na zawiasach, a potem zablokowały na dobre. Na podłodze pustej, nieumeblowanej sypialni leżał jasnoniebieski dywan, z wciąż widocznymi rdzawymi zagłębieniami po nogach łóżka i prostokątnymi śladami po nocnym stoliku i dużej komodzie. Niedaleko miejsca, w którym musiało kiedyś stać łóżko, widniała duża brązowa plama przypominająca kształtem kozłą głowę z asymetrycznymi rogami.

Po prawej stronie znajdował się niewielki zardzewiały kominek. Na kracie paleniska leżała kupka mokrego popiołu i nieprzyjemnie wyglądające szmaty, z których kilka było osmalonych.

Przez zakurzone brudne okna Effie zobaczyła stromy dach rząd wysokich ceglanych kominów i ciągnącą się za nimi linię drzew.

Wrażenie, jakie wywierał na niej ten pokój, wcale jej się nie podobało. Nie chodziło o zimno ani o wilgoć, chociaż w środku hulały przeciągi, a deszcz zmoczył wyblakłą, upstrzoną brązowymi plamami tapetę, która odłaziła ze ścian. Było to wrażenie czyjejs zatrważającej bliskości, wrażenie złowrogiej intymności, jakby śledził ją ktoś bardzo antypatyczny i stał teraz tak blisko, że czuła niemal jego oddech na plecach.

Cofnęła się ku drzwiom, stawiając sztywne kroki i starając się opanować ogarniający ją lęk. Choć w gruncie rzeczy nigdy nie wierzyła, że domy mogą być nawiedzane przez duchy, panująca w tej sypialni atmosfera wytrącała ją głęboko z równowagi. Właściwie było to coś jeszcze gorszego niż poczucie, że jest śledzona; miała wrażenie, jakby ktoś jej dotykał, jakby musiała poddawać się lubieżnym pieszczotom kogoś, kogo nie cierpiała.

Nagle podskoczyła ze strachu, ponieważ znowu usłyszała ten sam szloch i wydał jej się teraz bardziej bolesny niż przedtem. Była pewna, że słyszy żalosaną prośbę: „Proszę, nie! Proszę, nic ró b tego!” Ale mógł to być tylko wiatr, zmieniający płacz w słowa, albo jej własna wyobraźnia.

Najbardziej wytrącało ją z równowagi to, że szloch wydawał się dochodzić właśnie stąd, z wnętrza pustej sypialni. Usłyszała hałas na schodach.

–Craig! – zawołała. – Słyszysz mnie, Craig? Jestem tutaj na najwyższym piętrze!

Nie było odpowiedzi. Effie stała z zaciśniętymi pięściami i walącym sercem. Nigdy w życiu nie czuła się tak śmieszna i nigdy w życiu tak się nie bała – czegoś albo kogoś, kto w ogóle nie istniał. Nie było takiej rzeczy jak duchy. Po prostu w nie nie wierzyła. Ludzie umierali i umierając odchodzili na zawsze. Wciąż słyszała ten szloch, ale był teraz bardziej stłumiony i kiedy wsłuchiwała się weń dokładniej, zdała sobie sprawę, że to może być wiatr, że to musi być wiatr. Nasilił się po burzy i zawodził prawdopodobnie w kominku.

Mimo to czuła się głęboko poruszona. Ta sypialnia niepokoiła ją bardziej niż jakiegokolwiek inne pomieszczenie, w którym zażyło jej się przebywać. Czuła się w niej jak w szpitalnej sali, pokoju, którego lokator wie, że nigdy nie wyjdzie stąd żywy, w pokoju, w którym można tylko obserwować mijające dni, przesuające się cienie

kominów, deszcz, mgłę i zimowe słońce. Całe wnętrze przepojone było niewysłowionym bólem i skrajną rozpaczą.

Effie ruszyła z powrotem, żeby odszukać Craiga i sprowadzić go na górę. Craig na pewno udowodni jej, że wszystko to sobie tylko wyobraziła. Jednak już po kilku krokach zatrzymała się. Nie rób tego, pomyślała. Nie wołaj go tu na górę. Zmarszczyła brwi. Dlaczego przyszło jej to do głowy? Co było tego w wezwaniu Craiga na górę?

Odwróciła się i spojrzała przez uchylone drzwi do środka sypia-tai. Widziała tylko kominek i ślad na dywanie, tam gdzie kiedyś stała komoda.

Czy to moje myśli, czy ktoś myśli za mnie?

Nie wzywaj go tu, nakazała sobie.

Dlaczego? Bo mi nie uwierzy? Bo będzie się ze mnie śmiał?

Bo tego pożałujesz.

Ruszyła ostrożnie w stronę schodów. Miała ochotę się odwrócić, po prostu żeby sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi, ale po chwili zmieniła zdanie. Sypialnia jest pusta, powtarzała sobie, jest pusta, nikogo tam nie ma, to tylko wiatr.

Przeszła przez stos płytek i połamanych belek. Od schodów dzieliło ją już tylko kilkanaście stóp, kiedy z korytarza po prawej Stronie wyłonił się nagle i zaczął zbiegać na dół mężczyzna w ciemnym garniturze.

–Proszę pana! – zawołała Effie i przyspieszyła kroku.

Mężczyzna zatrzymał się na półpiętrze i zmierzył ją wzrokiem. Przefiltrowane przez witraż światło nadawało jego twarzy żółtawy odcień, upodabniając go do Greka albo Włocha. Miał zaczesane do tyłu błyszczące od brylantyny włosy i bardzo ciemne, głęboko osadzone i dziwnie niewyraźne oczy. Właściwie cała jego twarz wydawała się trochę nieostra, jakby Effie miała wadę wzroku i widziała ją bez okularów.

–Przepraszam, czy mógłby mi pan pomóc? – zapytała. Widzi pan, wydawało mi się, że słyszę płaczącą w jednej z tych sypialni kobietę i...

Mężczyzna wpatrywał się w nią jeszcze przez sekundę, a potem ruszył szybko na dół. Effie usłyszała, jak przecina podest pierwszego piętra i zbiega na parter.

Zamurowało ją. Czy jej nie słyszał? Musiał ją słyszeć. Ale dlaczego nic nie odpowiedział ani nawet nie dał po sobie poznać, że ją słyszy?

Zeszła powoli na dół. Schodząc usłyszała Craiga i Normana, którzy szli z parteru, rozprawiając głośno o pompach ciepłych.

–Effie! – zawołał Craig. – Zastanawialiśmy się właśnie, gdzie się podziałaś.

–Trzeba bardzo uważać w takim domu – ostrzegł ją Norman, odgarniając włosy z twarzy. – Niektóre z belek podtrzymujących podłogę są przegniłe, zwłaszcza tam, gdzie padał deszcz. Można przelecieć ze strychu prosto do piwnicy. Dużo szkód narobiły też termity. Belka wygląda niby na solidny dąb, ale można w niej zrobić dziurę palcem.

–Kim był ten człowiek? – zapytała Effie.

–Jaki człowiek, kochanie?

–Ten, który zszedł właśnie po schodach. Craig zrobił niewyraźną minę.

–Nie widzieliśmy nikogo schodzącego po schodach, prawda. Norman?

–Musieliście! Musiał minąć was po drodze! Mężczyzna w ciemnym garniturze, z wybrylantynowanymi włosami.

Craig potrząsnął głową.

–Nikogo nie widzieliśmy. Naprawdę.

–Może to jakieś złudzenie optyczne – wtrącił życzliwym tonem Norman. – Te witraże rzucają nieraz bardzo dziwaczm cienie.

–To nie było złudzenie optyczne. Był tak samo realny jak wy.

–Może poszedł jednym z tych korytarzy?

–Nie zrobił tego. Jestem pewna, że tego nie zrobił. Zszedł prosto na parter.

Słyszałam jego kroki!

–W takim razie musiał przejść prosto przez nas.

–A nie mówiłem? – wyszczerzył zęby Norman. – W tym domu straszy. Craig objął ramieniem Effie i uściskał ją.

–Daj spokój... To pewnie jakiś włóczęga, który tutaj koczował. Pamiętasz stary hotel Regency przy Lexington Avenue? podczas rozbiórki znajdowali tam pijaków i lumpów niemal w każdym pokoju. Po zamknięciu mieszkało w nim więcej ludzi, niż kiedy był otwarty.

–To nie był żaden lump – zaprotestowała Effie. – Miał elegancki garnitur, był uczesany i... po prostu nie wyglądał jak lump. Poza tym, lump czy nie lump, dokąd poszedł?

–Niech pani się nie przejmuje. Jeśli ktoś tutaj nielegalnie mieszka – powiedział Norman – nasz mało sympatyczny szef policji szybko go przepędzi.

–W ogóle nie powinnaś chodzić tam na górę – stwierdził Craig.

Effie już miała mu powiedzieć o szloch, który usłyszała, kiedy nagle poczuła w sobie głęboki opór. Przez jej ramiona przeszło wyraźne zimne mrowienie i poczuła się niedobrze, jakby zeszła z karuzeli.

Nie pozwól mu tam iść, bo pożałujesz, odezwał się w jej głowie ostrzegawczy głos.

–Oglądałaś którąś z sypialni? – zapytał Craig.

–Zapadła się tam większość dachu – odparła. – Naprawdę nie warto ich oglądać.

–Mogę posłużyć się wyobraźnią.

–Pełno w nich potłuczonych kafli i różnych śmieci.

–Ależ Effie... Jeśli mamy zamiar kupić ten dom...

–Co to znaczy „jeśli mamy zamiar kupić ten dom”? To w ogóle nie wchodzi w rachubę! To by nas kompletnie zrujnowało!

–Mógłbym sprzedać swój udział w firmie. Effie popatrzyła na niego niedowierzająco.

–Jak możesz tak mówić? Zapracowywałeś się na śmierć żeby zdobyć pozycję w firmie, a teraz zamierzasz ją sprzedać dla tej starej, sypiącej się rudery?

–Wydaje mi się, że pan van Buren wolałby określenie „wymagająca znacznego wkładu finansowego imponująca siedziba z charakterem” – wtrącił Norman.

–To jest stara, sypiąca się rudera, i nic więcej. I jeśli przyjdzie ci do głowy ją

kupić, wiedz, że... wiedz że...

Craig uśmiechał się. Nie mogła uwierzyć, że znowu potrafi tak ciepło się uśmiechać. Wziął ją w ramiona i pocałował w czoło. a potem we włosy.

–A co, jeśli ten dom da mi szczęście? – powiedział bardzo cicho, żeby nie mógł go usłyszeć Norman. – Co, jeśli da ni i prawdziwe szczęście?

Effie zobaczyła w jego oczach coś, czego kompletnie nie rozumiała. Coś w rodzaju triumfu. Natchnienie, wewnętrzne światło Nie widziała w jego wzroku takiej siły od czasu wypadku, i nigdy nie widziała w nim takiego ciepła.

–Obejrzymy tylko szybko sypialnie – powiedział, i tym razem już się nie sprzeciwiała.

Craig stał przez długą chwilę przed przedstawiającym zakonnice witrażem.

–Podoba mi się – stwierdził, kiwając głową. – Naprawdę mi się podoba.

–Wie pan, co to znaczy: Gut ist der Schlaf, der Tod ist bcsser? – zapytał Norman.

–Coś o tym, że sen jest dobry?

–Zgadza się. Sen jest dobry, ale śmierć lepsza. Goethe albo Heine. Jeden z nich.

–Ten witraż to rodzaj alegorii? – zapytała Effie.

–Kto wie? Nie śpij na stojąco. Nie patrz w złą stronę, kiedy malują twój portret.

Może oznaczać wszystko.

Wspięli się po schodach prowadzących na drugie piętro. Effie robiło się coraz bardziej niedobrze, a po dłoniach chodziły jej nerwowe ciarki. Co będzie, jeśli szlochanie rozlegnie się ponownie? Ale właściwie chciała, żeby Craig je usłyszał. Może zniechęci go to do kupna Walhalli albo przynajmniej osłabi jego entuzjazm Z drugiej strony wcale nie chciała, żeby je usłyszał. Nie potrafiła sobie swoich doznań w żaden sposób racjonalnie wytłumaczyć Mimo tego, co tu zobaczyła i usłyszała, naprawdę nie była w stanie uwierzyć w duchy. Wierzyła jednak w aurę i wierzyła w złe fatum. Kiedy wysypała jej się sól, zawsze rzucała szczyptę przez lewe ramię; nigdy nie przechodziła pod drabiną i nigdy nie patrzyła przez szybę na księżyc w nowiu.

Jej matka zawsze powtarzała, że dom w Briarcliff Manor, gdzie mieszkała razem z ciotką Rhodą, jest „szczęśliwym” domem – tak jakby mogły również istnieć domy „nieszczęśliwe”

Dach jest tu w opłakanym stanie – skomentował Norman, gdy szli korytarzem. – Jednak, jak już powiedziałem, za odpowiednią cenę wszystko da się naprawić.

Craig przeszedł niezgrabnie przez stos płytek, belek i wiewiórczych gniazd. Rzucił okiem na widoczne na horyzoncie góry, a potem ponownie rozejrzał się dookoła. Tym razem wydawał się trochę zbity z tropu.

–Jest gorzej, niż się spodziewałem – mruknął.

–Ale milion przecinek siedemdziesiąt pięć powinien wystarczyć – stwierdził Norman. – Plus minus pięćdziesiąt, w zależności od tego, co tu znajdziemy.

–Pytanie brzmi, czy warto – wtrąciła Effie. Craig stał tuż obok uchylonych drzwi sypialni – tej samej, z której dochodziło szlochanie – i nie wiadomo dlaczego czuła, jak ogarnia ją nagła panika. Nie pozwól mu wejść do środka, odezwał się głos. Nie pozwól mu wejść, bo pożałujesz.

Norman spojrział na nią z dezaprobatą. Oczy zasłaniały mu okulary i kosmyki włosów i trudno było się zorientować, o co mu dokładnie chodzi. Może boczył się na nią, bo zależało mu na tym, żeby przywrócić Walhalli jej dawną świetność i przy okazji zarobić, wykonując wszystkie prace stolarskie, glazurnicze i przy tępieniu szkodników. Z drugiej strony może wcale nie był taki chętny. Może on też czuł, że w domu panuje nieprzychylna atmosfera, że w powietrzu wisi złe fatum i niedobre wspomnienia i są tu pokoje, od których jego wrażliwa na zjawiska paranormalne matka woli trzymać się z daleka.

Craig popatrzył w głąb korytarza, a potem odwrócił się i już miał ruszyć z powrotem w stronę schodów, kiedy jego uwagę przykuły nagle drzwi do sypialni.

–Ten pokój... czy jest typowy? – zapytał.

–To jedna z gościnnych sypialni – odparł Norman. Wydawał się podenerwowany, jakby wolał znajdować się wszędzie, byle nie tutaj. – Jeśli pan chce, niech pan zajrzy do środka. To jedna z Sypialni, w których...

–Tak?

–To właśnie jedna z sypialni.

Craig przekręcił klamkę, otworzył drzwi trochę szerzej i wszedł do środka. Najpierw wyjrzał przez okno, a potem obszedł dookoła dywanu i zatrzymał się dokładnie pośrodku plamy, która przypominała głowę kozła. No i co? – zapytała Effie.

Stał odwrócony do niej plecami. Mimo to widziała, że się zastanawia, a właściwie słucha – słucha tego, co mówi mu dom albo jego własne serce. A może i dom, i serce.

Nagle zadrżał i pochylił głowę, zaciskając kurczowo pięści.

–Craig? – zapytała. – Dobrze się czujesz?

Odwrócił się na pięcie. Miał szeroko otwarte oczy i rozjaśnioną twarz.

–To jest to – powiedział podniesionym z przejęcia głosem. – To jest absolutnie to.

–Chcesz kupić ten dom – stwierdziła Effie. O Boże, pomyślała, wiedziałam, że tak się to skończy.

Craig pokiwał kilka razy głową.

–Musimy go kupić. Jest tutaj wszystko. Nie potrafię tego wyjaśnić. Wydaje mi się, jakby pasował do całego mojego życia.

Wyszedł na korytarz i wziął ją w ramiona.

–Ten dom jest jak mapa, rozumiesz, o co mi chodzi?

–Mapa? Nie, przykro mi, ale nie rozumiem.

–Rozumiesz, co mam na myśli, Norman? Mam wrażenie, jakby ten dom został wybudowany na planie mojego życia. Hali wejściowy, sala balowa, biblioteka. Walhalla to ja.

–Sam nie wiem, co mam powiedzieć, panie Bellman – odparł Norman.

–Powiedz, że go wyremontujesz, nic więcej.

Norman spojrział na Effie i znowu odniosła wrażenie, że próbuje dać jej coś do zrozumienia, ale nie miała pojęcia, co.

–Jasne, wyremontuję go, jeśli tego właśnie pan chce – odparł, nie spuszczając z

niej wzroku. – Z radością. Ale ten dom może wymagać czegoś więcej, nie sądzi pan?
Craig zignorował go i ruszył dalej korytarzem.

–Obejrzyjmy teraz główną sypialnię, dobrze? To jest coś, co naprawdę chcę zobaczyć.

Effie została na chwilę z tyłu i raz jeszcze zajrzała do sypialni z jasnoniebieskim dywanem. Wiedziała, że kryje się w niej coś bardzo złego. Jeśli chodzi o ten szloch, mogła go sobie wyobrazić Spotkany na schodach mężczyzna mógł być dzikim lokatorem Najbardziej jednak przerażała ją panująca tu gęsta, nieprzyjemna atmosfera. Powietrze, którym oddychała, wydawało się ciężkie i przesycone środkami antyseptycznymi, jakby ktoś popełnił tu najbardziej ohydne i niewyobrażalne czyny, a potem starał się na próżno zatrzeć ich ślady.

Poczynając od strychu aż po piwnice, Walhallę wypełniało wspomnienie niewybaczalnego grzechu.

Miała zamiar ruszyć w ślad za Craigiem i Normanem, kiedy dostrzegła nagle cień, który przemknął szybko po podeście za jej plecami. Przebiegła bez słowa po stosie potłuczonych kafli i zadymała się u szczytu schodów. Na półpiętrze stał, wpatrując się w nią, ten sam mężczyzna. Miał nieostrą twarz i oczy czarne jak dwie smugi atramentu.

–Kim pan jest? – zapytała. Była tak przerażona, że jej wargi z trudem formułowały słowa.

Mężczyzna pochylił głowę do przodu, jakby próbował się jej lepiej przyjrzeć. Wydawał się zdezorientowany, ale jednocześnie nastawiony do niej wyraźnie wrogo.

–Kim pan jest? – powtórzyła.

Mężczyzna wahał się jeszcze przez chwilę, a potem potrząsnął głową i ruszył w pośpiechu na dół.

Sobota, 19 czerwca, 21.36

–Mama? Tu Effie.

–Jak się masz, kochanie? Jak udały się wakacje? Jak się czuje Craig?

–Craig czuje się o wiele lepiej.

–Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że nie jesteś z tego powodu zbyt zadowolona.

–Czuje się lepiej, bo chce kupić dom.

–Dom? Gdzie?

–Tutaj – odparła Effie. – Pamiętasz gospodę Red Oaks Inn? Stał za nią dom, który nazywał się Walhalla.

–Walhalla? Tak, pamiętam. Rzeczywiście, słyszałam o Walhalli. Jeszcze jej nie zburzyli?

–Wciąż stoi. I jest kompletnie zdewastowana. Zapadła się część dachu. Podłogi są przegniłe, spróchniałe i przeżarte przez termity. Dom wymaga położenia nowych dachów, nowej instalacji wodnokanalizacyjnej, przewodów elektrycznych i sama nie wiem, czego jeszcze...

–I Craig chce go kupić?

–Jest z tego powodu tak podniecony, że nigdy byś nie uwierzyła. Pojechaliliśmy dziś rano go obejrzeć i od tego czasu nie przestaje o tym mówić.

–Nie chcesz chyba mieszkać w górach, kochanie? A co z firnu prawniczą Craiga?

–Zamierza sprzedać swój udział.

–Sprzedać swój udział! I co potem będzie robić?

–Nie wiem. W ogóle go nie rozumiem. Mówi, że damy sobie radę.

Twój ojciec zawsze powtarzał „damy sobie radę”. Nie chciałbym obrażać jego pamięci, ale popatrz, jak wygląda teraz moje życie. Mieszkam z ciotką Rhodą i choć nie kwalifikuję się jeszcze do pomocy społecznej, niewiele mi do tego brakuje. Powiedz Craigowi, żeby to sobie przemyślał.

–Próbuję, mam, ale on jest taki zdeterminowany... Nie tylko zdeterminowany, ale pełen entuzjazmu. W ciągu jednego dnia otrząsnął się z depresji.

–Musisz myśleć o przyszłości, Effie. Wkrótce będziesz chciała mieć dzieci.

–Pod warunkiem, że nasze stosunki wrócą do normalnego stanu...

–On wciąż nie chce?

–Nie. Ale okazuje mi o wiele więcej uczucia.

–Och, Effie, kochanie, tak bardzo chciałabym ci pomóc.

–To nic, mam. Najgorszy jest ten dom. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego on tak bardzo pragnie go kupić. Jest olbrzymi, ma trzynaście sypialni... Potrafisz sobie wyobrazić? Trzynaście sypialni. Nie mówiąc już o trzech wielkich salach recepcyjnych, bibliotece i sali balowej. Po co nam sala balowa?

–Mój Boże...

–Wszystko to mu się strasznie podoba i bardzo go to zmieniło. Co mam, u licha, robić?

–Jeśli chcesz mojej rady, ustępuj mu. Przynajmniej przez jakiś czas. Pamiętaj, że wciąż wraca do zdrowia. Kiedy tylko dowie się, ile będzie go to naprawdę

kosztowało, zobaczysz, że jego entuzjazm osłabnie.

–Mam nadzieję, że masz rację – odparła Effie. – Ale jest coś jeszcze.

–Co takiego, Effie? Nie wydajesz się zbyt szczęśliwa.

–Trudno to wytłumaczyć. To brzmi tak głupio...

–Na litość boską, powiedz mi. Twój ojciec zawsze powtarzał „to brzmi tak głupio”

i działa się to na ogół wtedy, kiedy chciał mi powiedzieć najważniejsze rzeczy. Na przykład, że stracił posadę albo zakochał się w swojej sekretarce.

–Nigdy nie mówiłaś mi, że zakochał się w swojej sekretarce.

–Oczywiście, że nie mówiłam. Miałaś tylko siedem lat. Zresztą nic z tego nie

wyszło.

–Mamo...

–Powiedz mi, co chcesz powiedzieć. Effie wzięła głęboki oddech.

–Kiedy byliśmy w tym domu... w Walhalli... i Craig zszedł na dół, żeby obejrzeć kotłownię, wydawało mi się, że słyszę płaczącą kobietę. Głośno płaczącą, jakby ktoś zrobił jej prawdziwą krzywdę. Poszłam na górę, żeby tej kobiety poszukać, ale nigdzie nie mogłam jej znaleźć. Obleciał mnie w końcu strach, więc ruszyłam z powrotem i w połowie schodów zobaczyłam mężczyznę. Był elegancko ubrany, w czarny albo granatowy garnitur, włosy miał zaczesane do tyłu. Zapytałam go, dlaczego ta kobieta płacze, ale on chyba mnie nie usłyszał. Zbiegł na dół. Craig wchodził tymi samymi schodami na górę, jednak w ogóle go nie widział. Albo przynajmniej tak twierdzi. Ten mężczyzna po prostu zniknął, jak duch.

–Nie bądź śmieszna, Effie. Nie ma takiej rzeczy jak duchy.

–W takim razie kim on był, mamó? Jak udało mu się zbiec na dół, nie zderzając się z Craigiem? Co więcej, po kilku minutach zobaczyłam go ponownie, dokładnie w tym samym miejscu.

–Musisz odpocząć. Potrzebujesz Craiga, takie jest moje zdanie. Kiedy jest się seksualnie sfrustrowanym... to wynika z tego wiele problemów. Pamiętasz panią Teeman? Po śmierci męża ciągle wyobrażała sobie, że w jej łóżku leżą różni mężczyźni. Twierdziła, że widziała pozwijane prześcieradła i słyszała głośny oddech.

–Mamo, ja widziałam tego mężczyznę na własne oczy. Był tam. Był prawdziwy.

–Powiedział coś do ciebie?

–Nie.

–Ty się do niego odezwałaś, ale on nic nie odpowiedział?

–Tak.

–Jak wyglądał? Opowiedz mi.

–Nie wiem. Był blady. Zszokowany. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

Niedziela, 20 czerwca, 1.34

Śniło jej się, że leży w grobie i na trumnę padają ciężkie grudy ziemi. Czuła, jak ogarnia ją coraz większa panika, wiedziała bowiem, że wciąż żyje. Ale ludzie dalej rzucali na nią ziemię, wieko trumny robiło się coraz cięższe i w końcu zdała sobie sprawę, że zginie zmiażdżona na śmierć, jak czarownice z Salem.

Zaczęła kurczowo łapać powietrze i szarpać się, a potem nagle obudziła się i otworzyła oczy. Miała podwiniętą do pasa nocną koszulę; Craig leżał na niej i był całkiem nagi. Jego gorący oddech owiewał jej policzek i czuła, jak między jej nogi wpychają się jego owłosione uda. Objęła go ramionami i dotknęła mięśni na plecach. Były napięte i twarde jak kamienie. Craig odrzucił nogą kołdrę, bo noc była bardzo ciepła, ale mimo to obficie się pocił.

–Effie – szepnął tak blisko jej ucha, że zabrzmiało to jak odgłos gromu. Złapał ją za pierś i pociągnął za brodawkę. Całował ją, w czoło, całował w oczy i całował w usta, a potem wziął w zęby jej podbródek i ugryzł go – młodzieńcze miłosne ukąszenie, które naprawdę zabolalo, ale jednocześnie podnieciło ją tak bardzo, że chciała, by gryzł ją dalej i zostawił trwałe ślady.

Wziął w zęby brodawkę jej piersi i także ją ugryzł, a potem złapał Effie za włosy i pociągnął mocno do tyłu.

Była przestraszona i jednocześnie podniecona. Nawet dawno temu, kiedy zaczęli ze sobą sypiać, nigdy nie kochał się z nią tak gwałtownie. Całe ciało miał napięte: mięśnie brzucha splotły się w węzeł, a ścięgna na udach były twarde jak powrozy.

Gryzł raz po raz jej brodawki, szczypał je i pociągał, aż szepnęła, żeby przestał.

Prawą ręką przygwoździł jej podniesione ramię do poduszki a lewą sięgnął w dół, między nogi, i rozsunął jej wargi sromowe. Potem wcisnął między nie czubek penisa, naprężony i jedwabisty wielkości dużej śliwki. Przez chwilę wszystko stanęło w miejscu. Czas, świat i wszystkie gwiazdy, które kiedykolwiek ktoś zliczył. Craig powoli wsunął się w Effie tak głęboko, jak tylko mógł, a ona zamknęła oczy, odrzuciła do tyłu głowę na poduszkę i czuła w środku jedynie jego erekcję. Każdy cal jego członka, każdą nabrzmiałą żyłę.

Sięgnęła w dół i otworzyła się jeszcze szerzej, tak aby przy każdym pchnięciu dotykał szyjki jej macicy i mogła poczuć przeszywający ją dreszcz. Prawą dłoń zacisnęła na jego mosznie z pojedynczym ciężkim jądrem.

To jedyne jądro wydawało się jej obdarzone olbrzymią potencją, mógł ją bowiem równie dobrze zapłodnić, mając tylko jedno. Ale kiedy wzięła je do ręki, Craig szarpnął się konwulsyjnie wysunął i nie wszedł z powrotem. Effie uświadomiła sobie, że popełniła być może straszny błąd.

–Craig... – szepnęła. – Pragnę cię, Craig.

Craig wahał się, dotykając śliskim czubkiem penisa jej sromu. dotykając i zadając udrękę.

–Craig – powtórzyła. – Proszę cię, Craig, to nie ma żadnego znaczenia. Nie potrafisz tego zrozumieć? Ważne jest tylko to, że cię pragnę.

Przez krótki rozkołysany moment wydawało jej się, że ich małżeństwo legło w gruzach. Jeśli Craig nie potrafi zrobić tego teraz, nie zrobi tego nigdy. Ale on bez

jednego słowa wsunął się w nią i wkrótce jego penis wchodził w nią i wychodził. Zaciskali oboje palce, łapali kurczowo oddech i splywali potem.

Effie czuła taką radość, że głośno się roześmiała. Ale Craig kochał się z nią z zaciętością i śmiertelną powagą, prawie tak jakby chciał ją ukarać. Zagłębiał się w niej, stękając chrapliwie przy każdym pchnięciu.

–Och, Craig, pragnę cię – wyszeptwała. – Och, Craig tak bardzo cię potrzebuję.

Stare drewniane łóżko skrzypiało przy każdym pchnięciu i była pewna, że słyszą ich wszyscy inni goście w pensjonacie, ale wcale o to nie dbała. Właściwie chciała, żeby słyszeli, ponieważ w jej życiu ponownie pojawiła się pasja, pasja, płomień i głodny, szalony seks.

Osiągnęła orgazm na długo przed nim. Nie był gwałtowny chociaż tak gwałtowne były ruchy Craiga. Rozlał się po jej ciele, ciepły, mroczny i powolny, niczym oliwa sącząca się po wyfroterowanej podłodze – jeden z tych subtelnych, rosnących nieprzespane szczytów, które wydają się sięgać najdalszych i najmroczniejszych horyzontów. Craig nadal sapał i parł do przodu i była pewna, że nie zorientował się nawet, że miała orgazm.

–Dziwka – wystękał i kropla potu spadła mu z czoła na jej twarz. – Brudna, nieposłuszna dziwka.

Złapała go za napięte mięśnie rozhuśtanych pośladków i próbowała powstrzymać. Wbijał się w nią z taką siłą, że zaczynało ją boleć. Czuła, jak o jej uda obija się jego pojedyncze jądro.

–Dziwka – powtórzył. – Podła, zepsuta dziwka!

–Craig! – szepnęła. Trochę się teraz bała, ale mimo to wciąż była podniecona. W dziwny sposób strach jeszcze bardziej ją podniecał. Craig wbijał się w nią tak mocno, że podjeżdżała w górę na łóżku przy każdym pchnięciu i w końcu jej głowa oparła się o rzeźbione drewniane wezłowie. Wydawało jej się, że za chwilę rozleci się pod nią całe łóżko.

Nagle Craig przestał się poruszać. Przez sekundę trwała dzwoniąca w uszach cisza. Craig wstrzymał oddech i każde jego ściągno napięło się jak okrętowa lina. A potem Effie poczuła, jak pulsuje w niej jego penis – raz, drugi i trzeci – i Craig wydał z siebie krzyk, który bardziej przypominał jęk bólu i frustracji niż zaspokojenia.

Po chwili opadł na poduszkę, z unoszącą się w ciężkim oddechu piersią i błyszczącą w ciemności skórą. Był zbyt zdyszany, by móc coś powiedzieć. Effie zwinęła się w kłębek, przesunęła rękę po jego brzuchu i zacisnęła palce na mokrym, mięknącym penisie, spotem pocałowała kilka razy w ramię, niczym suplikant całujący święty obrazek.

–Byłeś wspaniały – szepnęła, wciąż masując jego penis palcami. – Byłeś absolutnie wspaniały.

W końcu udało mu się złapać oddech.

–Wszystko jest takie wyraźne – wysapał. – Nigdy jeszcze nie widziałem wszystkiego tak wyraźnie. Effie całowała go dalej w ramię.

–Kocham cię – oznajmiła.

–Pamiętasz, jak powiedziałem, że Walhalla jest niczym mapa? Teraz to rozumiem.

Jest tam miejsce na każdy fragment mojej osobowości. Miejsce na moją dumę, miejsce na moją ambicję i na mój gniew. Miejsce na moje poczucie humoru. Miejsce wszystko.

–Craig... – szepnęła Effie. – Walhalla to tylko dom. I tak się składa, że ten dom wali się w gruzy.

–Nie, nie. On jest czymś więcej. Jest mną. Ten dom to ja. To tak, jakby ktoś zanalizował całą moją osobowość, a potem przeniósł tę analizę na ten budynek.

–Wciąż nie bardzo cię rozumiem.

–Coś mnie tam ciągnęło, Effie. Widziałaś, jak bardzo mnie tam ciągnęło. A kiedy wszedłem do środka, miałem wrażenie, jakbym to wszystko znał. Miałem wrażenie, jakbym tam mieszkał przez całe życie. Nie potrafię tego opisać. Ale poczułem, że tam należę. Poczułem, że znalazłem się w domu.

Effie przestała go masować, owinęła się prześcieradłem i przycisnęła obronnym gestem ręce do boków.

–Więc nie zamierzasz zmienić zdania w kwestii kupna? zapytała.

Craig oparł głowę na łokciu i pocałował ją w czoło.

–Coś ty, nie jestem taki głupi. Najpierw muszą go dokładnie wycenić. Nie będziemy przepłacać.

–Aleja nie lubię Walhalli, Craig. Ja jej nienawidzę. I ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest spędzić tam całe życie i wydać wszystkie pieniądze, żeby ją odrestaurować. Walhalla może jest tobą, ale z całą pewnością nie jest mną.

–Daj spokój, Norman nam pomoże. Zna na północy faceta, który może dostarczyć za grosze szalówkę.

–Powiedziałeś chyba, że nie będziemy się spieszyć.

–Tak, wiem. Ale kiedy tylko przeszedłem przez próg, poczułem się taki ożywiony. Pomyślałem o wszystkich tych procesach wytaczanych przez korporacje, o wszystkich tych zebraniach japońskich rad nadzorczych i powiedziałem sobie: tu właśnie chcę zostać. Tu, w Walhalli.

Effie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Właściwie nie miała nic przeciwko odejściu z Verulian Galleries i przeprowadzeniu się na północ. Wiedziała, że na pewno nie będzie jej brakowało sztywnych kolacji z biznesmenami. „Słyszałam, że Kioto jest piękne o tej porze roku. Czy hoduje pani drzewka bonsai?”

Poza tym będzie mieszkała bliżej matki i może zdoła namówić Craiga na powiększenie rodziny.

Walhalla zdecydowanie jej się nie podobała, ale udało jej się przekonać samą siebie, że matka ma rację: że nie ma takich rzeczy jak duchy, a w pustej sypialni nie może rozlegać się czyjś płacz; ciężka atmosfera, która wytrąciła ją z równowagi, brała się z jej własnego poczucia frustracji i faktu, że dom był tak bardzo zaniedbany.

Co ważniejsze, Walhalla natchnęła Craiga olbrzymią energią i olbrzymim entuzjazmem; dziś w nocy się z nią kochał – nie anemicznie i niechętnie, ale z całą zmysłowością, do jakiej zdolny jest mężczyzna.

–Dobrze – powiedziała w końcu. – Każemy wycenić dom.

Zamiast odpowiedzi Craig pocałował ją w usta. A potem ściągnął prześcieradło,

którym się owinęła, i wspiął się na nią. Effie sięgnęła ręką w dół i odkryła, że jego członek jest znowu twardy jak przedtem.

Wszedł w nią prawie natychmiast. Jego penis był tak twardy, że kiedy Craig wygiął do tyłu plecy, o mało nie uniósł jej bioder z łóżka.

–Dziwka – szepnęła i tym razem poczuła się bardziej upokorzona niż podniecona.

–Craig – powiedziała, dotykając jego warg czubkami palców. – Nie nazywaj mnie tak, kochanie.

–Dziwka – powtórzył i zobaczyła, że się uśmiecha.

Czwartek, 24 czerwca, 11.11

Morton Walker zaparkował swojego beżowego buicka kombi obok posągu pozbawionej głowy kobiety, po czym wysiadł i przez j chwilę stał w otwartych drzwiach samochodu, wycierając metodycznie chustką kark i czoło.

Był gorący parny poranek i pejzaż wokół Walhalli wyglądał, jakby pociągnięto go cienką warstwą bursztynowego werniksu. Sam dom wydawał się niezwykle duży, tak jakby upał jeszcze go powiększył.

Morton dokonał już raz inspekcji Walhalli dla holenderskiej firmy hotelarskiej o nazwie Kuypers. Poradził im wówczas, żeby poszukali innego miejsca na kurort i kompleks golfowy. Przebudowa budynku tak, aby mógł spełniać wymogi luksusowego hotelu, kosztowałyby jego zdaniem ponad pięćdziesiąt jeden milionów dolarów i nie było żadnych gwarancji, że ta inwestycja kiedykolwiek się zwróci. Teren nie nadawał się na pole golfowe na którym Kuypers zamierzał organizować mistrzostwa Gary, Player, pogoda była tu bardzo niepewna, poza tym dom leżał na zbyt wielkim odludziu, by przyciągnąć weekendowiczów. Jack Belias zbudował Walhallę w tym niegościnnym i niedostępnym miejscu specjalnie po to, aby odciąć się od świata.

Jednak prywatny nabywca to zupełnie co innego. Prywatny nabywca nie musiał się przejmować wszystkimi przepisami dotyczącymi bezpieczeństwa i ochrony zdrowia, które powinien spełniać kompleks wypoczynkowy, takimi choćby jak te dotyczące drzwi przeciwpożarowych, wyjść ewakuacyjnych i specjalnych wjazdów dla wózków inwalidzkich; prywatny nabywca mógł też prowadzić prace remontowe tak długo, jak tylko miał ochotę. Jeśli było to konieczne, nawet kilka lat – i tyle prawdopodobnie powinno to potrwać. Ale dlaczego ktoś chciał w ogóle kupić walące się w gruzy mauzoleum, jakim była Walhalla – tego Morton nie potrafił zrozumieć. Gdyby ktoś go pytał, według niego budynek nadawał się wyłącznie do wyburzenia. Był miłośnikiem federalizmu i nie znosił neogotyku. Sięgnął do środka samochodu i zabrał magnetofon, latarkę i notes, które leżały na fotelu pasażera. Miał tu na niego czekać jago asystent, Brewster Ridge, ale nie zdziwił się zbyt, kiedy Mnie zobaczył. Brewster puścił sobie pewnie na pełny regulator kompakt Snoopa Doggy'ego Dogga i był zbyt zasłuchany, żeby zauważyć skręt do Red Oaks i Walhalli. Morton i Brewster zbyt dla siebie nie przepadali, Brewster żywił jednak szczerą respekt dla fachowości, z jaką Morton potrafił wykrywać wady konstrukcyjne, które starali się ukryć niechlujni budowlańcy, Maskując na przykład pęknięcia ugniecionym chlebem i miękkim wypełniaczem albo przybijając płachty polistyrenu do ścian przesiąkniętych wilgocią. Morton z kolei podziwiał znajomość architektury rezydencjonalnej, którą Brewster wyniósł ze studiów. Jego młodszy asystent na pewno potrafił odróżnić Irvinga Gilla od Barry'ego Byrne'a.

Zatrzasnął drzwiczki samochodu i ruszył ciężkim krokiem w stronę domu. Był dużym łysiejącym mężczyzną z bladą, kluskowatą twarzą, która przypominała rosnące w ziemi warzywo. Wciąż mrugał oczyma i nosił okulary bez oprawek z opuszczanymi ciemnymi szklami, które zawsze podnosił wchodząc do jakiegoś pomieszczenia i które upodabniały go do krupiera. Jego koszulę już teraz pokrywały

plamy ciemnego potu, a beżowe bawełniane spodnie były niemożliwie pogniecione. Podtrzymały je wyblakłe, niegdyś szkarłatno-zielone jazzowe szelki – ostatni prezent gwiazdkowy, jaki dostał od swej żony Audrey, zanim Połknęła siedemdziesiąt sześć tabletek paracetamolu i zmarła W wyniku nieodwracalnego uszkodzenia wątroby. Nie wiedział dlaczego to zrobiła. Nie zostawiła mu nawet na pociechę pożegnalnego listu.

Wyjął z kieszeni klucze do Walhalli i dwa razy pociągnął nosem. Katar sienny. A może po prostu alergia na wielkie zdewastowane domy. Przekręcając klucz w zamku, miał wrażenie, że słyszy nadjeżdżający samochód Brewstera ale kiedy się odwrócił, nie zobaczył nikogo: wokół były tylko porośnięte mchem arrasą, nad którymi falowało gorące powietrze, rosochate dęby zachwaszczony kortalony tenisowe i cykające w szparach między cegłami świerszcze.

Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i pełen najgorszych przeczuć rozejrzał się dookoła. Już sam widok hallu wejściowego dawał pojęcie o rozmiarach zniszczeń. Morton miał wrażenie, jakby wachał nadpsutą lekko wołowinę. Mięso nie cuchnie jeszcze zbyt mocno, ale nic nie zdoła zmusić człowieka, żeby je zjadł.

„Konstrukcja hallu wejściowego wydaje się dość zdrowa powiedział do mikrofonu. – Wszystkie okna wymagają naprawy względnie wymiany, ale ostateczny koszt będzie zależał od tego, jak dokładnie chce się odtworzyć ich oryginalny kształt. Szkło jest wypełnione pęcherzykami i lekko zażółcone. Było odlewane ręcznie i ręcznie dopasowywane. Nie mogę podać dokładnego kosztu wymiany, nie znam bowiem nikogo, kto podjąłby się dzisiaj tego rodzaju pracy. Z pewnością mówimy tutaj jednak o liczbie sześciocyfrowej i dotyczy to tylko hallu wejściowego”.

Podszedł do schodów z lewej strony i pochylił się, żeby zbadać podnóżki i podstopnice.

„Schody z lewej strony są oryginalne... tu i ówdzie widać ślady napraw, dokonanych zapewne całkiem niedawno przez Fishkill Corporation – mówił. – Zrobiono je bez użycia gwoździ, z minimalną liczbą klinów. W gruncie rzeczy są praktycznie samonośne. Bardzo interesujące. Dobrze, że znajdują się w niezłym stanie. Dzisiejszy cieśla nie potrafiłby ich wykonać. W każdym razie żaden z cieśli, których znam”.

Ruszył dalej, sprawdzając kolejne pomieszczenia parteru. Co pewien czas słychać było jego głos, odbijający się echem od marmurowych podłóg, zmatowiałej dębowej boazerii i wysokich łuszczących się sufitów.

Korytarze poliniowane były ukośnymi pasami słońca i kiedy Morton je przecinał, w górę wznosiły się tumany złotego pyłu. Miał przedziwne uczucie, że jest tutaj intruzem – uczucie, którego doznawał wyłącznie wtedy, kiedy wyceniane przez niego donn były zamieszkałe. W pewnym momencie zatrzymał się i natężył słuch, ale nie usłyszał nic poza jadącymi daleko szosą samochodami i krakaniem ukrytego wśród konarów dębu kruka.

Z zadowoleniem stwierdził, że sala balowa wymaga tylko niewielkich napraw; jednak po wejściu do biblioteki zaczął uświadamiać sobie prawdziwą skalę dewastacji.

„Próchno, zgnilizna, rozległe szkody spowodowane przez termyty, niektóre belki podłogowe grożą zawaleniem... – rejestrował wyniki oględzin – wymiany wymaga cała boazeria”. Wyszedł z biblioteki i zatrzymał się na chwilę u stóp kolejnej klatki schodowej, spoglądając w stronę podestu. Przez słupki balustrady widział stąd wyłącznie zgarbioną gipsową postać, która tak zaniepokoiła Effie. Przyglądał jej się trochę dłużej, niż miał zamiar, jakby oczekiwał, że się poruszy. Gapiała się na niego swym bezdusznym łzawiącym okiem.

–Jezu Chryste, Morton, co się z tobą dzieje... – mruknął w końcu potrząsając głową i ruszył dalej.

Przestronne pomieszczenia kuchenne były chłodne, mroczne wyposażone w sprzęt, który stanowił szczyt techniki w roku 1029. Przy jednej ze ścian stał pomalowany na kremowo piec kuchenny, dość duży, aby znaleźć się w średniej wielkości hotelu, naprzeciwko rząd oszklonych kredensów, w których mogły się pomieścić setki talerzy. Kamienna posadzka wydawała się dość solidna, ale wiele płytek popękało i nie ulegało wątpliwości, że całe pomieszczenie trzeba będzie wyremontować i unowocześnić.

Z okien kuchni roztaczał się surrealistyczny widok na ogród gospodarczy. Sękaty łądygi warzyw rozrosły się tam do wielkości Białych drzew, wysokie, pokryte pierzem szparagi kołysały się w powiewach letniego wiatru, a wielkie liście rabarbaru i olbrzymie, podobne do ostów karczochy oplecione były pnączami i odroślami, jakby warzywa dusiły się wzajemnie w walce o przetrwanie.

W samym końcu kuchni, po lewej stronie, Morton zobaczył pomalowane na kremowo drzwi. Sprawdził, czy znajdują się na wyblakłym planie, który dostał od Waltera van Burena. Prowadziły na dół do piwnicy. Obrócił klucz w drzwiach i zerknął do Środka. Drewniane schody znikwały w całkowitej ciemności. Włączył latarkę i poświecił najpierw w jedną, potem w drugą stronę, ale mrok był tak gęsty, że cienki jak ołówek snop światła nie zdołał oświetlić niczego prócz drewnianej poręczy, dyndającej oprawki na żarówkę oraz kilku powalanych smarem szmat, które wisiały na haku u sufitu.

Szykował się do zejścia na dół, kiedy usłyszał nagle wyraźny odgłos kroków. Brzmiały tak, jakby ktoś zbiegał szybko po schodach: mężczyzna w lekkim obuwiu. Zawahał się, zaciskając jedną rękę na futrynie, a w drugiej trzymając skierowaną w mrok. Przez jakiś czas nasłuchiwał, ale w Walhalli znowu zapadła cisza.

–Brewster? – zawołał. – To ty, Brewster?

Nadal nic nie zakłócało ciszy. Kurz opadał nieprzerwanie w dół. J jakby Walhalla sama się po cichu rozsypywała – proces, który mógł trwać całe wieki.

–Jeśli to ty, Brewster, jestem w kuchni... właśnie schodzę na dół, żeby obejrzeć piwnicę.

Nadal żadnej odpowiedzi. Musiało mi się zdawać, pomyślał. Ruszył ostrożnie na dół, ani na chwilę nie puszczając poręczy. Zbyt wiele słyszał opowieści o inspektorach, którzy stłukli sobie tyłek spadając ze schodów w cudzych piwnicach, i zbyt często stąpał po przeżartych przez termyty stopniach, żeby ufać nawet najbardziej solidnie wyglądającej konstrukcji.

Po chwili znalazł się na dole. Piwnica, podobnie jak kuchnia, była wyłożona kamiennymi płytkami i rozciągała się pod całą Walhallą. Podłoga była mokra i śliska. Morton słyszał dobiegające z kilku stron kapanie, jednak podtrzymujące sklepienie filary utrudniały dokładne ustalenie, skąd leci woda. Świecąc latarką w stronę frontowej części domu, zauważył, że jest tam jakby mniej mokro, ale suchsze ściany nie musiały wcale oznaczać, że fundamenty zachowały się w dobrym stanie. Wyjął z kieszeni szczyrork i poskrobał jedną ze ścian, żeby sprawdzić, czy wapień się nie rozpuszcza. Nie było sensu remontować Walhalli, jeśli groziło jej kompletne zawalenie.

Gwiżdżąc przez zęby minął pierwsze dwa sklepienie łuki i zobaczył za nimi kotły na ropę. Były szare i pokryte rdzą, ale wciąż widniały na nich ślady czerwonej farby i wytłoczony napis: Capitol Red Top. W roku 1929 produkty tej firmy cieszyły się dobrą renomą. Po wyremontowaniu zdołają pewnie ogrzać Walhallę i dzisiaj.

Idąc dalej, usłyszał kłębiące się w najdalszych zakątkach piwnicy szczury. Nie przywykły, żeby ktoś im przeszkadzał. Musiały tak długo mnożyć się w tym pozbawionym światła podziemnym królestwie, że teraz uważały je za swoje. Morton znał pewnego szczurołapa w Albany, który potrafiłby przekonać te gryzonie, że jest inaczej, ale stanowiło to kolejną niebagatelną pozycję, która trzeba było umieścić w kosztorysie.

Część instalacji centralnego ogrzewania rozmontowano – może rury ciekły i ktoś próbował je zatkać? Pośrodku jednej z nisz stała wysoka na pięć stóp pojedyncza pionowa rura, prowadząca donikąd. Morton oświetlił latarką znajdujący się nad nim sufit i zobaczył, że jest całkiem przegniły i nakrapiany pleśnią. Boże Wszchemogący, doprowadzenie tego domu do porządku będzie kosztowało fortunę, nawet jeśli Bellmanowie ograniczą się do najniezbędniejszych wydatków.

Wciąż rozglądał się dookoła, kiedy usłyszał nagle stąpanie piętro wyżej. Przypominało kroki, które słyszał przedtem: kroki kogoś w lekkim obuwiu, pantoflach albo mokasynach, ponad wszelką wątpliwość mężczyzny. Morton odgadł, że dochodzą prawdopodobnie z biblioteki, gdzie podłoga była mocno zniszczona.

–Brewster! – zawołał. – Jestem na dole, Brewster, sprawdzam kotłownię!

Czekał przez chwilę, aż Brewster zejdzie do piwnicy, ale jego asystent wcale się nie pojawił. Nie pojawił się w ogóle nikt. Morton miał zamiar zbadać dokładniej piwnicę, kiedy jednak świecił latarką przed siebie i zobaczył pierzchające na wszystkie strony szczury, zmienił zdanie. Przeprowadzi pełną inspekcję, gdy ekipy deratyzacyjne zrobią to, co do nich należy. Rzucił po raz ostatni okiem na alkowy po drugiej stronie i ruszył z powrotem w stronę schodów.

Stan kilku wapiennych filarów nie wydaje się najlepszy... – powiedział znów do mikrofonu – będziemy musieli przeprowadzić szczegółowe badania. Można je wzmocnić betonowymi palami, ale bez szczegółowej analizy strukturalnej trudno powiedzieć, rozległe powinny być te wzmocnienia. Ponownie mówimy o liczbie sześciocyfrowej. Niskiej sześciocyfrowej, ale jednak sześciocyfrowej.

Wspiął się do kuchni, zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku. W ogródku warzywnym na wielkich liściach rabarbaru Wiąz lśniły krople porannej rosy i

błyszczały nitki pajęczyn. Morton przeszedł przez kuchnię i otworzył drzwi do hallu. Kiedy to zrobił, zobaczył przesuwający się po ścianie klatki schodowej cień i usłyszał skrzywienie podszew.

–Brewster?! – zawołał. – To ty, Brewster?

Nie było odpowiedzi. Morton ruszył szybko na górę, łapiąc się poręczy.

–Jeśli nie jesteś Brewsterem, w takim razie zejź na dół bo to prywatna własność i naruszasz cudzy teren. Wspiął się na pierwsze piętro i rzucił okiem wyżej. Na półpiętrze stała pośród lilii polnych mniszka z zamkniętymi oczyma. Morton przystanął na chwilę, żeby złapać oddech, a potem dalej. Kiedy jednak dotarł na drugie piętro, w zasięgu ni nie było nikogo. Ani w korytarzu po lewej stronie ani w korytarzu biegnącym na wprost, ani w korytarzu, który prowadził na prawo i nad którym zapadł się częściowo dach.

Morton wyteżył słuch. Dzień był bezwietrzny, ale gorący, i cała Walhalla skrzypiała i pojękiwała, wypełniając swoje wnętrza odgłosami rozszerzającego się metalu i rozsychającego drewna. Morton nie mógł się oprzeć wrażeniu, że nie powinno go tu wcale być, że jest intruzem. Kiedy ponownie przemówił do mikrofonu, zrobił to bardzo cicho, na wypadek gdyby go ktoś podsłuchiwał:

„Drugie piętro, południowy korytarz. Na odcinku pierwszych stu stóp poważne osunięcia dachu i zniszczenia, spowodowane przez wodę, penetrującą cały budynek, kondygnacja po kondygnacji”.

Sapiąc ciężko wdrapał się na stos popękanych płytek, połamanych belek i wiewiórczych gniazd.

„Strychy w znacznym stopniu opanowane przez gryzonie właściwie cały budynek to jedna wielka menażeria – dodał. Koszty oczyszczenia z nich domu powinny wynieść minimum pięć i pół tysiąca”.

Pchnął drzwi pierwszej sypialni, na jaką natrafił. Były spaczne, ale po dwu albo trzech silnych pchnięciach otworzyły się szerzej. Na podłodze leżał splowiały jasnoniebieski dywan z ciemną rdzawą plamą pośrodku. Morton podszedł do okna i przyjrzał się kominom Walhalli oraz rosnącym dalej drzewom, a potem odwrócił się i popatrzył na rdzawą plamę. Przypominała mu głowę diabła, kozła albo cień, który rzucała na ścianę jego babcia, gdy opowiadała mu w dzieciństwie bajki. Wiązała na swojej chustce supły i wyglądała w niej, jakby miała rogi. Opowiadała mu bajki braci Grimm, w których roilo się od pożerających małe dzieci olbrzymów i zgarbionych hobgoblinów.

Coś zaskrzypiało. Jakaś stara deska. Gdzieś daleko cicho zamknęły się drzwi. Nawet najłżejszy z przeciągów nie zdołałby zamknąć drzwi tak cicho.

Morton odwrócił się, łapiąc astmatycznie powietrze. Puste domy nigdy dotąd go nie przerażały, ale ten powodował, że ciarki chodziły mu po grzbiecie. Był przekonany, że słyszy czyjś oddech tuż za swoimi plecami. Był przekonany, że nie jest sam, że ktoś stoi bardzo blisko i obserwuje każdy jego ruch.

Ten pokój sprawiał szczególnie duszne i klaustrofobiczne wrażenie i Morton uświadomił sobie nagle, że unosi się w nim bardzo nieprzyjemny zapach: zapach nafty, tanich kobiecych perfum proszku przeciw karaluchom i czegoś gorszego,

czego nie rozpoznał. Nie wyczuł go wcześniej, może dlatego, że stał w przeciagu. Jakim cudem mogło tu cuchnąć tak mocno, skoro nikt nie mieszkał w Walhalli od lat? Ktoś musiał koczować w tym domu niedawno, w przeciwnym razie zapach dawno by wywietrzał. Może ten ktoś koczował tu nadal.

Morton odwrócił się w stronę drzwi. Wchodząc otworzył je szeroko, tak że prawie dotknęły ściany, i ktoś mógł się za nimi schować. Po krótkim wahaniu zatrzasnął je z głośnym krzykiem, ale oczywiście nikogo za nimi nie było. Na tapecie widniał tylko brązowy ślad po krucyfiksie.

–Do diabła! – zaklął Morton. Otworzył z powrotem drzwi wyjrzał na korytarz. Zobaczył tylko sterty kafli i trzepoczące w górze czarne skrzydła podartej papy. Padające przez dziurawy dach słońce osuszało resztki porannej mgły i wokół unosiły się złotawe opary. Było tak jasno, że przez krótki moment Morton przestał cokolwiek widzieć.

–Wiem, że ktoś tutaj jest! – zawołał głośno. – Wiem o tym. Nie ma sensu się chować!

Czekał, obficie się pocąc. A potem dałby sobie rękę uciąć, że ktoś nachylił mu się prosto do ucha i szepnął cicho coś obraźliwego. Brzmiało to jak „kretyn” i było poprzedzone jakimś niezrozumiałym przekleństwem. Morton obrócił się wściekły na pięcie, ale nikogo za nim nie było. Dopiero kiedy odwrócił się po raz drugi, ujrzał na samym końcu korytarza mężczyznę w garniturze, który oddalał się szybko, otrzepując rękawy i zapinając rękawiczki.

–Hej, ty! – zawołał. – Hej, proszę pana! Tak, do pana mówię! Co pan tutaj, do diabła, robi? To prywatna własność!

Mężczyzna zatrzymał się w samym końcu korytarza i posłał Mortonowi poirytowane spojrzenie. A potem, wciąż zapinając Kawą rękawiczkę, odwrócił się i zniknął za rogiem.

Morton od lat nie uprawiał żadnych ćwiczeń. Wiedział jednak, że musi złapać tego intruza.

–Hej, poczekaj, koleś – krzyknął, ruszając ciężkim krokiem w pogoń. Przez kilkanaście sekund biegł niczym prawdziwy sportowiec, z wyprostowaną głową, zaciśniętymi pięściami i unoszącą się w miarowym oddechu piersią, mijając padające na korytarz trójkąty słonecznego blasku. – Naruszasz cudzy teren! – wrzasnął. A potem jego lewa stopa przeszła na wylot przez podłogę wzbijając gęsty tuman próchna, zaprawy i wąskich listew. Pomyślał, że to niemożliwe, że nie spadnie przecież piętro niżej i dlatego w ogóle nawet nie krzyknął. Ale sekundę później przebił sufit pokoju muzycznego na pierwszym piętrze, kalecząc ręce, raniąc twarz i drąc na strzępy obsypaną tynkiem koszulę. Czuł, że spada i nie ma się czego złapać, a potem uderzył z głuchym hukiem w podłogę dwadzieścia stóp niżej, łamiąc obojczyk i kompletnie tracąc oddech. Ta podłoga również się pod nim załamała i przeleciał w chmurze drzewnego pyłu i tynku kolejnych dwadzieścia stóp w dół. Przed oczyma mignęło mu okno. Zobaczył półki i ściany. Na pół przytomny przebił niczym nurek warstwę murszu, który zmienił podłogę biblioteki w mokre płaty zbutwiałego drewna, i wpadł do piwnicy.

Czekała tam na niego stercząca pionowo rura centralnego ogrzewania. Runął prosto na nią, a ona wbiła się w mięsień jego lewego uda i w miednicę, a potem przeszła jelita, śledzionę i lewe płuco, mijając zaledwie o ćwierć cala serce.

Morton ryknął z bólu i z jego ust trysnęły drobne kropelki krwi. Tkwił nadziany na rurę, bezradnie kopiąc i wymachując rękoma. Jego stopy znajdowały się trzy albo cztery cale nad posadzką piwnicy i mógł tylko pedałowac nimi, lecz im gwałtowniej pedałowal, tym głębiej rura wbijała się w jego ciało.

Ratuj mnie, Boże, próbował krzyknąć.

–Ratuj mnie, Boże! – jęknął w końcu cicho.

Ból, jakiego doznawał, był absolutnie nie do zniesienia. Czuł jak chłodny metal przesywa jego wnętrze, jelita i brzuch. Czuł go w swoim płucu, które rzeziło niczym mokry balon. Kiedy się szarpnął, rura wbiła się głębiej i dotknęła skraju żebra. Poczul jeszcze gorszy ból i zmusił się do zachowania bezruchu.

Na pół przytomny i udręczony, nie potrafił uwierzyć, że jeszcze żyje. W gruncie rzeczy nie wiedział, czy chce żyć dalej, czy umrzeć. Rura mogła w nieodwracalny sposób uszkodzić jego wnętrzności. Spływająca po niej krew rozlewała się po kamiennej posadzce. Jeśli nie uda mu się uwolnić w ciągu najbliższych dwudziestu minut, wykrwawi się prawdopodobnie na śmierć i to czego chce lub czego nie chce, stanie się czysto akademicką kwestią.

Gdzie, do diabła, podziewał się Brewster? Gdyby w końcu przyjechał, pomógłby mu się uwolnić. Chociaż właściwie ból był tak straszny, że nie wiedział, czy na pewno chce, by go zdejmowano. Nie potrafił znieść myśli o wysuwającej się z niego rurze.

O Chryste, pomyślał, czym sobie na to zasłużyłem? Może to kara za to, co przytrafiło się Audrey? Może odebrała sobie życie przeze mnie, bo ją ignorowałem i uważałem, że zawsze będzie beze mnie?

Zamknął powieki, ale przed oczyma nadal miał szkarłat. Staral się w ogóle nie poruszać, jednak ciężar ciała ściągał go stopniowo w dół. Czuł, że końcówka rury dotyka teraz jego żebra, i sprawiało to szczególny ból, ból, pod wpływem którego zaczął wsysać powietrze do płuc i cicho skomleć.

Wydawało mu się, że mijają całe godziny. Tracił i odzyskiwał przytomność, ale ból nie oddalał się. Mortonowi śniło się, że siedzi w domu i rozmawia z Audrey, pyta ją, co dzisiaj robiła. Audrey kończyła układankę, która leżała na tacy na jej kolanach. Twarz była bardzo blada, koloru rozgotowanego makaronu. Światło, które wpadało przez okno w salonie, miało szkarłatny kolor i oświetlało od tyłu jej włosy. Układanka była bardzo dziwna. Przedstawiała ludzi, którzy chodzili z zamkniętymi oczyma po ogrodzie. Wyglądali, jakby pogrążeni byli we śnie.

–Życie jest jak książka – powiedziała Audrey. – Nie różujesz?

–Jaka książka? – zapytał (albo wydawało mu się, że zapytał).

–Jakakolwiek. Życie jest jak każda książka. Dlatego właśnie wzięłam te tabletki.

–Wciąż nie wiem, co masz na myśli.

–Dowiesz się, Morton. Jeszcze się dowiesz.

Otworzył oczy i przez chwilę miał nadzieję, że już umarł, ale mylił się. Wciąż żył, w jego wnętrznościach wciąż tkwiła metalowa rura i wciąż cierpiał nieopisany ból. Wziął

głęboki chrapliwy oddech i głośno wrzasnął, a potem wrzasnął ponownie i usłyszał, jak jego krzyk rozbrzmiewa echem w całym domu. Odzie, do diabła, podziewa się Brewster? Dlaczego zawsze się spóźnia?

Próbował się uspokoić. Osiągnął tylko tyle, że rura wbiła się jeszcze głębiej i wpadł w jeszcze większą rozpacz i frustrację.

Starał się pomyśleć o czymś innym poza bólem. Na przykład o tym, jakie było prawdopodobieństwo, że przeleci przez trzy kolejne kondygnacje i nadzieje się prosto na tę rurę. To znaczy były szansę, że do tego dojdzie? Jedna na milion? Jedna na bilion? A jednak tkwił tutaj, tak precyzyjnie nadziany, że nie potrafił się oprzeć przekonaniu, iż Bóg zrobił to naumyślnie. Zaczął się zastanawiać, czy jeśli przechylił się na bok, rura nie przechylił się razem z nim. Gdyby zgięła się do pozycji horyzontalnej mógłby się z niej wyczołgać. Ale gdy wychylił się w lewo nie więcej niż na pół cala, metal dotknął jego serca i chwycił go tak bolesny spazm, że przygryzł dolną wargę i zacisnął z całej siły pięści, wbijając paznokcie w skórę dłoni.

Ponad minutę trwało, zanim oprzytomniał, nadal jednak trząsał się i oblewał potem, i teraz wiedział już na pewno, że umrze. Wyszeptał „Ojczy nasz...” albo może tylko spróbował to zrobić ale słowa modlitwy myliły mu się z psalmem dwudziestym trzecim. „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj... Twój kij pasterski i laska: one mnie będą wiodły”.

Usłyszał nagle ciche szuranie. A potem znowu.

„Przebacz nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... Ty stół biesiadny zastawiasz przede mną na przekór moim wrogom...”.

Ciężko mu było coś zobaczyć. Znajdował się w stanie głębokiego szoku i majaczył, a z wyjątkiem bladego kręgu światła wpadającego do piwnicy przez dziurę, którą wybił w suficie, wszędzie panowała kompletna ciemność.

Po chwili jednak znowu usłyszał szuranie, chrobot i przeciągły szelest, jakby ktoś włókł po posadzce płócienne worki; potem zobaczył rojący się na dole brązowoszary dywan i wiedział już co się dzieje. Gromadziły się wokół niego piwniczne szczury. Czuł ich odór i widział połyskujące w ciemności, podobne do czarnych paciorków oczy. Zlizywały sączącą się po metalu krew, a kilka z nich zaczęło wspinać się w górę, żeby dotrzeć do źródła.

Morton wrzasnął głośno, czując ogarniający go wstręt i przerażenie. Szczury znieruchomiały na moment i odsunęły się. Wkrótce jednak wróciły, węsząc, popiskując i wdrapując się jeden na drugiego, żeby polizać krew.

Jednemu z nich udało się wdrapać po metalowej rurze i wbił zęby w lewą stopę Mortona. Ale wnętrzości bolały go tak bardzo że ledwie to poczuł; zaczął kołysać nogą do tyłu i przodu, jednak szczur nie puszczał, kręcąc ciężkie piruety przy każdym machnięciu.

Kolejny szczur podskoczył wysoko i ugryzł go w łydkę, a potem następny zatopił zęby w jego pięcie. Morton nadal kołysał nogą – chociaż każdy ruch był dla niego torturą. Szczury nie dawały jednak za wygraną. Wkrótce obwieszony był z obu stron całymi festonami gryzoni i wyglądał jak człowiek, który toruje sobie drogę przez gęste szare wodorosty.

Bolało go tak bardzo, że nie rozumiał, dlaczego jeszcze nie umarł. Może był już martwy i trafił do czyśćca? Może będzie ił wbity na pal i pożerany żywcem przez szczury tak długo ktoś pomodli się za jego duszę i w ten sposób go uratuje? Próbował zastanowić się, kto mógłby to zrobić, ale jedyną osobą która przychodziła mu na myśl, była Audrey, a ona przecież dawno umarła.

–Życie jest jak książka – powiedziała.

–Tak, Audrey, ale jaka książka?

–Jakakolwiek książka. Nie rozumiesz?

Jakakolwiek książka? Co to miało znaczyć? Może chciała mu powiedzieć, że człowiek, rodząc się, otwiera książkę, żyjąc przewraca kolejne kartki, a umierając zatrzaskuje ją raz na zawsze? Wciąż jednak nie potrafił tego zrozumieć.

Wielki szary szczur skoczył w górę i wbił mu zęby w pierś. Był ciężki, że spadając oderwał mu płat skóry z mostka. Drugi wspinał się na jego ramię. Kolejny, jeszcze cięższy, wbiegł po plecach i usiadł na czubku głowy.

Morton kręcił na wszystkie strony głową, ale szczur wbił mu zęby w skórę i nie mógł się od niego w żaden sposób uwolnić. Za moment inny szczur ugryzł go w górną wargę, kolejny w policzek i po chwili jego twarz pokryła żywa maska śliskiej, powalanej ściekami sierści.

Próbował krzyknąć, ale wąskonosy szczur ugryzł go w język, potem wsadził łeb głęboko w jego usta. Poczł smak wymiotów, ścieków i krwi.

Książka, powiedziała Audrey, i w końcu zrozumiał, co miała myśli.

Czwartek, 24 czerwca, 13.04

Brewster Ridge zaparkował swojego transama tuż przed wejściem do Walhalli, złapał teczkę i wbiegł po schodach prowadzących do frontowych drzwi. Morton go zabije. Wiedział, że Morton go zabije. Przysiękł sobie, że już nigdy nie da Mortonowi okazji do najmniejszego słowa krytyki: z powodu spóźnienia, zbyt optymistycznej wyceny lub pomylenia termitów z kornikami. Morton poskarżył się już na niego dyrektorowi, Leonardowi Braunowi, i dyrektor spojrzał na niego w ten sam sposób, w jaki spojrzał na kolegę Brewstera, Raya Philipa, na tydzień przedtem, zanim Ray przestał wyceniać domy i zajął się kontrolą utensyliów (czyli sprzątnięciem ze stołów w St Andrew Cafe).

Morton nie zamknął drzwi na klucz i to było pocieszające. Brewster nie musiał przynajmniej dzwonić i czekać, aż mu otworzy. Nie podobał mu się poza tym zbyt mocno uchwyty dzwonka: szczerząca zęby bestia z brązu, której strach było wsadzać palce do pyska.

Uchylił drzwi i wszedł do hallu. Pracował w firmie Braun Bannerman dopiero od niespełna roku i nigdy przedtem nie był w Walhalli, ale to i owo o niej słyszał. Dokładny opis domu zamieściła Carole Rifkind w swoim szkicu na temat amerykańskiej architektury rezydencjonalnej, a fotografia południowej elewacji wisiała w gabinecie Leonarda Brauna obok jego oprawnego w ramki dyplomu oraz fotografii wywieszającego jęzor, nieżyjącego już dobermana.

Pan Braun stwierdził, że Brewster powinien asystować Mortonowi podczas inspekcji, „ponieważ nie budują już dzisiaj takich domów jak Walhalla, podobnie jak nie rodzą się już tacy ludzie jak Jack Belias”.

Brewster nie wiedział, co miał na myśli jego szef, w każdym razie nie do końca. Miał dwadzieścia siedem lat, był czarny i bardzo chudy. Wyglądał tak, jak pewnie wyglądałby Eddie Murphy, gdyby nagle spowaźniał i urósł o dziesięć cali. Mógłby zostać wspaniałym koszykarzem, gdyby nie to, że zawsze nienawidził koszykówki. Urodził się i wychował w Poughkeepsie i pamiętał to miasto z czasów, kiedy w nocy można było chodzić bezpiecznie po ulicach. Jego ojciec pracował na kolei i kochał kolej, i właśnie jego sentyment do fizyki i mechaniki spowodował, że Brewster wybrał swój zawód.

Kiedy miał siedem lat, ojciec spytał go, co spadnie na ziemię wcześniej: kula wystrzelona z karabinu czy kula, którą wypuści się z ręki. Odpowiedź brzmiała oczywiście, że obie kule spadną na ziemię jednocześnie. Grawitacja oddziaływała na nie w identyczny sposób, niezależnie od ich horyzontalnej szybkości. Dla siedmioletniego Brewstera było to całkiem oczywiste. Rozejrzał się dokoła. Kiedy pędził wysadzaną dębami aleją, Walhalla wydawała mu się ogromna, ale nie chodziło tylko o to. Cały dom jego ojca mógł się świetnie zmieścić w samym hallu wejściowym i zostałoby jeszcze dużo miejsca. Stąpając po marmurowej podłodze, Brewster słyszał echo własnych kroków. Obrócił się na pięcie. To był naprawdę szczególny dom. Wielki, dostojny i chylący się ku upadkowi. Przywodził na myśl „Obywatela Kane”.

–Jesteś tu, Morton?! – zawołał. Jego głos przetoczył się echem i stopniowo

zmieniał, aż w końcu Brewster miał wrażenie, jakby zawołał coś zupełnie innego.

Brak odpowiedzi wcale go nie zdziwił. Wiedział, jak szybko pracował Morton, maszerując z pokoju do pokoju ze swoim magnetofonem, opukując ściany długopisem, skrobiąc boazerię scyzorykiem i podskakując ciężko w miejscach, gdzie nie podobał mu się parkiet. Prawdopodobnie był już w połowie inspekcji sprawdzał teraz miedziane poszycie dachu na strychu.

Był też prawdopodobnie wściekły na niego za to, że się spóźnił. Ale tym razem Brewster miał na swoją obronę coś, co prawie go usprawiedliwiało. Jego żona Gala zadzwoniła z kliniki żeby powiedzieć, że zaszła w ciążę po dwóch latach starań.

–Morton, to ja, Brewster! Przepraszam za spóźnienie! – krzyknął.

Znowu odpowiedziała mu cisza. Minął długi korytarz i otworzył i do sali balowej. Wszedł do środka i stanął jak wryty rozglądając się dookoła. Widział już kilka wielkich prywatnych rezydencji w Hudson River Valley, ale to było coś zupełnie innego. Tego domu nie zbudowano po prostu po to, by stworzyć sobie komfortową siedzibę. Wzniesiono go, by świadczył wszem i wobec o bogactwie i statusie właściciela. Poczynając od godła w hallu wejściowym i na stratosferycznym suficie sali balowej kończąc, każdy element wystroju zaprojektowany był tak, by wprawić gościa w onieśmienie i unaocznić potęgę tego, kto to zbudował.

Brewsterowi wcale się to nie podobało. Nie lubił domów, które w samym zamierzeniu miały sprawiać niegościnne wrażenie; w dodatku w Walhalli wyczuwał coś agresywnego.

–Morton? – zawołał. – Słuchaj, Morton, naprawdę bardzo mi przykro z powodu spóźnienia! Daj mi po prostu znać, gdzie jesteś!

Minął salę balową i wszedł do biblioteki. Po lewej stronie, tuż przy oknie, podłoga kompletnie się zapadła i w parkiecie ziała potężna dziura, dość duża, żeby zrzucić przez nią na dół całą sofę. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że sufit nad dziurą zapadł się także, tak jakby wyimaginowana sofa naprawdę zleciała do piwnicy z pierwszego piętra. Potrafił sobie wyobrazić minę Mor-tona, kiedy to zobaczył. Jego szef uważał, że sztuka budowania porządnych rezydencji zanikła gdzieś na przełomie stuleci.

Otworzył drzwi biblioteki i wyjrzał na podest drugiej klatki schodowej.

–Morton! – zawołał i echo powtórzyło jego głos. – Morton, to ja, Brewster! Nie chciałem się spóźnić, ale Gala będzie miała dziecko!

Nasłuchiwał przez chwilę, lecz nawet ta wiadomość nie doczekała się odpowiedzi. Pozostało mu tylko jedno: zacząć samemu inspekcję i mieć nadzieję, że natknie się na Mortona w jej trakcie. Przykucnął przy drzwiach biblioteki, otworzył swoją teczkę i wyjął z niej duży notatnik, latarkę i taśmę mierniczą.

Wciąż grzebał w swoich papierach, szukając planów Walhalli, kiedy usłyszał niski bulgot, dochodzący z wielkiej, postrzępionej dziury przy oknie. Przypominał dźwięk, jaki wydaje opróżniająca się cysterna albo nagle odetkany zlew. Brewster wyprostował się i ostrożnie podszedł do skraju dziury, sprawdzając za każdym krokiem solidność klepek. Znał domy, w których całe podłogi zapadały się przy pierwszym kroku, i nie zależało mu, aby dostać się do piwnicy na skróty.

Usłyszał kolejny bulgot. Tym razem jednak wcale nie brzmiał jak opróżniająca się

cysterna, zlew ani w ogóle cokolwiek podobnego. Przypominał rżenie wielkiego, walczącego o oddech zwierzęcia. Brewster na chwilę przystanął. Podłoga pod nim zatrzeszczała złowrogo. Dał jeszcze dwa kroki w stronę dziury. W dół posypały się kawałki mokrego drewna i Brewster o mały włos nie wywinął kozła i nie wpadł do środka.

Pochylając się do przodu, zauważył jakiś majaczący na dole kształt. Coś szarego i zgarbionego, co przypominało założone na manekin, zjedzone przez mole stare futro. Nie mogło to być jednak futro, ponieważ poruszało się i wiło, jakby było żywą istotą. Jezu, szczury. Wysoka na sześć stóp kolumna szczurów.

Ale nie były to same szczury, ponieważ kiedy nagle dwa albo trzy z nich straciły oparcie i spadły w mrok, w opróżnionym miejscu ukazała się na krótki, makabryczny moment szkarłatna od krwi, udręczona ludzka twarz z dwoma pustymi oczodołami i tkwiącym w ustach wielkim brązowym szczurem, który odpychał się tylnymi łapami od podbródka, jakby próbował dostać się głębiej do gardła.

Czwartek, 24 czerwca, 17.54

Po powrocie z wycieczki do domu Vanderbilta Effie i Craig zastali w ogrodzie Waltera van Burena, któremu towarzyszył wysoki Murzyn z poważną twarzą.

Van Buren siedział w cieniu wielkiego dębu, popijając mrożoną herbatę.

–Poinformowano mnie, że wrócić państwo koło szóstej – powiedział, wstając i podając rękę najpierw Effie, a potem Craigowi. – To jest pan Brewster Ridge, jeden z inspektorów firmy Braun Bannerman.

–O co chodzi? – zapytał niecierpliwym tonem Craig.

–Obawiam się, że mamy złe wiadomości – oznajmił ostrożnym tonem pan van Buren.

–Złe? Nie powiecie chyba, że całe fundamenty są przegniłe.

–Nie chodzi o dom, panie Bellman. To znaczy nie bezpośrednio. Dzisiaj po południu, podczas inspekcji prowadzonej przez pana Ridge'a i jego kolegę, pana Walkera, wydarzył się wypadek. Pod panem Walkerem zapadła się podłoga i niestety poniósł śmierć. Powiadomiona została oczywiście policja, ale nie ulega kwestii, że był to tragiczny wypadek.

–Bardzo mi z tego powodu przykro – powiedział Craig, biorąc Effie za rękę. – Niech pan przyjmie nasze kondolencje.

–Dziękuję – odparł Walter van Buren kiwając smętnie głową. – Morton Walker był moim bliskim przyjacielem i pierwszorzędnym inspektorem budowlanym. Będzie nam go bardzo brakowało. – Przerwał i wypił mikroskopijny łyk herbaty. – Przyjechałem, żeby zapytać, czy wciąż nosi się pan z zamiarem kupna Walhalli.

Craig zmarszczył brwi.

–Dlaczego miałbym zmienić zamiar?

–Pomyślałem po prostu, że biorąc pod uwagę okoliczności, ma pan jeszcze szansę się wycofać. Niektórzy ludzie niezbyt chętnie kupują domy, w których doszło do tego rodzaju tragedii.

–Wątpię, czy jest gdzieś jakiś stary dom, w którym nie doszło do tej czy innej tragedii – stwierdził Craig. – Przykro mi z powodu pańskiego przyjaciela, ale to w niczym nie zmienia mojej decyzji. Chcę kupić ten dom. Pod pańskim kolegą zapadła się podłoga? – zapytał, zwracając się do Brewstera. – Gdzie dokładnie?

Brewster przełknął ślinę.

–Dokładnie rzecz biorąc, przeleciał przez trzy kondygnacje. Z korytarza na drugim piętrze do pokoju muzycznego na pierwszym, z pokoju muzycznego do biblioteki na parterze i z biblioteki do piwnicy.

–Jezu – jęknął Craig. – Jakie są uszkodzenia?

–Spadł na nie używaną rurę centralnego ogrzewania. Nadział się na nią. Policja uważa, że tkwił na niej przynajmniej przez dwadzieścia minut, a może nawet dłużej, zanim umarł. Musiał straszliwie cierpieć...

–Tak – przerwał mu Craig, nie starając się w żaden sposób ukryć zniecierpliwienia. – Ale jakich narobił szkód?

–Słucham? Ma pan na myśli dom?

–Jest pan pewien, że zamówił pan odpowiedniego inspektora? – zapytał Craig,

zwracając się do van Burena.

–Firma Braun Bannerman zatrudnia doskonałych inspektorów – odparł lodowatym tonem Walter van Buren. – A pan Ridge należy do najlepszych.

–W porządku, Walt – odezwał się Brewster. – Rozumiem, o co martwi się pan Bellman. – Popatrzył na Effie, która panowała nad sobą resztkami sił. W ostatnich latach wielokrotnie oglądała podobny wyraz na twarzach współpracowników Craiga. Może przyzwyczaiła się już do jego chamstwa, może nauczyła się je ignorować. Może zawsze był taki, i to między innymi czyniło go tak atrakcyjnym. Może miała słabość do brutali. W tym tygodniu Craig kochał się z nią każdego wieczoru i często również rano, z gwałtownością, która ją przerażała, zapierała dech, ale także trochę jej pochlebiała. Obrzucał ją brzydkimi wyrazami, nazywał kurwą, ale kochał się tak, jakby chciał przebić na wylot materac.

Brewster otworzył teczkę i wyjął z niej plan.

–Pan Walker spadł tutaj. Na drugim piętrze, na odcinku około sześćdziesięciu stóp, podłoga jest kompletnie spróchniała i w tym miejscu zmurszałe belki nie zdołały utrzymać jego ciężaru. Spróchniała była także podłoga na piętrze niżej, tutaj pan Walker również wybił dziurę. Podłoga biblioteki, jak pan zapewne sam zauważył, jest mocno przegniła.

–Więc ile będzie kosztowało naprawienie skutków tego upadku? – zapytał Craig.

–Jeśli pan myśli poważnie o kupnie, panie Bellman, to i tak musiałby pan wymienić całą podłogę we wszystkich tych miejscach, a także w wielu innych.

–Ale możliwe jest wycięcie całego próchna, prawda?

–To zależy od tego, jaki objęło obszar, proszę pana. W Walhalli mamy do czynienia z *Merulius lacrymans*, czyli płaczącym grzybem. Przyczyną jego rozprzestrzeniania się jest woda ciekąca przez dziurawy dach. Najpierw na powierzchni drewna pojawiają się białe nitkowate narośla, a potem grzyb wnika głębiej w tkanę, niszczy ją i tworzy grubą czerwonawą warstwę, która jest strukturą reprodukcyjną, owocnikiem, wytwarzającym przypominające czerwonobrazowy proszek zarodniki. Ten proszek mogą roznosić po całym domu insekty, ptaki, szczury, a nawet prądy powietrza. Przede wszystkim trzeba uporać się z przeciekami, potem zaś usunąć całe chore drewno i zastosować środki grzybobójcze.

Craig wpatrywał się we własne buty, kiwając głową. Effie wydawało się przez chwilę, że się podda, że powie, dajmy spokój, zrezygnujmy z tej rudery przeżartej przez próchno i zgniliznę, rudery, w której powybijane są prawie wszystkie szyby i zawałiła się połowa dachu, i w której panuje atmosfera klęski i rozkładu. Nie wspominając już o tym, że nie dalej jak przed kilkoma godzinami zginął w niej jeden z inspektorów budowlanych.

Ale potem Craig podniósł wzrok i wiedziała, że się pomyliła.

–W porządku... – mruknął. – Niech pan mi przedstawi najbardziej pesymistyczny scenariusz, a potem poda cenę.

Walter van Buren dopił do końca swoją mrożoną herbatę.

–Ma pan w sobie prawdziwą pasję, prawda, panie Bellman? – zauważył niemal ze

współczuciem. – Ten dom zahipnotyzował pana, dokładnie tak, jak się tego obawiałem.

–Pasję? – odparł Craig. – To nie jest kwestia pasji, panie van Buren. To kwestia odkrycia, kim się naprawdę jest. Sam pan to powiedział: Walhalla jest bardzo wielkim domem dla bardzo wielkiego człowieka. Myśli pan, że to arogancja? Pozwoli pan, że coś mu powiem: większość ludzi przechodzi przez życie, nie zdając sobie sprawy nawet z piątej części tego, do czego są zdolni. Mają małe myśli, robią małe rzeczy i mieszkają w małych domach. Są mali, panie van Buren, mimo że mogliby być wielcy. Dlatego właśnie tak bardzo chcę mieć Walhallę. To nie tylko dom. To nie tylko miejsce, w którym się mieszka. Walhalla to ja.

Effie obserwowała go, kiedy mówił. Zdziwił ją, ale także wprowadził w zakłopotanie. Przemawiał jednak z taką determinacją, że nie zdając sobie nawet z tego sprawy położyła dłoń na jego rękawie w geście miłości i afirmacji. Czula, jaką ma ciepłą skórę; czula jej zapach. Kochała go.

–Chce pan, żebym dokończył inspekcji? – zapytał Brewster. Craig skinął głową i odparł:

–Pod warunkiem, że nie da pan nurka przez podłogę.

–Pańska uwaga wcale nie jest śmieszna, panie Bellman. Pan Walker był moim kolegą.

–W takim razie może kończąc to, co on zaczął, uczci pan jego pamięć?

Brewster wysunął do przodu podbródek i utkwiał w Craigu nieruchome spojrzenie.

–Zrobię to, panie Bellman – powiedział w końcu. – Może pan być o to spokojny.

Sobota, 26 czerwca, 18.24

–Powinniśmy tam spędzić noc – stwierdził Craig.

Effie odłożyła książkę na bok. Siedziała na łóżku oparta o cztery grube poduszki, sącząc powoli szampana. Na dworze wciąż świeciło słońce, a niebo było błękitne jak porcelanowy talerz. Podciągnęła kołdrę do samych ramion, ale pod spodem była naga. Craig kochał się z nią zaraz po powrocie z obiadu w La Parmigiana w Rhinebeck i jeszcze teraz miała zarumienione policzki i czuła wilgoć między nogami.

–To znaczy gdzie? – zapytała.

–W Walhalli. Po prostu żeby zobaczyć, jak tam jest. Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

–W Walhalli? To przecież ruina! Nie zamierzam tam spędzać nocy!

–Moglibyśmy zabrać dmuchane materace i wziąć kołdrę.

–Nie chcę spać na dmuchanych materacach. Chcę zostać tutaj. Chcę się porządnie wykapać i dostać śniadanie do łóżka.

Craig usiadł na skraju łóżka. Miał na sobie tylko luźno zawiązany kąpielowy szlafrok.

–Daj spokój, Effie, będzie wspaniale. Czas już, żebyśmy przeżyli jakąś przygodę.

–Uwielbiam przygody, Craig, ale noc w walącej się ruderze nie kojarzy mi się wcale z przygodą. Bardziej już z czyścem.

Przyglądał się jej z kamiennym wyrazem twarzy tak długo, że w końcu odwróciła z zakłopotaniem oczy. Nie wiedziała, co ma o nim myśleć. Nie wiedziała, dlaczego wyzywa ją, kiedy się kochają. Nadal nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak silnie pociąga go Walhalla. Bała się jednak złamać zakłęcie. Nie wiedziała, w jakim kierunku zmierzają ich stosunki. Straciła wszelkie poczucie bezpieczeństwa. Nie chciała jednak wracać do smutnych kłótniowych dni, które nastąpiły po „wypadku” Craiga, i z całą pewnością nie zależało jej, żeby znowu recytować: „Dzień dobry, jestem żoną Craiga Bellmana, jak się pani miewa?”

Wolała zabawnego młodego człowieka, który powiedział jej kiedyś: „O, zwierciadło! Ileż razy i godzin, snami zrozpaczona i wspomnień poszukując, co pod twoim lodem są jak liście głęboko wciśnięte pod wodę, widziałam siebie cieniem dalekim, grobowym...”

–Nie – powiedziała. – Za nic w świecie tam nie pojadę. Craig wstał i podniósł rękę, jakby odpędzał zły urok.

–W porządku, nie przejmuj się. To była tylko luźna propozycja. Pomyślałem, że gdybyśmy mogli spędzić tam noc, to...

Nalał sobie szkockiej. Widziała jego twarz w wiszącym nad stolikiem do drinków owalnym lustrze w poślacanej ramie. Nie można było nic z niej wyczytać. Zazwyczaj potrafiła poznać, w jakim jest nastroju, nawet kiedy odwrócony był tyłem, ale dzisiaj nie mówiły jej nic również jego plecy.

–Gdybyśmy mogli spędzić tam noc, to co? – zapytała go po prawie całej minucie.

–Nieważne. Zapomnij o tym.

–Gdybyśmy mogli spędzić tam noc, to co? – zapytała jeszcze raz.

–Powiedziałem: zapomnij o tym, dobrze? Nie chcesz, to nie.

–Nie powiedziałam, że nie chcę, Craig. Powiedziałam tylko, że nie kojarzy mi się to wcale z przygodą.

–Powiedziałaś, że za nic w świecie tam nie pojedziesz, tak właśnie powiedziałaś. Więc zapomnij o tym.

–Boże, jakiś ty uparty!

–A ty zachowujesz się jak prawdziwa dziwka.

–Czy to jedyne słowo, jakie znasz? Dziwka? Co się nagle stało z twoim słownikiem? A jeśli już o to chodzi, co się z tobą w ogóle dzieje? Zakochałeś się w jakiejś starej obrzydliwej ruderze i nie potrafisz uprawiać ze mną seksu, nie wyzywając mnie od najgorszych. Człowiek zginął w wypadku, a ciebie obchodziło to mniej więcej tyle, co Adolfa Hitlera.

Craig uderzył szklanką w blat stolika i obrócił się do niej. Miał wściekłe oczy.

–Mogłem stracić życie w tej drogerii! Tak się składa, że o mało nie zostałem wykastrowany! A teraz znalazłem Walhallę i Walhalla coś dla mnie znaczy. Me pyta], dlaczego. Nieważne. Ja sam nie wiem, kurwa, dlaczego. Ale jest dla mnie wszystkim. Jest mną. Jest tym, czym jestem.

–Och, proszę, oszczędź mi tego drażenia świadomości. Craig zbliżył się do łóżka. Ciemny i groźny, trząsał się ze złości i przez chwilę naprawdę się bała, że ją uderzy.

–Ty mi mówisz o drażeniu świadomości? Ty mi mówisz o drażeniu świadomości? Spędziłaś całe życie w jakiejś głupiej galerii, gapiąc się na niezrozumiałe bohomyzy malowane przez bandę przepłacanych pretensjonalnych dupków, którzy nie potrafią odróżnić jednego końca pędzla od drugiego. I ty mi mówisz...

Effie całkiem niespodziewanie wybuchnęła śmiechem. Zrobiła to pewnie ze strachu. Choć z drugiej strony Craig mógł ją naprawdę rozśmieszyć, ponieważ udało mu się precyzyjnie wyartykułować, dlaczego tak bardzo nudziła ją praca w Verulian Galleries. Wszystkie wystawiane tam obrazy były bohomyzami. Craig miał co do tego absolutną rację. Wisiały tam dziesiątki płócien, namalowanych przez dupków, którzy nie potrafili malować, dla dupków, którzy nie potrafili patrzeć. I im bardziej były niezrozumiałe i im większy miały format, tym wyższą osiągały cenę. Ich najdroższy artysta, Paul Firman, był tak marnym malarzem, że nie potrafił nawet narysować oddechu.

Wybuchnęła śmiechem, bo bała się i była zmartwiona. Ale śmiała się również dlatego, że Craig powiedział coś absolutnie prawdziwego. Po latach mozolnego budowania swojej pozycji, po latach płaszczenia się przed omylnymi egocentrycznymi sędziami i ławnikami, którzy nie potrafili odróżnić zestawienia bilansowego od listy zakupów, po latach targów i kompromisów nareszcie mówił prawdę: mówił, czego chce, naprawdę chce, nie zależnie od ryzyka.

–Co się stało? Z czego się śmiejesz? – zapytał, ale ona nie mogła się powstrzymać i potrząsała tylko głową.

W końcu zaczął śmiać się również, a potem padł na łóżko i wziął ją w ramiona.

–Posłuchaj – powiedział. – Przepraszam. Nie powinienem nazywać cię dziwką. Nie powinienem nigdy nazywać cię dziwką.

Effie otarła oczy skrajem poduszki.

–Może na to zasłużyłam. Może rzeczywiście jestem dziwką Odnalazłeś samego siebie, a ja potrafię tylko dalej narzekać.

Pocałował ją, nie zamykając oczu i przyglądając się jej z bardzo bliskiej odległości.

–Przepraszam. I zapomnij o tym, co powiedziałem wcześniej. O tym, żebyśmy spędzili noc w Walhalli.

Odwzajemniła jego pocałunek.

–Może rzeczywiście jestem dziwką. Może powinniśmy spędzić tam noc. Może powinniśmy tam pojechać i kochać się aż do rana. Pomyśl tylko... noc w tej walącej się, spróchniałej ruderze!

Jego twarz znajdowała się tak blisko, że nie mogła skupić na niej wzroku.

–Naprawdę tego chcesz? – zapytał.

–Jasne... jeśli ty masz ochotę.

–Nie... starasz się po prostu spełnić moją zachciankę.

–Czy kiedykolwiek dotąd spełniałam twoje zachcianki? Usiadł na łóżku.

–Nie wiem... Jasne, że to robiłaś. Ty i ta... Gaby.

–Gaby? – zdziwiła się Effie. – Kto to jest Gaby? Przycisnął kciuk i palec wskazujący do czoła, jakby rozboleła go nagle głowa.

–Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Nie znam nikogo, kto miałby na imię Gaby.

–Z całą pewnością powiedziałeś „Gaby”.

Craig wstał z łóżka, podszedł do stolika i wziął do ręki szklankę.

–Nie wiem. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Nie znam nikogo, kto miałby na imię Gaby.

Gdy Craig brał kąpiel, Effie wypila do końca szampana i przeczytała kilka dalszych stron książki, którą znalazła poprzedniego ranka w bibliotece Cold Spring. Zatytułowana była „Tylko dla bogatych – Jack Belias i Syndykat Grecki” i opowiadała o największych hazardzistach lat dwudziestych: między innymi o Nico Zographosie i Gordonie Selfridge'u z sieci domów towarowych Selfridge'a, a także o producencie samochodów, Andre Citroenie – ludziach, którzy potrafili w ciągu jednej nocy wygrywać miliony franków i w ciągu następnej je tracić. Przede wszystkim jednak książka opowiadała o Jacku Beliasie. Podczas gdy inni hazardziści grali, bo ciągnął ich do tego – jak twierdził Zographos – „silny jak morfina nałóg”, Jack Belias grał, bo chciał rujnować i upokarzać tych, z którymi siadał do stolika.

Dopisywało mu fenomenalne szczęście w bakaracie i któregoś popołudnia w kasynie w Deauville doprowadził Nico Zographosa, który był najbardziej utalentowanym graczem w karty w całej Europie, do skraju bankructwa. Tylko jedna karta uratowała Zographosa od ruiny – dziewiątka karo. Jack Belias wysłał mu potem spinkę z dziewięcioma brylantami – żartobliwy prezent, który miał mu przypominać, jak niewiele brakowało, żeby wszystko stracił. Ale inni gracze nadal tracili, grając z nim, całe fortuny, a kiedy nie mieli już pieniędzy, Jack Belias odbierał wygrane w naturze. Żeby spłacić mu swe karciane długi, Gordon Selfridge musiał kiedyś pożyczyć sto pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów od własnej firmy; kilka dni przed śmiercią Andre Citroena, którego i tak wpędziła w finansowe kłopoty nieudana

premiera jego najnowszego modelu samochodu, Jack Belias ograł go na sześćdziesiąt cztery tysiące funtów, w ośmiu kolejnych rozdaniach wartych osiem tysięcy każde, i zajęło mu to mniej niż dziesięć minut.

W środku książki znajdowała się czarno-biała fotografia Jacka Beliasa. Widać było na niej wysokiego, ponurego mężczyznę w dużym czarnym kapeluszu i długim czarnym palcie, stojącego samotnie na zasypanym piaskiem deptaku. Miał kwadratową twarz o mocno zarysowanej szczęce i podkrążone oczy. Z karnacji przypominał trochę Turka. Opierał się o laskę, jakby za chwilę miał gdzieś wyruszyć.

Podpis brzmiał: Jack Belias w Deauville w roku 1934. Jedyna istniejąca znana fotografia.

–Co tam czytasz? – zapytał Craig, wychodząc z łazienki i wycierając się ręcznikiem.

Effie pokazała mu okładkę.

–To książka o Jacku Beliasie. Znalazłam ją w bibliotece, kiedy byłeś u Waltera van Burena.

Craig usiadł koło niej na łóżku.

–Walter van Buren powiedział, że był z niego wielki hazardzista.

–Zgadza się. Zarobił pierwszy milion dolarów na tekstyliach i potroił go przy karcianym stoliku. Zwykł zakładać się o wszystko i prawie zawsze wygrywał. W ten sposób zarobił pieniądze, żeby zbudować Walhallę. Tylko kłopot w tym, że nikt go zbyt nie lubił.

Craig zerknął na fotografię.

–Hmm. Nie wygląda zbyt sympatycznie, prawda? Ale to dziwne. Wydaje mi się jakiś znajomy. Mam niemal wrażenie, jakbym go gdzieś spotkał.

–Nie sądzę, żebyś miał okazję. Zmarł w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym i piszą tutaj, że to jego jedyna znana fotografia.

–To dość dziwne, nie uważasz?

–Co takiego?

–Można by sądzić, że po kimś takim jak Jack Belias zostaną tysiące fotografii. Prowadził w końcu jedną z największych firm tekstylnych w kraju. Nie powiesz mi chyba, że nigdy nie udzielił wywiadu Fortune albo Business Week i nie zamieścili tam jego zdjęcia. Nie powiesz, że nigdy nie spotykał się ze swoim personelem i nie zrobili mu przy okazji fotki.

–Może nie wyrazili się zbyt precyzyjnie i chodzi o jego jedyne znane zdjęcie z Deauville.

Craig wstał pozwalając, żeby ręcznik zsunął mu się z bioder. Podszedł do komody, wyjął z niej bieliznę i zaczął się ubierać.

–Co tam jeszcze piszą? – zapytał. – Wspominają coś o Wal-halli?

Effie polizła kciuk i zajrzała do indeksu.

–Tak... oczywiście. Strona dwieście dziewięć. „W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym bla-bla-bla Jack Belias wygrał ponad trzysta tysięcy funtów w Deauville, Cannes, Monte Carlo i Cercle Hausmann w Paryżu... Całe te pieniądze przeznaczył na budowę wielkiej neogotyckiej rezydencji na skraju Hudson River

Valley. Nazwał ją Walhalla, od nazwy zamku martwych herosów z nordyckiej legendy, ponieważ, jak twierdził, wygrywając te pieniądze doprowadził do samobójstwa jedenastu bankrutów".

–Nieżyły przyjemniaczek – stwierdził Craig, naciągając džinsy.

–„W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym ożenił się z francuską aktorką, Jeannette Duclos, która po trzech miesiącach zmarła w tajemniczych okolicznościach".

–W jakich tajemniczych okolicznościach?

–Nie piszą tego. Wspominają tylko, że w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym Jack Belias wplątał się w skandal z żoną brytyjskiego finansisty, Douglasa Broughtona, i pod koniec tego roku zniknął. Jego porzucony samochód znaleziono niedaleko Bear Mountain Bridge i uznano, że odebrał sobie życie, topiąc się w Hudson River.

–Nie mówi nam to zbyt wiele, prawda?

–Ta książka opowiada głównie o jego karierze hazardzisty. Na pewno jednak pisali o nim i inni autorzy.

Craig zapiął guziki swojej niebieskiej koszuli w kratę i włożył granatowy sweter. Włosy sterczały mu nad czołem jak małemu chłopcu.

–Myślałam, że jedziemy dziś wieczorem zjeść coś w Le Pavil-lon – powiedziała Effie. – Nie wybierasz się tam chyba w tym stroju?

–Uzgodniliśmy przecież, że spędzimy noc w Walhalli. Możemy kupić po drodze pizzę.

–Więc mówiłeś serio?

–Oczywiście, że mówiłem serio. Będziemy tam mieszkać. Wydamy na ten dom większość naszych pieniędzy. W gruncie rzeczy wydamy prawdopodobnie wszystkie nasze pieniądze. Chcę zobaczyć, jak się tam żyje.

Effie zamknęła książkę i podciągnęła kołdrę pod brodę. Craig wziął ją w ramiona, przysunął do siebie i pocałował w czoło i włosy. Chciał dotknąć jej piersi, ale zasłoniła się rękoma.

–Co to, zrobiłaś się nieśmiała? – zażartował.

Siadł w jednym z pokrytych ałtarem foteli i obserwował, jak się ubiera. Wcale jej się to nie podobało – sposób, w jaki przyglądał się, gdy wkładała białe koronkowe figi i zapinała biustonosz – nic jednak nie mówiła, wiedziała bowiem, że na pewno go to zdenerwuje. Poza tym to chyba nic złego, jeśli mąż nadal chce oglądać żonę po wszystkich spędzonych z nią wspólnie latach. Zapięła džinsy od Calvina Kleina i włożyła obcisły kremowy sweterek Paula Levy'ego. Kiedy czesała włosy szczotką, uniosły się w górę naładowane elektrycznością i zaświeciły w marmoladowym słońcu.

Obróciła się na pięcie, spodziewając się, że Craig powie jej komplement, ale on uśmiechnął się tylko i chrząknął, jakby przyszedł mu do głowy jakiś sprośny żart. Mimo to przeszła przez pokój i pocałowała go, a on zrewanżował się w bardzo odmierzony, rozważny sposób, niczym kiper próbujący wino.

–Skąd weźmiemy dmuchany materac? – zapytała go.

–Zapytam Normana. Wygląda mi na faceta, który wie, gdzie można znaleźć dmuchany materac. Wygląda na faceta, który wie, gdzie można znaleźć wszystko, co się dmucha.

–Masz jego numer?

–Oczywiście. Mieszka ze swoją mamą nad Hungry Moon – odparł Craig, przerzucając kartki lokalnej książki telefonicznej. – Pojechał wczoraj do Walhalli z paroma swymi kumplami z branży budowlanej. Mają mi powiedzieć, ile będzie kosztowało położenie dachu. Kiedy już go naprawimy, reszta pójdzie jak po maśle. Wycięcie próchna, ułożenie parkietów, otynkowanie sufitów. Jak po maśle. Pod warunkiem, że będziemy cierpliwi i systematyczni.

–Naprawdę chcesz sprzedać swój udział w kancelarii Fishera i Bellmana?

–Naprawdę myślisz, że mógłbym tam wrócić? „Wysoki Sądzie, mój klient od pięciu pokoleń handluje ngapi. Z danych medycznych wynika, że w ciągu ostatnich czterdziestu siedmiu lat nikt w Stanach Zjednoczonych nie zmarł ani nie zachorował w wyniku spożycia ngapi. Dlaczego zatem Federalny Urząd Leków i Żywności podjął obecnie kroki w celu zakazania jego sprzedaży? To w końcu tylko na pół zgniła pasta z krewetek”.

–Ale co będziesz robił? – zapytała Effie. Ponownie ją pocałował.

–Zacznę ryzykować. Zostanę hazardzistą. Będę ryzykował codziennie, każdego dnia. Dokładnie rzecz biorąc, zamierzam żyć tak, jak nie żyłem nigdy dotąd. Kiedy skończę, Walhalla okaże się dla mnie o wiele za mała.

–Nie mówisz chyba o grach hazardowych? O ruletce, pokerze czy tego rodzaju rzeczach?

–Dlaczego nie? Ale są gry o wiele od nich ciekawsze.

–Na przykład?

Spojrzał na nią. Jego oczy były ciemne, dokładnie takie same jak oczy Jacka Beliasa, kiedy stał na deptaku w Deauville, mając za plecami powiewającą w oddali flagę i zamazaną postać małej dziewczynki. Mała dziewczynka, jeśli w ogóle jeszcze żyła, była dzisiaj starszą panią, ale co pozostało po plaży w Deauville, po fladze i po samym Jacku Beliasie? Jego lincoln zephyr coupe, zaparkowany przy Bear Mountain Bridge, z gasnącymi światłami i otwartymi drzwiami od strony kierowcy?

–Walhalla będzie nas kosztowała fortunę – powiedziała Effie. – Nie możemy jej odbudować, licząc tylko... na łut szczęścia albo czymkolwiek jest to, co zamierzasz robić.

–Szczęście dopisało mi już tamtej nocy w drogerii K-Plus. Mogli mnie przecież zabić. Nie zrobili tego jednak. Wysłali mnie tu, żebym wrócił do zdrowia. Wysłali mnie do Walhalli, czyż nie? Do zamku zmarłych bohaterów. Tutaj odkryłem samego siebie i to jest wszystko, na czym mi zależy.

–A ja? Czy nie troszczysz się o mnie?

–Czy koi troszczą się o wodę? Pocałowała go w świeżo umyte włosy.

–Koi? Te japońskie ryby? Chyba się troszczą.

Ale potem pomyślała: nie, prawdopodobnie wcale się nie troszczą. Przynajmniej w nie większym stopniu, w jakim ptaki troszczą się o powietrze. Koi uważają wodę za

coś oczywistego, tak samo jak ptaki uważają za coś oczywistego powietrze i tak samo, jak Craig uważał za coś oczywistego jej obecność. Potrzebował jej. Nie mógł bez niej żyć i nie mógł oddychać. Ale bycie potrzebną to nie to samo, co bycie kochaną.

Craig wykręcił numer Hungry Moon. Effie siedziała dość blisko, żeby usłyszeć dźwięczny głos, który odezwał się w słuchawce.

–Hungry Moon... sklep ze zdrową żywnością. Craig spojrzał na Effie i wyszczerzył zęby.

–Pani musi być matką Normana...

–Tu Hungry Moon. Kto mówi?

–Przepraszam. Nazywam się Craig Bellman. Norman być może o mnie wspominał. Moja żona i ja jesteśmy tą parą, która myśli o kupnie Walhalli.

–Rozumiem. Tak. Norman wspomniał, że ktoś jest nią zainteresowany. – Głos w słuchawce był tak samo dźwięczny, ale pojawiły się w nim nutki podejrzliwości.

–Czy zastałem Normana? Chodzi o to, że chciałem pożyczyć dmuchany materac, łóżko polowe, materac z gąbki albo coś w tym rodzaju.

–Co pan chce pożyczyć?

–Dmuchany materac. Albo polowe łóżko. Albo po prostu dwa śpiwory. Moja żona i ja zamierzamy spędzić tam noc... rozumie pani, żeby poczuć atmosferę... i zastanawialiśmy się, czy...

–Zamierzacie spędzić noc w Walhalli? – Słyszając podniesiony głos Pepper Moriarty, Effie poczuła, jak ciarki przechodzą jej po karku, zupełnie jakby ktoś oblał jej głowę dopiero co otwartym tonikiem.

–Właśnie – odparł Craig tonem nonszalanckiego samca, mrugając do Effie.

–Po wszystkim, co się tam wydarzyło, zamierzacie spędzić noc w Walhalli?

–Nie wiem, co pani ma myśli, mówiąc o „wszystkim, co się tam wydarzyło”, pani Moriarty, i nie sądzę, żebym miał to ochotę wiedzieć. Norman zdradził mi, że pani zdaniem Walhalla posiada

niekonwencjonalne fluidy, ale myślę, że nie ma się czym przejmować.

–Niekonwencjonalne fluidy? Pan jest adwokatem?

–Tak się składa, że jestem.

–W takim razie niech pan posłucha tego, co powiem, Panie Adwokacie. Byłam w Walhalli, wiem, co jest z nią nie tak, i na pewno nie są to „niekonwencjonalne fluidy”. Mamy tam do czynienia z wybitnie niekorzystnymi wibracjami psychicznymi. Walhalla nie jest odpowiednim miejscem, żebyście spędzali tam noc... ani wy, ani ktokolwiek inny.

–Wiem, co pani sądzi o Walhalli, pani Moriarty, mówił nam o tym Norman – powiedział Craig, przybierając swój cierpliwy prawniczy ton. – Ale osobiście nie bardzo wierzę w to, co pani nazywa psychicznymi wibracjami. I naprawdę byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zachowała pani swoje poglądy dla siebie, bo inaczej moglibyśmy mieć kłopoty z wynajęciem robotników, personelu i w ogóle kogokolwiek, kto nie bałby się pracować w domu, w którym straszy. Zakładam bowiem, że o tym właśnie mówimy? O domu, w którym straszy?

–Pójdę poszukać Normana – oznajmiła oschle Pepper Moriarty. – Niech pan się nie rozłącza. Albo niech pan się rozłączy, jeśli nie stać pana, żeby trochę poczekać.

–Stać mnie na Walhallę, pani Moriarty.

–W takim razie stać pana również, żeby poczekać chwilę przy telefonie, nieprawdaż?

Sobota, 26 czerwca, 22.28

Kiedy przyjechali do Walhalli, Norman już na nich czekał. Ubrany w czerwoną koszulę w kratę i czarny podkoszulek z wizerunkiem Kurta Cobaina, siedział rozparty na prawym siedzeniu swojego dodge'a chargera, zjadając hamburgera z kumquatami.

–Brązowy i pomarańczowy to komplementarne kolory – mruknął, widząc pełen dezaprobaty wzrok Effie.

–Mógłbyś zjeść tego hamburgera z serem. Też jest prawie pomarańczowy – odparła marszcząc nos.

–Nie wiem. To wszystko ma coś wspólnego z karmą. Nie można jeść mięsa domowego zwierzęcia razem ze zsiadłym mlekiem innego domowego zwierzęcia. Trzeba dobrać coś nieożywionego i odległego. Coś, co pochodzi z bardzo daleka i nie potrafi odszczekiwać.

–To całkiem niegłupie – oświadczył Craig, klepiąc go po plecach. – Nigdy nie słyszałem o kumquacie, który by odszczekiwał. Ale też nigdy nie słyszałem, żeby zrobił to jakiś hamburger.

–Widać, że nigdy nie był pan w McDonalddie – stwierdził Norman. Złożył starannie serwetkę i wepchnął ją do schowka na rękawiczki, a potem wyskoczył z samochodu, przeciągnął się i otrząsnął jak pies. – Co za dzień! Razem z dwoma facetami remontowaliśmy dzisiaj holenderską stodołę w Nelsonville. Wymieniliśmy okap i zawiesiliśmy nowe drzwi, wszystko w jedno popołudnie. Zbudowali ją w tysiąc siedemset siedemdziesiątym piątym, rok przed ogłoszeniem Deklaracji Niepodległości. Wiedzano wtedy, jak budować stodoły. Założę się, że postoi jeszcze kolejnych dwieście lat.

–O ile? – zapytał Craig.

–Co o ile?

–O ile się ze mną założysz?

Norman spojrzał na niego podejrzliwie zza swoich długich włosów.

–Jakie to ma znaczenie? Nawet jeśli pan wygra, nie będzie pan mógł odebrać pieniędzy.

–O to też chcesz się założyć?

Norman otworzył bagażnik chargera i wyjął z niego duży materac, zrolowany i związany sizalowym sznurkiem.

–Mam nadzieję, że się przyda. Nie znalazłem niczego więcej. Należał kiedyś do Wavy'ego Gravy'ego, ale mama go wyprąła.

–Mnie wydaje się w porządku – stwierdziła Effie. Materac pachniał ziołami i kwiatami. Pepper Moriarty trzymała go pewnie na zapleczu sklepu. Norman wniósł go po schodach, przechodząc obok posągu bezgłowej kobiety.

Ciemnogrnatowe niebo połyskiwało jak lapis-lazuli i od horyzontu do horyzontu skrzyły się na nim miliony gwiazd. To była jedna z tych rzeczy, których brakowało Effie, kiedy mieszkała w mieście. Gwiazdy nadawały nocy głębię i poczucie beczasowości. Pomyślała, że ogląda je takimi, jakimi były tysiące lat temu. Pewnie jakieś istoty daleko w kosmosie mogą, jeśli mają dość silne teleskopy, oglądać

Ziemię i widzieć małą Effie, która wspina się po schodkach Red Oaks Inn, trzymając za rękę ojca. Będą mogli ją oglądać za sto i dwieście lat, kiedy od dawna będzie spoczywała obok swoich rodziców na cmentarzu w Cold Spring.

Jeśli ktoś w najdalszych zakątkach galaktyki wciąż widzi cię roztańczoną i roześmianą, jak możesz w ogóle umrzeć?

–Na co tak patrzysz? – zapytał Craig.

–Na gwiazdy. Zobacz, gwiazdozbiór Smoka, Draco... a tam jest Ursa Minor, Mała Niedźwiedzica.

Craig wziął ją pod łokieć i poprowadził w stronę domu.

–Zawsze miałaś romantyczne usposobienie, prawda? – powiedział.

Ale ona myślała tylko o tym, że ciemna bryła Walhalli zasłoniła jej całkowicie cały nieboskłon. Czuła ciągnący od niej chłód i kwaśną wilgoć, a kiedy Craig przekręcił klucz w zamku, odczuła również jej niegościnną atmosferę. W ciemnościach łypał na nią metalowym okiem wilczy uchwyt dzwonka i przypomniawszy sobie, co powiedział o nim Norman: że odgryzie ci rękę, jeśli zadzwonisz i nie jesteś mile widziany. Miała wrażenie, że prawie w to wierzy.

Norman odgarnął do tyłu włosy i wszedł za nimi do pogrążonego w mroku hallu.

–Mojej mamie nie podobało się zbytnio to, co powiedział pan o wibracjach psychicznych.

–Naprawdę? – mruknął Craig z widocznym brakiem zainteresowania.

–Powiedziała, że ludzie, którzy nie potrafią wyczuć wibracji psychicznych, cierpią na umysłową gangrenę. Tak jakby jakiś fragment ich świadomości obumarł, zaczął gnąć i wydzielał bardzo nieprzyjemny zapach.

Craig odwrócił się i zmierzył go wzrokiem. Norman zaszurał najpierw jedną, potem drugą nogą, zdradzając wyraźne oznaki zakłopotania.

–Tak powiedziała twoja mama?

–Ma zwyczaj mówić, co myśli, prosto z mostu.

–Może powinna zachować swoje myśli dla siebie.

–Daj spokój, człowieku, przecież to moja mama. Ma prawo wyrażać swoje opinie. Poza tym może mieć rację.

–I pożyczyla nam materac, na którym spał Wavy Gravy? Norman wzruszył ramionami, a potem krzywo się uśmiechnął.

–Domyślam się, że w ten sposób również wyraziła swoją opinię – dodał Craig.

–Uspokójcie się, na litość boską! – przerwała im Effie. – Gdzie będziemy spać? Nie myślałam, że to miejsce będzie w nocy takie odstręczające.

Craig zatrzymał się pośrodku hallu i rozejrzył dookoła. Przez powybijane okna sączyło się przypominające mrożone mleko światło gwiazd. Stał na środku marmurowej posadzki, wysoki, ciemny i poważny. Effie domyślała się, że stara się doświadczyć tego samego uczucia, które Walhalla dała mu już przedtem: uczucia, że tutaj należy, że ten dom nie tylko stanie się jego własnością, ale że jest w jakiś sposób nim samym.

–To będzie wspaniała rezydencja – powiedział Craig i echo odbiło zewsząd jego głos. – Potrafisz to sobie wyobrazić? Żyrandole, polerowane marmury, muzyka...

–A także izolacja – odparła Effie.

–O czym ty mówisz, jaka izolacja? Będziemy wydawać przyjęcia w każdy weekend!

–Tak? Ciekawe, skąd weźmiemy na nie pieniądze.

–Istnieje parę karcianych gier. Można wygrać trochę tu, trochę tam. Powinno wystarczyć na drobne wydatki.

Effie nie wierzyła własnym uszom.

–Istnieje parę karcianych gier? Nabijasz się ze mnie, czy co? Chcesz zapraszać tutaj przyjaciół i ogrywać ich w pokera?

–Ludzie uwielbiają hazard, Effie. Zwłaszcza ci, którzy mają masę forsy. Będziemy sławni, bogaci i nie będziemy musieli się nikomu spowiadać.

–O czym ty, do diabła, mówisz? Nie potrafię nawet zrozumieć tego, o czym mówisz! Zabierz mnie z powrotem do Pig Hill, naprawdę mi się tu nie podoba!

Craig obrócił się i ruszył w jej stronę. Podeszwy jego butów zachrząściły po piasku, którym pokryta była marmurowa posadzka. Położył dłonie na jej ramionach i popatrzył jej prosto w oczy.

–Effie... jeśli mnie kochasz, spróbuj polubić to miejsce. To jest miejsce, do którego należę. To jest dom, którego zawsze pragnąłem. To jest dom, którego zawsze potrzebowałem.

–Ale on mi się po prostu nie podoba. Poza tym jest niebezpieczny. Przypomnij sobie, co stało się z tym inspektorem.

–Och, Effie – powiedział i poczuła na twarzy ciepło jego oddechu. Jego bliskość nie wiadomo dlaczego zaczęła ją niepokoić. – Czujesz się po prostu zmęczona, to wszystko. Będziemy się trzymać z daleka od biblioteki i w ogóle od tej części, gdzie jest zmurszała podłoga. Najlepiej będzie, jeśli pójdziemy od razu na górę, do sypialni i uwijemy sobie ciepłe gniazdko. – Sięgnął do kieszeni i wyjął talię kart. – Zobacz, co ze sobą zabrałem. Możemy trochę poćwiczyć.

–Czasami zupełnie nie wiem, kim jesteś – stwierdziła Effie. Nie miała pojęcia, czy ma się wściekać i denerwować, czy roześmiać i przyznać do klęski. Ale Craig pogładził ją po czole, dotykając włosów, a potem pocałował, więc podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

–No dobrze – powiedziała z ociąganiem. – Może to będzie nawet miłe.

–Jeśli poczujecie się dzięki temu raźniej, mogę zostać razem z wami – odezwał się Norman. – Zawsze chciałem spędzić noc w domu, w którym straszy.

Craig odwrócił się w jego stronę.

–Bez względu na to, co mówi twoja matka, Norman, w tym domu nie straszy. Przecieka dach, próchnieją podłogi, ale nie ma tu żadnych duchów.

–Jak pan sobie życzy, szefie. Mimo to jednak chciałbym tu zostać. Miałbym trochę czasu, żeby się rozejrzeć i porobić wstępne obliczenia. Ten dach wymaga poważnej naprawy.

–No nie wiem... – odparł Craig. – To miała być randka we dwoje. Tylko pani Bellman i ja.

–Dajcie spokój, nie będę wam wchodził w paradę. Muszę porobić trochę

pomiarów, popukać tu i tam, i pobiegać po schodach, ale poza tym nie będziecie w ogóle wiedzieli, że tu jestem.

–Co na ten temat myślisz? – zapytał Craig, zwracając się do Effie.

–Chyba nie mamy się czego obawiać ze strony dzieciaka z wizerunkiem Kurta Cobaina na podkoszulku, nie sądzisz?

–Nie jestem taki pewien. Nie ufam nikomu, kto uprawia kult zmarłych.

–Bądźcie choć przez chwilę poważni – upomniał ich Norman. – W nocy domy są inne. W ciągu dnia pokazują się, jeśli można tak powiedzieć, wyłącznie z dobrej strony. W nocy ujawniają swoje sekrety. Ich wszystkie zgrzyty i trzaski to złe wspomnienia. Kiedy mam pracować w jakimś domu, zawsze przeprowadzam nocną inspekcję. Dobrze jest działać z zaskoczenia. Dom nie ma pojęcia, że się go sprawdza, i zdziwilibyście się, co można wtedy odkryć. Na przykład skrzypiącą podłogę, która w dzień w ogóle nie skrzypi. Albo plamę wilgoci, niewidoczną w dziennym świetle.

Effie dyskretnie pocałowała Craiga w usta. Jego wargi były bardzo chłodne, jakby przyciskał je przez dłuższą chwilę do zimnej szyby.

–Norman może zostać – powiedziała.

–W porządku. Ale patrz pod nogi, Norman. Nie chcę, żebyś dał z siebie zrobić szaszłyk, tak jak ten inspektor.

–Czy mógłby pan nie mówić nic o szaszłyku? – poprosił Norman. Jego połyskujące za okularami oczy wydawały się wielkie i zażawione. – Morton był naszym przyjacielem. Rozumie pan, moim i mojej mamy.

Craig odchrząknął.

–Przepraszam – powiedział, ale widać było, że nie mówi tego szczerze.

Wspięli się po stopniach z lewej strony. Podstopnice zatrzeszczały i usłyszeli, jak naprężają się kliny, ale generalnie rzecz biorąc schody były bardzo solidne. Światło z latarki Normana igrało między ich nogami i rzucało chybotliwe, zgarbione cienie na ściany.

–Dobrze, że mamy lato – zauważył Norman, oświetlając hali na dole. – Inaczej byłoby tu zimno jak w psiarni.

–Teraz też nie jest zbyt ciepło – stwierdziła Effie. Wyczuwała wokół siebie straszliwą martwość: szczątki wspomnień, które wtopiły się stopniowo w podłogę i utkwily w szczelinach, słów, które obróciły się w proch i pył. Dotarli na podest pierwszego pietra i Craig pchnął podwójne drzwi, które otworzyły się cicho, ukazując wysłany czerwonym dywanem mroczny przedpokój z pojedynczym, leżącym na boku krzesłem. Kiedyś musiały tu stać miękkie sofy, a na ścianach wisiały lustra. Wciąż widać było dziury po śrubach, którymi je zamocowano. Norman przesunął światłem latarki po podłodze i suficie, a potem ukośnie po ścianach.

–Ta część domu jest w całkiem dobrym stanie – powiedział. – Koszty nie będą tutaj zbyt duże: farby, tapety, dywany, to wszystko. Możecie to zostawić na sam koniec.

W ścianie naprzeciwko znajdowało się dwoje drzwi: po prawej stronie pojedyncze, które prowadziły na korytarz obiegający całe pierwsze piętro Walhalli, po lewej

podwójne dębowe, które choć poplamione i porysowane, zachowały się w bardzo dobrym stanie. Effie podeszła i dotknęła ich opuszkami palców. Pokrywały je misterne płaskorzeźby przedstawiające róże, wrzośce i lilie oraz zakapturzone twarze kobiet z zamkniętymi oczyma, wszystkie co do jednej z zamkniętymi oczyma. Nad głowami kobiet wyryte były chmury i fruujące kruki, wysokie jak na drzeworytach Dürera.

–To takie dziwne – szepnęła Effie. Czowała, jak ogarnia ją fascynacja. Płaskorzeźba miała alegoryczny charakter, podobnie jak witraż pod drugiej stronie domu: była zagadką, ale również wyjaśnieniem, jeśli tylko ktoś wiedział, co należy wyjaśnić.

–One nie są martwe, te kobiety, bo przecież stoją... ale dlaczego mają zamknięte oczy?

–Popatrz na to – dodał Craig, podchodząc z tyłu i pochylając się ku drzwiom. – Jest tutaj odwrócony plecami mężczyzna, tak samo jak na tamtym witrażu... a także wieża z flagami. I spójrz na te napisy.

Na flagach wyryte były starannym szeryfowym pismem słowa:

Samvi, Sansavi, Semangelaf

Norman przyglądał się z bliska płaskorzeźbie, założywszy na czoło okulary, żeby lepiej widzieć.

–Te drzwi są naprawdę niesamowite. Nie udałoby się ich dzisiaj odtworzyć. Gdzie byśmy znaleźli takich rzemieślników? Spójrzcie tylko na te kobiety. Człowiek gotów jest uwierzyć, że żyją i oddychają. Gotów jest uwierzyć, że za chwilę otworzą oczy i krzykną na ciebie.

–Przestań – upomniała go Effie. – I tak już przechodzą mnie ciarki. Jeśli pomyślę choć przez moment, że naprawdę otworzą oczy...

Craig postukał nagle mocno kłykiem w grzbiet nosa jednej z kobiet.

–Zadowolony? – zapytał Normana na pół wesoło, na pół agresywnie. – Co ci mówiłem przedtem? Ani słowa więcej o duchach.

Effie kusilo, żeby opowiedzieć im o płaczu, który słyszała w pokoju z błękitnym dywanem.

–Możesz uważać, że tu nie straszy, ale... – zaczęła i w tej samej chwili usłyszała wyraźnie, jak ktoś wstrzymuje oddech – jakaś kobieta – i urwała w połowie zdania. Ani Craig, ani Norman nie sprawiali jednak wrażenia, że coś usłyszeli, i nadal zachowywali się, jakby nic się nie stało.

–Można odnieść takie wrażenie, przyznaję – powiedział Craig, biorąc Effie pod ramię. – Ale duchów nie ma. Istnieją tylko w naszej wyobraźni.

–Cieszy mnie, że jest pan tego taki pewien – mruknął Norman.

Craig przekręcił klamki podwójnych drzwi i otworzył je. Weszli do głównej sypialni, olbrzymiego pokoju z sięgającymi podłogi oknami, z których roztaczał się widok na ogród, w tej chwili, w nocy, atramentowoczarny. Nad ich głowami wznosił się sklepiony sufit, w którym tkwiły małe świetliki. Na umieszczonym na nim plafonie namalowane były fruujące anioły z ogromnymi pierzastymi skrzydłami, nurkujące w dół kormorany, żółte papugi i przypominające pozygzakowane bransolety jadowite kobry.

Norman wodził latarką po całym malowidle i Effie zobaczyła owocowy sad, kwitnące winorośle i las, w którym między drzewami rosły jasnokremowe lilie. W lesie stał odwrócony tyłem nagi mężczyzna i odziana w czarny habit mniszka z zamkniętymi oczyma.

–Moja mama uważa, że to Rajski Ogród – powiedział Norman.

Craig obszedł dookoła pokój, zadzierając głowę. Czas i brud upstrzył cętkami świeże kolory i zepsuł jabłka z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego. Przy bliższej inspekcji okazało się jednak, że wrażenie rozkładu nie wynika tylko z działania czasu. Między liliami namalowano kłujące osty, strumyki zarośnięte były zielskiem, a wiele drzew toczył grzyb. Jeśli to miał być Rajski Ogród, z całą pewnością był to Ogród po Upadku.

–Oczyszczenie tego nie powinno zająć dużo czasu – stwierdził Craig. – Wiesz może, kto to namalował?

–Lokalny artysta, Ruden McCane. Robił okładki do Collier's i Womaris Home Companion. Był dość znany. Ale Jack Belias mógł zaangażować każdego. Stać go

było nawet na Normana Rockwella. Albo Maxfielda Parrisha. Albo nawet Magritte'a.

–Podoba mi się to – powiedział Craig, kiwając z entuzjazmem głową. – Naprawdę mi się podoba. A tobie, kochanie?

Na podłodze nie było dywanu, ale leżała na niej warstwa grubego brązowego filcu ze śladami po nogach łóżka Jacka Beliasa. Musiało być olbrzymie: prawie dwadzieścia na dwanaście stóp.

–Wyobrażasz sobie, jakie miał wielkie prześcieradła? – zapytała Effie.

–Wyobrażasz sobie, ile mógł mieć jednocześnie kobiet w tym łóżku? – odpowiedział Craig.

–Myślisz tylko o seksie...

Objął ją ramieniem i uściśnił mocniej, niż mogło jej się to spodobać.

–Chyba się nie skarżysz? – zapytał. – Co z tym piknikiem? – dodał po chwili. – Umieram z głodu. Przyłączysz się do nas, Norman?

–Oczywiście – odparł Norman. Craig rzucił mu kluczyki do samochodu.

–Skoro masz zamiar się przyłączyć, przynieś kosz i lampy – powiedział.

Norman złapał jednym palcem kluczyki i przez moment Effie myślała, że odmówi, ale on wyszczerzył tylko zęby w uśmiechu, powiedział: „...proszę” i wyszedł.

Rozwinęli materac pośrodku pokoju i postawili w jego rogach cztery lampy ciśnieniowe. Craig rozłożył na podłodze wodoszczelną płachtę i duży pled z samochodu, a Effie otworzyła piknikowy kosz, który dostali w Pig Hill Inn, razem z talerzami, kieliszkami, srebrnymi sztućcami i serwetkami w czerwonej kratę. W koszu był pieczony kurczak, sałatka pomidorowa i świeży kolonialny chleb, nadziewany orzechami leszczyny i skórkami owoców. Craig otworzył schłodzonego lansona, którego trzymał w plastikowym opakowaniu.

–Życ, nie umierać – stwierdził Norman, siadając po turecku na podłodze i odgarniając do tyłu włosy. – Poczekajcie, aż wszystko się wyremontuje. Nie poznacie tego miejsca.

Jego chybotający się na ścianie wielki cień przypominał cień czarownicy albo zakapturzonej mniszki.

–W jaki sposób stałeś się takim ekspertem od starych domów? – zapytał Craig, żeby nawiązać rozmowę.

Norman wzruszył ramionami.

–Tak naprawdę wcale nie jestem żadnym ekspertem. Uczyłem się przez rok w szkole sztuk pięknych w Nowym Jorku, ale nigdy nie rysowałem zbyt dobrze i odszedłem. To znaczy rysuję lepiej niż Picasso, ale kto tego nie potrafi? Potem przez trzy lata studiowałem architekturę na SUNY w Albany. Myślałem, że zostanę Frankiem Lloydem Wrightem drugim, ale nie miałem głowy do tej całej matematyki. Nie potrafiłem sobie nijak poradzić ze współczynnikami intensywności naprężeń i liczeniem obciążenia ścian nośnych, miałem jednak prawdziwą słabość do starych, zabytkowych domów. Chciałem je odnawiać i czułem szacunek dla ludzi, którzy je zbudowali. Zacząłem więc pomagać miejscowym cieślom, rzemieślnikom, którzy byli przyjaciółmi mojej mamy, brodatym facetom, którzy znali się na takich rzeczach jak dwuspadowy dach, poszycie warstwowe i boniowanie.

Wziął do ręki kieliszek szampana i podziękował, ale nie wypił go od razu.

–Jestem chyba bardziej kimś w rodzaju menedżera, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Potrafię zorganizować ludzi. Ale odbudowa tego domu to moje marzenie. Kiedy przyjeżdżaliśmy tu czasem na piknik, moja mama i ja, przyglądałem się Walhalli i zastanawiałem, jak wyglądała, kiedy była nowa i w dobrym stanie, z błyszczącym, krytym miedzią dachem i powiewającymi wysoko proporcami.

Craig usiadł obok Normana. W świetle palących się tuż przy podłodze lamp ciśnieniowych jego twarz wydawała się dziwnie zniekształcona: jakby miał większy niż normalnie nos i podpuchnięte oczy.

–Walhalla będzie znowu tak wyglądać – powiedział.

–Aha... – mruknął chłopak. – Zapomniałem panu powiedzieć, że znalazłem faceta od okien. Szklarza z Kingston. To stary fachman, robił witraże w kościołach i takie rzeczy. Pokazałem mu plany i jest pewien, że potrafi odtworzyć te stare okna. Umie robić szyby okienne tradycyjną metodą. Wydmuchuje się szkło w wielki cylinder i tnie, jednak zawsze zostaje coś, co nazywają bulionem, takie zgrubienie pośrodku. Ale tu, w Walhalli, nie mieli oczywiście bulionów, rezydencja jest zbyt luksusowa. Dawno temu po tym można było poznać, że ktoś nie śmierdzi groszem... po tym, że miał w oknach buliony razem z gładkimi taflami.

Craig poklepał go po ramieniu.

–Nie przejmuj się – powiedział. – Odbudujemy wszystko dokładnie tak, jak było. I cieszę się, że znalazłeś tego szklarza.

Niedziela, 27 czerwca, 1.58

Wypili już trzy butelki szampana i Effie zaczynało kręcić się w głowie. Dałaby chętnie sto dolarów, żeby znaleźć się z powrotem w swoim łóżku w Pig Hill Inn, ale Craig i Norman wciąż gadali jak najęci. Przez ponad dwie godziny grali w karty, z zapalem zupełnie niewspółmiernym do stawek, które nie przekraczały pięciu i dziesięciu centów. Grając snuli wspaniałe plany odtworzenia całej rzeźbionej boazerii i mozaikowych dębowych parkietów. Dyskutowali na temat ogrodów i kortów tenisowych i zastanawiali się, kto mógłby zająć się rekultywacją terenu.

W końcu jednak Normanowi skończyły się wszystkie drobne, a potem wyczerpali temat odbudowy Walhalli i dopili w milczeniu resztki szampana. Effie zauważyła, że między Craigiem i Normanem powstała dziwna więź. Nie lubili się wzajemnie i każdy z nich kompletnie lekceważył wartości wyznawane przez drugiego, jednak entuzjazm, z jakim obaj traktowali dzieło odbudowy Walhalli, był tak wielki, że osiągnęli coś w rodzaju skomplikowanego kompromisu.

Cyfrowy zegarek Normana wydzwonił godzinę.

–Nie sądzicie, że czas już się położyć? – zapytała Effie.

–Najpierw chcę się tu trochę pokręcić – stwierdził Norman. – Trochę posłuchać. Nie macie pojęcia, ile rzeczy można powiedzieć o domu, kiedy człowiek dobrze się w niego wsłucha.

–A ty, Craig? Co chcesz robić? Craig rozejrzał się dookoła.

–Nie wiem. Nie chce mi się jeszcze spać. To miejsce ma w sobie coś takiego...

–Może będziemy opowiadać sobie horrory? – zaproponował Norman. – Na obozach zawsze je sobie opowiadaliśmy.

–Nie znam żadnych horrorów – odparł Craig. – Międzynarodowe prawo gospodarcze może wam się wydać dość przerażające, nie sądzę jednak, żebyście dostali dreszczy, słuchając o procesie, jaki skarb Stanów Zjednoczonych wytoczył komisji papierów wartościowych w Hongkongu.

–Znam pewną historię – powiedział Norman. – Opowiedział nam ją jeden pisarz, który przychodził kiedyś do mojej mamy. Nie był to Ken Kesey, ale ktoś w tym rodzaju.

–Dobra, opowiadaj – mruknął Craig.

–Koniecznie musicie? – zapytała Effie, otulając się kocem. – I tak przechodzą mnie już ciarki. A poza tym jestem zmarznięta i zmęczona.

Nie powiedziała, że się boi, ale naprawdę się bała. Nie podobał jej się wcale sposób, w jaki ich wielkie cienie tańczyły i nurkowały na ścianie. Przypominały jej bajki, opowiadane przez ojca, kiedy była mała, bajki, w których przez domy ludzi przebiegały podczas ich snu groteskowe procesje podążających do sypialni cieni. Nadal obawiała się również, że usłyszy kroki zbiegającego na dół po schodach mężczyzny i bolesny odległy szloch, który dochodził z wysłanego błękitnym dywanem pokoju na drugim piętrze Walhalli.

Norman dopił swojego szampana.

–Ta historia opowiada o pewnym studencie – powiedział – który dostał stypendium Fulbrighta i pojechał studiować do Anglii. Niestety już w pierwszym

tygodniu zakochał się w żonie jednego z wykładowców i nie mógł myśleć o niczym innym w dzień i w nocy. Ona też zakochała się w nim po uszy. Uciekli razem i zamieszkali w małej chatce na północy Anglii, gdzie nikt nie mógł ich wyśledzić i nie wiedział, kim są. Nigdy się nie rozstawali. Byli w sobie tak zakochani, że nie mogli wytrzymać bez siebie nawet pięciu minut. Ale potem ona zachorowała na gruźlicę i nie chciała iść do doktora, żeby jej mąż nie dowiedział się, gdzie jest, i nie ściągnął jej z powrotem. Robiła się coraz chudsza i coraz bledsza. Była tak wycieńczona, że kości wychodziły jej przez skórę. W końcu umarła i pochowali ją na cmentarzu przy kościele. Student o mało nie oszalał z rozpacz. Próbował wszystkiego, żeby otrząsnąć się po jej śmierci. Podróżował, władował sobie do nosa i brzucha pół apteki. Pił. Nie potrafił jednak o niej zapomnieć. Wrócił na kościelny cmentarz i całymi nocami leżał na jej grobie, przyciskając czoło do nagrobka...

Kiedy Norman na cńwrfę przerwał, Craig ponaglił go:

–Opowiadaj dalej. – Cień za jego plecami rósł niczym Belzebub. – Masz, napij się jeszcze trochę szampana.

–W końcu odkopał ją – podjął Norman.

–O Boże – zaprotestowała Effie. – Naprawdę musisz o tym opowiadać?

–Posłuchajcie... odkopał ją i podniósł wieko trumny. W środku leżała jego ukochana. Twarz miała nie naruszoną, ale reszta jej ciała roiała się od robaków. I wiecie, co zrobił nasz student? Zaczął zbierać robaki i zjadać je całymi garściami.

Effie opadła do tyłu na materac.

–Norman... to najbardziej odrażająca historia, jaką zdarzyło mi się kiedykolwiek słyszeć. Niedobrze mi się robi, kiedy tylko o niej pomyślę.

–Ale dobra – roześmiał się Craig. – Chora, ale dobra.

–Moim zdaniem pora się położyć – powiedziała Effie. – Naprawdę, Craig. Jestem zmęczona.

Norman wypił trzema łykami swojego szampana i otarł usta wierzchem dłoni.

–Doskonale... – powiedział. – Powłóczę się trochę, a potem sam też uderzę w kimono. I nie martwcie się, przywożem własny śpiwór. Zresztą i tak muszę postawić dach mojego dodge'a, na wypadek gdyby padało.

–Deszczu nie będzie – stwierdził kategorycznym tonem Craig.

–W radiu mówili, że może padać.

–Nie będzie. Wierz mi, nie będzie padać.

–Może padać, a jeśli będzie, nie chcę mieć pełno wody w samochodzie.

Craig sięgnął do kieszeni, wyjął swój cienki portfel od Gucciego i położył pięćdziesiąt dolarów na materacu.

–Stawiam pięćdziesiąt dolarów, że nie będzie padać. Norman wpatrywał się przez dłuższą chwilę w banknot.

–Dobra, człowieku, przyjmuję. Ale w tej chwili nie mam przy sobie pięćdziesięciu dolców.

–Mam do ciebie zaufanie. Nie postawisz dachu w swoim dodge'u?

–A co będzie, jeśli wygram i zaleje mi samochód?

–Wtedy będziesz mógł wydać pięćdziesiąt dolarów, żeby go wysuszyć.

–Craig... – odezwała się Effie. – Nigdy w życiu nie robiłeś takich zakładów.

Była nie tylko zdumiona. Była podenerwowana. Nienawidziła hazardu. Jej rodzice zawsze ciężko harowali, żeby zarobić na chleb, ona również, i dlatego szanowała pieniądze... w przeciwieństwie do wujka Jacka, który stracił na wyścigach w Saratodze samochody, biżuterię i całe swoje oszczędności bankowe. Pewnego dnia przegrał przy pokerowym stoliku własny dom, w którym spała jego Bogu ducha winna rodzina, i nazajutrz rano kuzyni Effie pojawili się na ich progu, wszyscy troje, oszołomieni i zaspani, z kocami w rękach. Tylko dzięki uprzejmości wierzyciela wujka Jacka zachowali jednak dach nad głową.

Norman wstał i zachwiał się lekko na nogach.

–Wiecie co? Nigdy przedtem nie piłem szampana. Ale wydaje mi się, że mógłbym się do tego przyzwyczaić. Wiecie... kiedy rozwinie się moja firma remontowa.

–Dobranoc, Norman – powiedziała Effie. – Do zobaczenia jutro rano. I uważaj na te podłogi... pamiętaj, że trochę wypieś.

–Tylko się rozejrzę. Chcę złapać tego sukinsyna na gorącym uczynku, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. Kiedy śpimy, domy się poruszają.

–Co to znaczy „poruszają się”?

–Zmieniają pozycję. Przeobrażają się. Najlepiej złapać je, kiedy to robią.

–Myślę, że brakuje ci piątej klepki – stwierdził Craig, uśmiechając się porozumiewawczo do Effie i wybuchając śmiechem.

–Myśli pan, że brakuje mi piątej klepki? – burknął zaczepnie Norman, przechylając się do tyłu. – Mógłbym opowiedzieć panu o domu, który nigdy nie był taki sam, ani przez jeden dzień. Domy się poruszają, człowieku. One żyją... są żywe. Nie słyszy pan, jak to miejsce oddycha? Widziałem, jak zmieniają pozycję drzwi; widziałem przestawione belki. Jeden z facetów, którzy wykonywali dla mnie stolarkę, stary Henry Sneider, przysięga, że kiedyś odbudowała się samodzielnie cała holenderska stodoła, w dwa albo trzy dni. Miał się nią zająć, ale każdego ranka, kiedy tam wracał, widział wyremontowane kolejne ściany... i żadnych śladów wskazujących, kto by to mógł zrobić. Żadnych odcisków stóp, żadnych wiórów, nic. Nazwał ją Magiczną Stodołą. Można ją wciąż obejrzeć, stoi niedaleko Salisbury Mills. Sneider miał ją odbudować. Ale nie musiał nawet ruszyć palcem. To się stało... jak by to powiedzieć... organicznie. Odbudowała się sama, kiedy tylko dali jej trochę czasu.

–I ty uważasz, że twojej matce powinni transplantować mózg? – drażnił się z nim Craig.

–Mogę ci powiedzieć coś jeszcze, człowieku. W Manitou jest dom, gdzie szyby robią się czerwone. Zupełnie czerwone, jak krew.

–W porządku, chłopie – powiedział Craig, po czym wstał i położył Normanowi ręce na ramionach. – Czas już się chyba pożegnać, nie sądzisz?

–Chyba tak... jasne. Zajrzę do was rano, rześki i wypoczęty. – Norman zatoczył się lekko w prawo, a potem z powrotem w lewo. – Jezu... to ten szampan. Mógłby go pan pić przez całą noc, nie?

–Mógłbym – odparł Craig z nieoczekiwanym chłodem. – Ale nie wydaje mi się, żeby to samo można było powiedzieć o tobie, mały.

Effie wyciągnęła rękę i złapała go za nogawkę dżinsów. Nie wyrwał się ani nie opierał, ale nie wydawał się zbyt zadowolony.

– Jesteś pewien, że nic mu się nie stanie? – zapytała. Jej głos był płaski i stłumiony, jakby założyła na głowę tekturowe pudło. Akustyka wewnątrz w Walhalli była bardzo szczególna. Czasami każde wypowiedziane słowo niosło się po całym domu, ale już za chwilę człowiek słyszał tylko to powolne, dostojne skrzywienie, osypujące się z sufitów tynki i tykanie własnego zegarka, odmierzającego uciekające sekundy.

– Nic mu nie będzie – odparł Craig. Odczekał chwilę, aż Norman powie po raz piąty „Dobranoc wam” i odnajdzie drogę do przedpokoju, po czym wstał i stąpając po grubym filcu ruszył sprężystym krokiem do podwójnych drzwi, żeby zamknąć je na klucz. – Znakomicie. To na wypadek, gdyby skręcił w nocy nie tam, gdzie trzeba. To w końcu nasza przygoda.

Ruszył z powrotem, ścigając po drodze sweter i rozpinając z głośnym, nieprzyjemnym plaśnięciem gruby brązowy pasek.

– Jestem zmęczona, Craig. I naprawdę niezbyt dobrze czuję się w tym domu – powiedziała Effie.

Położył się obok i pocałował ją. Wokół nich słychać było syczenie lamp ciśnieniowych.

– Jeszcze go polubisz, obiecuję ci. Wiem, że teraz jest mokry i zimny. Ale poczekaj, jak skończymy. To będzie nasz pałac, księżniczko. Księżniczka Effie z Walhalli, jak ci się to podoba?

Effie wpatrywała się w zwinięty przy jej twarzy materac. W fałdzie materiału wciąż tkwiła gałązka werbeny. Czytała coś o werbenie; podobno miała moc zmieniania koloru słońca na błękitny.

Usłyszała, jak Craig ściąga skarpetki; w chwilę potem przysunął się do niej, cały nagi. Czowała, jak o jej dżinsy ociera się jego nabrzmiały penis.

– Księżniczko – szepnął jej do ucha. Nie powiedziałby tego, gdyby wiedział, jak bardzo nie lubi, gdy ktoś nazywa ją „księżniczką”. Czowała się wtedy jak królowa balu w podupadłym śródmiejskim liceum albo jak córeczka tatusia (którą przecież była, ale nie w ten sposób).

Próbował rozpiąć jej spodnie, odwróciła się jednak i odepchnęła jego rękę.

– Daj spokój, Craig... chce mi się spać.

– Ależ kochanie, nie tak się umawialiśmy. Błagałaś mnie o to od miesiący.

– Owszem. Ale to było przedtem. I nie w tym domu.

– Co ci się nie podoba w tym domu? – Jego głos był twardy jak granit. Wiedziała, że niezależnie od tego, co powie, czekają ją kłopoty.

– Jest stary. Wali się w gruzy. Jest nieprzytulny. To mi się w nim nie podoba.

Przewrócił ją brutalnie na plecy, usiadł na niej okrakiem i spojrzał prosto w oczy. Był bardzo przystojny, podobny do Kennedy'ego: z szeroką twarzą, badawczymi oczyma i wąskimi ustami. Wziął jej dłoń i zmusił, żeby dotknęła nią jego członka. Był gorący, gorętszy niż reszta ciała, i Effie poczuła na palcu strużkę śluzu, tuż przy samym czubku. Naprawdę nie miała na to ochoty. W świetle lamp jego oczy wydawały się nierówne, tak jakby jedno było osadzone wyżej od drugiego, i w jego

postępowaniu było coś groźnego i absurdalnego. Nie chciała trzymać w ręku jego penisa. Nie chciała leżeć na tym pachnącym ziołami materacu. Marzyła o tym, żeby znaleźć się z powrotem we własnym łóżku, w najdłuższej i najbezpieczniejszej nocnej koszuli, jaką mogła sobie wyobrazić, i żeby nikt jej się nie naprzykrzał.

Niedziela, 27 czerwca, 3.07

Craig chrapał.

Leżał na plecach z rozłożonymi szeroko rękoma i nogami, jakby spadł z dachu wysokiego budynku. Co jakiś czas rzucał się, mamrotał pod nosem i Effie widziała, że gałki oczne latają mu pod powiekami, co oznaczało, że śni mu się jakiś sen.

– Jesteś dziwką, Gaby – mruknął, a potem znowu powtórzył: – Gaby.

Effie nie mogła w ogóle zasnąć. Zdrzemnęła się kilka minut zaraz po stosunku, ale potem zbudził ją okrutny i przerażający koszmar, w którym wyskakiwała przez okno.

Skuliła się pod kocem, łapiąc kurczowo oddech, przekonana, że rzeczywiście rozległ się gdzieś brzęk tłuczonego szkła i że poroniła. Włożyła nawet rękę między nogi, spodziewając się, że poczuje tam krew, ale krwi oczywiście nie było.

Leżała nieruchomo przy Craigu, obserwując go i zastanawiając się, czyjej życie będzie jeszcze kiedykolwiek takie samo jak kiedyś.

Zachodziła także w głowę, dlaczego przyśniło jej się, że poroniła. Nigdy nie była w ciąży, chociaż chciała mieć dzieci, odkąd Craig został cenionym adwokatem. Może to podświadomość próbowała dać jej do zrozumienia, że z każdym dniem ma coraz mniejsze szansę, żeby zostać matką. Może podświadomość dawała jej do zrozumienia, że nie ma już w ogóle żadnej szansy.

– Jak cię złapię, Gaby... – mruknął Craig i gwałtownie przewrócił się na bok, pociągając za sobą większość materaca.

Effie poczekała, aż usłyszy ponownie jego chrapanie, a potem usiadła. Czowała się zmęczona, skacowana i bolało ją lewe biodro. Oddałaby wszystko za filiżankę gorącej cytrynowej herbaty, ale

Craig zabrał tylko butelkę perriera. Przesunęła się po podłodze, odkręciła nakrętkę i lyknęła prosto z butelki.

W tej samej chwili wydało jej się, że znowu słyszy ten podobny do szlochania dźwięk. Był tak cichy, że w rzeczywistości mogła go wydawać poruszająca się w zawiasach okiennica albo polująca w nocy sowa – tak cichy, że tłumił go nawet szelest bąbelków w otwartej butelce perriera. Wstała i przez chwilę nasłuchiwała, ale nadal nie potrafiła stwierdzić, co to za odgłos.

Stąpając na palcach podeszła w samych skarpetkach do drzwi, przekręciła klamkę i wyrzała na zewnątrz.

Było ciemno, ponieważ nie wzeszedł jeszcze księżyc, Effie widziała jednak, że korytarz biegnie przez całe drugie piętro aż do miejsca, gdzie stała zgarbiona postać z gipsu. Większość szyb w oknach była powybijana, ale przy każdym wisiały postrzępione koronkowe firanki, kołysząc się bezgłośnie niczym procesja upiornych panien młodych.

Effie nadstawiła ponownie uszu. Tym razem miała absolutną pewność. To był szloch kobiety: nie piskliwy lub jękliwy lament, lecz straszliwy, dobiegający z głębi płuc krzyk skrajnej rozpacz.

Effie czekała i czekała. Zrobiło jej się zimno i zeszywniała szyja, jednak nadal nie potrafiła się zdecydować, czy powinna pójść na górę. W końcu kiedy ostatnim razem ośmieliła się zajrzeć do pokoju z niebieskim dywanem, nie było tam nikogo. Jeśli

Walhalla rzeczywiście była nawiedzana przez duchy, może ten bezcielesny szloch był wszystkim, do czego się posuwały.

Spojrzała na Craiga, ale on spał twardo. Wahala się jeszcze przez krótką chwilę, a potem wyślizgnęła się z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Zaczęła iść szybko obok wydymanych wiatrem firanek. Serce biło jej jak oszalałe, ale postanowiła, że nie będzie się bać. W każdym razie nie będzie się bać zbyt mocno. Jeśli rzecz sprowadzała się wyłącznie do szlochu, nie miała się czego obawiać. Jeśli jednak ktoś tam był, jakaś prawdziwa kobieta, która potrzebowała pomocy, do końca życia nie wybaczyłaby sobie, że ją zignorowała.

Mijała kolejne pomieszczenia: pokój do szycia, pośrodku którego zauważyła pustą ramę do haftu; pokój muzyczny, którego drzwi były zamknięte i opatrzone świeżym napisem: NIEBEZPIECZEŃSTWO – NIE WCHODZIĆ, a potem dwoje drzwi, które prowadziły na galerię nad salą balową. Szloch stawał się coraz głośniejszy i bardziej bolesny. Tym razem cię odnajdę, pomyślała Effie. Tym razem ci pomogę. Cokolwiek wydarzyło się złego, jakakolwiek stała ci się krzywda, sprawię, że przestaniesz szlochać. Ta kobieta płakała bowiem w sposób, w jaki płaczą wszystkie skrzywdzone kobiety, bez względu na to, czy robią to otwarcie, czy też skrycie, w głębi duszy. Płaczą, ponieważ któregoś dnia uświadamiają sobie, że urodziły się na planecie zamieszkaną przez mężczyzn i że jedyną możliwą ucieczką jest dla nich śmierć lub staropanieństwo.

„Nawet niewolnicy mogą uciec od swego pana, ale dokąd mają uciec kobiety?” – powtarzała ciotka Rachel. Effie nie rozumiała znaczenia jej słów, dopóki Craig nie zajął się prawem międzynarodowym, a ona nie stała się jego uległą gejszą, podobnie jak żony wszystkich innych adwokatów, wiceprezesów i dyrektorów. „Dobry wieczór, jestem żoną Craiga Bellmana. Z kim mam przyjemność?”

Minęła ostatni tren upiornej procesji i znalazła się na podeście pierwszego piętra, gdzie rezydowała gipsowa postać. Szlochanie było tak wyraźne, że potrafiła teraz niemal odróżnić pojedyncze słowa. Księżyc pojawił się właśnie tuż nad horyzontem i witraż lśnił niczym olbrzymia pajęczyna. Gut ist der Schlaf, der Tod ist besser. Może to również potrafiła już zrozumieć.

Chciała wspiąć się na drugie piętro, kiedy coś kazało jej się nagle obejrzeć. Z początku nie bardzo wiedziała, co się stało, ale potem uświadomiła to sobie i poczuła się tak, jakby po jej plecach, pod swetrem, pełzły w dół krocionogi.

Gipsowej postaci nie było. W miejscu, gdzie stała, podłoga była poplamiona i kostropata, a odsłonięte listwy przypominały żebra rozsypującej się mumii. Ale sama postać – bryłowata, ociekająca wodą kreatura z potworną głową Człowieka-Słonia i jednym załzawionym okiem – zniknęła.

Effie stała u stóp schodów, opierając dłoń na szorstkiej, łuszczącej się poręczy i czując, że za chwilę zemdleje ze strachu. Skoro gipsowej postaci tu nie było, gdzie mogła się podziać? Wyobraziła sobie przez chwilę, jak sunie przez pograżone w mroku korytarze Walhalli, zgarbiona i zdeformowana, próbując ją odnaleźć. Mogła nawet wspiąć się po schodach i czekać na nią na górze.

–To szaleństwo – powiedziała na głos. – Wszystko to sobie zmyśliłaś. Sama

wpędzasz się w panikę.

Wzięła kilka głębokich oddechów.

–Nie mogę uwierzyć, że powiedziałam to na głos! – dodała. – Tracę chyba zmysły!

Ostrożnie podniosła wzrok. Księżyc przesunął się trochę wyżej i postać zakapturzonej kobiety na witrażu jaśniała teraz zimnym blaskiem. Proporce na odległych umocnieniach wydawały się łopotać na wietrze, a lilie drżały, jakby ktoś przez nie przed chwilą przeszedł. Sen jest dobry, ale śmierć jeszcze lepsza, szepnęła witraż i Effie poczuła, jak przeszywa ją śmiertelny lęk.

Za późno już jednak było, żeby wracać. Z drugiego piętra wciąż dobiegał ten szloch i Effie wiedziała, że musi zdobyć się na odwagę i odkryć, skąd się bierze. Nabrała powietrza w płuca, żeby się uspokoić, i postawiła prawą nogę na pierwszym schodku. Stopa robiła wrażenie zupełnie zdrętwiałej, jakby zbyt długo na niej siedziała.

–Pomóż mi – błagała ją kobieta między kolejnymi szlochami. – Jeśli mnie słyszysz, proszę, pomóż mi.

O Boże, pomyślała Effie, wspinając się po schodach. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, a wola wyciekała z niej przy każdym kroku. Wiedziała jednak, że musi iść dalej. Jeśli nie odkryje, kto tak szlocha, nigdy nie będzie w stanie zamieszkać w Walhalli, a jeśli nie będzie w stanie tu zamieszkać, nie będzie mogła dalej żyć z Craigiem, ponieważ dostał na punkcie tego domu prawdziwej obsesji.

Minęła witraż i szła dalej na górę. Na podeście drugiego piętra przystanęła na chwilę, żeby się uspokoić. Potem ruszyła skąpanym w księżycowej poświacie korytarzem w stronę sypialni z błękitnym dywanem, z wyglądu sama niewiele różniąc się od ducha.

Po upadku Mortona Walkera większość popękanych płytek i wiewiórczego ściernwa uprzątnięto albo zgarnięto na bok, a dziurawy dach przykryto brezentową płachtą. W dalszej części korytarza, tam gdzie Morton spadł do pokoju muzycznego, drogę tarasowały dwie skrzyżowane deski, sama dziura zaś przykryta była grubymi płytami sklejki.

Effie dotarła do drzwi sypialni. Były lekko uchylone i szloch dochodził z za nich całkiem wyraźnie. Wcale go sobie nie wyobraziła ani nie zmyśliła i nie był to wcale wiatr zawodzący w kominku, ponieważ tej nocy prawie w ogóle nie wiało.

–Proszę, proszę, proszę, jeśli możesz mi pomóc... Złapała za klamkę. Nie wiedziała, czy starczy jej odwagi, żeby otworzyć drzwi na oścież. Czekala chyba całą wieczność, a kobieta przez cały ten czas zawodziła żałośnie, jakby nie mogła przestać.

W końcu Effie otworzyła drzwi.

Przez krótką chwilę wydawało jej się, że widzi stojącą przy oknie białą postać, a potem usłyszała głos Craiga:

–Effie? Co ty tu, do diabła, robisz?

Obejrzała się, czując, jak cały jej system nerwowy rozsypuje się w proch. Na podeście drugiego piętra stał, trzymając w ręku latarkę, Craig, ubrany tylko w dżinsy i buty. Effie odwróciła się z powrotem do sypialni, ale światło latarki oślepiło ją i

kiedy spojrzała ponownie w stronę okna, biała postać (jeśli w ogóle była tam jakaś postać) zniknęła.

Craig podszedł i objął ją ramieniem.

–Nie powinnaś włączyć się tu po nocy, to niebezpieczne.

–Wydawało mi się... wydawało mi się, że coś słyszę.

–Obudziłem się i zobaczyłem, że cię nie ma. Napędziłaś mi niezłego stracha.

–Przepraszam. Nie chciałam cię denerwować.

–Wracajmy. Może uda nam się jeszcze trochę przespać.

–Craig...

–O co chodzi, kochanie?

–Wydaje mi się, że ktoś tu jest oprócz nas.

–Jasne. Jest tu Norman.

–Chciałam powiedzieć, że ktoś tu jest oprócz Normana. Wydaje mi się, że mieszkają tu jacyś ludzie.

Craig wyprowadził ją delikatnie z pokoju i zamknął drzwi.

–Nie sądzę, żeby to było możliwe.

–Ale ja wciąż coś słyszę, wciąż coś widzę. – Przełknęła ślinę i ogarnęło ją prawdziwe poczucie winy, jakby zdradziła czyjeś zaufanie. – Słyszałam płacz kobiety, jestem tego pewna.

Craig zatrzymał się u szczytu schodów.

–Ale teraz go nie słyszysz, prawda?

–Nie – przyznała zgodnie z prawdą.

–Stare domy zawsze wydają dziwne dźwięki. Chodź, wypitaś za dużo szampana i to całe twoje zmartwienie.

Otuliła się pledem i prawie natychmiast zasnęła. Miała wrażenie, że spada w głąb czarnej, rozbrzmiewającej głuchym echem studni. A potem przyśniło jej się, że wchodzi do wysłanego błękitnym dywanem pokoju i widzi stojącą przy oknie kobietę w bieli. Kobieta milczała. W ogóle się nie odwróciła. Effie uświadomiła sobie, że sunie po podłodze w jej stronę, mimo że wcale nie porusza nogami, mimo że wcale nie chce się do niej zbliżyć.

Bała się spojrzeć jej w twarz. Coś mówiło jej, że może być chora, zniekształcona albo podobna do trupiej czaszki. Mimo to przysuwała się coraz bliżej i bliżej. Chciała podnieść rękę, żeby się jakoś zatrzymać, ale odmówiły jej posłuszeństwa.

Nagle kobieta obróciła się i okazało się, że ma zdeformowaną twarz gipsowego posągu, z jednym połyskującym okiem i okropnym kostropatym wolem inkrustowanym kryształkami soli mineralnych.

Effie obudziła się, dygocząc i łapiąc kurczowo powietrze. Po chwili usiadła i znalazła swój zegarek. Spała tylko dwadzieścia jeden minut. Przez okno wciąż zaglądał księżyc i w sypialni panowała grobowa cisza. Nie słychać było nawet chrapania Crai-ga. Kiedy przesunęła ręką po materacu, okazało się, że go nie ma.

–Craig! – zawołała. – Gdzie jesteś, Craig?

Wstała i ruszyła do łazienki. Craig poszedł się prawdopodobnie wysikać.

–Craig? – odezwała się scenicznym szeptem, sama nie wiedząc, dlaczego szeptce

w tym dużym pustym domu. – Jesteś tam?

Otworzyła drzwi. Łazienka była pusta i pogrążona w półmroku. Światło księżycy padało na zielone kafle i wannę z widniejącą z boku rdzawą plamą. Effie zobaczyła naprzeciwko siebie blade rozmazane oblicze i przez ułamek sekundy zamarła ze strachu. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to jej własna twarz odbita w zakurzonej lustrze nad umywalką. Une ombre lointaine.

Wracając, żeby się położyć, miała wrażenie, że słyszy krzyk, gdzieś w głębi domu. Nasłuchiwała przez jakiś czas, ale krzyk się nie powtórzył i nie była pewna, czy go w ogóle usłyszała. Może to sowa? Miała nadzieję, że Norman nie wpadł do jakiejś dziury i nie zrobił sobie krzywdy. I gdzie, do diabła, podziewał się Craig?

Uklękała i zapaliła jedną z lamp ciśnieniowych. Zakładała właśnie z powrotem klosz, kiedy drzwi prowadzące na korytarz otworzyły się i do sypialni wszedł Craig. Sprawiał wrażenie podnieconego i zmęczonego, ale mimo to się uśmiechał.

–Myślałem, że śpisz – powiedział, siadając na skraju materaca, żeby zdjąć buty.

–Spałam.

–Czy mogłabyś zgasić tę lampę? Zasłużyliśmy chyba na parę godzin snu.

–Gdzie byłeś?

Craig odwrócił się do niej plecami i nic nie odpowiedział.

–Craig... zadałam ci pytanie. Gdzie byłeś?

–Co to, przesłuchanie? Wyszedłem, żeby się odlać.

–Łazienka jest tuż obok.

–Jasne, ale nie ma doprowadzonej wody.

–No tak... zapomniałam.

Odwrócił się i zmierzył ją wzrokiem. Wyglądał zupełnie jak ktoś obcy. Było w nim coś ordynarnego, coś prostackiego. Nie potrafiła powiedzieć, co dokładnie, ale wcale jej się to nie podobało.

–Zgasisz w końcu tę lampę czy nie? – zapytał.

–Oczywiście. Przepraszam.

Zgasila lampę, położyła się na plecach i wlepila oczy w sufit.

–Wydawało mi się, że słyszałam jakiś krzyk – powiedziała po chwili. – Może ty też go słyszałeś?

Sapnął głośno, jakby irytowało go, że przeszkadza mu zasnąć.

–Nikt nie krzyczał, kochanie. Masz jakieś nerwowe urojenia, to wszystko. Może jednak spróbujesz zasnąć?

–Przepraszam – szepnęła.

Ale sen nie nadchodził. Leżała przez dłuższy czas na plecach; potem na boku. W końcu odwróciła się na drugi bok. Nie potrafiła przestać myśleć o stojącej przy oknie kobiecie w bieli. Czy naprawdę ją widziała, czy było to tylko złudzenie optyczne: odstająca od ściany tapeta, na którą padło światło księżycy? Przypomniała sobie, jak mając dziewięć lat wyszła kiedyś z Red Oaks Inn i zobaczyła ciemnego olbrzymiego mężczyznę, opierającego się o błotnik szarego dodge'a polary jej ojca. Ruszyła wzdłuż werandy, wpatrując się w niego z przerażeniem, ale po kilku chwilach, gdy spojrziała na samochód pod innym kątem, ręka mężczyzny zmieniła się w magiczny

sposób w cień za bocznym lusterkiem, a głowa i ramiona okazały się odbitymi w przedniej szybie zarysami chmur i pobliskiego dębu.

Craig spał teraz głębokim snem, jęcząc i stękając niczym człowiek, który stara się przepłynąć ćwierć mili pod wodą. Próbowwała go od siebie odsunąć, ale on wciąż odwracał się z powrotem i jego twarz dzieliło od jej zaledwie parę cali.

–To niemożliwe – mruknął przez sen. Księżyc zaczął znikać po drugiej stronie domu. – Cholerna dziwka.

–Craig... – zaprotestowała, ale nie mogła się go dobudzić.

–Nie ma mowy... zupełnie jak... Gaby...

Effie leżała na samym skraju materaca, opierając łokieć o kłujący filc. Sięgnęła w dół, żeby spróbować odwrócić Craiga na drugi bok i robiąc to dotknęła wierzchem dłoni jego miękkiego penisa. Był zimny i mokry, ale nie od uryny. Był śliski, tak jakby Craig ejakulował przez sen. Wiedziała, że to może się zdarzyć, kiedy mężczyzna od dłuższego czasu nie uprawia seksu, ale udo Craiga i materac wcale nie były mokre.

Podniosła palce do nosa i powąchała je. Słona mydlana woń powiedziała jej od razu, że to sperma. Odkryła jednak również inny zapach. Bardziej intensywny, przypominający raczej seksualną woń kobiety niż mężczyzny.

Księżyc szybował nad Walhallą, a ona leżała na plecach, bijąc się z mrocznymi myślami. Czy Craig spuścił się po prostu przez sen? Czy wyszedł z sypialni, żeby się gdzieś onanizować? Dlaczego to zrobił? Jeśli chciał się kochać, przecież tu była, tuż obok niego, i nie odmówiłaby, gdyby tego naprawdę rozpaczliwie potrzebował.

Nie dawała jej spokoju również inna możliwość: że miała rację i rzeczywiście nie są tu sami. Oznaczało to, że Craig wymknął się z pokoju, żeby odnaleźć inną kobietę i uprawiać z nią seks. Ale kim mogła być ta inna kobieta? Na pewno nie była kobietą w bieli – jeśli kobieta w bieli w ogóle istniała.

Z jakiego powodu tamta szlochała? Z jakiego powodu krzyczała? Co robiła w tym domu i dlaczego miałyby kochać się w środku nocy z zupełnie obcym mężczyzną? Zakładając oczywiście, że Craig był dla niej kimś obcym.

Czy to mogła być „Gaby”?

Myśli Effie wirowały na karuzeli kłującego zwątpienia i chwiejnej konsternacji. Kusiło ją, żeby wrócić na górę i przeszukać Walhallę pokój po pokoju. Ale minęła już dawno czwarta, czuła się zmęczona i obolała i nie wiedziała, czy naprawdę chce znaleźć odpowiedź na dręczące ją pytania. Jeśli na górze była prawdziwa kobieta, prawdziwa „Gaby”, nie miała ochoty stawić jej czoła, w każdym razie nie tutaj i nie teraz. Jeśli zaś czekało ją kolejne spotkanie z odzianą na biało księżycową zjawą, złudzeniem optycznym albo szlochającym głosem, którego nikt nie potrafił wyegzorcyzmować, nie miała na to ochoty jeszcze bardziej.

Zwłaszcza gdyby kobieta miała odwrócić się, tak jak to zrobiła w jej śnie, i pokazać jej swoją przerażającą twarz.

Wczesnym rankiem, błakając się na bosaka po domu, Effie znalazła Normana leżącego pośrodku sali balowej i zakutanego szczelnie w stary różowy koc. W zaciśniętej dłoni wciąż trzymał swoją taśmę architekta. Miał zamknięte oczy, szeroko otwarte usta i chrapał tak, jakby śpiewał piosenkę.

Poniedziałek, 28 czerwca, 15.33

Sklepik Hungry Moon znajdował się w połowie Main Street, po lewej stronie, między antykwariatem Hautboya i artykułami gospodarstwa domowego Goose Gander. Jego fronton pomalowany był na kolor oliwkowozielony i złoty, a na wystawie leżały pozłacane księżycy, oprawione w metal kryształowy, wypełnione mieszanką ziół i korzeni pozszywane z łąt torebki, a także lustra, karty taro ta i książki okultystyczne.

Effie nadeszła wysadzaną wiązami słoneczną ulicą, rozkoszując się rzucanym przez drzewa cieniem i chłodnym, wiejącym od rzeki wiatrem. Kilka jardów przed sklepem zatrzymała się i zerknęła na wiszący nad nim szyld. Nigdy dotąd nie przyjrzała mu się z bliska. Miedziany odlew przedstawiał księżyc w nowiu, z nosem, oczyma i szeroko otwartymi ustami, w których, na co nie zwróciła przedtem uwagi, tkwiły kot, skrzypce, dwie krowie nogi, najwyraźniej przerażony pies oraz talerz i łyżka. Księżyc z dziecinnej rymowanki „hey-diddle-diddle” zdążył już łapczywie połknąć całą resztę. Wydawał się wesoły i malowniczy, budził jednak zarazem dziwny niepokój – tak jakby jakiś serdeczny i jowialny przyjaciel rodziny mógł okazać się nagle niebezpiecznym psychopata.

Drzwi były otwarte i Effie weszła do środka. Sklepik był niewielki, ale półki ugiwały się pod różnymi akcesoriami okultystycznymi i słoikami z ziołami. U sufitu wisiały obracając się powoli w letnim wietrzyku czarne blaszane wiedźmy. Były tu także staroświeckie kije do szczotek, kryształowe kule, lalki przedstawiające czarownice, glazurowane korzenie mandragory i sterty książek i broszur dotyczących wszystkiego – poczynając od zdrowej żywności do rzucania uroków.

W powietrzu unosił się obezwładniający zapach goździków, skórki pomarańczowej i jaśminu, zmieszany ze słodko-zgniłym odorem nawodnika.

Za pomalowaną na czerwono drewnianą ladą nie było nikogo i Effie potrząsnęła małym dzwoneczkiem, który stał obok barokowej mosiężnej kasy. Kiedy nikt się nie pojawił, zadzwoniła ponownie i w końcu zza zasłony z paciorków wyszła młoda kobieta z naręczem książek.

–Musi mi pani wybaczyć – powiedziała. – Na ogół pomaga mi mój syn, ale zajął się teraz czym innym. Oczywiście musiał to zrobić akurat na progu sezonu.

Twarz Normana trudno było dostrzec zza opadających na nią włosów, ale Effie widziała, że w niewielkim stopniu przypominał swoją matkę. Miał pociągłą twarz i wielki nos, a twarz Pepper Moriarty była szeroka, z silnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i małym prostym nosem. Jej popielate włosy związane były ufarbowaną na kolor indygo chustką, w uszach wisiały wielkie okrągłe kolczyki. Miała dziwne oczy, z jasnoszarymi źrenicami, które w promieniach słońca wydawały się prawie srebrne. Uśmiechając się, pokazywała wspaniałe, olśniewająco białe zęby.

Odłożyła książki i stanęła za ladą. Woodstock pozostawił na niej niezatarte piętno. Nie przejmując się wcale dużym biustem, nie nosiła stanika. Miała na sobie jedynie cienką muślinową bluzkę, a na niej afgański kaftan z ponaszowanymi kitkami czerwonej i czarnej wełny, paciorkami, gwiazdkami i małymi migoczącymi lusterkami. Sprane džinsy z denimu były obcisłe na górze, ale niżej rozszerzały się w

postrzępione klosze. Na nogach miała brązowe botki na wysokich obcasach, jednak nawet w nich nie przekraczała pięciu stóp i pięciu cali wzrostu.

–Pani syn pracuje u mnie i mojego męża – powiedziała Effie. – Nazywam się Effie Bellman. Jesteśmy tym małżeństwem, które chce kupić Walhallę.

–Aha – odparła Pepper Moriarty. – To pani jest żoną tego mało uprzejmego adwokata.

Effie poczuła, że się czerwieni.

–Bardzo panią przepraszam. Craig miał po prostu ostatnio ciężki okres. Został... to znaczy miał wypadek. Przyjechaliśmy do Cold Spring, żeby mógł tu wrócić do zdrowia. Rozumie pani, trochę odpocząć.

–Nie wydaje mi się, żeby Walhalla pomogła mu odpocząć. Ten dom to istna ruina.

–Moj mąż podjął już decyzję – powiedziała Effie, próbując się uśmiechnąć. – Odbudowa Walhalli stała się jego prawdziwą obsesją.

–Cóż, w takim razie mogę wam tylko życzyć powodzenia – stwierdziła Pepper Moriarty. – Ja nie zamieszkałabym w Walhalli, choćby dała mi ją pani w prezencie. I na pewno nie spędziłabym tam ani jednej nocy, nawet za tysiąc dolców.

Effie przez chwilę się wahała.

–Dlatego właśnie przyszedłam się z panią zobaczyć – powiedziała w końcu.

–Tak? – Pepper zaczęła podnosić z półki obok lady małe kolorowe buteleczki, odkurzać je i odstawiać z powrotem. Po chwili przerwała i utkwiała w Effie te swoje prawie srebrne oczy. – Pani spędziła tam całą noc, prawda? Naprawdę tam pani pojechała i zrobiła to?

–Zgadza się. Zrobiliśmy to.

–Jak bardzo jest pani wrażliwa? – zapytała Pepper.

–Kocia sierść sprawia, że kręci mi się w nosie. I kilka gatunków trawy. Dlaczego?

–Nie mówiłam o katarze siennym. Mówiłam o wibracjach psychicznych.

–Cóż... jeśli chodzi o wibracje psychiczne, słyszałam kobietę w jednej z sypialni na drugim piętrze.

–Co robiła?

–Płakała. Płakała bardzo długo i wciąż powtarzała: „pomóż mi.

–I co pani zrobiła?

–Próbowałam ją oczywiście odnaleźć. Pepper wydeła policzki.

–No, no. Jest pani bardziej szalona, niż myślałam!

–Musiałam się dowiedzieć, czy rzeczywiście istnieje. Chodzi o to, że jeśli Craig i ja naprawdę mamy zamieszkać w Walhalli...

–Znalazła ją pani? – przerwała jej ostro Pepper.

–Nie jestem pewna. Znalazłam sypialnię, z której dochodził ten szloch... i wydawało mi się, że kogoś zobaczyłam, tylko przez moment, ale... nie wiem. Nie jestem pewna, co zobaczyłam.

–Czy pani mąż też to słyszał? Effie potrząsnęła głową.

–Nawet jeśli słyszał, nic mi nie powiedział.

–Ale pani powiedziała mu, że coś słyszy? Effie ponownie pokręciła głową.

–Coś mnie powstrzymywało. Nie wiem, co to było. Poczułam po prostu, że nie

powinam mu nic mówić.

–To bardzo ciekawe – stwierdziła Pepper. – Prawdziwą psychiczną wibrację można poznać między innymi po tym, że jest bardzo selektywna... nie doświadcza jej pierwszy lepszy człowiek z ulicy.

–Miałam wrażenie, że tej kobiecie specjalnie zależy, żeby Craig nie dowiedział się o jej obecności – dodała Effie.

–Bardzo ciekawe – powtórzyła Pepper, kiwając głową. – I to wszystko, co pani słyszała? Tylko płacz jednej kobiety?

–Tak. To znaczy, słyszałam również coś, co mogło być krzykiem, ale sądzę, że to była sowa. Oprócz tego jednak kogoś widziałam. Mężczyznę w ciemnym garniturze. Schodził na dół i zawołałam go, ale choć spojrzał w moją stronę, sprawiał wrażenie, jakby mnie w ogóle nie widział.

–Jest pani pewna, że to nie był jakiś włóczęga albo dziki lokator? Albo, nie daj Boże, agent nieruchomości?

–Nie wydaje mi się. Był zbyt elegancki. Zawołałam go, ale on popatrzył na mnie jak na powietrze, jakby mnie tam w ogóle nie było.

–Cóż... – zaczęła Pepper, wieszając na gwoździu wiązkę zasuszonych cierni, łądyg i korzeni mandragory. – Ja też byłam kiedyś w Walhalli, o czym wspomniał wam pewnie Norman. Niczego tam nie słyszałam i niczego nie widziałam, ale ten dom ma najgorszą psychiczną aurę, z jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się zetknąć. Szczególnie sala balowa i niektóre korytarze na górze. Wyczuwałam tam taką grozę... Wyczuwałam taką wrogość...

–Ale co to jest? – chciała wiedzieć Effie. – Czy w tym domu straszy?

Pepper wyduła wargi.

–Mówiąc „straszy”, ma pani pewnie na myśli duchy?

–Chyba tak.

–Nie powie mi pani chyba, że wierzy w duchy?

–Nie wiem. Nie wierzyłam aż do wczorajszej nocy.

–Ale teraz nie jest pani już tego taka pewna? Pozwoli pani, że ją uspokoję. W żadnym wypadku nie istnieje coś takiego jak duchy. Istnieją psychiczne wibracje, zgoda. Istnieją bardzo silne psychiczne wibracje, dobre i złe. W pewnych miejscach potrafią ujawniać się w tak intensywny sposób, że ludzie je słyszą, widzą i czują ich zapach. Zdarza się to w domach, hotelach, a nawet na ulicy. Takie miejsca nazywamy ogniskami psychicznymi. Przy

Fair Street mieszka kobieta, której córka umarła w wieku ośmiu lat. Mała uwielbiała kwiaty bzu i co roku, w dniu jej urodzin, w pokoju, gdzie zmarła, czuć ich zapach. Sama go czułam. Ale nie ma to nic wspólnego z duchami... to psychiczne wibracje i wszystko, co pani słyszała i oglądała, jest również wynikiem psychicznych wibracji.

–Czy te wibracje są niebezpieczne? – zapytała Effie. Pepper podniosła w górę obie dłonie i wykonała gest naśladujący huśtawkę, jakby chciała powiedzieć „to zależy”.

–Same w sobie nie. Jednak każde ognisko psychiczne, podobnie jak ognisko

fizyczne, może okazać się niebezpieczne. Przez większość czasu może pani chodzić po powierzchni ziemi i jest pani absolutnie bezpieczna, prawda? Ale jeśli stanie pani za blisko miejsca, gdzie powierzchnia jest pęknięta, na przykład przy wulkanie, gejzerze albo czymś w tym rodzaju, wtedy naraża się pani na niebezpieczeństwo. Tak samo jest ze światem psychicznym, rozumie pani? Przez większość czasu jest bezpieczny, ale ma swoje pęknięcia, swoje szczeliny i słabe punkty, skąd może nastąpić erupcja sił psychicznych, podobnie jak wulkaniczna lawa i gejzery tryskające z wnętrza ziemi.

–I to właśnie zdarzyło się w Walhalli? – zapytała Effie, chociaż nie bardzo rozumiała, o czym mówi Pepper. – Coś w rodzaju wybuchu?

–Można tak to ująć. Takie jest w każdym razie moje zdanie – stwierdziła Pepper i wzięła z półki małą zieloną buteleczkę. – Widzi pani ten płyn? To olej z naparstnicy. Uzyskuje się go, wygotowując kwiaty naparstnicy. To trucizna... czarownice używały jej w siedemnastym wieku do uśmiercania dzieci, które urodziły się zdeformowane. Zawiera jednak również digitalinę, którą lekarze po dziś dzień przepisują chorym na serce.

–Nie jestem pewna, czy rozumiem... – zająknęła się Effie. Pepper posłała jej cierpliwe spojrzenie.

–Próbuję pani powiedzieć, że podobni do mnie uzdrowiacze i ludzie obdarzeni psychiczną wrażliwością nie są wcale szarlatanami. Próbuję pani powiedzieć, że wiem, o czym mówię. Słyszała pani w Walhalli płaczącą kobietę i chce pani wiedzieć, co można w tej sprawie zrobić. Moja odpowiedź brzmi: nic. Ona tam mieszka, tak samo jak zamierzacie zamieszkać tam wy, i obawiam się, że razem ze swoim mało grzecznym mężem-adwokatem będzie pani musiała się do niej przyzwyczaić.

–Skoro nie jest duchem, nie wiem, jak może tam mieszkać. Pepper odkurzyła i odstawiła na miejsce następną buteleczkę.

–Widzi to pani? To maść lotna: składa się z eleoselenium, aconitum, liści populeas i kopcia. Powinna również zawierać tłuszcz martwych dzieci, ale nie zezwalają na to dzisiaj przepisy federalne. Kobiety wcierały to w skórę w nadziei, że będą latać. Oczywiście fizycznie nigdy nie latały, ale maść wnikała we wszelkie skaleczenia i ukąszenia wszy, dostając się w ten sposób do krwiobiegu, a co najmniej dwa z jej składników to silne halucynogeny. Te kobiety w rzeczywistości ani na chwilę nie odrywały się od ziemi, jednak były pewne, że latają.

–Nie chcę się pani naprzykrzać, pani Moriarty, ale jeśli mam mieszkać w Walhalli, muszę wiedzieć, co tam się dzieje.

–Jestem panną. Może mi pani mówić Pepper.

–Przepraszam. Ale ja naprawdę się boję.

–Posłuchaj – powiedziała rzeczowym tonem Pepper. – Wszyscy uważają, że w nawiedzonych domach pełno jest duchów zmarłych, które szukają zemsty, straconych szans albo swoich okularów, bo nie mogą przeczytać najnowszego wydania „Niebiańskiego Gońca”. Nieprawda. Kiedy jesteś martwa, jesteś martwa. Nie wracasz w żadnym innym kształcie ani formie. Robiłam w życiu różne rzeczy. Ćpałam, wpadałam w trans, stawiałam ouiję. Robiłam to wszystko i jestem bardzo

wrażliwa. Ale umarli nie wstają z grobów, możesz mi wierzyć.

–Więc ta płacząca kobieta... jest prawdziwa? Pepper przymknęła powieki potakującym gestem.

–Tak. Jest prawdziwa.

Effie zaschło w ustach. Przed oczyma stanął jej Craig, czekający, aż ona zaśnie, a potem wyslizgujący się z sypialni, żeby spotkać... kogo? I jak? I dlaczego ta kobieta tak płakała?

–Jeśli jest prawdziwa, dlaczego tylko ją słyszę?

–Powiedziałaś, zdaje się, że ją widziałaś.

–Nie jestem pewna. Trwało to tylko sekundę.

Pepper odstawiła ostatnią butelkę na półkę i położyła dłoń na ramieniu Effie.

–Chodź na zaplecze. Zrobię ci herbaty. Pewien mój przyjaciel pojechał do swego guru w Poona i przysłał mi trochę wspaniałej nilgiri. Mam również świetne kremówki. Robią je w Riverview Bakery i nigdy nie mogę się oprzeć. Człowiek przybiera na wadze pięć funtów od samego patrzenia.

Effie przez chwilę się wahała.

–Masz chyba chwilę czasu? – zapytała Pepper.

–Oczywiście, ale cała ta historia naprawdę wytrąciła mnit z równowagi. Nie wiem, dlaczego Craig tak się uparł, żeby kupić Walhallę, i nie wiem, co masz na myśli mówiąc, że mieszka tam ta kobieta. Mam wrażenie, że czegoś tutaj zupełnie nie pojmuję.

Pepper wprowadziła ją do małego pomieszczenia na tyłach sklepu. W wykuszu kominka stał czajnik i niebieskie ceramiczne słoiki z ziołami – bukwicą, ostrzeniem, bylicą i spikenardem wszystkimi ingrediencjami magicznej spiżarni. Na jednym ze słoiczków widniał złoty napis: MORIARTY.

–Nie wiedziałam, że istnieje zioło, które nazywa się „moriarty” – powiedziała Effie.

–Nie istnieje. To Sanguinaria canadensis, korzeń kłamstwa więc trzeba go zawsze przechowywać pod fałszywą nazwą. Nastawię czajnik.

Czekając, aż zagotuje się woda, wyszły do ogródka, który znajdował się za sklepem. Po drodze musiały przestąpić monstrualnie wielkiego szarego kocura, który wylegiwał się w progu Ogród zarośnięty był polnymi kwiatami i wyglądał tak, jakby o roku nikt nie kosił w nim trawy. Pod sękatą starą jabłonią sta stół i żelazne krzesła. Pepper nakryła stół spłowiałym kwaciastym obrusem i zaprosiła Effie, by usiadła.

–A co będzie ze sklepem? – spytała Effie.

–Kradzieże zdarzają się u mnie bardzo rzadko – odparł Pepper. – Ludzie, którzy przychodzą do Hungry Moon i ni mogą mnie znaleźć, zostawiają na ogół pieniądze na ladzie. Jeśli ktoś coś ukradnie, tym gorzej dla niego. Każdy artykuł w sklepie dotknięty został zielem centurii, a kiedy złodziej poczuje zapad centurii, zaczynają go dręczyć potworne przywidzenia.

–Postaram się w takim razie niczego nie brać, jeśli za t(najpierw nie zapłacę – powiedziała Effie. – Mam wrażenie, że już teraz dręczą mnie potworne przywidzenia.

–To wibracje – oświadczyła z naciskiem Pepper. – Wszystko, co wydarzyło się w tym domu, kiedy mieszkał w nim Jacl Belias, wciąż się tam wydarza.

Effie zmarszczyła brwi.

–Czytałam gdzieś, że jeśli w jakimś domu dojdzie do wyda rzeń o naprawę dużym ładunku emocjonalnym, ściany mogaj wchłonać.

Pepper potrząsnęła głową.

–To bujdy. Ściany to ściany. Nie można magazynować wydarzeń w cegle, podobnie jak nie można przechowywać głosu w szklanym słoju.

–Ale te psychiczne wibracje... Co można zrobić, żeby się ich pozbyć?

–A co robisz, kiedy cieknie ci kran?

–Nie wiem... zamawiam hydraulika.

–Więc co robisz, kiedy ujawniają się wibracje psychiczne? Chyba nie powiesz, że zamawiasz wibrator.

Effie roześmiała się, po raz pierwszy, odkąd poprzedniego wieczoru weszła do Walhalli. Polubiła Pepper. Była jedną z niewielu sensownych osób, które poznała od czasu, kiedy Craig zajął się prawem międzynarodowym. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo brakuje jej towarzystwa kobiet, które się śmieją, kobiet, które mówią to, co myślą, kobiet, które mają w nosie wszystkie konwenanse.

Zagwizdał czajnik i Pepper wstała z krzesła.

–Jeśli chcesz się pozbyć psychicznych wibracji, potrzebna ci osoba o dużej wrażliwości psychicznej, a tak się składa, że ja jestem kimś takim – powiedziała.

Poniedziałek, 28 czerwca, 18.28

Pepper zamknęła sklepik o szóstej i wybrały się obie do Old Post Inn, po drugiej stronie ulicy. Wieczór był ciepły, niebo miało odcień jasnego fioletu, a po oświetlonej Main Street wciąż kręcili się turyści i sunęły powoli samochody.

Usiadły przy małym stoliku w rogu i Pepper zamówiła dwa koktajle Fish House: ciemny rum, koniak i brzoskwiniówka z sokiem cytrynowym i mnóstwem cukru.

–Piję to nie bez przyczyny – oświadczyła, podnosząc kieliszek. Jej oczy srebrzyły się w świetle stojącej na stoliku lampy. – Fish House w Schuylkill był pierwszym męskim klubem w Ameryce, a to ich firmowy koktajl. Upadają kolejne bastiony.

–Ta mieszanka zwali mnie z nóg – stwierdziła Effie, wachając zawartość kieliszka, jakby to była cykuta.

–I o to chodzi – odparła Pepper, trącając się z nią. – Za psychiczną harmonię, za ciebie i za tę biedną płaczącą kobietę, kimkolwiek jest.

Przez chwilę popijały w milczeniu. Mimo dzielących je różnic w wykształceniu oraz w poglądach na życie i politykę, z każdą minutą nabierały do siebie coraz większej sympatii. Pepper wydawała się Effie przekonująca, bezpośrednia i niesamowicie inspirująca. Wierzyła, że każdy ma jakieś życie duchowe. Wierzyła w istnienie duszy. Wierzyła także, że świat przyrody aż kipi od energii, którą ludzie mogliby okiełznać i wykorzystać dla swojego dobra, gdyby tylko nie byli tak cyniczni, choć nie trzymała się kurczowo tradycyjnych wyobrażeń o spirytyzmie i uzdrawianiu przez wiarę.

–Gdybym była duchem – powiedziała w którymś momencie – i jakaś stara wiedźma zapytałaby „jest tu kto?”, odparłabym, żeby wsadziła sobie swoją kryształową kulę w tyłek.

Nadal jednak nie wyjaśniła, kim mogła być płacząca kobieta; w każdym razie nie wyjaśniła tak, by Effie potrafiła to pojąć.

–Powiem ci prawdę, Effie – oznajmiła, odchylając się do tyłu na krześle i zakładając nogę na nogę. – Po prostu nie wiem. Duchy nie istnieją, prawda? Nie bardzo jednak rozumiem, co to za płacz, który słyszałaś, i co to za mężczyzna, którego widziałaś.

Effie wypiła już połowę swego koktajlu i zaczynała czuć się trochę nierealnie.

–Może przejedziemy się do Walhalli? – zaproponowała Pepper. – Wezmę ze sobą gałązki leszczyny, trochę soli i zobaczymy, co się da zrobić.

–Gałązki leszczyny? I trochę soli?

–Gałązki, żeby wyczuć wibracje psychiczne: to przypomina szukanie wody. Sól, żeby odpędzić złe moce.

Effie wbiła wzrok w kieliszek. Lubiła Pepper, ale naprawdę wątpiła, czy zdoła uzyskać u niej jakąś pomoc, zwłaszcza przy użyciu leszczynowych różdżek i magicznych rekwizytów. Ale co innego mogła zrobić? Zadzwoić na policję i kazać im sprawdzić, czy w Walhalli nie ma dzikich lokatorów? Przeszukać ją sama? Czy po prostu udawać, że w ogóle niczego nie słyszała i że szloch tej kobiety był złudzeniem, pierwszym urojeniem przedwcześnie menopauzy?

–Może wybierzemy się tam jutro? – zapytała Pepper. – Oczywiście jeśli uda ci się to uzgodnić z Wielkim Wodzem Craigiem.

–Jutro rano Craig jedzie z powrotem do Nowego Jorku. Musi coś załatwić. Powiedział, że może go nie być przez dwa albo nawet trzy dni.

–W takim razie może zdołamy wyegzorcyzmować tę twoją płaczącą kobietę i mężczyznę w ciemnym garniturze jeszcze przed jego powrotem.

–Sama nie wiem. Craig jest szalenie zaborczy we wszystkim, co dotyczy Walhalli. Mówi, że to nie jest zwyczajny dom, że ten dom jest jakby nim samym. Że jest mapą jego osobowości.

–Naprawdę tak uważa? – zapytała Pepper, marszcząc brwi.

–Walhalla kompletnie go zmieniła. Po tym swoim wypadku był bardzo zdeprimowany, stracił całą pewność siebie. Jeśli chcesz znać prawdę, został brutalnie napadnięty i to go bardzo podłamało. Były dni, kiedy prawie nic nie jadł. Ale odkąd zobaczył

Walhallę, zupełnie się zmienił. Zaczął mówić o sprzedaży udziałów w firmie... o położeniu nowych dachów, przebudowie kuchni i zagospodarowaniu całego terenu. Zupełnie jakby ktoś dał mu jakiś zastrzyk.

–A co ty o tym sądzisz? – zapytała Pepper.

–O kupnie Walhalli? Nie jestem zbyt przekonana. Z biegiem czasu zdołam się chyba do niej przyzwyczaić, ale nie jestem w niej tak zakochana jak Craig. Nie mam na jej punkcie obsesji.

–Powiedz prawdę – poprosiła Pepper. Nie mrugnęła nawet okiem i nie podniosła głosu, Effie zdała sobie jednak sprawę, że przejrzała ją na wylot.

–W porządku – odparła czując, jak przechodzi ją wewnętrzny dreszcz. – Z początku po prostu nie lubiłam Walhalli. Teraz jej nienawidzę. Boję się jej, bo pochłonie wszystkie nasze oszczędności i wszystkie nasze aktywa, a nikt nigdy nie zechce jej od nas odkupić, ponieważ nikt nie kupuje już położonych w Hudson Valley domów z trzynastoma sypialniami. Nikt z wyjątkiem Craiga.

Pepper dotknęła delikatnie jej dłoni.

–Więc nie kupuj jej – powiedziała.

–Ale on tego tak pragnie. Jest taki zdeterminowany.

–To również twoje życie.

–Tak, zgadza się. To również moje życie, a ja chcę, żeby Craig w nim uczestniczył i był taki jak kiedyś, dawno temu, zanim stał się wziętym międzynarodowym adwokatem i zaczął traktować mnie jak gejszę. Chcę, żeby był taki, jakim był, zanim go napadnięto. Walhalla przywróciła mu część dawnej pewności siebie. Nienawidzę jej, naprawdę nienawidzę i śmiertelnie się boję. Nie zamierzam jednak stracić mego męża dla jakiejś płaczącej kobiety i nie zamierzam stracić go dla jakiegoś domu... bez względu na to, jak bardzo byłby szczególny i wspaniały – dodała po chwili prawie bezgłośnie szepcąc.

Wtorek, 29 czerwca, 15.39

Domofon nie przestawał dzwonić i Steven obrócił się w końcu na bok.

–Nie możesz odebrać? – zapytał.

–To nie do mnie – mruknęła Khryssa, zagrzebując się jeszcze głębiej w pościel. –

Ktoś zapomniał po prostu kluczy i chce, żeby mu otworzyć.

Ale domofon dzwonił dalej i Steven wyskoczył wreszcie z łóżka i podniósł słuchawkę.

–O co chodzi? – zapytał, stojąc nagi, z wielkim wystającym brzuchem, w krzyżujących się smugach słonecznego światła.

–Nie bądź taki agresywny, Steven – powiedziała Khryssa. – To do ciebie nie pasuje.

Jej długie czarne włosy spływały na poduszkę niczym niosąca wodorosty leniwa morska fala. Była wysoka, długonoga i bardzo piękna: z lekko zadartym nosem, pełnymi wargami i odrobinę skośnymi oczyma. Jej szyję zdobiły trzy sznury pereł, a na rękę miała złoty zegarek i złoty łańcuszek od Tiffany'ego.

Przy łóżku stała do połowy wypróżniona butelka tequili i dwa kieliszki. To była tequila Mezcal, z zatopionym w środku robakiem saguary. Steven zjadł już robaka, nie wpłynęło to jednak specjalnie na jego potencję. Choć od powrotu do mansardy Khryssy spędzili już dwie godziny zmagając się i obficie pocąc, dziewczyna ani razu nie osiągnęła orgazmu. Co gorsza, o to samo podejrzewała Stevena. Jego jęki i okrzyki ekstazy były w sześćdziesięciu procentach wywołane alkoholem, a w czterdziestu udawane.

–Kto? – zapytał Steven, a potem zakrył słuchawkę dłonią. – Na litość boską... to Craig.

Khryssa odwróciła się na bok i podparła łokciem.

–Craig? Jaki Craig?

–Craig Bellman, na litość boską, a ty myślałaś, że kto?

–Nie wierzę ci! Craig pojechał do Cold Spring, żeby się kurować.

–Wiem, że pojechał – potwierdził Steven. Na jego okrągłej czerwonej twarzy wyraźnie widać było zdenerwowanie. – Ale teraz stoi na dole i chce, żebym go wpuścił.

–Powiedz mu, że mnie nie ma. Powiedz, że jesteś moim kuzynem i opiekujesz się mieszkaniem w czasie mojej nieobecności.

Steven był wyraźnie zbity z tropu. Przez chwilę się wahał.

–Nie ma jej – powiedział w końcu do mikrofonu. – Tak, zgadza się. Jestem jej kuzy...

Odsunął słuchawkę od ucha i spojrzał na nią, jakby osobiście go obraziła.

–No i co? – zapytała Khryssa.

–Rozłączył się.

–W takim razie wszystko w porządku.

–Chyba nie rozpoznał mojego głosu?

–Przecież poszedł sobie, tak czy nie?

–Jasne, ale jesteśmy przecież współnikami. Jezu, to był prawdziwy szok!

–Przestań się przejmować i chodź z powrotem – powiedziała Khryssa. – Nie jestem jego własnością. Nie widziałam go od dnia, kiedy został napadnięty. Dzwonił, oczywiście, ale telefon to nie to samo co łóżko. Chodź do mnie, Steven. Pościel robi się zimna, a twoja tequila coraz cieplejsza.

Steven przemierzał niespokojnym krokiem pokój; jego penis kołysał się przy każdym kroku, a rzadkie potargane włosy lśniły w promieniach słońca.

–Sam nie wiem, dziewczyno. Może powinienem iść do domu.

–Obiecałeś mi całe popołudnie. Obiecałeś, że zabierzesz mnie do Loli.

–Nie wiem... to wszystko zaczyna nam się wymykać z rąk. Dziewczyna usiadła na łóżku i odrzuciła do tyłu włosy.

–Dobrze, Steven, jeśli chcesz iść, idź. Craig wiedział przynajmniej, czego chce!

Steven podszedł do niej i usiadł na skraju łóżka. Wziął rękę Khryssy między obie dłonie, niczym wędlinę w sandwiczu, i poklepał ją. Jego górna warga udekorowana była szklistymi kropelkami potu.

–Może to był w ogóle zły pomysł. Sam nie wiem.

–Czujesz się winny?

–Czuję się, jakbym naruszał cudzy teren. Craig i ja studiowaliśmy razem prawo.

–Nie zapominasz chyba o swojej żonie?

–O Margo? Jezu, kto mógłby zapomnieć o Margo?

–Mógłbyś, gdybyś się postarał. Mógłbyś również zapomnieć o Craigu. Ja zapomniałam.

Steven wydawał się niepocieszony.

–Nie wiem... mam po prostu wrażenie, że nie nadaję się do tego rodzaju rzeczy. Muszę przecież myśleć o dzieciach.

–Które wyglądają kubek w kubek jak Margo? I oboje są nieznośnymi cholernymi bachorami? Przepraszam, że cię cytuję.

Steven zdołał wreszcie spojrzeć jej w oczy: rozczarowany trzydziestoczteroletni adwokat z przerzedzającymi się włosami, rolls-royce'em i letnim domkiem w Quogue. Był posiadaczem niewielkiej akwareli Andrew Wyetha, przedstawiającej jaskrawoniebieskie jagody w dzbanku, ale przyglądając się jej, nie rozumiał nawet, na co patrzy; tak samo nie rozumiał Khryssy ani rozrzedzonego marmoladowego światła, które wypełniało tę mansardę z wszystkimi jej meksykańskimi matami, obiciami i dziwną glazurowaną ceramiką. Rozumiał tylko, że osiągnął w życiu większy sukces, niż się kiedykolwiek spodziewał, a mimo to zawiódł na pełnej linii. „Do czego ci potrzebny rolls-royce?”, zapytała go kiedyś Khryssa, a on nie potrafił jej na to odpowiedzieć.

–Zobaczymy się, hmm... w przyszłym tygodniu – powiedział. – Nie pogniewasz się, jeśli odłożymy na później ten wieczór u Loli? Lubię ten lokal, ale wybierając się do Loli, trzeba być w szampańskim nastroju.

–Może w takim razie pójdziemy do Mortimera? – zaproponowała, pochylając się do przodu, tak że jej małe nagie piersi dotknęły jego ramienia. – U Mortimera jest bardziej kameralnie. Mogłabym włożyć tę czarną sukienkę, którą mi kupiłeś.

Steven pocałował ją.

–Przykro mi, dziewczyno, naprawdę. Zupełnie straciłem nastrój.

Przez chwilę intensywnie się w niego wpatrywała, a potem opadła z powrotem na poduszkę.

–Chromolę cię, Steven. Craig miał przynajmniej dość jaj, żeby zabrać mnie czasem do lokalu.

Steven wstał z łóżka z płonącymi policzkami.

–Szkoda, że nie ma ich dzisiaj, prawda? – mruknął.

W tej samej chwili usłyszeli natarczywe pukanie do drzwi i popatrzyli na siebie zdezorientowani.

–Spodziewasz się kogoś? – syknął Steven.

–Oczywiście, że nie. To Craig.

Steven pochylił się i podniósł z podłogi swoje szorty w niebieskie paski.

–Jezu, to istne szaleństwo.

Pukanie rozległo się ponownie, głośniejsze i bardziej natarczywe.

–Khryssa! – zawołał Craig przez wzmocnione stalowe drzwi. – Wiem, że tam jesteś! Zostawiłaś swój rower w hallu!

–Cholera jasna! – zaklął Steven, podskakując nerwowo i naciągając nogawki spodni. Po chwili stracił równowagę i przewrócił się na bok na łóżko, ale dziewczyna zepchnęła go gniewnym gestem na podłogę.

–Khryssa! Otworzysz w końcu te drzwi czy nie?

Zza skraju łóżka wynurzyła się głowa Stevena. Przyciskał palec do ust.

–Nie odzywaj się, na litość boską, w ogóle się nie odzywaj!

Minęła minuta. Pukanie już się nie powtórzyło. Odczekali jeszcze trzy, cztery minuty. Dziewczyna spojrzała na Stevena, a on na nią.

–Poszedł sobie – szepnął Steven. – Założę się, że poszedł.

–Nie znasz Craiga – odparła nerwowo Khryssa.

–Co to znaczy, nie znam Craiga? Razem zrobiliśmy dyplom. Byliśmy jak bracia. On błyszczał, ja tyrałem. On pisał inteligentne podsumowania, ja zbierałem materiały. To właśnie czyniło z nas taki cholernie dobry tandem. Uzupełnialiśmy się. Stanowiliśmy yin i yang, czy jak to się nazywa. – Wyciągnął palec w stronę drzwi. – Na pewno go tam nie ma, wierz mi. Nigdy nie był wytrwały. Potrafi tryskać entuzjazmem, a za chwilę nudzić się jak mops. Brak cierpliwości, na tym zawsze polegał jego problem. Dlaczego twoim zdaniem go napadli? Normalny człowiek posiedziałby w tej cholernej taksówce dziesięć minut dłużej, opowiedział staremu Hakayawie jakąś bajeczkę o żonie, która zaszła w ciążę, i kto by się przejmował? Ale nie Craig, o nie! On musiał biegać po nocy, ratować z opresji jakąś gówniarę, której w ogóle nie było, i wylądował w końcu ze zmiażdżonymi jajami.

Khryssa usiadła na łóżku i zebrała rękoma włosy. Miała dziewiętnaście i trzy czwarte cała w biuście i wyglądała jak marzenie każdego mężczyzny.

–Wiesz co, Steven? – powiedziała. – To właśnie czyniło z niego prawdziwego mężczyznę.

Steven wstał z łóżka.

–Dobrze, w porządku. Jak już powiedziałem, to nie mój teren. Pójdę już.

Ale w tej samej chwili w zamku w drzwiach szczęknęła bardzo cicho zapadka. A potem szczęknęła następna i Khryssa uświadomiła sobie z rosnącą paniką, że dała Craigowi klucz. Zwrócił go pocztą, razem z mętnym listem, w którym pisał o „męskości” i „zdradzie”, ale mógł sobie oczywiście zrobić duplikat. Nie był może takim kujonem jak Steven, jednak zawsze odznaczał się wielką metodycznością.

Oboje patrzyli w bezruchu, jak ustępuje ostatnia zapadka i drzwi otwierają się na oścież.

–Craig – powiedział Steven. – Naprawdę nie jest tak, jak myślisz.

Craig wszedł do środka i zamknął za sobą cicho drzwi. Miał na sobie ciemny dyskretny garnitur i szarą koszulkę polo. Wyglądał jak Craig, choć w jakiś dziwny sposób wyglądał również jak ktoś zupełnie inny – ktoś, kogo nie znali. Wydawał się niższy, tęższy i bardziej nieokrzesany i poruszał się dziwnym, posuwistym wolnym krokiem, który przypominał krok tancerzy z sali balowej.

Jednak kiedy się odezwał, jego głos był ponad wszelką wątpliwość głosem Craiga.

–A co ja takiego myślę, Steven? Powiedz mi.

–Daj spokój. Zjadłem ciężki lunch z ludźmi z Chon International i potrzebowałem kilku godzin odpoczynku, zanim wrócę do pracy.

Craig podszedł do niego i chociaż wydawał się niższy niż zwykle, nadal był co najmniej trzy cale wyższy od Stevena.

–Chuchnij – powiedział.

–O co ci chodzi? O czym ty mówisz?

–Słyszałeś. Chuchnij.

–Na litość boską, Craig, nic między nami nie zaszło, wierz mi. Za dużo wypilem, za dużo zjadłem, potrzebowałem odpoczynku... i przypomniałem sobie, że w okolicy mieszka Khryssa.

Craig odwrócił się, jakby już go to nie interesowało. Ale potem jego prawa ręka zatoczyła łuk tak szybko, że Steven nawet jej nie zauważył. Trafiony prosto w podbródek padł na łóżko, jakby raził go piorun.

–Craig! – krzyknęła dziewczyna, ale on posłał jej tak lodowate spojrzenie, że skuliła się na łóżku, podciągnęła koldrę pod brodę i nie powiedziała już ani słowa.

–Ufałem ci – powiedział Craig, stając nad Stevenem, który próbował z trudem usiąść.

–Na litość boską, Craig, możesz mi ufać. Nic między nami nie zaszło.

–Skłamałeś. Oszukałeś mnie. Nie jadłeś nic koreańskiego.

–Kto powiedział, że jadłem coś koreańskiego?

–Wymień mi choć jednego dyrektora Chon International, który nie zamawia koreańskiego żarcia. Twój oddech powinien zalatywać kim chee. A czym zalatuje? Tequilą, przyjacielu, czystą tequilą. Tequilą, Khryssą i kłamstwami.

Steven o mało nie spadł z łóżka, ale w końcu udało mu się stanąć na nogi.

–Posłuchaj mnie, Craig. Zostałeś ranny, zostałeś ciężko ranny i wszyscy w firmie bardzo ci współczuliśmy. Brakuje mi ciebie. Jesteś mi potrzebny. Jesteś moim partnerem i uwielbiam twój styl pracy. Co mam ci jeszcze powiedzieć? Kiedy człowiek widzi, jak owijasz sobie wokół palca ławników, bawi się lepiej, niż gdyby

oglądał „Ściganego”. Ale ty się wycofałeś, Craig, a życie toczy się dalej. Nie możesz się spodziewać, że będziemy czekać na ciebie w firmie, przestępując z nogi na nogę, tak samo jak nie możesz się spodziewać, że będzie na ciebie czekała Khryssa. To młoda dziewczyna. Ma swoje życie.

–Skończyłeś? – zapytał Craig, wysłuchawszy całej tej przemowy.

–Czego jeszcze chcesz? Żebym pokazał ci moją parodię Alana Dershowitza?

Craig odwrócił się do Khryssy. Kiedy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała groźba.

–Nie zrobiłaś tego specjalnie, prawda, kochanie? – zapytał. – To była pomyłka. Kiwnęła potakująco głową.

–Wiedziałaś, że do ciebie wrócę, prawda? Napisałem, jak mi na tobie zależy. Tak, tak, napisałeś.

–Byłem ranny, wiesz o tym. Ale przecież we mnie nie zwątpiłaś, prawda? A może jednak? Powinnaś wiedzieć, że kiedy wyzdrowieję, na pewno do ciebie wrócę.

Żadnego kiwnięcia głową. W ogóle nic. Tylko przerażony wzrok.

–Daj spokój, Craig, na litość boską. Przestraszyłeś dziewczynę. Mnie też przestraszyłeś.

–To dobrze – odparł Craig. Odwrócił się, po czym przeszedł do kącika kuchennego i otworzył szufladę ze sztucami.

–Co ty tam, do diabła, robisz? – krzyknął na niego Steven.

–A co, do diabła, myślisz, że robię? Założyłeś się, że poszedłem, sam słyszałem. Założyłeś się i przegrałeś. Chcę teraz odebrać wygraną.

–Och, daj spokój, co to ma być? „Kupiec z Wenecji”? Craig pojawił się ponownie. W rękę trzymał obrócony ostrzem do góry największy nóż do mięsa firmy Sabatier z francuskiej hartowanej stali, jasny trójkąt ostrego jak brzytwa metalu, który mógł przeciąć pieczeń tak łatwo, jak rozdziera się kopertę. Steven cofnął się, podnosząc powoli obronnym gestem rękę.

–Kurwa, Craig! Chyba nie wiesz, co robisz.

–Nie wiem? Zawsze wydawało mi się, że wiem. Zawsze chwaliłeś mój rozum i moją inteligencję; zachwycałeś się, że potrafię trafić w samo serce problemu. Co powiesz na to, żeby teraz też trafił w samo serce problemu, Steven?

Podniósł nóż. Steven zatoczył się do tyłu.

–Nie! – krzyknęła Khryssa.

Craig natychmiast opuścił nóż i dotknął czoła opuszkami palców, tak jakby rozboleła go głowa albo dopiero co się obudził. Steven nie ruszył się z miejsca, drżąc z napięcia, przygryzając wargę i zerkając co chwila na Khryssę, która zaczęła powoli sunąć po łóżku w stronę telefonu.

–Kłopot polega na tym, że w dzisiejszych czasach nikomu nie można ufać – podjął Craig i jego głos wydawał się zupełnie inny. – Nie możesz ufać swojej dziewczynie, że na ciebie zaczeka. Nie możesz ufać swojemu wspólnikowi, że będzie trzymał łapy z daleka od twojej dziewczyny. Nie możesz ufać swojej żonie, że będzie cię wspierać. Nie możesz ufać swoim przyjaciółom. Nie możesz nawet ufać swoim wrogom.

–Odlóż ten nóż, Craig – powiedział Steven, próbując pojednawczego tonu.

Craig podniósł wzrok.

–Kiedyś ludzie dawali ci swoje słowo i mogłeś na nim polegać – stwierdził. – Ale te czasy minęły. Dawno minęły.

–Odlóż ten nóż, Craig – powtórzył Steven.

Wtorek, 29 czerwca, 19.28

Zaghlul Fuad wyjechał, mijając kłęby pary, z podziemnego garażu przy Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy i skręcił w prawo, w stronę Lexington Avenue. Już po kilkunastu jardach zatrzymał go stojący przed Loew's New York Hotel wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w dwurzędowym garniturze i koszulce polo. Zaghlul podjechał do krawężnika i mężczyzna wszedł do środka.

–Możemy jechać do Petrossiana? – zapytał.

–Co to takiego Petrossian? – zapytał Zaghlul, ruszając do przodu i zatrzymując się po chwili na światłach.

–Nie pamięta pan? Restauracja.

–W porządku, restauracja. Jaki adres?

–Pięćdziesiąta Ósma Zachodnia numer sto osiemdziesiąt dwa, niedaleko Siódmej Alei. Tego też pan nie pamięta?

–Dlaczego miałbym pamiętać? Nigdy tam nie byłem. Mężczyzna usadowił się wygodniej.

–Nie, nie był pan tam, ma pan rację. Nigdy tam pan nie był. Ma pan absolutną rację.

Zaghlul chciał się odwrócić i przyjrzeć bliżej pasażerowi, ale w tej samej chwili światła zmieniły się i kierowca stojącego za nimi lincolna nacisnął na klakson.

–Przynajmniej nie pada – zauważył po chwili mężczyzna.

–Nie pada? – roześmiał się Zaghlul, potrząsając głową. – Nie padało już od dwóch tygodni. I wcale się nie zanoszą.

–To dobrze. Może tym razem uda mi się tam bezpiecznie dotrzeć.

Zaghlul przekręcił kierownicę otwartą dłonią, ominął tarasujący drogę ciągnik siodłowy i przejechał przy zmieniających się światłach przez Park Avenue.

–Co to znaczy, bezpiecznie? – zapytał. – Zawsze dowożę bezpiecznie swoich pasażerów.

–Prawdziwy z ciebie optymista, Zaghlul.

Zaghlul zmarszczył brwi i zerknął w tylne lusterko, próbując przyjrzeć się pasażerowi, ale w ciemności widział tylko niewyraźny zarys głowy.

–Czy już pana kiedyś wiozłem? – zapytał.

–Jasne, Zaghlul, wiozłem mnie już kiedyś.

–Ma pan pamięć do nazwisk.

–Nie... niezupełnie. Nie do porządnych ludzi. Nie do przyjaciół. Pamiętam jednak ludzi, którzy zrobili mnie w konia, wystawili do wiatru albo próbowali wykorzystać.

–Ale zapamiętał pan moje nazwisko?

Pasażer pochylił się do przodu i Zaghlul poczuł jego załatujący alkoholem i miętówkami oddech.

–Zawsze zapamiętuję dobre nazwisko, Zaghlul Fuad to nie było jakie nazwisko.

Jak się miewa twój ojciec, Zaghlul?

–Mój ojciec nie żyje.

–A tak, zgadza się – potwierdził chrapliwym szeptem mężczyzna. – Teraz sobie

przypomniałem. Twój ojciec nie żyje. Twój ojciec, który podobnie jak ty, nie był doskonały.

Dojechali do czerwonych świateł przy Madison. Zaghlul zahamował ostro i obrócił się do tyłu.

–Czy ja pana znam? – zapytał. – Kim pan jest, żeby wygłaszać jakieś opinie o moim ojcu?

Twarz mężczyzny była nieprzystępna i przystojna, ale w jakiś nienaturalny sposób.

–Sam to powiedziałaś, Zaghlul. To ty powiedziałaś, że twój ojciec nie był doskonały. Dawał z siebie wszystko, tak jak większość z nas. Ale ty... ty nigdy nie dawałaś z siebie wszystkiego, prawda, Zaghlul? Nigdy nie starałaś się być uczynny, kiedy ktoś cię potrzebował. Zawsze uważałaś, że masz rację, a inni ludzie się mylą, i nic nie pomagało, kiedy cię przepraszali, ponieważ ty nigdy nie przyjmowałaś przeprosin, prawda? Nigdy nie rozumiałaś, że ktoś może być w stresie. Nigdy nie rozumiałaś, że ktoś może być w krytycznej sytuacji. Nigdy nie pomyślałaś, że od ciebie i twojej pierdolonej taksówki może zależeć czyjś sukces lub klęska, czyjeś życie lub śmierć, to, czy mężczyzna pozostanie mężczyzną, czy też zrobią z niego eunucha. Nigdy o tym nie pomyślałaś, prawda?

–Hej, niech pan poczeka... – powiedział Zaghlul, ale w tej samej chwili zmieniły się światła.

–Lepiej ruszaj, Zaghlul – mruknął mężczyzna. – I lepiej patrz, jak jedziesz.

Zaghlul walnął zderzakiem w stojący przy krawężniku kosz na śmieci, odbił gwałtownie w prawo i o mało nie zderzył się z drugą limuzyną, która sunęła obok nich ulicą, połyskując tajemniczo swymi operowymi światłami i przyciemnionymi szybami.

–Cholera! – zaklął. – Przepraszam – dodał po chwili. Mężczyzna pochylił się do przodu.

–Za późno teraz na przeprosiny, Zaghlul – powiedział. – Co się stało, to się nie odstanie.

Zaghlul podjechał do krawężnika i zatrzymał się.

–Posłuchaj, przyjacielu, nie mam pojęcia, co takiego zrobiłem, że się na mnie wściekasz, ale cokolwiek to było, to już przeszłość, a teraz chcę tylko, żebyś wysiadł z mojej taksówki.

Mężczyzna przez chwilę milczał z przechyloną prowokacyjnie głową, uśmiechając się z przekąsem do Zaghlula.

–Taki już masz zwyczaj, prawda? Kiedy nie podoba ci się któryś z pasażerów, zatrzymujesz się i wyrzucasz go z samochodu. Pasażerki tak samo. Domyślam się, że wyrzucasz także kobiety, każdą kobietę, która ci się nie podoba, niezależnie od tego, w jakiej jesteś akurat dzielnicy.

Zaghlul otworzył drzwiczki.

–Powtarzam ci, przyjacielu, wysiadaj z taksówki albo wezwę policję.

Mężczyzna parsknął, najwyraźniej rozbawiony.

–Oczywiście, już tu biegną. Zdążą akurat stwierdzić twój zgon.

–Proszę, przyjacielu, może byśmy tak o wszystkim zapomnieli? – powiedział Zaghlul. – Po prostu wysiądź. Nie musisz płacić za kurs. Co było, to było. Dajmy sobie spokój z przeszłością.

–Zapomnieć? Jak mogę zapomnieć? Czy wiesz, co mi zrobiłeś?

–Naprawdę bardzo mi przykro – odparł Zaghlul. – Nie wiem, kim jesteś. Nie mam pojęcia, czego ode mnie chcesz. Nie znam cię i nie chcę znać. Cokolwiek robisz, kogokolwiek pieprzysz, to twoja sprawa. Darujmy sobie opłatę za przejazd, uściśnijmy dłonie i zapomnijmy o całej sprawie.

Mężczyzna chwilę się zastanawiał.

–Dobrze, zapomnijmy. Nie pamiętasz pewnie pewnego deszczowego wieczoru w marcu... jeśli mam być dokładny, było to szesnastego marca... kiedy kazałeś mi wysiąść ze swojej taksówki, ponieważ nie spodobało ci się, jak się do ciebie odezwałem?

Zaghlul potrząsnął głową.

–Nie pamiętam. Wożę tysiące pasażerów, przyjacielu. Nie potrafię odróżnić jednego od drugiego.

–Mnie powinienesz zapamiętać.

–Nie, nie sądzę. Ale jeśli cię zdenerwowałem, przepraszam.

–Teraz mnie zapamiętasz – oświadczył z uśmiechem mężczyzna i mówiąc to, pochylił się na siedzeniu, szarpnął głowę Zaghlula do tyłu i przesunął ręką przed jego twarzą, jak wiolonczelista przesuwając smyczek po swoim instrumencie. Gest był tak lekki i elegancki, że Zaghlul nie zdawał sobie sprawy, co się stało, dopóki na jego hawajską koszulę nie trysnęły kaskady ciepłej krwi. Złapał się za gardło. Pod palcami poczuł pulsującą arterię i przypominającą drugie usta rozplataną skórę.

–Zapamiętasz wieczór, kiedy wyrzuciłeś mnie z taksówki na ulewny deszcz; kiedy mnie napadnięto i zraniono gorzej, niż ty kiedykolwiek będziesz zraniony, Zaghlul. Ty pierdolony, głupi ospowaty Egipcjaninie.

Zaghlul nie mógł odpowiedzieć; nie mógł oddychać. Gdy Craig wysiadł z taksówki i zamknął za sobą cicho drzwi, osunął się na bok. Z głowy spadła mu podobna do doniczki czapka, a krew pociekła cienkimi lepкими strugami na gumową wykładzinę podłogi taksówki. Kiedy wyjeżdżał przed chwilą na swoją zmianę, wydawało mu się, że świeci słońce, ale teraz robiło się coraz ciemniej. Wkrótce ściemniło się tak bardzo, że pomyślał, iż musi wracać do domu.

Był pewien, że słyszy głos swojego ojca. Ojciec perorował coraz głośniejsze i głośniejsze, tak głośno, że Zaghlul nie mógł tego prawie znieść.

„Ile razy ci mówiłem, Zaghlul, żebyś nie był taki arogancki? Byłeś zawsze taki arogancki! I widzisz, czym to się skończyło?”

Jakaś kobieta zapukała w szybę, pytając, czy może zawieźć ją na Columbus Circle, ale zaraz szybko się cofnęła.

Zaghlul słyszał uliczny ruch i tysiące stóp kroczących po chodniku.

Wtorek, 29 czerwca, 23.11

Miał wiele różnych imion. Niektórzy z młodszych chłopaków mówili na niego Książę. Bliscy przyjaciele wołali nań Szpryca, bo był stale na haju. Matka nazywała go Samuelem i takie imię miał wpisane w metryce. Ojciec mówił na niego Wyrzutek, ale Szpryca nie był wcale wyrzutkiem dla Aktuzu, ulicznego gangu, który opanował dzielnicę teatralną, polując na ludzi wychodzących z teatru, turystów i w ogóle każdego, kto się napatoczył.

Tego wieczoru stroszył swoją czarną, podobną do wielkiego grzyba fryzurę w jednej z garderób Lyceum, obserwowany z zachwytem przez swą jasnowłosą przyjaciółkę Scuzz (prawdziwe imię Susan) oraz najbliższego przyjaciela i ochroniarza, Tyce'a (nazwanego tak na cześć Mike'a Tysona, z którym Tyce dzielił ten sam numer kołnierzyka). Szpryca często gościł za kulisami, zarówno na Broadwayu jak i poza nim, znał bowiem wszystkich odźwiernych i strażników, oni zaś pobiłali mu, ponieważ sprawiał bardzo mało kłopotów, paradując co najwyżej po teatralnych wnętrzach niczym próżny i kapryśny aktor lub reżyser, i ponieważ mógł sprawić im bardzo wiele kłopotów, gdyby tego nie robili – niszcząc afisze, plądrując szatnie i terroryzując personel.

–Gdzie dzisiaj pójdziemy, kochanie? – zapytała go Scuzz.

–Do Au Bar – odparł Szpryca. – A potem może do China Club. Zależy, w jakim będę nastroju.

–Nabierasz mnie.

–Jasne, że cię nabieram. Idziemy do Tony Roma na pieczone żeberka.

–Dobrze dzisiaj wyglądasz, człowieku – wtrącił Tyce. – Powinieneś zgłosić się na próbę.

Szpryca przekręcił głowę w lewo i w prawo, podnosząc kołnierz kurtki i wydymając wargi.

–Nie potrzebuję chodzić na żadne próby. Któregoś dnia będą szukali nowego Otella i przyjdą błagać mnie na kolanach, żebym zagrał. „Nędzniku, dowiedz mi, że moja żona jest wiarołomna, daj mi jaki dowód!”.

Tyce klasnął w dłonie.

–Masz to jak w banku, człowieku. Mógłbyś zahipnotyzować całą widownię.

–Powiedziałem ci. Przyjdą błagać mnie na kolanach. Szpryca wyjął papierosa i Tyce natychmiast usłużnie podał mu ogień. W tej samej chwili ktoś energicznie zapukał do drzwi garderoby.

–Czego? – zapytał Tyce. – To prywatne przyjęcie.

–Szukam faceta, który nazywa się Szpryca.

–W jakiej sprawie? – zapytał Tyce. Zerknął na Szprycę, a potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni czarnej skórzanej kurtki i wyciągnął z niej sprężynowy nóż.

–Mam specjalną przesyłkę.

–Co w niej jest? – zapytał Tyce.

–Mnie nie pytaj. Ja tylko dostarczam.

Szpryca podszedł ostrożnie do drzwi. Aktuz stał się ostatnio kilka razy z sąsiednim gangiem Portorykańczyków, Czerwonymi Skorpionami, którzy kręcili się w

okolicy Dworca Autobusowego Zarządu Portu, kradnąc torebki i bagaż. Tydzień wcześniej dwóch członków Aktuzu pchnięto nożem, jednego ciężko, i wiadomo było dobrze, że Czerwone Skorpiony wyznaczyły cenę za głowę Szpryca. Każdy Skorpion, który przyniesie skalp Szpryca do ich meliny, miał dostać tyle cracka, ile zdoła unieść.

–To nie jest Portorykańczyk – szepnął Tyce.

–I co z tego? Mogli zapłacić komuś z zewnątrz.

Szpryca odchylił swój długi czarny płaszcz i wysunął młotek, który przymocowany był pętlą do podszewki.

–Dobrze, możesz wejść. Ale powoli – powiedział głośno. Tyce otworzył drzwi lewą ręką, ściskając w prawej nóż. Po kilku sekundach do środka wszedł wysoki biały mężczyzna. Jedną rękę chował za plecami i nie wyglądał jak ktoś, kto zarabia na życie doręczaniem przesyłek. Miał na sobie ciemny drogi garnitur i koszulkę polo w kolorze węgla drzewnego.

–Ty jesteś Szpryca? – zapytał, wciąż trzymając rękę z tyłu.

–Może jestem, a może nie jestem. Kto chce wiedzieć?

–Ja. Szukałem cię. Niełatwo cię znaleźć.

–Co tam chowasz za plecami, człowieku?

–Mówiłem już. Specjalną przesyłkę.

Napięcie w pokoju szybko rosło. Scuzz cofnęła się do kąta, a sunące po podłodze krzesło wydało odgłos, od którego cierpły zęby. Tyce zwolnił sprężynę w swoim nożu i w padającym od lustra jaskrawym świetle zabłysło podwójne ostrze.

–Połóż lepiej tę specjalną przesyłkę na podłodze – powiedział Szpryca.

Mężczyzna potrząsnął głową.

–Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić. Muszę ją doręczyć osobiście.

Szpryca zaczął uderzać rytmicznie obuchem młotka w otwartą dłoń.

–Masz już dosyć życia, człowieku? Powiedziałem, żebyś położył to na podłodze.

Tyce wyszczerzył szeroko zęby.

–Nigdy nie widziałeś, co taki młotek potrafi zrobić z człowiekiem.

Mężczyzna odwrócił się i posłał mu poważne spojrzenie.

–Tak się składa, że widziałem – powiedział. – Ale nigdy nie widziałem, co potrafi zrobić z człowiekiem taki młotek...

Bez słowa ostrzeżenia wysunął rękę z za pleców i zanim Tyce zdążył podnieść ramię, żeby się zasłonić, zatoczył w powietrzu łuk potężnym kowalskim młotem o długim trzonku, trafiając go prosto w twarz.

Nos Tyce'a rozprysnął się na kawałki, a górna szczęka pękła na pół z głośnym trzaskiem. Adiutant Szpryca runął do tyłu, przewracając krzesło, i legł na podłodze z dygoczącą konwulsyjnie jedną nogą i wytrzeszczonymi nieruchomo oczyma.

Szpryca ugiął nogi i zaczął wywijać wściekle swoim młotkiem, jakby się fechtował.

–To o mnie ci chodzi, człowieku. Zmów lepiej modlitwę. Na twarzy mężczyzny nadal nie odbijały się żadne uczucia.

Podniósł swój kowalski młot i uderzył nim w przegub Szpryca tak silnie, że młotek tamtego przeleciał przez cały pokój. Szpryca wrzasnął z bólu i zatoczył się w stronę

toaletki. Mężczyzna zamachnął się ponownie i uderzył go w bark, łamiąc mu obojczyk. Szpryca podniósł rękę, próbując się zasłonić, ale mężczyzna uderzył go w klatkę piersiową – raz, drugi i trzeci, i za każdym razem słychać było pękające żebra.

Szpryca upadł na lustro i w tej samej chwili mężczyzna rąbnął go w czoło. Lustro pękło na setki jasno oświetlonych kawałków, a w czaszce Szprycy pojawiła się głęboka dziura.

Mężczyzna okładał go dalej młotem, rozbijając w drzazgi zarówno jego czaszkę, jak i lustro. Okładał go jeszcze długo po śmierci – długo po tym, jak bombastyczna fryzura Szprycy zredukowana została do krwawej miazgi, w której tkwiły włosy, kawałki kości i żółtawy mózg. Ze zmiążdżonej twarzy spozierano oskarżycielsko jedno oko, ale oprócz tego trudno było poznać, że ma się do czynienia z człowiekiem.

Scuzz skuliła się w kącie z bladą jak ściana twarzą.

–Nie rób mi krzywdy – poprosiła stłumionym głosem. Mężczyzna stanął nad nią, trzymając w obu rękach swój młot.

–Nie pamiętasz mnie, prawda? – zapytał. Potrząsnęła bez słowa głową.

–Nie pamiętasz drogerii K-Plus przy Czterdziestej Ósmej Ulicy i pewnego deszczowego wieczoru w marcu?

Scuzz sprawiała wrażenie kompletnie oszołomionej.

–„Niech pan mi pomoże, niech pan mi pomoże” – powiedział, przedrzeźniając ją. – „Gwałcą moją przyjaciółkę”.

Nadal nic nie pamiętała. Za dużo cracka, pomyślał. Za mało szarych komórek. Nie była inteligentniejsza od domowego kundla. Odwrócił się w stronę drzwi.

–Nikommu nie powiem – zaskowyczała Scuzz. – Jak Boga kocham, nikomu nie powiem.

–Obiecujesz? – zapytał, odwrócony do niej plecami.

–Jak Boga kocham.

Środa, 30 czerwca, 11.29

Kiedy Effie zeszła na dół, Pepper czekała już na nią w hallu Pig Hill Inn, przeglądając egzemplarz Architectural Digest. Miała na sobie brązowy kaftan, a na głowie ozdobiony brązowymi strusimi piórami czarny kapelusz z szerokim rondem. Na podłodze obok jej fotela leżała niczym śpiący pies wielka torba z surowej wełny.

–Przepraszam cię, Pepper – powiedziała Effie – ale nie jestem pewna, czy mogę jechać. Przed chwilą dzwonił Craig. Dziś rano znaleziono zwłoki jego współnika. Został pchnięty nożem.

–Żartujesz chyba! To okropne. Wiedzą, jak do tego doszło?

–Policja nie powiedziała mu zbyt wiele. Wiadomo tylko, że znaleziono go w mieszkaniu jakiejś dziewczyny. Ona również została zamordowana.

–Boże, to straszne. Człowiek nie czuje się już dziś nigdzie bezpieczny.

–Craig zadzwoni do mnie później, żeby powiedzieć, jakie ma dalsze plany.

–Odłóżmy to wobec tego na kiedy indziej – powiedziała Pepper, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Jesteś dziś za bardzo rozkojarzona, żeby zajmować się wibracjami psychicznymi.

–Nie jestem wcale rozkojarzona – odparła Effie. I rzeczywiście nie była. Miała wrażenie, że jej własne życie odpływa gdzieś niczym niesiona przez prąd do otworu burzowego papierowa łódka. Walhalla, Gaby, a teraz to. Musiała zrobić coś pozytywnego, żeby odzyskać kontrolę nad sytuacją. – Chodzi o to, że Craig może chcieć, żebym wróciła do Nowego Jorku.

Pepper spojrzała na zegarek.

–Zabawimy tam niedługo: najwyżej godzinę. Może zostawisz po prostu wiadomość w recepcji?

–To chyba najlepszy pomysł – powiedziała Effie. Przez chwilę się zastanawiała. Wiedziała, że Craig jest wytrącony z równowagi. Ona także była wytrącona z równowagi, chociaż nie lubiła Stevena od pierwszego momentu, kiedy Craig go jej przedstawił. Mógł być łysiejącym, nudnym szowinistą, był jednak przecież istotą ludzką i jakaś para ludzi musiała się kiedyś w wystarczającym stopniu kochać, żeby go począć i wychować. Bez względu na to, jak negatywne ktoś wzbudza emocje, jego przedwczesna śmierć jest zawsze tragiczna.

Ale musiała również myśleć o swojej przyszłości. I o Walhalli.

–W porządku – powiedziała, podchodząc do recepcji i potrząsając dzwonkiem.

–Czy przyjaźniłaś się z tym współnikiem Craiga? – zapytała Pepper, opierając się o biurko.

Effie skrzyżowała palce.

–Ja nie. To Craig był z nim zaprzyjaźniony. Papużki nierozłączki. Poznali się na wydziale prawa. Wiem, że nie powinnam mówić źle o zmarłym, ale nigdy zbyt go nie lubiłam. Zachowywał się zawsze tak napastliwie... Wydaje mi się, że Craig byłby o wiele mniej agresywny, gdyby nie wpływ Stevena. Poza tym zawsze wlepił we mnie gały i łąził za mną do kuchni na przyjęciach. Jeden z tych facetów, którzy nigdy nie potrafią trzymać rąk przy sobie.

–Znam ten rodzaj. Nazywałam ich ośmiornicami, dopóki nie zorientowałam się,

jaki to inteligentny gatunek zwierząt. Ktoś powiedział, że ośmiornice mogłyby pisać poezję, gdyby nie lał im się bez przerwy atrament. – Pepper przerwała na chwilę. – To miał być żart – mruknęła. – Ale bardzo bliski prawdy.

Do recepcji podeszła kierowniczką pensjonatu, Wendy O'Brien, i Effie poprosiła ją, żeby odebrała wiadomość od Craiga.

–Dobrze się pani czuje, pani Bellman? – zapytała, marszcząc brwi, Wendy. – Wybacz pani, że to mówię, ale wydaje się pani trochę blada.

–Nic mi nie jest – zapewniła ją Effie. Pepper wzięła ją za rękę i uścisnęła i Effie zdała sobie nagle sprawę, że zyskała bardzo bliską przyjaciółkę.

Minęły las i Red Oaks Inn. Niebem płynęły wielkie kremowe cumulusy, tak jakby całe zbiory bawełny z Georgii dźwignięto w górę i wyekspediowano drogą powietrzną na północny wschód, w stronę Labradoru albo Bóg jeden wie gdzie.

–Norman powiedział nam, że pracowałaś dla Berrymanów – powiedziała Effie. Pepper uśmiechnęła się.

–Och, tak. To byli wspaniali ludzie. Przybyli prawdopodobnie z innej planety, ponieważ na Ziemi nigdy potem nie spotkałam już kogoś tak miłego. Mieli w sobie coś niezemskiego, niczym ludzie ze „Strefy zmroku”, „Wyspy Ziemi” albo innych filmów science fiction z lat pięćdziesiątych.

–Całkiem możliwe, że się wtedy spotkałyśmy – powiedziała Effie. – Ojciec zabierał mnie do Berrymanów na drugie śniadanie, kiedy chciał mi sprawić szczególną przyjemność. – Uśmiechnęła się do własnych wspomnień. – Lubiłam patrzeć przez kolorowe szybki, pamiętasz je? We frontowych drzwiach były kolorowe szybki. Patrzyłam przez nie i widziałam spacerujących na dworze ludzi, ludzi, których tam wcale nie było.

–Co takiego? – zapytała Pepper.

Przejechały przez kałużę, wzbijając tuman wodnego pyłu.

–Widziałam ludzi przez kolorową szybę.

–Jaki miała kolor ta szyba?

–Czerwony. Zawsze czerwony. Dlaczego to cię tak interesuje? Przecież tych ludzi wcale tam nie było.

–Na litość boską, czerwony!

–I co w tym złego? Puszczalam tylko wodze wyobraźni. Nikogo tam nie było. Otwierałam po chwili drzwi i nikogo tam nigdy nie było.

–Nie mogłaś tego wiedzieć, ale czerwony jest jedynym kolorem spektrum, przez który można postrzegać równoległą rzeczywistość.

–Co to takiego, ta równoległa rzeczywistość?

–Ujmijmy to w ten sposób... Niektórzy ludzie uważają, że czas jest czymś w rodzaju linii prostej i że wszyscy poruszamy się wzdłuż niej, jakbyśmy jechali długą szosą, która wynurza się zza horyzontu niczym nie kończąca się wstęga. Inni z kolei sądzą, że czas zakrzywia się w pętlę, co oznacza, że któregoś dnia będziemy robili dokładnie to samo, co niegdyś. Wieczna powtarzalność, tak właśnie nazwał to Nietzsche. Biedny stary Nietzsche, tak źle rozumiany, tak źle zinterpretowany. Ale czyż nie przytrafia się to nam wszystkim? Jeszcze inni uważają, że czas jest niczym

wstęga Möbiusa, a są również tacy, którzy twierdzą, że biegnie raz szybciej, raz wolniej. Jednak czas nie jest żadną z tych rzeczy. Nie jest ani linearny, ani sekwencyjny. Wszystko, co kiedykolwiek się zdarzyło, jest symultaniczne. Dzisiaj się urodziłaś. Dzisiaj zrobiłaś dyplom. Dzisiaj spotkałaś swojego męża. Dzisiaj się zestarzałaś. Dzisiaj umarłaś. Wszystko zachodzi równocześnie. To tylko nasz sposób postrzegania sprawia, że wydaje nam się, jakby jedna rzecz następowała po drugiej.

–W ogóle cię nie rozumiem – powiedziała Effie. – Wiem, co wydarzyło się wczoraj, ale wczorajszy dzień minął. Przeżyłam go i odszedł w przeszłość. Jak może nadal istnieć?

–Może istnieć, ponieważ istnieje. Po prostu. Nie czułaś, że jest prawdziwy, kiedy go przeżywałaś?

–Oczywiście, że czułam.

–Czułaś, że jest prawdziwy, ponieważ jest prawdziwy. Życie jest niczym książka, tego właśnie nie rozumiesz. Życie jest jak książka, ponieważ istnieje w całości, całe w jednym kawałku. Początek, środek i koniec... możesz sięgnąć wszędzie, kiedy tylko chcesz, w dowolne miejsce. Możesz przeczytać koniec „Przeminęło z wiatrem”:
„Mimo wszystko, życie się dzisiaj nie kończy”, a potem cofnąć się do samego początku: „Scarlett O'Hara nie była piękna...” albo do każdego innego fragmentu, do martwego żołnierza staczającego się po schodach i zakrywającej uszy Melanii, do pożaru Atlanty... i do Atlanty przed pożarem... wszystko dzieje się teraz. Nie ma żadnego wczoraj. Dlaczego miałoby być? Wczorajszy dzień nie był wcale wczorajszym, kiedy go przeżywałaś, prawda? Jedziemy teraz tą drogą. Czy jedziemy nią „wczoraj”? Będziemy tak myślały jutro. Ale „wczoraj” jechałyśmy tą drogą Jutro”.

–Mam wrażenie, że się pogubiłam już dziesięć zdań temu – roześmiała się Effie.

–Nie, wcale się nie pogubiłaś. Ponieważ patrzyłaś przez czerwoną szybę i widziałaś ludzi, których tam wcale nie było. Sedno sprawy polega na tym, że oni byli. Byli w jakimś innym czasie. Kiedy spogląda się przez czerwoną szybę, widzi się rzeczy, które były, albo rzeczy, które będą.

–Chcesz powiedzieć, że ten mężczyzna, którego widziałam przechodzącego przez parking...

–Przed Red Oaks Inn, kiedy byłaś dzieckiem? Tak... to był ktoś z przeszłości, a może przyszłości.

Effie potrząsnęła głową.

–Nie wierzę w to. Nie mogę w to uwierzyć. Pepper położyła jej dłoń na rękawie.

–To nie ma znaczenia. Najważniejsze, że o tym wiesz. Minęły przygięte wichurą dęby; w oddali ukazała się brama

Walhalli.

–Może to jednak nie najlepszy pomysł – powiedziała Effie. Czuła się głęboko poruszona; nie tylko tym, co się wydarzyło, ale również sposobem, w jaki interpretowała to Pepper. Jeśli dobrze ją zrozumiała, całe życie dzieje się równocześnie, a ludzie przenoszą się tylko od jednej sekwencji do drugiej, tak jakby czytali książkę. Ale skoro przeszłość nadal istniała, czy można było się do niej

cofnąć?

–Zdziwiłabyś się, ile dobrych rzeczy wynikło ze złych pomysłów – odparła Pepper.

Przejechały przez bramę i ruszyły dalej zataczającym łuk podjazdem. Walhalla stała w cieniu wielkiej chmury, która nadawała jej szczególnie posępny wygląd. Wokół wysokich kominów krążyły kruki.

–Kiedy Norman był małym chłopcem, uwielbiał tu przychodzić. Bawił się w najróżniejsze rzeczy. W średniowiecznych rycerzy, w Gwiezdne Wojny, co tylko chcesz. Nigdy nie lubiłam samego domu, ale podoba mi się jego otoczenie. To takie dzikie, odludne miejsce. Czytałaś kiedyś „Opowieści z Tanglewood”? „Granica między widzialnym i niewidzialnym”. Aż mnie dreszcz przechodzi!

Podjechały pod bezgłowy posąg i wysiadły z samochodu. Pepper wyciągnęła z bagażnika swoją wielką wełnianą torbę i wniosła ją po schodach. Effie wyjęła klucze Craiga, szukała przez chwilę właściwego i znalazłszy go, otworzyła drzwi. Kiedy weszły do środka, z balkonu zerwał się gołąb i zaczął krążyć pod sufitem, trzepocząc wściekle skrzydłami. Obie podskoczyły ze strachu.

–O mój Boże – roześmiała się Pepper. – O mało nie dostałam ataku serca.

Chociaż przez wybite okna widziały jasny błękit, hali był mroczny i chłodny. Pepper postawiła na podłodze swoją torbę, otworzyła ją i zaczęła grzebać pośród książek, buteleczek, grzechotek, puszek, kosmyków włosów i kolorowych szmatek. W końcu wyjęła zaśnieżoną miedzianą solniczkę, słoik z bursztynowego szkła i rozwidloną gałązkę suchej leszczyny przypominającą kształtem literę Y z szeroko rozchylonymi końcami.

–Esencja z lili – powiedziała, wskazując słoik. – Pomyślałam, że może nam się przydać.

–Do czego służy? – zapytała Effie.

–Lilia jest kwiatem księżycowym. Sprowadza szaleństwo, podobnie jak sam księżyc. Esencją liliową można przywrócić ład w miejscu, w którym vibracje psychiczne wymknęły się spod kontroli. Niszczy ich ognisko i zwraca vibracje ku nim samym.

Pepper pokręciła dłońmi w przegubach i ujęła gałązkę za rozwidlone końce.

–Można też użyć gałązki osiki, ale osika jest bardzo niestabilna – dodała. – Krzyż, do którego przybito Jezusa, zrobiony był podobno z drzewa osikowego i osika drży na samo wspomnienie tego, do czego ją przymuszono.

–Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś? – zapytała z uśmiechem Effie.

Pepper skierowała powoli gałązkę najpierw w prawo, a potem w lewo.

–Rodzice zapomnieli mnie ze sobą zabrać po festiwalu w Woodstock.

Rozmawiałam z szamanami, czarownicami i najróżniejszymi ludźmi. Niektórzy z nich byli szaleni. Niektórzy bardzo szaleni. Tak to wtedy wyglądało. Zaczynała się w końcu Era Wodnika. Ale będąc wśród nich, nauczyłam się mnóstwa rzeczy. Nauczyli mnie odlewać świece w kształcie ludzkiej ręki, Ręki Chwały, abym mogła znaleźć ukryty skarb. Nauczyli mnie rzucać podkowę przez ramię, żeby powstrzymać podążającego za mną Diabła. Przekazali wiedzę na temat warzyw, ziół i całej magicznej spiżarni. Większość tego wszystkiego jest bezużyteczna, ale kilka metod

naprawdę działa i kiedy działa, dzieją się niewiarygodne rzeczy. Człowiekowi opada szczęka.

Pepper na chwilę przerwała, próbując wyczuć ruchy gałązki.

–Czuję jakieś drżenie, ale niezbyt mocne – stwierdziła. – Chodźmy dalej.

–Drżenie?

–Tak. Jakby ktoś się trząsnął... dotknij, poczuj sama. Tak, jakby ktoś próbował odsunąć twoje ręce.

Effie dotknęła gałązki, która lekko dygotała, naelektryzowana i naprężona niczym psi ogon w upale.

–To niewiarygodne – powiedziała. – Jak to działa?

–Leszczyna przyciąga zakłócenia psychiczne w ten sam sposób, w jaki żelazo przyciąga pioruny. Ale nie każdemu się to udaje. Musisz być bardzo pasywna. Musisz myśleć do środka, a nie na zewnątrz, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Musisz zachęcić wibracje, żeby weszły w twój umysł, zaprosić je, a niewielu ludzi to potrafi.

Pepper przecięła na ukos hali, przystając co jakiś czas, żeby upewnić się, czy idzie śladem najsilniejszego psychicznego prądu.

–Pamiętasz „Pogromców duchów”? Nie mieli prawa odkryć żadnego psychicznego fenomenu. Byli zdecydowanie zbyt agresywni. Nie można upolować wspomnienia, poczucia żalu albo chwili strachu. Są zbyt ulotne, zbyt słabe. Egzystują na samej krawędzi wczoraj lub w najbliższej sugestii jutra.

Zdaniem Effie Pepper przemawiała za bardzo w stylu Ery Wodnika, ale nie powiedziała tego na głos. Widziała, że gałązka leszczyny drży jak szalona, i zdawała sobie sprawę, że nikt nie potrafi tego dokonać po prostu nią potrząsając. Co jakiś czas podrywała się gwałtownie do góry, jakby ktoś ją szarpnął, i kiedy to się działo, Pepper sapiała lekko z wysiłku.

–Pole jest bardzo silne... nigdy w życiu nie czułam czegoś tak silnego.

–Co to według ciebie jest?

–Tutaj, w tym korytarzu, to prawie z całą pewnością poruszający się ludzie. Wyczuwam obecność wielu podnieconych ludzi, podążających szybkim krokiem w stronę sali balowej. Przemieszczają się przez cały czas, ciągłym strumieniem. Są podnieceni, ale jednocześnie przestraszeni. Odbieram atmosferę grozy przemieszanej z zachwytem, tak jakby wszyscy spieszili się, żeby zobaczyć coś naprawdę strasznego.

Gałązka podrywała się teraz co kilka sekund, za każdym razem wyżej. Wkrótce wyginała się tak ostro do góry, że Effie nie mogła zrozumieć, dlaczego się jeszcze nie złamała.

Pepper zaczęła iść szybciej.

–Tyle tu paniki – powiedziała. Z jej twarzy odpłynęła cała krew, oczy miała jak dwa spodki. – Tyle tu strachu. Nie chcą tego widzieć, ale nie chcą również, żeby ich to ominęło.

Dochodząc do sali balowej, praktycznie biegły. Drzwi były zamknięte; obie zatrzymały się tuż przed nimi. Effie miała irracjonalne wrażenie, że nie ma za nimi nic

oprócz pustki i jeśli je otworzą, wessie je absolutna próżnia. Serce biło jej ze strachu tak mocno, jakby ktoś walił wściekle kijem w poduszkę.

–O mój Boże -jęknęła Pepper. – Ledwie mogę ją utrzymać.

Leszczyna odgięła się teraz zupełnie do tyłu i wskazywała zawieszony na szyi Pepper runiczny medalion. Effie dotknęła ramienia przyjaciółki i wyczuła, ile wysiłku wkłada Pepper, żeby nie wypuścić gałązki z rąk. Mimo to różdżka nie pękała.

–Co to jest? – zapytała osłupiała. – Dlaczego ona tak się wygina?

–Nie mogę... ona nie chce... ona odmawia!

–Co to znaczy „ona odmawia”? Przecież to tylko gałązka i trzymasz ją w rękach.

Pepper wlepiła w nią te swoje błyszczące srebrne oczy i przełknęła z trudem ślinę.

–To znaczy, że dalej nie pójdę. Nie wejdę do środka. Nie mogę.

Wahała się jeszcze przez krótką chwilę, a potem odrzuciła gałązkę daleko od siebie, tak jakby nagle zobaczyła pełznącą po niej gąsienicę. Gałązka upadła pod jednym z okien i stopniowo się wyprostowała.

–Co to było? – zapytała Effie. – Co się stało?

–Nie wiem. – Pepper trzęsała się cała i nerwowo pocierała ramię. – Czymkolwiek to jest, nie mogę stawić temu czoła. Jest o wiele za silne... jest o wiele silniejsze, niż było kiedykolwiek wcześniej. Może to przeze mnie, może przez ciebie. Nie wiem. Ale gdybyś potrafiła czuć to, co ja czułam...

Effie zerknęła na gałązkę.

–Może powinnam spróbować.

–Nie, nie rób tego. Prawdopodobnie niczego nie poczujesz, ale nigdy nic nie wiadomo. Możesz być bardziej wrażliwa, niż sądzisz.

–Ale co to było?

–To była ciemność... coś w rodzaju pustki. Nie potrafię tego opisać. Czułam po prostu, że dzieje się coś zupełnie niesamowitego.

Effie przygryzła wargę. Nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. W Walhalli działo się najwyraźniej coś złego, ale czy były to rzeczywiście „psychiczne wibracje”? Podobał jej się mistycyzm Pepper, jej magiczna spiżarnia i leksykon zaklęć, ale miała poważne wątpliwości, czy przyjaciółka potrafi w racjonalny sposób wytłumaczyć zachodzące tu zjawiska, tak aby mogły wyegzorcyzmować ten dom albo zaradzić temu wszystkiemu w jakikolwiek inny sposób. Wydawało jej się, że odpowiedzi na dręczące ją problemy powinna poszukać raczej w realnym świecie, a nie w świecie duchów, snów i czarów.

–Nie chcesz spróbować jeszcze raz? – zapytała. Pepper potrząsnęła głową.

–Przykro mi, Effie. Nie chciałam cię zawieść. Ale... – zerknęła na zamknięte drzwi do sali balowej i jej oczy powiedziały Effie wszystko. – Tam w środku jest horror. Nie masz najmniejszego pojęcia...

–Wcale mnie nie zawiodłaś, naprawdę. Muszę po prostu porozmawiać z Craigiem i zorientować się, co o tym myśli.

–Masz zamiar powiedzieć o tym Craigowi?

–A co innego mi pozostaje?

–Ale coś przestrzegało cię przecież, żeby tego nie robić. Na twoim miejscu nie

ignorowałabym tego głosu.

–Muszę coś zrobić. Nie wyobrażam sobie, żebym w obecnym stanie rzeczy mogła tu zamieszkać.

–Effie... ta kobieta z innego czasu apeluje do ciebie... błaga cię, żebyś nic mu nie mówiła. Nie uważasz, że powinnaś uszanować jej prośbę, przynajmniej na razie? Przynajmniej dopóki nie odkryjesz, dlaczego ona nie chce, żebyś mu powiedziała?

–Sama nie wiem... Czuję się taka przybita. Pepper zerknęła szybko na drzwi sali balowej.

–Powinniśmy już iść.

Effie stała w miejscu, zastanawiając się. Musiało istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie tych wszystkich zjawisk: płaczącej kobiety i mężczyzny na schodach. Gut ist der Schlaf... der Tod ist besser.

–Naprawdę nie możesz pójść dalej? – zapytała.

–Przykro mi – odparła Pepper i przyłożyła dłoń do czoła, jakby bolała ją głowa. – Czuję się tak, jakbym miała umrzeć.

–Chcę po prostu wiedzieć, co to jest. Powiedziałaś, że tam w środku jest horror. Co to znaczy? Jaki horror?

–Daj temu spokój, Effie.

Ale ogarnięta frustracją Effie przekręciła obie klamki i otworzyła drzwi na oścież. Nie wessała ją niepamięć. Nie było próżni ani ciemności. Tylko posępne, dostojne wnętrze sali balowej, sączące się przez szklane sklepienie przyćmione światło, kolumny i balkony.

A potem – w mgnieniu oka – rozbłysły kandelabry i poczuła, że tańczy pośrodku parkietu. Nie miała pojęcia, jak się tam znalazła ani dlaczego tańczy. Z początku nie słyszała żadnej muzyki, jednak potem z oddali dobiegło kilka stłumionych taktów. To był Strauss. Nie lubiła Straussa, ale nie mogła przestać tańczyć. Wirowała po parkiecie, nie widząc niczego poza rozmazanym kręgiem kolumn, światła i twarzy.

Cała sala balowa wypełniona była ludźmi.

Była tak zaskoczona, że nie mogła złapać oddechu. Miała wrażenie, jakby weszła nagle do oceanu i straciła grunt pod nogami. Przekręciła głowę, żeby odszukać Pepper, jednak wszędzie widziała tylko blade, niewyraźne twarze. Próbowwała przestać tańczyć, ale nagle zdała sobie sprawę, że obejmują ją mocne męskie ramiona. Obróciła się zdumiona i spostrzegła, że tańczy z wysokim mężczyzną w białym krawacie i fraku. Czuła uścisk jego ciepłych dłoni w białych rękawiczkach. Czuła sztywny przód jego koszuli. Trzymał ją mocno i nie pozostawało jej nic innego, jak dać się prowadzić.

Próbowwała przyjrzeć się jego twarzy, ale mimo że byli tak blisko siebie, widziała tylko ciemne jak smugi oczy i uśmiechające się szeroko usta. Wydawało jej się, że przygląda mu się przez wysmarowaną wazeliną szybę.

–Niech pan się zatrzyma – próbowała powiedzieć, kiedy po raz drugi okrążali parkiet. Głos miała płaski i zgaszony i właściwie nie była pewna, czy udało jej się cokolwiek powiedzieć.

Mężczyzna nie zatrzymał się i w ogóle się nie odezwał. Tańczył dalej, a wszyscy

naokoło patrzyli, jak oboje wirują i kołyszą się w rytmie tego przekłętego Straussa.

Effie miała wrażenie, że ludzie wydają jakiś głuchy, podobny do ujadania dźwięk. Nie przypominał zupełnie ludzkiego głosu. Równie dobrze mogły otaczać ich odziane we fraki i wieczorowe suknie świnie i osły. Przypomniała jej się nagle jakaś koszmarne dziecinna rymowanka, w której zwierzęta nosiły garnitury, kapelusze i monokle i spoglądały z pogardą na przedstawicieli niższego ludzkiego gatunku, mimo że w gruncie rzeczy same były wciąż tak samo dzikie i niebezpieczne.

–Niech pan przestanie, sprawia mi pan ból – odezwała się ponownie. Mężczyzna wirował z nią jednak nadal po parkiecie, w tym samym sugestywnym rytmie, trzymając ją w mocnym, prawie maniackim uścisku. Co gorsza, rzeczywiście sprawiał jej ból, miażdżąc jej palce w swej prawej dłoni i wbijając lewą w plecy. W miarę zaś jak wracała jej normalna percepcja, uświadomiła sobie coś jeszcze. Ostre, bolesne klucie w podeszwach stóp. Próbowwała złamać krok i uwolnić się, ale nie była w stanie – nie tylko dlatego, że brakowało jej sił, lecz ponieważ walc porwał ją tak samo jak jego. Miała wrażenie, jakby stąpała po ostrzach noży; mięśnie jej stóp kurczyły się przy każdym kroku, wiedziała bowiem, jak straszny czeka ją ból. Mimo to dalej tańczyła jak obłąkana, nawet kiedy poczuła, że ma zakrwawione kostki.

–Założyłem się z nimi, że zatańczysz ze mną walca – powiedział mężczyzna głębokim niewyraźnym głosem.

–Co takiego? Co pan powiedział? – zapytała Effie.

–Założyłem się z nimi, że zatańczysz ze mną walca, boso, na rozbitym szkłe.

–Co takiego? Co to znaczy? Kim pan jest? Co to znaczy?

–Powiedziałem, że zrobisz dla mnie wszystko... a wtedy jeden z nich zawołał: „Założę się, że nie zatańczy dla ciebie boso na rozbitym szkłe”. Ale ty przecież tańczysz, kochanie. Tańczysz.

–Co to znaczy? – krzyknęła Effie.

Mężczyzna jednak nie zamierzał powtarzać tego samego dwa razy. Zatoczył z nią kolejny krąg i roześmiał się, a obecni na sali balowej ludzie zawtórowali mu tym nieludzkim, ohydny ujadaniem. Mężczyzna odwrócił się do nich, podnosząc triumfalnie rękę – i w tym momencie, gdy odbierał hołd od swoich wielbicieli i orkiestra przerwała na chwilę grać walca, Effie zdołała wyrwać się z jego uścisku i zatrzymać w miejscu. Kiedy się zatrzymała, muzyka ucichła także i dobiegały ją teraz tylko niezborne piski i zgrzyty oraz spazmatyczne odgłosy perkusji. Światła na całej sali przygasły i po chwili migotały już tylko mdłym, chorym blaskiem. Mężczyzna stał w cieniu, ze spuszczonej rękoma. Nie widziała jego twarzy, ale po zgarbionych lekko ramionach i zaciśniętych pięściach zorientowała się, że jest na nią zły. Bardzo zły. Trząśnięty cały z wściekłości.

Po raz pierwszy spojrzała w dół, na podłogę. Cały parkiet usłany był potłuczonymi kieliszkami do szampana: odłamkami i odpryskami szkła i roztrzaskanymi nóżkami. Spojrzała na swoje stopy. Z początku wydawało jej się, że ma szkarłatne skarpetki, ale po chwili zdała sobie sprawę, że jest bosa i że rozbite szkło wbiło jej się w pięty i podeszwy, pozostawiając na nich zakrwawione koliste nacięcia; zobaczyła, że czubek dużego palca u lewej stopy ma prawie zupełnie ucięty, niczym czubek

ugotowanego na twardo jajka. Szok sprawił, że zrobiło jej się zimno. Stała w miejscu, drżąc i nie wiedząc, co począć dalej.

Mężczyzna zbliżył się do niej. Było zbyt ciemno, by mogła zobaczyć jego twarz, a poza tym wcale tego nie chciała.

–Założyłem się, że z przyjemnością zatańczysz dla mnie walca „Nad pięknym modrym Dunajem”, boso, na rozbitym szkłe.

Spójrz, ile rozbiłem dla ciebie kieliszków, wszystkie z najlepszego francuskiego kryształu.

Wyciągnął lewą dłoń z wysuniętym kciukiem i palcem wskazującym, by wziąć ją pod podbródek i zmusić, żeby na niego spojrzała, ale kiedy to zrobił, Effie ugryzła go z całej siły w palec i usłyszała, jak krzyczy z bólu i wściekłości.

Dała krok do tyłu i w tej samej chwili poczuła dziwne szarpnięcie, zupełnie jakby ktoś wepchnął ją w kręcące się zbyt szybko obrotowe drzwi. Potknęła się i podniosła rękę, chcąc uchronić się przed upadkiem, ale potem uprzytomniła sobie nagle, że wciąż stoi na progu sali balowej i że za oknami świeci słońce. Pepper zaledwie kilka jardów dalej pochylała się, żeby podnieść swoją gałązkę leszczyny.

–Ja... – zaczęła Effie, ale nie mogła znaleźć słów. Wpatrywała się w głąb sali balowej z mieszaniną strachu i zdumienia, podejrzewając, że postradała zmysły.

–O co chodzi? – zapytała ją Pepper, owijając gałązkę żółtą nepalską chustą, żeby odizolować się od wibracji psychicznych.

–Wydawało mi się, że... tańczę – szepnęła Effie.

–Stałaś tuż obok mnie – stwierdziła z zakłopotaniem Pepper.

–Nieprawda, byłem w środku sali, pełno tam było ludzi w wizytowych strojach i tańczyłam.

Pepper podeszła bliżej i spojrzała jej prosto w twarz swymi srebrnymi oczyma, szukając jakichś wskazówek, szukając prawdy.

–Nie zmyślasz, prawda? – zapytała. – Rzeczywiście tam byłaś?

Do oczu Effie napłynęły łzy.

–Otworzyłam te drzwi i znalazłam się nagle w środku sali. Tańczyłam z wysokim mężczyzną. Wokół było pełno ludzi, przysięgam, słyszałam ich głosy. Widziałam ich. Orkiestra grała „Nad pięknym modrym Dunajem”.

Pepper wzięła ją za rękę.

–Widziałaś jakieś twarze? Widziałaś, kim są ci ludzie? Effie potrząsnęła głową, zaciskając drżące od płaczu usta.

–Przypominali poprzezbierane za ludzi zwierzęta. Wydawali zwierzęce odgłosy. To było okropne.

–Mój Boże, ty też jesteś wrażliwa – stwierdziła Pepper. – Jesteś tak cholernie wrażliwa, że nie potrzebujesz nawet gałązki leszczyny.

–Ale to było okropne. Naprawdę okropne. Poczułam ból w stopach i kiedy spojrzałam w dół, okazało się, że nie mam na nogach żadnych butów i tańczę po rozbitym szkłe. Wszędzie było tyle krwi. A ten mężczyzna powiedział... powiedział...

–Uspokój się, kochanie – poprosiła Pepper, ocierając jej oczy. – To nie działo się naprawdę. Nic z tego nie działo się naprawdę.

Effie przełknęła ślinę.

–Powiedział – podjęła po chwili – że założył się, że dla niego zatańczę, zatańczę na rozbitym szkle.

Pepper przez chwilę w ogóle się nie odzywała, a potem przytuliła ją mocno i poklepała po plecach. Po chwili jednak Effie odsunęła się i spojrzała na nią badawczo.

–Co to było? – zapytała. – Jak coś takiego mogło się w ogóle zdarzyć?

–Mówiłam ci. To wibracje psychiczne. Ja je czułam, ale tyje zobaczyłaś. Dokładnie rzecz biorąc, uczestniczyłaś w nich. Musisz być bardzo wrażliwa, Effie, a wibracje, które są w tym domu, są bardzo silne. Nigdy nie zetknęłam się z taką siłą.

Pepper zajrzała ostrożnie do środka sali i wciągnęła nosem powietrze.

–Chryste, można je nawet wyczuć węchem. Zapach perfum zmieszany z wonią burzy.

–Co teraz zrobimy? Nie mogę tu przecież mieszkać, jeśli przytrafiają mi się takie rzeczy. Dostanę pomieszania zmysłów.

–Przede wszystkim musimy napić się czegoś mocniejszego – oświadczyła Pepper.

– Potem powinnam pomyśleć o dokładnej psychicznej czystce. Piętro po piętrze, pokój po pokoju. To będzie trudne i może być również bardzo niebezpieczne.

–Czy to przypomina egzorcyzmy?

–Nie. Egzorcyzmy mają przepędzić demony z powrotem do piekła i odesłać niespokojne duchy z powrotem do ich krewnych w niebie. Tak naprawdę nie odnoszą żadnego skutku, ponieważ nie można wyegzorcyzmować czegoś, czego nie ma. Widziałaś kiedyś demona? Znasz kogoś, kto widział demona? Ja widziałam Jimmy'ego Swaggarta, ale to się nie liczy. Psychiczna czystka to coś zupełnie innego, ponieważ wibracje psychiczne są dziełem ludzi, którzy żyli w tym miejscu. Nie można ich nigdzie odesłać, do nieba ani do piekła, ponieważ po pierwsze, nie ma czegoś takiego jak niebo i piekło, a po drugie, ich miejsce jest tutaj, oni mieszkają tu nie tylko „wczoraj”, mieszkają również dzisiaj i będą mieszkać jutro... w taki sam sposób, w jaki ty zamierzasz tu zamieszkać. Biblia ma rację w jednej kwestii. Ludzie są nieśmiertelni. Zawsze się rodzą, zawsze dojrzewają, zawsze się starzeją. Czas nie jest podobny do nie kończącej się wstęgi. Czas to seria miejsc. To przechodzenie z jednego miejsca do drugiego, z ulicy na ulicę.

–Ale jeśli miejsce tych ludzi jest tutaj, jak możemy się ich pozbyć?

Pepper potarła brew wewnętrzną stroną dłoni. Wydawała się zmęczona.

–Nie pozbędziemy się ich. Znajdziemy po prostu sposób, żeby pozostały w swoim czasie. Tak czy owak, zmywajmy się stąd.

Effie posłała ostatnie nerwowe spojrzenie w głąb sali balowej i ruszyła w ślad za Pepper korytarzem. Już przy pierwszym kroku jej stopy przeszył tak ostry ból, że zatrzymała się przerażona.

–Pepper! – zawołała. – Pepper! Moje nogi!

Wciąż miała na nogach płócienne buty z podeszwą ze sznurka. Ale płótno przesiąknięte było ciemną krwią, która poplamiała również jej kostki.

Poczuła, jak oblewa ją nagła fala gorąca, a potem zimna i zakręciło jej się w

głowie. Szukając oparcia, złapała się boazerii, ale i tak wiedziała, że zaraz zemdleje. Pepper podbiegła do niej, pobrzękując swoimi paciorkami i dzwoneczkami, i w ostatniej chwili powstrzymała przed upadkiem.

–Moje nogi – załkała Effie. – O Boże, Pepper, moje nogi! – Nie mogła przestać myśleć o dużym palcu lewej stopy, o jego prawie zupełnie uciętym czubku.

–Siadaj – nakazała Pepper. – Tutaj, w tym miejscu. Ja pobiegnę do samochodu i wezwę pomoc. W żadnym wypadku nie próbuj zdejmować butów.

Effie usiadła niezgrabnie na podłodze.

–Już mi lepiej – powiedziała do Pepper. – Już mi lepiej. Kiedy Pepper pobiegła zadzwonić po ambulans, łzy zaczęły płynąć Effie po policzkach, a potem rozpląkała się, zaciskając pięści, i płakała tak długo, aż poczuła, że zaraz pęknie jej serce. Potrafiła myśleć tylko o swoich bolących stopach, o tym okropnym, przerażającym walcu, o Craigu, który nazywał ją dziwką za każdym razem, kiedy się kochali, i o ponurej, niezrozumiałej obsesji, jaką miał na punkcie Walhalli.

Stopy krwawiły jej wewnątrz butów, czuła ciepłą pulsującą wilgoć między palcami. Oparła głowę o ścianę i płakała dalej z całego serca.

Dopiero słysząc biegnącą z powrotem Pepper zdała sobie sprawę, że jej płacz brzmi dokładnie tak, jak szloch kobiety w sypialni z niebieskim dywanem. Ta sama desperacja, ten sam nieukojonny smutek. Ugryzła się w dłoń, żeby się uspokoić. Była ranna i zszokowana, ale nie zamierzała się poddać. Nie zamierzała brać udziału w tym, co działo się tu, w Walhalli; niezależnie od tego, czy były to psychiczne wibracje, czy zabawa w duchy. Pepper przykucnęła przy niej na piętach.

–Wezwałam ambulans. Zaraz przyjadą. Powiedzieli, żebyś nie zdejmowała na razie butów.

Effie próbowała się uśmiechnąć.

–Czuję się lepiej – odparła. – Naprawdę już mi lepiej.

–Wydaje mi się, że popełniłam mały błąd – mruknęła Pepper. – Te psychiczne wibracje są całkiem realne. Potrafią dotknąć nas fizycznie. – Wzięła Effie za rękę i uścisnęła ją. – Powinnaś trzymać się z daleka od Walhalli, Effie. Nie próbuj tu zamieszkać. Zawsze uważałam, że z tym domem jest coś nie w porządku... ale, Jezu.

–Nie przejmuj się – powiedziała Effie. – Podjęłam już decyzję. Craig może kupić Walhallę, jeśli tak mu na niej zależy, jednak nie za moje pieniądze. Nie może też liczyć na to, że tu zamieszkam.

–Mówisz poważnie? – zapytała Pepper.

Effie nie odpowiedziała, oparła tylko z powrotem głowę o ścianę i siedziała spokojnie, starając się nie uronić nic ze swej świeżo odkrytej siły, aż do chwili, gdy usłyszała dobiegającą od strony zapuszczonego kortu syrenę ambulansu.

Środa, 30 czerwca, 22.18

Craig wpadł do pokoju, jakby ścigały go demony.

–Effie! Jezu Chryste! Co się stało?

Effie leżała w swoim łóżku w Pig Hill Inn, przerzucając kartki ilustrowanych czasopism, które przyniosła jej Wendy O'Brien: Yanity Fair, Architectural Digest i Vogue. Na nocnym stoliku stał kubek z wypitą do połowy gorącą czekoladą i talerzyk domowych ciasteczek. Effie na stopach miała białe bandażę, a na głowie biały turban z ręcznika, który założyła na świeżo wymyte włosy. Była bardzo blada; blada jak woskowa świeca, sprawiała jednak wrażenie bardzo opanowanej (i tak właśnie się czuła).

–Mówiłam ci już przez telefon – powiedziała, próbując się uśmiechnąć. – Skaleczyłam stopy na rozbitym szkle.

Craig przysiadł na skraju łóżka. Ścisnął w dłoni bukiet żółtych róż, jakby były jakąś bronią.

–Na rozbitym szkle? Tutaj, w pensjonacie? Możemy wytoczyć im proces!

–Pojechałam do Walhalli z Pepper Moriarty. Rozbite szkło leżało na podłodze sali balowej.

–Nie rozumiem. Pojechałaś do Walhalli z Pepper Moriarty? Po co?

–Ona jest psychicznie wrażliwa, Craig. Chciałam się dowiedzieć, co się tam dzieje. Chciałam, jeśli się uda, wyegzorcyzmować ten dom. Oczyszczyć go. Z Walhallą jest coś nie w porządku, Craig. Tam naprawdę dzieje się coś nienormalnego, wierz mi.

–Oczywiście, że z Walhallą jest coś nie w porządku. Trzeba załatać dach. Podłogi są przegniłe. Okna powybijane. Ale żeby zabierać tam kogoś tak stukniętego jak Pepper Moriarty i zabawiać się w egzorcystów... daj spokój, Effie. Bądź poważna. Żyjemy pod koniec dwudziestego wieku, a nie pod koniec osiemnastego.

–Nie jestem taka pewna, co to był za wiek – odparła Effie; udało jej się spojrzeć mu twardo w oczy. Zapadło między nimi długie, wymowne milczenie. Wiedzieli, że nie są już partnerami, lecz przeciwnikami.

–No więc jak pokaleczyłaś sobie stopy? – zapytał. – Nie miałaś na nogach butów?

–Oczywiście, że miałam. Teraz, w latach dziewięćdziesiątych.

–Co to znaczy?

–Nie jestem pewna. To znaczy, że chyba pokaleczyłam je w innym czasie, kiedy byłam boso.

–Wciąż nie wiem, o co ci chodzi. W jakim innym czasie? Kiedy? Nic nie rozumiem.

–Dlaczego jesteś taki niecierpliwy? Dlaczego próbujesz zasugerować, że mówię od rzeczy? Pokaleczyłam stopy, tańcząc boso w sali balowej z mężczyzną w białym fraku. Pełno tam było ludzi i grali „Nad pięknym modrym Dunajem”.

–Kto grał „Nad pięknym modrym Dunajem”? Ludzie?

–Orkiestra. To był bal. Craig uderzył się dłonią w czoło.

–Effie... nie wiem, co ci naopowiadała ta Pepper Moriarty, ale mam tego wszystkiego powyżej dziurek w nosie. Steven został zamordowany. Ktoś poderżnął mu gardło od ucha do ucha. Jestem wstrząśnięty i przygnębiony. Naprawdę nie jest mi lekko, potrafisz to zrozumieć? A ty pokaleczyłaś sobie stopy, bo nie miałaś dość

oleju w głowie, żeby włożyć buty, i teraz składasz winę na jakieś fantazje. Jakieś cholerne psychiczne brednie. To wszystko nonsens.

–Bardzo mi przykro z powodu Stevena.

–Mnie też. I współczuję Margo. Nie dość, że jej mąż został zamordowany, to jeszcze znaleziono go w mieszkaniu jakiejś dziwki.

–Powiedziałaś, że jest mi przykro. Ale to nie zmienia tego, co się stało w Walhalli. Proszę cię, żebyś mi uwierzył, Craig. Naprawdę chcę, żebyś mi uwierzył.

Craig nagle uśmiechnął się, wzruszył ramionami i zmienił wyraz twarzy.

–Nie miałem wcale zamiaru tak na ciebie napadać. Jestem po prostu wciąż pod wrażeniem śmierci Stevena.

Wyciągnęła dłoń i wzięła go za rękę.

–Ja też. I nie ma znaczenia, jak umarł. Podobnie jak nie ma znaczenia to, że nigdy za bardzo go nie lubiłam. Naprawdę nie życzyłam mu nic złego. – Przez chwilę obracała tkwiącą na palcu Craiga ślubną obrączkę. – Ale chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

–Tak?

–Chcę, żebyś pojechał do Walhalli razem z Pepper Moriarty i zobaczył, jak to naprawdę wygląda. Chcę, żebyś sam doświadczył tych psychicznych wibracji.

–Po co?

Ścisnęła mocniej jego rękę.

–Po to, żeby zrezygnować z kupna, Craig. Ja nie chcę tego domu i nie chcę, żebyś go kupował.

–Ale ja wpłaciłem już zaliczkę. Uzgodniliśmy cenę. Effie była wstrząśnięta.

–Co takiego? Kiedy?

–Zadzwoń do Waltera van Burena z kancelarii. Powiedział, że Fulloni i Jahn gotowi są zaakceptować sumę dwóch i pół miliona. Odparłem, że dam dwa i ani grosza więcej, a oni zgodzili się. Co mogłem w tej sytuacji zrobić? Dzwoniłem, żeby to z tobą przedyskutować, ale nie było cię w pensjonacie. Przygotowują teraz papiery.

–Zawarłeś umowę na kupno Walhalli i wpłaciłeś zaliczkę, nawet tego ze mną nie uzgadniając? – Effie miała wrażenie, jakby zanurzyła się nagle w wannie zimnej wody.

Craig wydał swoje chłopięce wargi.

–Musiałem. Fulloni i Jahn oświadczyli, że sprzedając za tę cenę, muszą mieć natychmiastową decyzję. Co innego mogłem zrobić?

–Mogłeś powiedzieć „nie” – stwierdziła podniesionym tonem Effie. Czowała, że trzęsie się ze złości.

–Nie mogłem powiedzieć „nie”.

–Niby dlaczego?! – krzyknęła. – Ja nienawidzę tego domu! Nie chcę go! Boję się go, nienawidzę i nigdy już nie postawię w nim nogi, nigdy! – Umilkła, żeby zaczerpnąć powietrza i czując, jak jej oczy wypełniają się łzami. Na bandażach, którymi owinięte były jej stopy, pokazały się krwawe plamy. – Zgodziłeś się dać dwa miliony? Dwa miliony to więcej, niż warto jest wszystko, co posiadamy, wszystko, co kiedykolwiek zaoszczędziliśmy...

–Damy sobie radę – odparł. – Wiesz, że damy sobie radę. Kiedy sprzedam swój udział...

–Komu? Steven nie może go wykupić, bo nie żyje! Komu zdołasz sprzedać firmę prawniczą, w której nie ma żadnych adwokatów?

–Damy sobie radę – powtórzył z uporem, wpatrując się w modelkę na okładce Vogue, jakby miał ochotę ją zamordować. – Mogę zarobić mnóstwo pieniędzy tu i tam... sama zobaczysz.

Effie przyglądała mu się przez dłuższy czas, nie wiedząc, czy go nienawidzi, czy jest jej go żal. Przeklinała tych opryszków, którzy go okaleczyli, ale nie miało to już w tej chwili większego znaczenia.

–Pozwól, że coś ci powiem, Craig – odparła. – Połowa naszego majątku należy do mnie i nie wolno ci jej ruszyć bez mojego pozwolenia. Jutro z samego rana zadzwoń do Waltera van Burena i powiedz, że się rozmyśliłeś.

–Norman zamówił już dachówki. I belki stropowe za pięć tysięcy.

–To powiedz mu, do cholery, żeby unieważnił zamówienie! – krzyknęła Effie.

Craig odsunął się od niej, ale tylko trochę. A potem uśmiechnął się. Dla Effie była to najgorsza rzecz, jego uśmiech oznaczał bowiem, że bez względu na jej protesty i tak zrobi to, co uważa za stosowne.

Tej nocy, kiedy spała odurzona paracetamolem, zadarł do góry jej nocną koszulę, rozchylił uda i wcisnął się do środka. Gdy zaczął się z nią kochać, obudziła się, leżała jednak dalej z zamkniętymi oczyma, w ogóle nie reagując, nie chciała bowiem, żeby pomyślał, że go potrzebuje albo lubi. Słyszała każde jego stęknienie, a kiedy w końcu miał wytrysk, poczuła, jak po kilku chwilach wypływa z niej jego nasienie. Wciąż jednak udawała, że śpi. Bo właściwie prawie spała; balansując między snem i jawą, między nieświadomością i bólem. Nie chciała dać mu tej satysfakcji i okazać, co czuje, nie chciała, żeby zorientował się, że jest podniecona.

Potem obróciła się na bok i słuchała, jak chrapie. To dziwne, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że inaczej pachnie. Nie miało to nic wspólnego z dezodorantem ani płynem po goleniu. Inaczej pachniało jego ciało: jakby lekko oleiście; inna też była w dotyku jego skóra – gładsza... i również jakby bardziej oleista.

Było coś jeszcze. Dałaby sobie rękę uciąć, że kiedy się z nią kochał, czuła wyraźnie, jak o jej uda obijały się dwa jądra. W ciągu tych dwóch dni, które spędził w mieście, nie mógł przecież poddać się potajemnie operacji plastycznej; nie zagoiłaby się tak szybko blizna, a poza tym nie potrzebował chyba robić z tego przed nią tajemnicy. Musiała się pomylić. Była zbyt wstrząśnięta, zbyt zmęczona i zbyt odurzona. Próbowwała zasnąć, ale nie mogła przestać myśleć o tańcu na rozbitych kieliszkach do szampana, a także o mężczyźnie z zamazaną twarzą. Gdy zaczęły śpiewać ptaki, a za kwiecistymi zasłonami wzeszło słońce, nadal nie spała. Opatuliła się szczelniej kołdrą i leżała nieruchomo z obolałymi stopami, rozpaloną od gorączki głową i cieknącą jej po udzie chłodną strużką nie chcianego nasienia męża, którego nie potrafiła już zrozumieć.

Czwartek, 8 lipca, 11.49

Kiedy otworzyła drzwi, w progu stali Pepper i Norman. Pepper ubrana była w żółtopomarańczową koszulę w kozackim stylu i trzymała w ręku wielki bukiet jasnożółtych chryzantem. Norman był blady jak prześcieradło, a dżinsy i kurtkę z denimu obsypane miał tynkiem.

–Ładowałem gipsowe ścianki – wyjaśnił, strzepując pył z ramion i rękawów, aż w końcu prawie cały zniknął w białej chmurze.

–Wchodźcie, wchodźcie – zaprosiła ich do środka Effie. Ostatni tydzień spędziła razem ze swoją matką i ciotką Hordą w domu ciotki w Carmel. Mały, pomalowany na biało domek, położony przy stromo opadającej polnej drodze, wydawał się prawie nienaturalnie spokojny. W nocy Effie czuła zapach lasu i oglądała spadające gwiazdy. Ale nie mogła mieszkać tu w nieskończoność. Dom miał tylko dwie sypialnie i od piwnicy po strych zastawiony był meblami, które przywiozła ze sobą po śmierci ojca jej matka: kompletami stolików, zegarami, fotelami, etażerkami i różnymi bibelotami. Dla Effie okazał się jednak idealnym miejscem, żeby odzyskać siły po tym, co spotkało ją w Walhalli: wyleczyć nie tylko zranione stopy, lecz także znękaną duszę.

–Mój pick-up ma zmęczoną krew – oznajmiła Pepper. – Ale udało mi się namówić Normana, żeby mnie podwiózł, chociaż teraz bardzo tego żałuję. Prowadzi samochód jak Ben Hur na prozaku.

–Jedyną rzeczą, której nigdy nie powinno się oczekiwać od własnych rodziców, jest wdzięczność – odparł Norman. – Dziecko powinno być zawsze wdzięczne, nieważne za co. Rodzice nigdy.

Effie zaprowadziła ich do salonu, wciąż powłócząc lekko nogami w pożyczonych od matki kapciach. Matka siedziała przy oknie, czytając i trzymając na kolanach szylkretowej barwy kota. Była bardzo podobna do Effie: drobnokoścista, z lekko włoskimi rysami twarzy i siwymi włosami spiętymi z tyłu klamrą z macicy perłowej. Kiedy tylko kot zobaczył gości, zeskoczył z jej kolan, potruchtał po dywanie i stając na tylnych łapach oparł się o nogę Pepper. Gdy Pepper pochyliła się i podrapała go pod pyszczkiem, ruszył za nią, drepcząc tak blisko jej nogi, że o mało się nie potknęła.

–Ma pani podejście do kotów – stwierdziła z uśmiechem matka Effie. – Ten na ogół ucieka, kiedy odwiedza nas ktoś obcy.

–Wyczuł we mnie czarownicę – powiedziała Pepper.

–Może bardziej rybę, którą niedawno oprawiłaś – wtrącił Norman.

–Jestem matką Effie, na imię mi Sarah. Pani prowadzi zdaje się ten sklep z ziołami w Cold Spring? Kupiłam kiedyś jeden z pani medykamentów przeciwko zasłabnięciom.

–Tak – uśmiechnęła się Pepper. – Korzeń i nasiona piwonii, gałka muszkatołowa i cukier kryształ. I co, pomogło?

–Niech pani sobie wyobrazi, że tak.

–Zaczęliśmy rozbierać dach – odezwał się Norman, jakby przypomniał sobie nagle wiadomość, którą miał przekazać.

–Wiem – odparła Effie. – Craig dzwonił do mnie wczoraj.

–Nie mogę się doczekać, kiedy cała sprzedaż zostanie sfinalizowana i będę mógł zająć się tym domem – dodał chłopak.

–Za bardzo na to nie licz – odparła Effie.

–Wiem, że na myśl o Walhalli dostaje pani gęsiej skórki – przyznał Norman. – Wiem, że nie lubi pani panującej tam atmosfery i w ogóle. Ale nie może pani zaprzeczyć, że to wyjątkowy dom. A kiedy go wyremontujemy, nie będzie tam dłużej straszyć. Naprawdę, to wyjątkowy dom.

–Tak, wiem... To wyjątkowy dom.

Norman pokręcił się trochę po salonie, zjadł dziesięć albo jedenaście galaretek z talerzyka na stole, wybierając te o smaku cynamonowym, a potem nagle wyszedł, mówiąc, że musi odwiedzić skład artykułów żelaznych Jacka Registera na przedmieściach Carmel, ponieważ to jedyny sklep w Hudson River Valley, gdzie sprzedają staroświeckie haki i wzmocnione prowadnice do wrót stodoły. Matka Effie zrobiła herbatę, a potem wszystkie trzy siadły i zaczęły rozmawiać.

–Nie przyjeżdżałabym zawracać ci głowy, ale wydaje mi się, że wiem, co się tam dzieje – oznajmiła Pepper.

Sięgnęła do swojej torby i wyjęła z niej szarą książkę z pozaginanymi rogami.

–Dał mi to jeden z moich przyjaciół, któremu opowiedziałam, jak poraniłaś sobie stopy. „Żywoty równoległe” Kennetha Weatherfielda, wydane przez Wehman Bros w Nowym Jorku. Strona sto ósma – powiedziała, wręczając książkę Effie. – Zaznaczyłam miejsce.

Effie nie miała z początku ochoty czytać. Nie chciała przypominać sobie tego, co wydarzyło się w sali balowej w Walhalli: zwierzęcego ujadania gości, fałszywie brzmiącej muzyki i rozbitego szkła. Ale Pepper nie dawała za wygraną.

–Proszę cię, czytaj – powiedziała. – To ważne.

–Udowodniono ponad wszelką wątpliwość – zaczęła – że»duchy«, tak jak je sobie popularnie wyobrażamy (to znaczy cienie zmarłych, którzy nie zaznali spokoju), mogą istnieć wyłącznie jako efekt halucynacji lub wytwór chorej wyobraźni. Najbardziej przekonujące okazały się w tej materii tak zwane Testy Herzberga, przeprowadzone w latach 1965-1968 w uznanych za»nawiedzone«domach w nowojorskim Upper West Side, oraz eksperymenty Brighta i Williama zrealizowane we wczesnych latach siedemdziesiątych na londyńskim West Endzie, jeszcze przed zburzeniem slumsów w Hoxton i Whitechapel. Wykazały one niezbicie, że nie istnieją żadne zewnętrzne manifestacje psychiczne o charakterze optycznym, elektrycznym, chemicznym ani organoleptycznym. Przy okazji zaobserwowano jednak i zbadano dokładnie kilka przypadków, w których jedno życie toczyło się równoległe obok drugiego. Nadano im błędną nazwę»regresji«- stanu, w którym dana osoba jest przekonana, iż pamięta»poprzednie życie«, kiedy była na przykład średniowiecznym wieśniakiem albo jakąś znaną postacią historyczną. Używając dokładnie tych samych metod, które obaliły tezę o istnieniu duchów, możemy udowodnić, że teoria»regresji«również jest oparta na fałszywych przesłankach. W stosunkowo prosty sposób można zademonstrować, iż to nie czas porusza się do przodu, minuta

po minucie, lecz wyłącznie nasza jego percepcja. Wydarzenia, które uważamy za »przeszłość« oraz wydarzenia, które uważamy za »przyszłość« istnieją równolegle z wydarzeniami, które uważamy za »teraźniejszość«. Historia przypomina dom z nieskończoną liczbą pomieszczeń, które mijamy bez pomocy przewodnika. To, że przechodzimy z jednego do drugiego, nie oznacza wcale, że poprzednie pomieszczenie przestało istnieć, nawet jeśli nie potrafimy do niego powrócić. Istnieją pewne określone miejsca, w których oddalone od siebie pod względem chronologicznym wydarzenia dzieli bardzo cienka granica; w których »przeszłość«, »teraźniejszość«, a nawet »przyszłość« rozgrywają się w jednym polu widzenia, niczym odbywające się za ażurowymi zasłonami przedstawienia. W takich miejscach pochodzące z »innych czasów« postaci o dominujących osobowościach mogą niekiedy dzielić z inną osobą te same myśli, troski, a nawet (w co najmniej trzech udokumentowanych przypadkach) te same ciała. W roku 1983, w Antlers w okręgu Pushmataha, w stanie Oklahoma, mechanik samochodowy Roger Freeman cierpiał na ciągle halucynacje, w trakcie których wydawało mu się, że jest zbankrutowanym farmerem i nazywa się George Poltuk. Mimo że Freeman był stosunkowo dobrze sytuowany i miał szczęśliwą rodzinę, obudził się któreś nocy i zamordował swoją żonę i trzy córki, wbijając im śrubokręt w oczy. Podczas rozprawy utrzymywał, że nazywa się George Poltuk i wolał zabić całą rodzinę, aniżeli pozwolić, by umarli z głodu. Pytany wielokrotnie o nazwisko, odpowiadał za każdym razem, że nazywa się George Poltuk. Zapytany o datę urodzenia, odparł, że urodził się siedemnastego kwietnia 1901 roku i za trzy dni będzie obchodził trzydzieste trzecie urodziny. W archiwach okręgu odkryto, że farmer o nazwisku George Poltuk zamordował całą swoją rodzinę czternastego kwietnia 1935 po tym, jak burza piaskowa zniszczyła jego podupadającą farmę. Nic nie wskazywało, żeby Roger Freeman mógł coś wiedzieć o tej sprawie, udzielał jednak szczegółowych i wyczerpujących informacji na temat rodziny Poltuka i potrafił nawet powiedzieć w sądzie, jaki program nadawało radio w nocy, kiedy George popełnił morderstwa: rewię Amos'n'Andy'ego na NBC-Red". Effie podała książkę matce.

–Uważasz, że mnie zdarzyło się coś podobnego? – zapytała, zwracając się do Pepper.

–Twoje stopy były całe pokaleczone. Nie zdejmowałaś w ogóle butów, a jednak twoje stopy były całe pokaleczone. Czy lekarze potrafili to wyjaśnić?

Effie zrobiła zawstydzoną minę.

–Nie mówiłam im, jak to się stało. Powiedziałam po prostu, że byłam na bosaka i zdarzył się wypadek.

–Dlaczego nie powiedziałaś im prawdy?

–Ponieważ i tak by mi nie uwierzyli. Nie chciałam, żeby po założeniu szwów skierowali mnie na obserwację na oddział psychiatryczny.

–Ale może potrafiliby to wyjaśnić. Może już przedtem zetknęli się z czymś podobnym.

–Nie sądzę. Doktor, który się mną zajmował, wyglądał, jakby nie wierzył nawet w urazy nawykowe, nie mówiąc już o tych, jak je nazywasz „żywotach równoległych”.

–Ale kiedy znalazłaś się pośrodku tej sali, tańcząc, to właśnie się z tobą działo. Nie występowałaś w swoim własnym życiu, występowałaś w życiu kogoś innego, w życiu jakiejś kobiety, która wcześniej mieszkała w Walhalli. W ciągu tych kilku chwil wcieliłaś się w nią, kimkolwiek była. Jej i twoje życie toczyło się równocześnie.

–Jak to możliwe? – zapytała Sarah. – Effie jest przecież silna. Zawsze była silna. Jest taka sama jak jej ojciec.

–Jest silna, oczywiście – przytaknęła Pepper i wzięła Effie za rękę. – Ale jest również wrażliwa, wrażliwa na zjawiska psychiczne.

–Co to oznacza? – zapytała podejrzliwie Sarah.

–To oznacza, że jest bardzo podatna na wibracje psychiczne, na aury innych ludzi.

–Nie chcę być niegrzeczna, ale to wszystko zaczyna być dla mnie trochę mętne. Pepper nie wydawała się w najmniejszym stopniu urażona.

–A nie powinno, ponieważ pani również odznacza się psychiczną wrażliwością. Nie tak silną jak Effie, ale nawet z tego miejsca wyczuwam u pani dość silny ładunek psychiczny. Nie posłużyła się pani nigdy swoją wrażliwością, ponieważ pani w nią nie wierzy, ale ona w pani jest. Gdyby pojechała pani ze mną do Walhalli zamiast Effie, obawiam się, że to pani pokaleczyłaby sobie stopy.

–W takim razie nie pogniewa się pani chyba, jeśli zapytam, co się tam, do diabła, dzieje?

–Nie jestem do końca pewna. Sądzę, że w Walhalli mieszka! ktoś o bardzo silnej osobowości... nie tylko Jack Belias, który ją zbudował, ale także jakaś kobieta. Mówi pani, że Effie jest silna, ale z tego, co wiem, jest również bardzo łagodna i bardzo uległa. Wspierała Craiga przez cały czas, kiedy robił karierę, i wspierała go potem, kiedy został ranny. Nie lubi Walhalli, ale widzi, jak bardzo Craig chce ją kupić, więc jeśli ma od tego zależeć jego szczęście, w końcu się na to zgodzi. Ta kobieta zaś, kimkolwiek była albo jest, posiada osobowość, która potrafi przenosić się w czasie o całe dziesięciolecia. Pomyślcie tylko: Effie stała się nią, a nie odwrotnie. To wyraźny dowód bardzo silnej woli.

–Ale skoro ma taką silną wolę, dlaczego zgodziła się tańczyć na rozbitym szkle? Pepper wzruszyła ramionami.

–Chciałabym to wiedzieć. Tak naprawdę przyjechałam wam oznajmić, że Craig najprawdopodobniej jednak kupi ten dom. Poprosił już Normana, żeby polecił mu kilku dekarzy i specjalistów od zwalczania grzyba. Wiem, że to kłopotliwe pytanie, Effie, ale czy zamierzasz tam z nim zamieszkać?

Sarah posłała córce zatroskane spojrzenie.

–Wydaje mi się, że nie mam żadnego wyboru – odparła po chwili wahania Effie. – Nie lubię Walhalli, ale nie chcę narażać na szwank naszego małżeństwa.

–Jeśli chcesz wiedzieć – wtrąciła matka – Craig zachowuje się jak samolubny mały chłopiec. Zdaje sobie świetnie sprawę, że nienawidzisz tego domu.

–Sama nie wiem... może kiedy go odbudują, jeszcze go polubię. Leży w przepięknej okolicy.

–Nie polubisz tego domu, dopóki nie zostanie oczyszczony – stwierdziła Pepper.

– Dlatego musiałam cię zapytać, czy chcesz tam mieszkać, czy nie. Będziesz nadal doświadczać różnych psychicznych incydentów, takich jak stąpanie po rozbitym szkle i płacz tej kobiety. Nie będą zabawne i mogą okazać się niebezpieczne.

–Jak bardzo niebezpieczne?

–Pokroiłaś już sobie stopy. A co będzie, jeśli ta kobieta popełni samobójstwo? Przebije się nożem albo zrobi coś podobnego? Może mieć bardzo silną osobowość, ale nie wydaje się zbyt zrównoważona, nieprawdaż?

–Mówiąc o niej, wciąż używasz czasu teraźniejszego.

–Oczywiście, ponieważ ona wciąż jest wśród nas, wciąż przebywa w Walhalli. Jeśli naprawdę zamierzasz tam zamieszkać, muszę tam wrócić i zrobić to, czego nie dokończyliśmy w zeszłym tygodniu.

–Z gałązką leszczyny i solą?

–Tym razem trzeba będzie zabrać znacznie więcej akcesoriów. Nie mamy tu do czynienia z drobnym zakłóceniem w rodzaju kwaśniejącego mleka albo luster pokrywających się mgiełką oddechu, kiedy nikogo nie ma w domu. To jest coś o wiele, wiele silniejszego. To najsilniejszy fenomen psychiczny, na jaki dotychczas natrafiłam.

–Czy to nie będzie dla pani niebezpieczne? – zapytała matka Effie.

–Nie wiem. To się dopiero okaże. Wiem tylko, że nie będzie łatwe.

–Nie musisz się dla mnie narażać – powiedziała Effie.

–Wiem o tym – odparła z uśmiechem Pepper. – Szczerze mówiąc, robię to bardziej dla siebie niż dla ciebie. Może potrzebuję jakiejś podniety? Kocham Cold Spring, ale na pewno nie jest to pępek świata, prawda? Kiedy ostatnim razem widziałam się z Kenem Keseyem, powiedział, że strasznie skapcaniałam.

–Zna pani Kena Keseya? – zdziwiła się matka Effie.

–Z okresu mojego szalonego dzieciństwa. Poznałam ich wszystkich. Całowałam się kiedyś z Jackiem Kerouakiem.

–Kiedy chcesz przeprowadzić tę... czystkę? – zapytała Effie.

–Jak najszybciej. Ale jest pewien szkopuł. Moim zdaniem bezpieczniej będzie, jeśli tym razem ze mną nie pojedziesz. To jest coś, co wolałabym robić sama.

–Nie wiem... musiałabym zapytać Craiga.

–Nie, nie. Nie wspominaj o tym Craigowi. W ogóle, jeśli nie musisz, nie mów o tym nikomu. Pamiętaj, że ta płacząca kobieta zareagowała bardzo negatywnie, kiedy Craig miał się do niej zbliżyć. To mogłoby spowodować problemy.

–Naprawdę nie musisz tego robić – powtórzyła Effie. – Nie chcę, żeby coś ci się stało.

–Nie przejmuj się. Będę miała ze sobą mój tonkowiec, moją bylicę i moją werbenę. Zabiorę trochę wysuszonego mchu, który wyrósł na ludzkiej czaszce, moje złote krzyże i moją ouangę.

–Ouangę? Co to takiego?

Pepper sięgnęła pod koszulę i wyciągnęła małą torebkę z czerwonej skóry, która wisała między jej piersiami.

–Pali się liście limony i balsamu, uciera na proszek i miesza z winem. Potem

wykłada się go na kawałek czerwonej skóry, przykrywa liśćmi balsamu, na których przedtem narysowało się kredą białe krzyże, i umieszcza na górze krucyfiks, kosmyk włosów związanych białą nitką, ucięte paznokcie, kawałek czerwonego materiału i miedzianą monetę, a także sztukę srebra albo złota, jeśli się ją ma. Potem obwiązuje się całe zawiniątko kolorową wstążką i gotowe. Nie ma lepszego talizmanu. Na twarzy matki Effie ukazało się powątpiewanie.

–To chyba czarna magia? – zapytała. Pepper potrząsnęła głową.

–Nie wychodzi pani przecież na ulewny deszcz bez parasola, prawda? Tak samo nikt nie powinien się zbliżać do poważnych zakłóceń psychicznych bez ouangi.

–Co z tymi przewodnicami? – zapytała Pepper, kiedy wracali do Cold Spring. – Mieli to, co chciałeś?

–Dostarczą je w czwartek. – Norman żuł cytrynową i arbuзовą gumę Bubblidous, aby zrównoważyć kolory, jednak balony, które pojawiały się co jakiś czas zza zasłony jego włosów, miały odcień khaki.

–Wolałabym, żebyś tego nie robił – powiedziała Pepper.

–To coś w rodzaju terapii. Odbudowa Walhalli to wielkie wyzwanie. Powinnaś być ze mnie dumna.

–Jestem z ciebie dumna. Wolałabym tylko, żebyś przestał puszczać te obrzydliwe balony.

–A kto mnie tego nauczył? Ty. Dlaczego rodzice zawsze czepiają się swoich dzieci, kiedy te robią coś, co oni przestali już robić po prostu dlatego, że stracili na to ochotę?

Pepper wyjęła puszkę z tytoniem, zwinęła sobie cienkiego skręta, zapaliła go i głęboko się zaciągnęła. Przez dym przebijały się ukośne promienie słońca.

–Rozmawiałem z Jackiem Registerem o Walhalli – powiedział Norman. – Szukałem giętych drewnianych belek, żeby naprawić podłogę biblioteki. Ta podłoga jest ułożona w naprawdę dziwny sposób. Główne belki wybiegają z samego środka jak szprychy koła, a do nich przymocowane są zakrzywione belki poprzeczne, które tworzą coraz większe i większe koła. To naprawdę niezwykle. Nigdy przedtem nie widziałem takiej konstrukcji. Jack Register powiedział, że coś podobnego widział tylko w Benton House w Salt Point.

–W Benton House? To bardzo stary budynek i otoczony złą sławą.

–Nigdy o nim nie słyszałem. Ale może tam wpadnę, po prostu żeby przyjrzeć się podłodze.

–To właśnie w Benton House zniknęli wszyscy ci ludzie, gdzieś około roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego.

–Jacy ludzie?

–Wszyscy należeli do jakiejś religijnej sekty. Ubierali się w bardzo proste czarne stroje i zawsze nakrywali głowy. Miejscowi wierzyli, że zajmują się czarną magią albo czymś w tym rodzaju. Tak czy owak z tego, co pamiętam, w okolicy zaginęła jakaś kobieta i wszyscy uznali, że to sprawa ludzi, którzy mieszkali w Benton House. Wieśniacy szturmowali dom, ale kiedy wyważyli drzwi, okazał się pusty. Nie było żadnych ukrytych drzwi, tajnych przejść, nic. Członkowie sekty po prostu zniknęli i

nikt ich więcej nie widział.

–Dziwna historia.

–Na pewno posłużyli się jakąś sztuczką.

–Nie szkodzi. I tak tam pojedę i zobaczę, jak położyli tę podłogę. Jack Register uważa, że zbudowano ją na wzór pajęczej sieci.

–Może powinieneś zapytać pajaka.

–Mowy nie ma. Wiesz, jak nie cierpię pajaków. Te ich kosmate długie nogi, brrr...

Pepper roześmiała się i odchyliła do tyłu głowę. Wisząca na szyi ouanga ocierała się o jej piersi. Nie ma lepszego talizmanu, pomyślała. Miała nadzieję, że kiedy wróci do Walhalli, okaże się dość silny, by ochronić ją nawet przed najpotężniejszymi psychicznymi zakłóceniami.

Poniedziałek, 12 lipca, 14.47

Kiedy Craig przywiózł Effie do Pig Hill Inn, czekało na nich dwóch mężczyzn w pogniecionych wełnianych garniturach. Jeden z nich był czarny, bardzo wysoki i musiał ważyć dobrze ponad dwieście dwadzieścia pięć funtów. Drugi, bardziej szary niż biały, miał pociągłą twarz, kościsty nos i nieruchome jak u jaszczurki, głęboko osadzone oczy.

–Pan Craig Bellman? – zapytał. – Jestem porucznik Hook, a to sierżant Winstanley.

Craig nie podał im ręki na powitanie.

–Szybko przyjechaliście. Słyszałem, że na autostradzie są korki.

–Stróże prawa używają syreny, panie Bellman. To pańska żona?

–Tak, to moja żona. Przywiozłem ją właśnie od jej matki z Carmel. Jak panowie widzą, miała wypadek.

–Przykro mi. Mam nadzieję, że to nic poważnego?

–Nadepnęłam po prostu na rozbite szkło – odparła Effie. Na stopach miała nadal bandaże i kaptcie Craiga, ale już nie utykała.

–Powinna pani lepiej patrzeć pod nogi zauważył porucznik Hook. – Czy jest tu jakieś miejsce, panie Bellman, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

–Effie, kochanie, może pójdziesz na górę i trochę odpoczniesz? – powiedział Craig. – To nie zajmie nam dużo czasu, prawda, poruczniku?

–Wolę zostać – odparła Effie.

–Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, pani Bellman – wtrącił smutnym tonem sierżant Winstanley. – Będziemy omawiać szczegóły sześciu raczej nieprzyjemnych morderstw.

–Nie jestem taka delikatna, sierżancie – odparła Effie.

–Na pewno nie będziesz chciała tego słuchać – powiedział Craig, biorąc ją pod łokieć.

–Owszem, będę – oświadczyła z naciskiem Effie. Dotknęło ją to, co Pepper mówiła o jej „łagodności” i „uległości”, i chciała udowodnić, że wcale taka nie jest.

Porucznik Hook wzruszył ramionami.

–Nie zaszkodzi, jak zostanie – powiedział. – Może potrafi nam pomóc.

–Nigdy nic nie wiadomo – odpaliła Effie. – Może potrafi.

Było tak ciepło, że usiedli w ogrodzie. Detektywi zdjęli marynarki i powiesili je na drzewie. Zamówili cztery mrożone herbaty i dwa klubowe sandwicze, ponieważ Hook i Winstanley nic jeszcze nie jedli. Craig położył władczy gestem dłoń na udzie Effie. Mimo że ubrany był w lekką niebieską koszulę z krótkim rękawem, wyglądał, jakby cały się gotował.

–Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa pańskiego wspólnika, pana Stevena Fishera – powiedział porucznik Hook, otwierając notes. – Jak pan zapewne wie, podejrzięto mu gardło, co spowodowało prawie natychmiastową śmierć. Dziewczyna, która była razem z nim, pani Khryssa Bielecka, uśmiercona została w ten sam sposób, bezpośrednio potem albo po upływie bardzo krótkiego czasu. Narzędziem zbrodni był wyjęty z szuflady pani Bieleckiej nóż do mięsa. Dane, jakie

uzyskaliśmy z laboratorium, nie wniosły wiele nowego w stosunku do tego, co już powiedziałem. Zdjęliśmy kilka odcisków palców, jeden z przycisku dzwonka do mieszkania dziewczyny, drugi z uchwyty szuflady. Sprawca był mężczyzną, praworęcznym i dość silnym. Kąt, pod którym zadane zostały rany, wskazuje, że mógł mieć sześć stóp, może sześć stóp i dwa cale wzrostu. Nie odnaleźliśmy żadnych włosów, włókien i odcisków stóp, które nie należałyby do zmarłych, z wyjątkiem kilku nielicznych, należących do trzech przyjaciół Khryssy Bieleckiej. Wszyscy oni mają żelazne alibi. Zakładamy jednak, że zabójca musiał być znany pani Bieleckiej, panu Fisherowi albo obojgu, nie odkryliśmy bowiem żadnych śladów włamania. Na krótko przed śmiercią Steven Fisher i Khryssa Bielecka odbyli stosunek płciowy, panu Fisherowi nie udało się jednak osiągnąć wytrysku. Pani wybaczy te szczegóły, pani Bellman.

–Drobiazg – odparła Effie. Porucznik Hook napoczął kanapkę.

–Jedynym naprawdę interesującym dowodem – podjął po chwili – był ten przedmiot... znaleźliśmy go na łóżku między ciałami ofiar.

Zdjął swoją marynarkę z gałęzi, wyciągnął z kieszeni przezroczystą plastikową kopertę, wręczył ją Craigowi i obserwował swymi jaszczurczymi oczyma, jak się jej przygląda. Effie nie musiała prosić Craiga, żeby podał jej kopertę – widziała całkiem wyraźnie, co jest w środku. Karta do gry, dziewiątka karo.

–Odciski pozostawione na tej karcie pasują do odcisków na dzwonku. Z jakiegoś powodu, którego jeszcze nie rozumiemy, sprawca pozostawił ją na miejscu zbrodni. Może to być zaszyf-rowana wiadomość, coś, co sprawca chciał nam przekazać. Naprawdę nie wiemy.

–Skąd wiecie, że zostawił ją sprawca? – zapytał Craig. – Mogła leżeć tam już wcześniej. Mogła upaść na podłogę, a sprawca po prostu ją podniósł.

Porucznik Hook grzecznie odebrał mu kartę.

–Zakładamy, że to on ją zostawił, ponieważ oprócz tej jednej w apartamencie nie było żadnej innej karty do gry. Co więcej, identyczna karta leżała przy zwłokach urodzonego w Egipcie taksówkarza, pana Zaghlula Fuada, którego zaledwie godzinę później odnaleziono z poderżniętym gardłem w jego własnej taksówce. Nóż był inny, ale sprawca również praworęczny, wysoki i mający dość odwagi i siły, aby przeciąć tchawicę jednym szybkim cięciem. Rzadko udaje się to za jednym razem. I wymaga naprawdę zimnej krwi.

–W taksówce również znaleźliście kartę do gry? – zdziwił się Craig.

–Nie pierwszą lepszą kartę, proszę pana, ale dziewiątkę karo.

–Były na niej odciski palców?

–Częściowo zamazane, ale identyczne. Pan Fuad został prawie na pewno zamordowany przez tę samą osobę, która zabiła pańskiego współnika i jego dziewczynę.

–Morderca w napadzie szału – wtrącił Craig.

–Zgadza się, panie Bellman. Morderca w napadzie szału. Pan Fuad nie był niestety jego ostatnią ofiarą. Niespełna godzinę później zabił trzech członków działającego na terenie dzielnicy teatralnej czarnego gangu, Aktuzu, jak sami się nazywają. Tym

razem nie posłużył się nożem, lecz ośmioletnim kowalskim

młotem z obuchem z hartowanej stali i trzydziestoseściocalowym trzonkiem z drzewa hikorowego. Zabici zostali Samuel Joseph Carter, lat dwadzieścia sześć, znany również jako Szpryca albo Książę, Malcolm Orał Deedes, lat dwadzieścia dwa, znany jako Tyce, oraz Susan Amelia Clay, lat dziewiętnaście, znana jako Scuzz albo Suzi-Kue. Zadał tym dzieciakom tyle uderzeń i bił tak zaciekle, że zwłoki można było rozpoznać tylko po ubraniach. Zrobił z nich krwawą miazgę... W garderobie, w której zostali zabici, również znaleźliśmy dziewiątkę karo. Craig odchylił się do tyłu.

–Dziewiątka karo... Macie jakiś pomysł, co to może oznaczać?

Porucznik Hook potrząsnął głową.

–Próbowaliśmy różnych tropów. Rozmawialiśmy z szulerami, z wrózkami, a nawet z pewnym szamanem voodoo ze Sto Szesnastej Ulicy, doktorem Deadeye. Jak na razie bez rezultatu.

Effie nagle zmarszczyła brwi.

–Dziewiątka karo? To mi się z czymś kojarzy...

–Nie sądzę, żeby to ci się z czymkolwiek kojarzyło, kochanie – powiedział Craig.

–Ale czy to nie była ta karta, którą...

–Nie, nie – przerwał jej Craig. – To była siódemka. Możesz to sprawdzić.

–Może zechce nam pani powiedzieć, co zwróciło pani uwagę, pani Bellman? – wtrącił się porucznik Hook.

–To chyba nie jest takie ważne... ale w latach dwudziestych żył pewien hazardzista, Jack Belias. Mamy właśnie zamiar kupić jego dom. Grał w karty z członkami Syndykatu Greckiego, nie wiem, czy pan o nim słyszał? I któregoś razu, grając z Nico Zographosem, który był jednym z czołowych członków syndykatu, o mało nie doprowadził go do bankructwa.

–Nie bardzo rozumiem – mruknął porucznik Hook. Craig głośno się roześmiał.

–Kiedy Effie opowiada jakąś historię, nikt nie może się połapać, o co chodzi.

–Lepiej słuchaj dalej – odpaliła Effie. – Nico Zographosa uratowała jedna karta, dziewiątka karo.

–Siódemka – przerwał jej Craig.

–Dziewiątka. Jestem pewna, że to była dziewiątka. Tak czy owak, na Jacku Beliasie wywarło to tak duże wrażenie, że kupił Nico Zographosowi złotą spinkę z dziewięcioma brylantami.

–Z siedmioma – upierał się Craig.

–Dziewięcioma. Na pewno się nie mylę.

–Więc może przyniesiesz tę książkę i udowodnisz, że nie mam racji – powiedział Craig ochryplym ze zdenerwowania głosem.

Porucznik Hook zdjął z wargi kawałek rzeżuchy.

–Czemu nie, pani Bellman – mruknął. – To mogłoby nam pomóc. Szukamy dosłownie wszystkiego.

–Oczywiście. Zaraz to zrobię – odparła Effie. Ale kiedy wstała z krzesła i zobaczyła wlepione w nią oczy Craiga, nagle zdała sobie sprawę z implikacji swego postępowania. Przypuśćmy, że Nico Zographos rzeczywiście został z dziewiątką

karo? Wiedziała, że tak właśnie było i że Craig też o tym świetnie wie. Dlaczego więc upierał się, że to siódemka? Nie miał żadnego powodu, żeby tak twierdzić. Chyba że...

–Oddałam tę książkę do biblioteki – powiedziała, siadając z powrotem na krześle. Czują, jak mimo upału przechodzi ją zimny dreszcz.

–Nic nie szkodzi – odparł porucznik Hook. – Jeśli powie mi pani, jaki był tytuł, mogę podjechać i sam ją wypożyczyć. Nie ma sensu pani fatygować, zwłaszcza z tymi stopami.

–Czy znał pan panią Khryssę Bielecką, panie Bellman? – zapytał sierżant Winstanley.

Craig przez chwilę się zastanawiał, a potem potrząsnął powoli głową.

–Jeśli była dziewczyną Stevena, mogłem się z nią spotkać, nie znając nawet jej nazwiska. Ale to wszystko.

–Pańskie nazwisko i numer służbowego telefonu znajdowały się w notesie pani Bieleckiej. Czy może pan to wytłumaczyć?

–Nie mogę... może Steven dał jej mój telefon na wszelki wypadek. Nigdy do mnie nie zadzwoniła.

–Znajomi pani Bieleckiej mówią, że wspominała im o swoim kochanku... żonatym mężczyźnie, adwokacie. Mężczyźnie, który zabierał ją do wytwornych lokali.

–To musiał być Steven. On był zawsze gwiazdą, ja ciężko tyrałem.

Porucznik Hook wypił kolejny łyk mrożonej herbaty, a potem odchylił się do tyłu. Jego twarz skryła się w cieniu drzewa.

–Wieczorem szesnastego marca tego roku został pan przyjęty na ostry dyżur w New York Hospital z ciężkimi uszkodzeniami organów płciowych... spowodowanymi, jak pan oświadczył, uderzeniem młotką. Następnego dnia poinformował pan jednego z moich detektywów, że został pan zaatakowany w opuszczonej drogerii przy Czterdziestej Ósmej Ulicy przez dwóch młodych Murzynów. Na podstawie podanego przez pana rysopisu tych obwiesiów mogę z dużą dozą pewności ustalić ich tożsamość. Byli to Samuel Joseph Carter i Malcolm Deedes. Szpryca i Tyce.

–I co pan w związku z tym sugeruje? – zapytał Craig bez cienia emocji w głosie. – Sugeruje pan, że to ja ich zabiłem, mszcząc się za to, co mi zrobili?

–To wystarczająco silny motyw, by stał się pan głównym podejrzanym. A ponieważ wszystkie sześć zabójstw łączy pozostawiona na miejscu zbrodni dziewiątka karo, dysponujemy wystarczającymi poszlakami, aby podejrzewać, że to pan je wszystkie popełnił. W napadzie zbrodniczego szału.

–Craig! – szepnęła Effie. Nie wierzyła własnym uszom. Craig mógł być uparty i łatwo się denerwował, kiedy nie udawało mu się postawić na swoim, ale nie wyobrażała sobie, żeby mógł kogoś zabić. Owionął ją chłód, jakby ktoś otworzył nagle tuż obok drzwi lodówki.

–Co w takim razie macie zamiar zrobić? – zapytał Craig. – Przeczytać mi moje prawa?

Porucznik Hook pochylił się do przodu i jego twarz z powrotem oświetliło słońce.

–Nie, proszę pana. Pomyślałem po prostu, że może pana zainteresować, jak

bardzo tego rodzaju sprawa może wydawać się oczywista... mamy motyw, okazję i poszlaki... podczas gdy prawda leży zupełnie gdzie indziej. Jak już powiedziałem, sprawca pozostawił odciski palców na dzwonku mieszkania pani Bieleckiej oraz karcie, którą znaleźliśmy na jej łóżku. Identyczne odciski zdjęliśmy z klamki taksówki pana Fuada oraz karty pozostawionej przy jego zwłokach. Jeszcze wyraźniejsze odciski odnaleźliśmy na karcie pozostawionej w garderobie teatru Lyceum, a wczoraj mundurowy policjant odnalazł kowalski młot pod Henry Hudson Parkway przy Osiedziątej Drugiej Zachodniej. Na trzonku i obuchu pozostawiono kolejne odciski. Bardzo wyraźne na obuchu, ponieważ był naoliwiony.

Effie miała ochotę wziąć za rękę Craiga, ale jednocześnie po głowie tłukła jej się myśl: A jeśli to on? Jeśli to naprawdę on?

–Był pan na tyle uprzejmy – oświadczył sierżant Winstanley – aby pozwolić nam pobrać pańskie odciski, kiedy rozmawialiśmy w środę. Żadne z odcisków, które zdjęliśmy w miejscach zbrodni, nie pasują do pańskich...

–...co skłania nas do zaskakującego, aczkolwiek nieuniknionego wniosku, że nie jest pan sprawcą tych morderstw – dodał porucznik Hook. – Nie mógł pan nim być.

–Mogłem przecież zapłacić komuś, żeby to zrobił – wtrącił Craig. – Mam na myśli zawodowego mordercę albo kogoś w tym rodzaju.

–Tę możliwość również braliśmy pod uwagę – powiedział porucznik Hook. – Chciałbym za pańskim pozwoleniem sprawdzić wszystkie pańskie konta bankowe i rachunki telefoniczne... Rutynowa kontrola, po prostu żeby zaspokoić ciekawość moich zwierzchników – dodał po chwili. – Gdyby okazało się to konieczne, mogę załatwić nakaz.

–Może pan sprawdzać wszystko, co pan chce. Nie mam nic do ukrycia. Tak czy owak, wydałem prawie wszystkie swoje pieniądze na kupno Walhalli. Nawet gdybym chciał, nie stać by mnie było na wynajęcie mordercy.

Porucznik Hook nie wydawał się wcale ubawiony.

–Byłbym również wdzięczny, gdyby w najbliższym czasie postarał się pan nigdzie nie wyjeżdżać. Mogę mieć jeszcze do pana kilka pytań.

–Czy potrafi pan powiedzieć, kto oprócz pana mógłby pragnąć śmierci tych konkretnych ludzi? – zapytał sierżant Winstanley.

–Opiera się pan na fałszywym założeniu, sierżancie. Ja wcale nie pragnąłem ich śmierci. Skąd miałbym wiedzieć, dlaczego miały tego chcieć ktoś inny?

–Być może jakiś pański bliski przyjaciel, ktoś, kto wie, co się panu przytrafiło, i chce zemścić się w pańskim imieniu?

–Craig nie ma przyjaciół, którzy zrobiliby coś takiego – oświadczyła Effie.

Porucznik Hook obrócił ku niej swe zimne, jaszczurcze oczy. Przez chwilę miała wrażenie, że wysunie język i złapie jedną z muszek, które tańczyły w słonecznym blasku.

–Nigdy nie wiadomo, do czego zdolni są przyjaciele – powiedział. – Niektórzy z nich mają bardzo dziwne poczucie lojalności.

–To była dziewiątka karo – syknęła Effie, kiedy szli do swojego pokoju. – Jestem tego pewna.

–Siódemka, dziewiątka, nie pamiętam.

–To była dziewiątka. I co za zbieg okoliczności... No wiesz, najpierw czytamy o Jacku Beliasie i kupujemy jego dom, a zaraz potem dochodzi do tych wszystkich morderstw. Mój Boże, gdyby nie te odciski palców, pewnie by cię aresztowali.

–Wciąż uważają, że mam z tym coś wspólnego. Nie są zbyt dobrzy w myśleniu równoległym.

–Co to znaczy? – zapytała Effie, otwierając drzwi. Sypialnia pełna była kwiatów i słonecznego blasku.

–To znaczy, że Sherlock Holmes nie miał racji. Powiedział, że kiedy wykluczy się niemożliwe, prawdą jest każda hipoteza, nawet gdyby wydawała się zupełnie nieprawdopodobna. Ale co robić, jeśli nie ma żadnej hipotezy, nawet najbardziej nieprawdopodobnej?

–Nie wiem – odparła.

Craig pchnął plecami drzwi, sięgnął za siebie i przekręcił klucz w zamku. A potem chwycił ją mocno za nadgarstki i popatrzył prosto w oczy. Na jego twarzy malował się złośliwy triumf.

–Jeśli nie pozostaje kompletnie nic, wtedy prawdą musi być to, co niemożliwe. Nic prostszego – stwierdził i zaczął rozpinać jej bluzkę.

–Nie teraz, Craig. Bolą mnie stopy.

–Ból w stopach nie ma znaczenia – oświadczył, po czym wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

–Craig... – odezwała się, kiedy pochylił się, żeby ją pocałować.

–O co chodzi? Chcesz zapytać, czy to ja zabiłem tych ludzi, tak?

Nie odpowiedziała, nie miała śmiałości, ale zajrzała mu głęboko w oczy i nie zobaczyła zupełnie nic. Miała wrażenie, że spogląda w dwie głębokie studnie, na próżno starając się ujrzeć gdzieś daleko w dole taflę wody.

Dotknęła jego policzka i zdziwiło ją, jaką ma gładką skórę. Zniknęło z niej gdzieś kilka piegów i była pewna, że ma bardziej brązowe brwi. Był w nim jakiś nowy powab, ciemny urok, którego nie miał nigdy przedtem.

Po raz pierwszy, odkąd zacytował jej tych kilka strof Mallarmego o dalekim cieniu widzianym w zwierciadle, zaczęła się zastanawiać, kim jest naprawdę.

Piątek, 16 lipca, 17.56

Nad dachami przeleciał klucz zawodzących żałośnie kanadyjskich gęsi i Pepper wzdrygnęła się ze strachu. Walhalla budziła w niej lęk już wtedy, gdy odwiedziła ją razem z Effie; teraz, kiedy była tu sama, miała wrażenie, jakby cały dom wiedział o jej obecności – jakby ściany szeptem przekazywały o tym wiadomość schodom, jakby okna odwracały ku niej swoje szkliste oczy, a klepki podłogi biegły cicho za jej krokami.

Postanowiła, że zacznie od sali balowej. Tutaj właśnie wibracje psychiczne były najsilniejsze i najbardziej agresywne. Tutaj właśnie czasy przeszłe i terażniejsze zapętlily się niczym migoczący negatyw taśmy filmowej, na którym jedno wydarzenie niewyraźnie prześwieca przez cień innego.

Tym razem nie zamierzała dać się ovladnąć psychicznej panice, której tak silnie doświadczyła poprzednio. Przyniosła ze sobą okrągłe lustro, które umieściła pośrodku sali. Jeśli pojawi się ktoś z innego czasu, nie będzie mógł jej dotknąć, ponieważ jej dusza powinna tkwić w lustrze tak długo, jak długo widać będzie w nim jej odbicie. Taka przynajmniej była teoria. Katarzyna Medycejska używała podobnego lustra, aby dowiedzieć się, jak długo będą żyli jej synowie, a księżę Nawarry okrążył takie lustro dwadzieścia dwa razy przed swoim zniknięciem. Tubylcy z Nowej Gwinei i pewnych rejonów Afryki Południowej nadal nie chcą spoglądać w lustro, obawiając się, że ich dusza zostanie w nim uwięziona.

Pepper przestudiowała opublikowaną w roku 1650 w Massachusetts książkę Thomasa de la Raiza pod tytułem „Lookynge-Glass Magyke”. Nie wierzyła we wszystko, co tam wyczytała, a niektóre rzeczy uważała za idiotyczne przesady, ale którejś nocy posłużyła się lustrem, żeby powróżyc młodemu gitarzyście folkowemu, i ujrzała, że jego odbicie otoczone jest ognistą koroną. Dwa dni później gitarzysta spłonął żywcem, kiedy autobus jego grupy przewrócił się w ulewnym deszczu na Garden State Parkway. Na zawsze zapamiętała jego nazwisko, Orkney Taylor. Był tak zwęglony, że strażacy wzięli go z początku za małpę. Ogarnięta poczuciem winy Pepper modliła się potem przez całe tygodnie.

Rozejrzała się po wysokiej zakurzonej sali. Przez pokryty warstwą liści szklany dach sączyło się słabe światło. Nie bardzo zdawała sobie sprawę, dlaczego to wszystko robi. Może powiedziała Effie prawdę, może w Cold Spring, z jego turystami, pensjonatami i eleganckimi butikami, rzeczywiście brakowało jej jakiejś podniety. A może chodziło o coś więcej. Może chciała się sprawdzić. Zobaczyć, z jakiej jest ulepiona gliny. Przyjemnie było dostarczać ludziom magiczne ziołowe leki w małych słoiczkach i torebkach, ale co to miało wspólnego z prawdziwą magią? Z życiem, które toczyło się równolegle z innymi? Z koincydencją? Miała na myśli prawdziwą koincydencję – gdy dwie rzeczy dzieją się jednocześnie, nawet kiedy dzielą je w czasie całe dziesięciolecia.

Wyprostowała się i sprawdziła, czy widzi swoje odbicie w lustrze. Ubrana była w długą białą suknię z cienkiego lnu, z krótkimi bufiastymi rękawami. Pod spodem miała srebrny łańcuszek, który zawsze nosiła na biodrach, a na szyi ouangę, swój talizman. Brodawki jej piersi rysowały się pod cienkim materiałem jak prześwitujące

przez koronkową firankę płatki zwiędłych róż. Wokół lustra ustawiła i zapaliła siedem różowych świec, własnoręcznie odlanych z pszczelego wosku. Ich płomyki chwiały się w przeciągu, wiejącym z rozbitych okien; oczy Pepper srebrzyły się w ich blasku.

Na gładkim stoliku z białego marmuru rozłożyła swoje magiczne akcesoria: mech, piwonie i werbenę. Wokół nich umieściła osiem małych złotych krzyżyków: siedem symbolizowało magiczną liczbę, ósmy duszę, którą chciała chronić.

Nie przyniosła tej samej leszczynowej gałązki co poprzednio, lecz wiązkę siedmiu różnych gałązek, które ścięła w swoim własnym ogródku. Wiązka nie była tak wrażliwa jak normalna rozwidlona różdżka, powinna jednak pomóc jej rozproszyć potencjalną energię, którą wytwarzały zakłócenia, i uchronić przed niebezpieczeństwem. Stanowiła psychiczny ekwiwalent transformatora.

Ale ktoś, kto zamierzał dokonać psychicznej czystki, musiał być otwarty, podatny na zranienie. Dlatego była naga pod lnianą sukienką i bosa. Jak wyjaśniła już w rozmowie z Effie, przybierając agresywną postawę sprawiłaby jedynie, że wspomnienie tego, co się tu wydarzyło – tego, co działo się tu w dalszym ciągu – zamigotałoby i rozproszyło się natychmiast po ukazaniu.

Podniosła swoją różdżkę i powoli zatoczyła nią krąg. Równocześnie otworzyła swój umysł w ten sam sposób, w jaki robiła to podczas medytacji. Przypominało to otwarcie śluzy, przez którą mogła napłynąć chłodna woda innych nieświadomych umysłów. Nie posługiwała się intonacjami, mantrami i żadnymi zaklęciami, których nauczyła się w swoich dniach Wodnika. W Walhalli potrzebne było milczenie – całkowite otwarcie i całkowita neutralność.

Z początku nie czuła żadnej reakcji i zaczęła żałować, że nie zabrała ze sobą rozwidlonej gałązki. Obróciła się trochę bardziej w bok, żeby móc objąć większy obszar, przez cały czas pilnowała jednak, aby jej postać odbijała się w lustrze. Opróżniła swój umysł jeszcze bardziej i w końcu nie myślała o niczym prócz czasu, przestrzeni i nieskończoności.

Płomienie świeczek przygasły i zamigotały. W sali balowej zrobiło się trochę ciemniej, tak jakby słońce przesłoniła burzowa chmura. Pepper zerknęła w lustro. Wydawało się dziwnie zamglone; jej odbicie straciło ostrość.

Coś...

Poczuła, że różdżka zaczyna drżeć w jej dłoniach. Miała również wrażenie, że słyszy muzykę – nie walc „Nad pięknym modrym Dunajem”, który słyszała Effie, gdy tańczyła po rozbitym szkle, ale muzykę jazzową. Metaliczną, monotonną muzykę jazzową, graną na akustycznej wiktroli.

Zatoczyła krąg gałązką. Kiedy skierowała ją w północno-zachodni róg sali, muzyka ucichła. Kiedy odwróciła się z powrotem na południowy wschód, usłyszała ją ponownie, ale bardzo słabo. Przypominała jeden z tych naprawdę wczesnych chicagowskich jazzbandów: Johnny'ego Doddsa i Footwarmersów, Kinga Oli-vera albo Johnny'ego Droita.

Słyszała także otwierające się drzwi i kroki. Brzmiały, jakby jakiś mężczyzna zbiegał szybko i lekko po schodach. Słyszała, jak otwierają się kolejne drzwi. Przez salę balową przeszedł przeciąg i trzy z jej różowych świeczek zgasły. Parkiet zasnuły

aromatyczne smużki dymu. Pepper poczuła, że siedmiopalczysta wiązka leszczyny drży i wykręca się, zupełnie jakby się przestraszyła i chciała wyrwać.

Kroki zbliżały się, mężczyzna mijał bibliotekę. A potem, po krótkiej chwili, podwójne drzwi otworzyły się na oścież i do środka wszedł Craig.

–No, no – powiedział. – Kogóż tu widzimy? Pani Moriar-ty. – Podszedł bliżej i przyjrzał się uważnie jej świeczkom, lustru i talerzykom z magicznymi roślinami. – Cóż to, wzywamy diabła?

–Nie widziałam żadnych samochodów. Nie sądziłam, że ktoś jest w domu – wyjaśniła Pepper, opuszczając w dół wiązki leszczyny, mimo że ta wciąż drżała i wykręcała się, a pojedyncze gałązki odginały się do tyłu niczym długie, wąskie palce.

Craig obszedł dookoła magiczny krąg. Ubrany był w czarny golf, czarne spodnie i błyszczące czarne buty. Miał podpuchnięte oczy, jakby od kilku dni nie mógł zasnąć.

–Przed domem nie stoją żadne samochody, ponieważ podwiózł mnie tu Norman, który pojechał teraz do Carmel zamówić więcej narożników. Muszę przyznać, że wcale mi się nie podoba, kiedy po moim domu kręcą się ludzie. Mieliśmy tu już jeden śmiertelny wypadek i nie chciałbym, żeby doszło do następnych.

–Przepraszam – powiedziała Pepper. – Powinnam była chyba zapytać pana o zgodę. Robię to tylko ze względu na Effie.

–Co pani robi? Wywołuje duchy?

–Pan dobrze wie, że nie wierzę w duchy, panie Bellman. Ale panująca tu psychiczna atmosfera jest bardzo szkodliwa. Jestem przekonana, że jeśli zdołam ją oczyścić, Effie odniesie się z o wiele większym entuzjazmem do perspektywy zamieszkania w Walhalli.

–Jest pani o tym przekonana? A czy mogę spytać, kto dał pani prawo wtykać nos w nie swoje sprawy? Co by pani powiedziała, gdybym przyszedł do tej pani starej rupieciarni i okadził ją, ponieważ nie podoba mi się smród startych na proszek pająków, suszonego psiego łajna i innych rzeczy, które wkłada pani do tych swoich słoików? Byłaby pani chyba wściekła, prawda?

Pepper przygryzła wargę.

–Chyba tak, panie Bellman. Ale to nie daje panu prawa mnie obrażać.

–Uważa pani, że ją obrażam? Bardzo mi przykro, naprawdę przepraszam.

Następnym razem, kiedy przyjdzie pani odprawiać tu swoje czary, wyrzucę panią na zbity pysk.

Pepper przykucnęła, zaczęła gasić świece i zbierać swoje krzyże i zioła.

–Już pana przeprosiłam. Nie miałam zamiaru wtykać nosa w nie swoje sprawy. Chciałam tylko pomóc Effie. I chciałam pomóc panu... Bez względu na to, co pan teraz mówi, panie Bellman – powiedziała, wyprostowując się – nie będzie pan szczęśliwy w Walhalli, dopóki pan jej całej nie oczyści.

Craig wyciągnął rękę i złapał ją za lewy nadgarstek tak mocno, że upuściła wiązki leszczyny.

–Ja już jestem szczęśliwy – oświadczył, patrząc jej prosto w oczy. – Ten dom jest mną. Ten dom jest tym, czym jestem.

–Proszę mnie puścić, panie Bellman – powiedziała. Ale on ścisnął jej przegub

jeszcze mocniej.

–Ma pani bardzo niezwykle oczy. Nigdy przedtem takich nie widziałem. Jakiego pani zdaniem są koloru?

–Proszę... robi mi pan krzywdę.

Craig odczekał jeszcze chwilę, a potem puścił ją.

–Może nie miałem co do pani racji. Może powinna pani jednak oczyścić ten dom. Chce pani spróbować?

–Na dzisiaj dam sobie chyba spokój – odparła Pepper. – Jeśli w ogóle były tu jakieś psychiczne wibracje, dawno zanikły. Nie reagują zbyt dobrze na chamskie zachowanie.

–Teraz jest pani na mnie wściekła – powiedział, szczerząc zęby. Na podłodze, zaledwie kilka cali od jego lewej stopy, wiązka leszczyny drżała i gięła się, jakby była ręką szkieletu usiłującego złapać go za kostkę. Pepper zerknęła na nią, a potem z powrotem na Craiga.

–Nie jestem na pana wściekła, tylko rozczarowana. Tak łatwo się pan zaperza.

–Zaperzam się? I to panią dziwi? Byłem wybitnym międzynarodowym adwokatem, którego kariera legła w gruzach przez głupiego taksówkarza i bandę obwiesiów. Wydawało mi się, że jestem wybrańcem losu. Wydawało mi się, że nic złego nie może mi się przytrafić. Czuję się oszukany, sfrustrowany i wściekły. A pani jest rozczarowana? Płonie we mnie gniew, którego nigdy pani nie zrozumie. Nigdy nie oczekiwałem, że życie będzie fair, nie sądziłem jednak, że okaże się takie wredne.

–Życie okazało się więc inne, niż się pan spodziewał. Czuje się pan wystrychnięty na dudka. Ale dlaczego odgrywa się pan na Effie?

–Co pani insynuuje? Wcale nie odgrywam się na Effie! Nie mieliśmy tak dobrego okresu od wielu lat!

–Ona nie lubi tego domu, panie Bellman. Ona go nienawidzi.

–Nieprawda – oópari. – Przyznaję, że z początku go nienawidziła, ale nie teraz. Teraz zaczyna go lubić. Wczoraj wieczorem powiedziała mi, że naprawdę zaczyna ją fascynować.

–Powiedziała to tylko dlatego, bo nie chce, żeby wasze małżeństwo się rozleciało.

–Nie chce, żeby rozleciało się nasze małżeństwo? Oszalała pani? Jesteśmy ze sobą bliżej niż kiedykolwiek. Rozmawiamy ze sobą, chodzimy do lokali, nasze życie seksualne jest wspaniałe. W porządku, nie jestem idealnym mężem. Ale nasze małżeństwo pomaga mi wrócić do zdrowia. Podobnie zresztą jak to miejsce. Kocham je. Daje mi siłę. Daje mi prawdziwą fizyczną siłę.

–Ten dom przeraża Effie. Dlatego właśnie zaproponowałam, że go oczyszczę.

Craig wciąż chodził dookoła niej, po zewnętrznej stronie kręgu wyznaczonego przez zgaszone świece.

–I co się stanie, jeśli się to pani uda? – zapytał.

–Możecie wtedy nadal doświadczać pewnych psychicznych wibracji, ale skończą się hałasy, wizje i inne tego typu rzeczy. Najprawdopodobniej będziecie odczuwać co najwyżej drobne zakłócenia w powietrzu.

–Kogoś mi pani przypomina – powiedział Craig. – Te pani kości policzkowe... I

usta... Przypomina mi pani... nie wiem, uciekło mi gdzieś to nazwisko.

Odwrócił się do niej plecami i przez chwilę milczał.

–Będę już szła – oświadczyła Pepper.

–Dokąd się pani tak spieszy? – Jego głos był teraz zupełnie inny: chłodniejszy i bardziej opanowany.

–Wydawało mi się, że wtrącam nos w nie swoje sprawy. Wydawało mi się, że nie życzy pan sobie, żebym przebywała w tym domu.

–Skoro przyszła go pani oczyścić, dlaczego pani tego nie robi?

–Nie wiem, czy potrafię to zrobić w pana obecności. Jest pan bardzo rozwibrowany. Oczywiście w sensie psychicznym. Nie wrażliwy, tak jak Effie, ale zdecydowanie rozwibrowany. Próbuję odebrać inne emocje, ale odbieram wyłącznie pana.

–W takim razie może powinna pani zacząć ode mnie? – Odwrócił się i jego oczy były jeszcze czarniejsze niż przedtem.

Pepper podniosła głowę i przez chwilę nasłuchiwała. Nadal słyszała grającą w sąsiedniej sali muzykę jazzową.

–Wydaje pan przyjęcie? – zapytała go. Craig również nadstawił ucha.

–Nic nie słyszę – powiedział w końcu.

–Wydawało mi się, że to jazz.

–Jazz?

Pepper podniosła swoją wiązkę leszczyny. Wciąż drżała i nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wygina się w stronę Craiga. Skierowała ją dokładnie na niego, a on obserwował ją z krzywym uśmieszkiem. Pepper obeszła go dookoła. Przez cały czas wiązka odchyłała się uparcie w stronę Craiga.

–To bardzo dziwne – stwierdziła. – Kiedy manifestują się psychiczne wibracje, leszczyna odchyła się na ogół w drugą stronę. Nigdy jeszcze nie widziałam tak silnego przyciągania.

–Muszę być bardzo pociągającym facetem.

–To nie są żarty – powiedziała Pepper. Podeszła do niego trochę bliżej i teraz gałązki zaczęły się wić niczym macki ośmiornicy. Craig ani na chwilę nie spuszczał jej z oczu, nieporuszony, z tym samym krzywym uśmieszkiem na twarzy.

–No i co? – zapytał.

–Ma pan rację – potwierdziła. – To pan. Albo coś, co posługuje się panem. Cały dom wypełniają psychiczne zakłócenia, ale pan je ogniskuje. Tak jakby cały dom był aparatem, w którym tkwi bardzo czuły film, a pan stanowił obiektyw.

–Chce pani powiedzieć, że Effie ukazują się różne rzeczy z mojego powodu? W większości tych przypadków w ogóle mnie tu nie było!

–Nie musi pan tu wcale przebywać. Zapoczątkował pan coś, wchodząc po raz pierwszy do tego domu, naprawdę pan to zrobił. Nacisnął pan jakiś guzik. Nie wiem jaki, ale możemy spróbować to odkryć i jestem przekonana, że potrafimy go wyłączyć.

Craig przyjrzał się jej magicznym akcesoriom.

–W jaki sposób oczyszcza pani normalnie domy? Bierze pani oko traszki, nogę

ropuchy i odprawia czary-mary?

–Jeśli chce pan koniecznie wiedzieć, miałam zamiar użyć luster. Obraz pomieszczenia, w którym dochodzi do psychicznych zakłóceń, odbija się trzynaście razy, z lustra do lustra, i w końcu robi się tak niewyraźny, że ledwie go widać. Może się to wydawać przesądem, ale opiera się na całkiem naukowych podstawach. Tak jak u Einsteina: jeśli zwolni pan czas, jaki zabiera panu zobaczenie czegoś, zwolni pan również bieg tego wydarzenia w realnym czasie. W tym przypadku powinniśmy oddzielić to, co zdarzyło się wczoraj, od tego, co dzieje się dzisiaj. Aby to osiągnąć, wystarczy zgubić mikroskopijny ułamek sekundy.

–A człowiek? W jaki sposób oczyszcza pani człowieka?

Effie opuściła w dół wiązkę leszczyny.

–Odbywa się to mniej więcej tak samo. Trzeba odbić jego obraz w trzynastu lustrach.

–Uważa pani, że przydałoby mi się oczyszczenie? – Jego głos był teraz niższy i powolniejszy. Pepper cofnęła się o krok, ale on dał krok do przodu.

–Nie wiem – odparła. – Muszę przeprowadzić dalsze badania. Nigdy dotąd nie zetknęłam się z podobną sytuacją.

Ponownie się cofnęła, a on ponownie dał krok do przodu.

–Wie pani, jak bardzo zależy mi na tym domu, pani Moriarty – powiedział. – Chcę tu zamieszkać i chcę, żeby zamieszkała tu Effie. Chcę, żeby zrobiła to z dobrej woli i była tutaj szczęśliwa. Skoro jest we mnie coś, co powoduje te zakłócenia... czy nie uważa pani, że choćby ze względu na Effie powinna pani powstrzymać mnie przed ich wywoływaniem?

Położył dłoń na jej ramieniu. Z jakiegoś powodu Pepper wydało się to nadzwyczaj niestosownym gestem, tak intymnym, jakby położył jej rękę na piersi. Aż do tej chwili widziała w nim tylko aroganckiego, wyniosłego męża Effie, postawnego mężczyznę, odznaczającego się urokiem, który zawsze uważała za zbyt powierzchowny. Osobiście wolała mężczyzn o ciemniejszej karnacji i bardziej wyrazistych rysach. Mężczyzn podobnych do Cyganów, którzy rzadko kiedy się golili. Nagle wyczuła jednak ten sam rodzaj mrocznej urody w Craigu i ten sam rodzaj niebezpieczeństwa. Ten mężczyzna jest seksowny i ma na mnie ochotę, pomyślała.

–Uprzedzam pana, że nie robiłam tego nigdy przedtem. Może nam się nie udać. Może okazać się niebezpieczne.

–Nie bała się pani oczyścić domu... Dlaczego miałyby się pani bać oczyścić mnie?

Przyjrzała mu się uważnie i wydał jej się jakiś inny.

–Musimy mieć lustro. Wysokie lustro.

–W przedpokoju na pierwszym piętrze jest mnóstwo luster. Może okaże się odpowiedni?

Zdjęła jego dłoń ze swojego ramienia. I znowu wrażenie, jakie odniosła, dotykając jego ręki, było nieproporcjonalne do tego, co rzeczywiście zrobiła. Trzymała w palcach jego przegub zaledwie przez sekundę, a mimo to wyraźnie poczuła jego skórę, kości nadgarstka i ciemne włosy rosnące po zewnętrznej stronie dłoni. Wyczuła nawet jego puls.

–Nie jestem chyba wystarczająco doświadczona, żeby się tego podjąć – powiedziała. Coraz silniej uświadamiała sobie, że pod swoją białą długą suknią jest całkiem naga i że jej materiał jest bardzo cienki.

–Ale może pani spróbować, prawda? Może uda się pani rozwiązać wszystkie nasze problemy.

–Sama nie wiem...

–Proszę.

Pod jego baczny spojrzeniem Pepper zaczęła pakować z powrotem swoje świece i słoiczki. Co jakiś czas zerknęła na Craiga, który kiwał zachęcająco głową. Nie wydawał się jednak skłonny jej pomóc, nawet kiedy założyła sobie ciężką haftowaną torbę na ramię i ruszyła z nią przez salę balową i korytarz.

–Bardzo dużo już pan zrobił – zauważyła. W oknach wzdłuż korytarza wstawione były wszystkie szyby i wisiały w nich ciemnoniebieskie pluszowe zasłony. Podłoga była wmyta i wyfroterowana, a dębowej boazerii przywrócono oryginalny kolor miodowego beżu.

–Czeka nas jeszcze mnóstwo pracy – stwierdził Craig. – Ale niewielu ludziom dane jest zbudować dom swoich marzeń, nieprawdaż?

–Za to właśnie pana podziwiam – odparła Pepper. – Naprawdę. Musi pan pomyśleć jednak o Effie. Musi pan uwzględnić jej punkt widzenia. Jest w końcu pańską żoną.

–Bez przerwy myślę o mojej żonie. A ona myśli o mnie. Zrobiłaby dla mnie wszystko.

Zaczęli wspinać się po schodach, pod godłem opatrzonym napisem Non omnis moriar. Nie całkiem umrę.

–Gdybym ją poprosił, podciąłaby sobie dla mnie żyły – powiedział Craig. – Zatańczyłaby boso na rozbitym szkle.

Pepper zatrzymała się w połowie schodów. Torba, którą niosła, była ciężka, i jej ręce zaczęły drżeć.

–A poprosiłby ją pan o to?

–To zależy. Prawo domagania się od kobiety, aby udowodniła swoją miłość, to jeden z ostatnich wielkich przywilejów mężczyzny. „Kochasz mnie? Doskonale, kochanie, w takim razie obetnij sobie włosy do samej skóry. Kochasz mnie? Daj sobie wytatuować róże na piersiach. Kochasz mnie? Przespaceruj się nago przez cały dom w obecności moich przyjaciół. Pokaż, jak mnie kochasz! Udowodnij to! Rób wszystko, co ci każę! Czołgaj się na czworakach przez błoto, a potem wstań, pocałuj mnie i podziękuj za to, że kazałem ci się ubrudzić!”

Pepper zaschło w ustach.

–Nie prosił pan chyba Effie o takie rzeczy? – zapytała. Craig wszedł na górę, a ona poszła za nim. Cały przedpokój został odnowiony. Pepper nie mogła uwierzyć, jak szybko się z tym uporano. Dlaczego Norman nic jej o tym nie powiedział, dlaczego nie przywiózł tutaj, żeby się pochwalić? Pod sufitem jarzył się wielki żyrandol, wzdłuż ścian ustawiono oprawne w złoczone ramy zwierciadła. Podłoga wysłana była czerwonymi grubymi dywanami, przywieziono też trzy połączone

otomany z czerwonymi obiciami, a także kilka stolików i połączanych krzeseł.

Pepper położyła na dywanie torbę i rozejrzała się zdumiona dookoła. Craig zamknął za nią drzwi, po czym przeszedł posuwistym krokiem przez przedpokój i dwunastu Craigów powtórzyło każdy jego ruch w dwunastu lustrach.

–Coś chyba jest w tej pani teorii luster – powiedział z uśmiechem. – Czasami wchodzę tu i nie wiem, czy z drugiego końca nie zbliża się moje inne „ja”. Dlaczego akurat to moje „ja” ma być bardziej rzeczywiste od innych?

Obrócił się ku lustrom zamontowanym po prawej stronie i siedmiu Craigów obróciło się w ślad za nim.

Pepper ponownie się rozejrzała. Wszystko to bardzo ją niepokoiło. Kiedy widziała się tego popołudnia z Normanem, wspomniał, że Fulloni Jahn pozwolili im rozpocząć naprawę dachów jeszcze przed ostatecznym podpisaniem umowy, aby nie dopuścić do dalszej dewastacji. Nie mówił jednak nic o lustrach, dywanach, zasłonach i suto złożonych antycznych meblach.

–Widzi pani te płaskorzeźby? – zapytał Craig, podchodząc do podwójnych drzwi prowadzących do głównej sypialni. – Opowiadają wszystko, całą historię. Kobiety powinny być ciche i posłuszne i nie otwierać oczu, chyba że się im na to pozwoli. Mężczyźni powinni obracać się do nich plecami i nie okazywać im żadnych uczuć. Pierwsza kobieta stworzona została z błota i wszystkie kobiety są od tego czasu błotem.

Przez chwilę wpatrywał się w Pepper, a potem głośno się roześmiał. Nie wiedziała, czy mówi serio, czy się zgrywa.

–Tę właśnie historię wyryto na tych drzwiach. Ewa nie była pierwszą kobietą... była nią Lilith. Bóg zgodził się ją stworzyć, ponieważ Adam czuł się taki samotny. Ulepił ją z błota, z gliny, po której stąpają mężczyźni, i nigdy nie była niczym więcej jak błotem. Ale wkrótce zapragnęła dorównać Adamowi. Nie chciała go słuchać, nie chciała pracować dla niego ani mu służyć. Opuściła go i wygnano ją za to z Rajskiego Ogrodu. Nie można jednak powiedzieć, że Bóg nie dał jej szansy. Wysłał za nią trzy anioły, które próbowały nakłonić ją do powrotu do Adama.

Craig przesunął czubkiem palca po napisach wyrytych w drzewie na powiewających sztandarach i mówił dalej:

–Samvi, Sansavi, Semangelaf. Tak brzmiały ich imiona. Oferowali Lilith wszystko, jeśli tylko zgodzi się służyć dalej Adamowi i wszystkim jego synom, ale ona odmówiła i Bóg obłożył ją klątwą, która sprawia, że codziennie umiera setka jej dzieci. Dlatego właśnie Lilith zakrada się do każdego małżeńskiego łóżka, mając nadzieję, że uda jej się ukraść kroplę nasienia i urodzić kolejne. I dlatego właśnie każdej nocy, przed pójściem do łóżka, rodzice śpiewają swoim dzieciom kołysankę, lullabye, co znaczy po prostu „Lilla-bye”: „Lilith, odejdz!”

Pepper podeszła do drzwi i stanęła tuż obok Craiga. Rzeźbione twarze wydawały jej się tak prawdziwe, że wyciągnęła rękę i dotknęła ich, żeby upewnić się, że wyryte są w drzewie.

–Skąd pan o tym wszystkim wie? – zapytała.

Craig dotknął tej samej twarzy, której dotknęła ona, przesuwał czubkami

palców po wargach, jakby oczekiwał, że go pocałują. Nie przestawał się uśmiechać. Pepper czuła, że jego mroczny urok działa na nią coraz mocniej.

Ten mężczyzna jest nie tylko seksowny, ale i niebezpieczny, pomyślała.

Jeszcze bardziej niepokoiła ją dwuznaczność własnych uczuć. Przeszło jej przez głowę, że nie powinna mieć na imię Pepper. Wcale nie czuła się jak Pepper. Nie bardzo rozumiała, kim jest i co tutaj robi. Wyostrzyła się także jej percepcja. Wszystko, co ją otaczało, wydawało się jakby nieco powiększone i aż do bólu wyraźne. Widziała każdy wyryty w drzewie detal, każdy ślad dłuta. Miała wrażenie, że ogląda twarz Craiga przez krystalicznie czystą kroplę wody.

Jednak jego głos wydawał się niewyraźny. Przypominał przeciągły, niski pomruk.

–Poświęciłem dużo czasu na zdobycie tej wiedzy – odparł, odwracając się od drzwi i biorąc ją pod ramię. – Jeśli chce się coś w życiu osiągnąć, trzeba się solidnie przygotować. Spędziłem pięć miesięcy w Palestynie, a potem trzy miesiące w Egipcie i pod koniec tego okresu wiedziałem już dobrze, co zamierzam dalej robić. Stworzyłem Walhallę na swój własny obraz i podobieństwo i gotów jestem pokazać Bogu, że kobiety są dokładnie takie same jak Lilith.

–Pan nie stworzył Walhalli, panie Bellman – przerwała mu Pepper. – Pan ją tylko kupił.

Ale on chyba jej w ogóle nie słyszał. Zamiast odpowiedzieć, podszedł do barku i otworzył zamaszystym ruchem pozłacane drzwiczki, zupełnie jakby spodziewał się znaleźć w środku Świętego Graala.

–Napije się pani czegoś? – zapytał. – Mój koktajl z szampanem potrafi zwalić z nóg.

–Nie, dziękuję. Powinnam już chyba wracać. Craig nalał sobie whisky.

–Wracać? Wracać dokąd? – zdziwił się.

–Do... – zaczęła Pepper i nagle zdała sobie sprawę, że nie pamięta, dokąd miała wrócić. W gruncie rzeczy nie miała pojęcia, dlaczego uparła się, żeby dokądkolwiek wracać. – Tak czy owak, dziękuję. Nie piję przed północą.

Podszedł do niej, kołysząc w dłoni szklanką.

–Czy wytatuowałabyś sobie róże na piersiach, gdybym cię o to poprosił? – zapytał.

–Co chcesz mieć, kobietę czy ogród?

Jego oczy były nieprzeniknione, ale wciąż się uśmiechał.

–Nie ma między nimi różnicy. Zarówno piękno ogrodu, jak 1 piękno kobiety jest przemijające i pochodzi z błota.

–Może przestaniesz mówić tyle o błocie. Mam ochotę na papierosa.

Craig podszedł do barku i po chwili wrócił ze srebrną papierosnicą, wypełnioną papierosami Sobranie Black Russians. Pepper wzięła jednego, a on podał jej ognia. Nie paliła Black Russians od bardzo dawna i ostry zapach bałkańskiego tytoniu przeniósł ją w czasy, kiedy...

Czasy, kiedy co? Po prostu nie mogła sobie przypomnieć.

Craig usiadł na jednej z sof i poklepał dłonią obicie, zapraszając Pepper, żeby usiadła obok niego.

–Nie – odparła. – Naprawdę muszę już iść.

–Myślałem, że zostajesz.

–Nie wiem. Jestem zupełnie oszołomiona.

–Słyszałem, że Gordon kupił ci apartament w Londynie. To prawda?

–Wiesz, jak bardzo Gordon lubi szastać pieniędzmi – odparła. Jaki Gordon, zdziwiła się po chwili. Kim, do diabła, jest

Gordon? Nie znam żadnego Gordona. Ale potem pomyślała: oczywiście, że go znam. Gordon ze swoją wysadzaną perłami szpilką do krawata, eleganckim fularem i zaczesanymi do tyłu siwymi włosami... Spotkałam go w Deauville w zeszłym roku.

–Powinnaś uważać na Gordona – powiedział Craig. – Wisi już u mnie na pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów.

–Dlaczego mam na niego uważać? To nie moje pieniądze.

–Po prostu zbyt dużo na nim nie polegaj, to tylko chciałem powiedzieć.

–Co to ma oznaczać? Że mam zacząć polegać na tobie? Jenny uważa, że jesteś wcielonym diabłem!

Craig odchylił do tyłu głowę i roześmiał się.

–Bardzo by tego chciała. Mogłaby wtedy sprzedać mi duszę i odzyskać swój zamek w Fontainebleau i naszyjnik z siedmiu sznurów pereł!

Pepper usiadła powoli obok Craiga. Nie mogła oderwać od niego oczu. Rozumiała wszystko, o czym mówili, chociaż nie miała pojęcia, jak to w ogóle możliwe.

Wiedziała, że „Gordon” to Gordon Selfridge, właściciel jednego z największych domów towarowych na świecie, położonego przy Oxford Street w Londynie.

Wiedziała, że Jenny to jedna z sióstr Dolly, dwóch młodych i ładnych węgierskich aktorek. Gordon Selfridge poświęcał im mnóstwo uwagi, zwłaszcza Jenny, której oświadczył się już wiele razy i na którą zdążył wydać prawdziwą fortunę, dopóki nie wpędziła go w długi skłonność do hazardu.

Podparła głowę dłońmi i przez chwilę wpatrywała się w Craiga, próbując zorientować się, co się z nią dzieje. Nie czuła się chora; nie czuła się przestraszona. Miała tylko wrażenie, jakby umknęło jej coś ważnego, jakby włączyła się do dawno trwającej rozmowy. Wiedziała, że miała zamiar tu przyjść, nie potrafiła sobie jednak przypomnieć, po co. To miało chyba coś wspólnego z lustrami... Nie mogła się zdecydować. Lustra były tu wszędzie; widziała, jak siedzi na sofie, pomnożona sto razy, z głową w dłoniach i papierosem, z którego snuła się cienka smużka dymu.

–Panie... – zaczęła, ale nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska.

Craig upił z rozbawioną miną trochę whisky.

–Nie musisz mówić mi „pan”.

–Więc jak mam się do ciebie zwracać?

–Tak samo, jak zwracałaś się, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy. Mój przyszły kochanku.

–Tak cię nazwałam? I ty dałeś się nabrać? Musiałam być chyba pijana!

–Całkiem prawdopodobne. Ale wyglądałaś, jakbyś mówiła serio.

–Gdzie złożyłam ci tę nieprawdopodobną obietnicę?

–Nie pamiętasz?

Pepper opuściła ręce i przymknęła oczy.

–Najśmieszniejsze jest to, że pamiętam. To było przed hotelem Metropole w Cannes. Rozmawiałam z księciem Westminsteru, a wtedy ty ukazałeś się w drzwiach i powiedziałam: „Popatrz na niego. To mój przyszły kochanek”.

Craig pokiwał powoli głową, ale właściwie nie był to wcale Craig. Pepper wlepiła w niego przez dłuższą chwilę oczy i w końcu zdała sobie sprawę, kim jest i kim jest ona sama.

–Oszalałam – powiedziała. – Kompletnie oszalałam. Ile wypiałam szampana?

–Dosyć, żeby posłać na dno jacht księcia Westminsteru.

–O Boże... Wciąż przyrzekam sobie, że przestanę pić, przestanę tańczyć i przestanę grać w karty.

–Co w takim razie będziesz robiła? Przerzucisz się na mah-jong? Picie, taniec i hazard to wszystko, co potrafisz.

Pochyliła się do przodu i położyła rękę na jego kolanie.

–Niezupełnie wszystko, kochanie. Oprócz tego również jem, kąpię się, woskuje nogi i czasami śpię. Ale nie chrapię.

Popatrzył jej prosto w oczy i uśmiechnął się tak, jak nie uśmiechał się do niej dotąd żaden mężczyzna. Ten uśmiech, gdyby można go w ogóle opisać, był niczym ostatni krąg rozchodzący się po nieruchomej wodzie stawu, w którym utopiło się dziecko.

–Wydaje mi się, że mamy ze sobą wiele wspólnego – powiedział. – Pod jakim urodziłaś się znakiem? Byka?

–Nie domyśliłeś się? Pod znakiem Barana. Barana niemożliwego. Barana niepowstrzymanego.

–Barana erotycznego?

–O właśnie, teraz zgadłeś! – zawołała piskliwie. – Każdy mężczyzna, który mówi takie rzeczy, musi być spod znaku Panny!

Odrzuciła do tyłu głowę i wtedy Craig przysunął się do niej bliżej, jednym płynnym ruchem objął ją w biodrach, pochylił się i pocałował w szyję. W pierwszej chwili chciała się wyprostować i uwolnić, ale dotykające jej nagiej szyi usta całkowicie ją sparaliżowały, jakby jego język nasycony był kurarą. Siedziała jak w transie z odchyloną do tyłu głową, podczas gdy on całował jej policzki i płatki uszu. A potem czubek jego języka przesunął się do przodu i napotkał lekko rozchylone usta.

Otworzyła szeroko oczy. Jego twarz była tak blisko, że nagle obleciał ją strach.

–Jesteś piękna – powiedział. – Twoje oczy są srebrne jak księżyc.

–Baju-baju, będziemy w raj.

–Nie przeszkadza mi, że się ze mnie natrząsas. Potrafię to znieść. Potrafię znieść wszystko, od słownej zniewagi aż do biczowania. Pytanie tylko, czy ty też to potrafisz?

Był tak blisko, że nie mogła skupić wzroku na jego twarzy. Jego oddech pachniał czymś dziwnym i słodkim, jakby ssał przed chwilą landrynki.

–Zrobiłabyś dla mnie wszystko? – zapytał szeptem, nachylając się jej do ucha.

–Co masz na myśli, mówiąc „wszystko”?

–Mam na myśli wszystko. Wszystko, o co poproszę. Czy pozwoliłabyś na przykład, żebym spuścił ci lanie?

–Lanie? Za co? Nie zrobiłam przecież nic złego!

–Musiałaś zrobić coś złego! Może byłaś bezczelna. Może zjadłaś za dużo nadziewanych czekoladek. Może miałaś nieprzyzwoite myśli.

–Nigdy nie mam nieprzyzwoitych myśli.

–Chcesz zobaczyć, jak wygląda mój członek?

–Naprawdę jest taki wyjątkowy? Myślałam, że penisy są jak Chińczycy: nie sposób odróżnić jednego od drugiego.

–To była chyba nieprzyzwoita myśl, nie sądzisz?

–Próbujesz mnie oszukać.

–Skądże znowu. Żadnych oszustw, żadnych iluzji. Dostajesz to, co widzisz. Odwróciła głowę w bok i wzruszyła ramionami.

–Na razie nic jeszcze nie zobaczyłam.

–To była bezczelność, nie sądzisz? Zasluguje na lanie. Przez dłuższą chwilę w ogóle się nie odzywała. Ich twarze znajdowały się tak blisko, że dotykali się prawie nosami. Czuli na policzkach swoje oddechy. Czuli wzajemnie swoje ciepło.

–Masz ochotę spuścić mi lanie? – zapytała nie swoim głosem. Miała wrażenie, jakby powiedział to jakiś stojący za jej plecami brzuchomówca.

Nie mówiąc ani słowa więcej, wsunął ręce pod jej uda i położył ją sobie na kolanach. Próbowowała się opierać, ale był niesamowicie silny. Nigdy w życiu nie spotkała tak silnego mężczyzny. Wykręcił jej obie ręce do tyłu i złapał tak mocno, że miała wrażenie, jakby umieścił je w imadle. Jego noga miażdżyła jej piersi i musiała więc się jak piskorz, żeby je oswobodzić.

–Puszczaj mnie! – krzyknęła.

–Przecież tego właśnie chciałaś. O to prosiłaś.

–Puszczaj mnie, ty sukinsynu!

–To kolejne przewinienie. Zasluguje na co najmniej trzy dodatkowe uderzenia.

–Jeśli mnie zaraz nie puścisz, wydrapię ci oczy!

–Sześć dodatkowych razów!

Wierzgała nogami, wyginała się i usiłowała zsunąć na czworakach na podłogę, ale on trzymał ją mocno na kolanach i nie potrafiła się w żaden sposób uwolnić.

Próbowowała przypomnieć sobie, czego nauczyła się na lekcjach samoobrony, jednak po chwili straciła pewność, czy w ogóle na nie uczęszczała i na czym polegały. To musiał być jakiś sen; musiała je sobie wyobrazić. Jedyne lekcje, jakie pamiętała, były lekcjami tańca, w Paryżu u Madame Valmeuse, stojącej w smugach światła w swojej zakurzonej czarnej sukni, klaszczącej w dłonie i wykrzykującej bez końca: Un... et deux!... et trois!... et plie!

Craig złapał za skraj jej cienkiej lnianej sukienki i podciągnął ją do góry. Pepper zaczęła jeszcze wścieklej wrywać się i wierzgać, ale on uderzył ją po udach tak mocno, że znieruchomiała i nie mogła przez chwilę złapać tchu. Zadarł jej sukienkę aż do bioder i usłyszała, jak puszczają szwy.

–Sukinsyn! – wyjąkała.

–Jestem sukinsynem? Przecież nie możesz się tego doczekać! To właśnie cię podnieca! To lubią wszystkie kobiety! Dobre solidne lanie, po którym następuje dobre solidne rżnięcie. Tego właśnie chcecie; o tym marzycie. Zapomnij o wszystkich bzdurach, które wypisują w Ladies Home Journal na temat romantycznej miłości.

–Ty pieprzony zboczeńcu!

Uderzył ją bardzo mocno w obnażone pośladki. Pepper krzyknęła głośno i próbowała przekręcić głowę, żeby móc ugryźć go w kolano, w nadgarstek albo gdziekolwiek indziej.

–To za to, że nazwałaś mnie zboczeńcem – powiedział i uderzył ją ponownie; poczuła, jak całe pośladki stają jej w ogniu.

–Puszczaj! – wrzasnęła, zgrzytając zębami i czując, że łzy napływają jej do oczu. – Każę cię za to aresztować! Każę cię zamknąć w więzieniu! Uderzył ją ponownie, a potem jeszcze raz.

–Trzeci raz za to, że się szarpiesz. Czwarty za to, że mi grozisz. Aha... i piąty za to, że nazwałaś mnie sukinsynem. O mało nie zapomniałem.

Za piątym razem krzyknęła z bólu. Za szóstym jednak wydała z siebie tylko ciche westchnienie. Coś się z nią działo; pośladki wciąż ją paliły, ale jednocześnie rozchodziło się w nich dziwne ciepło. Bolało ją i czuła się upokorzona, nagle jednak zdała sobie sprawę, że zarówno upokorzenie, jak i ból zaczynają ją podniecać. Fakt, że ktoś obnażył ją siłą w ten sposób i ukarał wyłącznie dla własnej przyjemności, pobudzał jej najmroczniejsze seksualne instynkty. Nieraz wyobrażała sobie podobne scenariusze, nie sądziła jednak nigdy, że coś takiego spotka ją w rzeczywistości.

–Sukinsyn – powtórzyła, spodziewając się następnego uderzenia.

–Nie masz jeszcze dosyć? – zapytał i chociaż nie widziała jego twarzy, zgadywała, że się uśmiecha.

–Sukinsyn! Sukinsyn! Sukinsyn!

Ale on wcale jej nie bił. Pepper zacisnęła uda i próbowała przytulić się mocniej do jego kolan. Poczuła przyjemne mrowienie między nogami, jednak tym, czego naprawdę pragnęła, były kolejne uderzenia.

–Nie powiesz chyba, że tak bardzo to polubiłaś? – zapytał kpiącym tonem. Przesunął palce po jej zaczerwienionej pupie w dół między pośladkami, docierając prawie do miejsca, gdzie chciała, żeby jej dotknął, ale potem uniósł nagle rękę i puścił jej nadgarstki.

–Proszę bardzo – powiedział. – Wolno ci odejść. Skoro tak bardzo mnie nienawidzisz, skoro uważasz, że jestem sukinsynem i zboczeńcem, nie mam zamiaru zatrzymywać cię tu wbrew twojej woli.

Pepper zsunęła się bez słowa z jego kolan i uklękła na podłodze. Zarumieniona i spocona rozpięła drżącymi rękoma jego pasek. Urwała mu dwa guziki od koszuli, tak bardzo jej się spieszyło. Rozsunęła rozporek Craiga i wyjęła jego penis, który był wielki, twardy, zadarty ku górze i tak nabiegły krwią, że aż brązowy.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, wodząc po nim powoli w górę i w dół opuszkami palców. A potem uniosła ramiona, dała nurka między jego nogi i tam już pozostała, kołysząc

i dzwoniąc swymi kolczykami, podczas gdy Craig siedział rozparty na sofie z wyrazem łagodnej pogardy na twarzy, dotykając co jakiś czas jej włosów albo ramienia.

–Lepiej się pospiesz – mruknął. – Gordon i Nico przychodzą dziś wieczorem na kolację i parę partyjek.

Przyjrzał się swoim paznokciom i ziewnął. Po chwili jednak stężał i zacisnął palce na obiciu sofy. Kiedy ejakulował, złapał Pepper mocno za włosy; na jego twarzy malował się wyraz tak złośliwego triumfu, że lepiej dla niej było, iż nie mogła go zobaczyć.

Piątek, 16 lipca, 19.24

Effie wracała właśnie znad rzeki, kiedy minął ją dodge Normana, hałasując głośno i zostawiając za sobą kłęby dymu.

–Cześć! – zawołał Norman, zatrzymując się i wychylając przez szybę. – Jak się pani czuje?

Effie musiała zasłonić ręką oczy przed zachodzącym słońcem.

–Całkiem dobrze. Stopy prawie się zagoiły. Myślałam, że jesteś razem z Craigiem.

–Craig został w Walhalli, a ja pojechałem kupić trochę materiałów. Gwoździ i takich rzeczy.

–Jedziesz tam z powrotem? Zatrzymaj się, pojedę z tobą. Czas już chyba, żebym zainteresowała się remontem.

Norman zaparkował przed Pig Hill Inn i Effie pobiegła przebrać się w dżinsy i flanelową kraciatą koszulę. Czekając na nią, puścił na pełen regulator Nirvanę, ignorując gniewne spojrzenia przechodniów, którzy musieli wdychać lecące z rury wydechowej kłęby spalin. Kiedy Effie wybiegła z pensjonatu i wskoczyła do środka, wcisnął gaz do dechy i pognął Main Street, zostawiając za sobą chmurę dymu, która nie przyniosłaby wstydu bombie atomowej.

–Moim zdaniem dom będzie się nadawał do zamieszkania jeszcze przed Bożym Narodzeniem – oznajmił. – W środę przychodzą specjaliści od zagrzybienia. Zabezpieczenie przed opadami najbardziej zniszczonych fragmentów dachu nie powinno zająć dekarzom więcej niż miesiąc. Szklarz bierze miarę i sporządza wstępny kosztorys. A w poniedziałek... niech pani zgadnie... w poniedziałek zaczną czyścić loggie i porządkować ogród przy kuchni.

–To, co mnie martwi, nie ma nic wspólnego z remontem – powiedziała Effie.

–Wiem – przyznał Norman. – Mama powiedziała mi, w jaki sposób poraniła pani sobie stopy.

–I co o tym sądzisz?

Norman odgarnął do tyłu włosy i spojrzał na nią zdumiony.

–Co ja o tym sądzę?

–No właśnie. To wszystko jest takie dziwne. Nie masz na ten temat żadnej opinii? Wierzysz w to czy nie wierzysz? Co takiego twoim zdaniem tam się dzieje?

–Nie wiem. Tak naprawdę wcale o tym nie myślałem. Jedyna opinia, o jaką mnie dotychczas pytano, dotyczyła najwyżej tego, w jakiej proporcji mieszać piasek i cement albo co zrobić, żeby nie zacinała się opuszczana w dół okienna rama. Moje pokolenie nie jest chyba tak oderwane od życia jak pani. Rozumie pani... nie szukamy tych samych rzeczy.

–Wiem, że nie wierzysz w duchy... ale wierzysz chyba w psychiczne wibracje, prawda? A te budynki, o których opowiadałeś... które podobno same się odbudowują...

Norman wzruszył ramionami.

–Jestem otwarty na wszystko. Jeśli coś się dzieje... jeśli widzę to na własne oczy... w takim razie czemu nie? Mnóstwo ludzi oglądało przecież najróżniejsze dziwne rzeczy i oczywiste jest, że nie mogą wszyscy kłamać. Weźmy choćby starego

Henry'ego Sneidera i jego Magiczną Stodołę. Stoi tam, widziałem ją i wierzę w to. Niech pani nie zapomina, że całe dzieciństwo spędziłem w atmosferze okultyzmu, uprawianego przez moją matkę, i wydaje mi się, że traktuję to jako coś oczywistego. Większość tych rzeczy to szarlataneria, na przykład te wymyślane przez nią magiczne recepty. Bardzo dobre na zatwardzenie, ale na tym koniec. Mój kumpel Marty nazywa ją Królową Środków na Przeczyszczenie Okręgu Putnam. A co do wibracji psychicznych... naprawdę nie mam pojęcia. Wiem, że mama wyczuwa w Walhalli coś złego, ale jeśli mam być szczery, nigdy nic tam nie widziałem ani nie czułem i czasami zastanawiam się, w jakim stopniu wpływa na to sam dom, a w jakim to, co dzieje się u kogoś w głowie.

–Co próbujesz przez to powiedzieć? Uważasz, że twoja matka mogła wymyślić sobie te psychiczne wibracje?

–Kto wie? Całkiem możliwe.

–Ale ja też je widziałam. Słyszałam. I spójrz, co się stało z moimi stopami.

Norman skręcił w wąską drogę, która prowadziła do Walhalli.

–Nie chcę, żeby mnie pani źle zrozumiała, pani Bellman. Naprawdę nie wiem.

–Myślisz, że wymyśliłam sobie te rany na stopach? O mało nie straciłam dużego palca.

–Sam nie wiem. Słyszałem o samoistnym krwawieniu i podobnych rzeczach.

Ludzie ślepną, i nikt nie potrafi powiedzieć dlaczego. Ale niech mnie pani nie pyta, czy coś złego dzieje się w Walhalli. Naprawdę nie potrafię na to odpowiedzieć. I nie sądzę, żeby musiała się pani zbytnio przejmować. Kiedy naprawimy dachy i wytniemy to całe próchno, na pewno polubi pani ten dom. A kiedy przywrócimy mu dawną świetność... mówię pani, to będzie wspaniała rezydencja.

Jechali pod górę, w mrocznym cieniu drzew. Effie nie odzywała się ani słowem.

Wyglądało na to, że Normana tak bardzo ekscytowała perspektywa odbudowy Walhalli, że gotów był uznać wszelkie obawy swojej matki za przejaw zwykłej hysterii. Jeszcze niedawno zażarcie jej bronił, twierdząc, że „ma prawo wyrażać swoje opinie” i że „ludzie, którzy nie wyczuwają wibracji psychicznych, cierpią na umysłową gangrenę”, teraz jednak najwyraźniej zmienił zdanie.

Effie nie widziała w nim swojego sojusznika – od pierwszej chwili, kiedy się spotkali, wiedziała, jak bardzo marzy o odbudowie Walhalli, a Craig dał mu po prostu szansę zrealizowania tych marzeń – jeszcze do niedawna czuła jednak, że jest bardzo wrażliwy i sympatyczny i może na nim polegać.

Teraz nie była już tego taka pewna. Powoli zaczęła skłaniać się ku przekonaniu, że Walhalla nie jest niczym więcej jak zaklętym w cegły, dachówki i witraże symbolem męskiej próżności i męskiej agresji; że każdy mężczyzna, który się do niej zbliży, nie może oprzeć się poczuciu moralnej wyższości, jaką ten budynek daje mu przez sam fakt swego istnienia. Bardzo duży dom dla bardzo dużego mężczyzny.

–Twoja mama chce oczyścić dla mnie Walhallę – powiedziała, kiedy mijali Red Oaks Inn.

–Ludzie zamawiali już uniej tego rodzaju usługi. W zeszłym roku oczyściła dom w Peekskill. Właściciele mówili, że w hallu ukazywały się przezroczyście twarze.

–Myślisz, że potrafi to robić? To znaczy, że to w ogóle możliwe?

–Oczyścić jakiś dom? Chyba tak. Pod warunkiem, że można tam oczyścić coś oprócz brudnych podłóg.

–Nagle zrobiłeś się taki sceptyczny...

Norman zmienił bieg na niższy, żeby pokonać ostatnie wzniesienie.

–Niech pani posłucha, pani Bellman. Nie mam stałej roboty. Walhalla była moją pasją od samego dzieciństwa. Teraz mam szansę w niej pracować. Przywrócić jej dawną chwałę.

–Mam wrażenie, że nigdy nie cieszyła się chwałą.

–Zależy, co przez to rozumiemy.

Minęli bramy Walhalli i podskakując na wybojach ruszyli zataczającą łagodny łuk aleją dojazdową. Nad dachami wylaniającego się zza drzew domu płonęło zachodzące słońce.

–Zobacz, to pick-up twojej mamy – powiedziała Effie. – Nie powiesz chyba, że zabrała się już do dzieła.

–Nic mi nie mówiła.

Norman zaparkował swojego dodge'a tuż za poobijanym niebieskim chevroletem Pepper, którego boki ozdabiały odklejające się księżyce z kalkomanii. Wysiedli z samochodu i Effie po raz pierwszy usłyszała ciche zawodzenie sunącego po dachach wiatru. Przeszedł ją dreszcz, mimo że wcale nie było zimno.

Wspięli się po schodach. Drzwi były zamknięte, ale kiedy Norman przekręcił klamkę, otworzyły się – jak zawsze zupełnie bezszelestnie. Idealnie dopasowane drzwi osadzone na idealnie wyważonych zawiasach. W środku unosił się ten sam zapach. Dziwna woń kamfory, mentolu i anyżu. Ostra, ale jednocześnie nieświeża – tak jakby otworzyło się grób Tutenchamona i zobaczyło w środku wyschniętą obandażowaną mumię.

Przeszli przez hali wejściowy. Padające przez rozbite okna światło zaczynało przygasać i z jakiegoś powodu Effie poczuła nagle, że powinni się spieszyć – powinni załatwić to, co ich tu sprowadziło, przed zapadnięciem zmroku. A potem pomyślała: Dracula. To wspomnienie Draculi. Trzeba wszystko skończyć, zanim słońce schowa się za horyzontem.

Spojrzała na galerię na górze, na godło z jego heraldycznymi symbolami. Szpula, kości, smok i czaszka. Cztery ćwiartki symbolizujące życie Jacka Beliasa. I jego legenda, Non omnis moriar – „Nie całkiem umrę”.

Niebo za oknami robiło się coraz ciemniejsze i Effie poczuła, że nie może opanować lęku, mimo że bez przerwy powtarzała sobie, że wszystko jest w porządku, wszystko jest pod kontrolą. Towarzyszył jej przecież Norman; była tu także Pepper. Uświadomiła sobie, że przed „wypadkiem” dodawałaby jej otuchy również obecność Craiga.

–Hej! – zawołał Norman. – Czy ktoś jest w domu? Nie doczekali się odpowiedzi.

–Hej tam! To my! – zawołał ponownie. – Czy ktoś jest w domu? Jeśli nie, to dlaczego? Proszę tu przyjść i się wytłumaczyć!

Effie nie mogła powstrzymać śmiechu.

–Daj spokój, Norman. Jeśli nikogo tu nie ma, jak ktoś może przyjść i się wytłumaczyć?

Norman nasłuchiwał, kręcąc się dookoła.

–Ćśśś – szepnął w końcu. – Coś słyszę.

Oboje nadstawili uszu. Nic. Tylko wiatr wzdychający w połamanych framugach. Tylko szybki ukradkowy chrobot szczurzych pazurów.

–Nie mogę się doczekać, żeby pozbyć się tych szczurów – stwierdził marszcząc nos Norman. – Razem z panem Bellmanem zajrzeliśmy kilka dni temu do piwnicy i aż się tam od nich mrotłowało. Dosłownie mrotłowało.

–Mrotłowało? – zdziwiła się Effie.

–Zgadza się. To znaczy, że mrowiły się, wiły i kotłowały, wszystko jednocześnie. Jezu, powinna pani je zobaczyć.

–Może lepiej nie. I dziękuję, że powiedziałaś mi o tym, zanim zgodziłam się spędzić tutaj noc...

–Przepraszam. Ale to są piwniczne szczury, pani Bellman. Żyją tylko w ciemności. Nie odważyłyby się wejść na górę.

–Akurat ci wierzę.

Przeszli całą drogę do sali balowej i otworzyli drzwi, jednak tam również nikogo nie było. Stojąc w progu i wahając się, czy wejść do środka, Effie widziała, jak za brudnymi szybami gaśnie światło dnia. Usiłowała nie myśleć o walcu Straussa i o wbijających się w jej stopy potłuczonych kieliszkach do szampana.

–Hej! – zawołał Norman.

Przez chwilę nasłuchiwali, nie było jednak żadnej odpowiedzi.

–Muszą być na górze.

Wrócili do sieni i zaczęli wchodzić schodami z lewej strony na galerię pierwszego piętra.

–Ten dom mnie kiedyś zabije – stwierdził Norman. – Wystarczy, że człowiek zostawi śrubokręt na trzecim piętrze, i musi zasuwać z powrotem jakieś trzydzieści pięć mil.

–Gdzie się twoim zdaniem podzieli? – zapytała Effie. –

Mam nadzieję, że się nie pokłócili. Twoja matka prosiła mnie, żebym w ogóle nie mówiła Craigowi, że ma tu przyjechać.

–Natknęli się pewnie na siebie i oboje przestraszyli się na śmierć. Effie roześmiała się.

–Wcale by mnie to nie zdziwiło – powiedziała.

Weszli na galerię. Drzwi do przedpokoju były lekko uchylone i kiedy się do nich zbliżyli, Effie usłyszała wołanie Pepper. Nie rozumiała dokładnie, o co jej chodzi, ale ton głosu sugerował, że dzieje się jej jakaś krzywda. A potem usłyszała Craiga, który krzyknął coś w odpowiedzi. Odwróciła się zdezorientowana do Normana.

Chciała otworzyć drzwi, kiedy nagle dobiegł ją wyraźny głos Craiga.

–Dziwka! – powiedział i słysząc to odsunęła rękę od klamki, jakby bała się, że się oparzy.

–Co się dzieje? – zapytał Norman.

Effie przełknęła ślinę. Craig mówił na nią „dziwka” tylko wtedy, gdy się kochali. Poza tym nigdy tak jej nie nazwał, nawet kiedy dochodziło między nimi do najdzikszych awantur.

Pepper krzyknęła ponownie i tym razem – nagłym wyrzutem rąk, który przypominał bardziej nerwowy spazm niż przemyślane działanie – Effie otworzyła drzwi na oścież.

Z początku nie mogła zrozumieć, na co patrzy. Przedpokój pogrążony był w półmroku i przez mrozący krew w żyłach ułamek sekundy wydało jej się, że to, co wije się pośrodku podłogi, jest gipsowym potworem z podestu. Ale potem potwór poruszył się i rozpadł na dwie części i Effie zobaczyła leżącą na plecach Pepper, w podciągniętej aż pod szyję cienkiej Inianej sukience, ze sterczącymi wysoko bosymi stopami i rozchyłonymi szeroko udami, i ubranego tylko w czarny golf Craiga, który klęczał między nimi niczym kapłan jakiegoś bluźnierczego rytuału.

Effie zupełnie osłupiała. Norman zajrzał do środka i odwrócił ze wstydem głowę. –Dziwka! – syknął Craig, wchodząc jeszcze głębiej w Pepper. Jego nagie pośladki zacisnęły się jak dwie pięści.

I wtedy właśnie, przywierając do niego bliżej, Pepper obejrzała się przez ramię i zobaczyła stojącą w progu Effie. Na jej twarzy odmalował się niezwykle wyraz – nie wstrząsu czy zaskoczenia, jak można by się tego spodziewać – ale całkowitej konsternacji, tak jakby nie miała pojęcia, kim jest Effie ani dlaczego stoi tam i się jej przygląda. Taki wyraz pojawia się na twarzy człowieka, kiedy widzi idącego zatłoczoną ulicą starego znajomego wiedząc, że ten umarł przed wielu laty.

Norman próbował złapać Effie za ramię, lecz ona dała krok do tyłu.

–Proszę, zabierz mnie z powrotem do pensjonatu, Norman. Proszę cię, odwieź mnie natychmiast.

Minęła podest i puściła się biegiem po schodach. Nie chciała tego oglądać, nie chciała o tym myśleć, a przede wszystkim nie chciała słuchać żadnych wyjaśnień. Pchnęła frontowe drzwi i wybiegła na dwór. Zapadała miękka nieruchoma ciemność; niebo wokół Walhalli usiane było nietoperzami.

–Effie! – To był głos Pepper. – Zaczekaj, Effie!

Effie zbiegła po stopniach i potykając się po żwirze ruszyła w stronę samochodu Normana. Miała wrażenie, jakby przez ostatnie dziesięć minut przyciskała czoło do bloku lodu – było zdrętwiałe, zimne i obolałe. Żałowała, że nie przyjechała tu własnym samochodem: mogłaby uciec stąd jeszcze szybciej i nigdy, ale to nigdy nie wracać.

Z domu wyszedł Norman, a zaraz za nim wybiegła Pepper. Była blada jak śmierć, tylko na policzkach widniały dwie szkarłatne plamy. W rozwianej białej sukience wyglądała, jakby grała Lady Macbeth. Zbiegła po schodach, wyprzedziła Normana i złapała Effie za rękaw.

–Ja nie zdawałam sobie sprawy z tego, co robię! Posłuchaj mnie, Effie, to nie byłam w ogóle ja.

–Proszę cię, Norman – powiedziała Effie, całkowicie ją ignorując. – Czy możemy stąd natychmiast odjechać?

Norman otworzył drzwi z jej strony i Effie wsiadła do środka. Pepper złapała za

drzwi, nie pozwalając ich zamknąć.

–Musisz mi uwierzyć, Effie! To były psychiczne wibracje, najgorsze, jakie znam!
Effie posłała jej chłodne spojrzenie.

–Z miejsca, w którym stałam, wyglądało to na coś więcej niż psychiczne wibracje.

A teraz pozwolisz, że zamknę drzwi.

–Effie! To nie byłam ja.

–W takim razie muszę mieć gorszy wzrok, niż mi się wydaje.

–To nie byłam ja, tak samo jak ty nie byłeś tą kobietą, która tańczyła w sali balowej.

–To ja pokaleczyłam sobie stopy w sali balowej. Ale przynajmniej nie pieprzyłam się z cudzym mężem. Co się z tobą stało? Norman, proszę cię. Mam tego dosyć.

Norman uruchomił z ogłuszającym rykiem silnik dodge'a.

–To nie byłam ja! – zawołała przekrzykując hałas Pepper. – I to nie był Craig!

Effie zdjęła palce Pepper z drzwi, po czym zatrzasnęła je i wcisnęła blokadę.

Norman posłał zrezygnowane spojrzenie swojej matce. Nie było sensu stać tu dłużej przed domem i wdawać się w długie dyskusje. Pepper i Craig złapani zostali na gorącym uczynku i nie mogły tego zmienić żadne operowe zagrania.

Strzelając z rury wydechowej, ruszyli w stronę bramy. Norman zapalił przednie światła, oślepiając kilka królików, które zatrzymały się w biegu. Effie siedziała, pocierając machinalnie lewe ramię, zbyt wstrząśnięta, żeby płakać. Nie widziała królików. Widziała tylko białe stopy Pepper, biel jej ud i czarną sylwetkę klęczącego między nimi Craiga.

–Wiedziałeś o tym? – zapytała Normana, kiedy mijali bramę.

Norman potrząsnął głową.

–Sam nie wiem, co mam powiedzieć. Zupełnie zgłupiałem.

–Mówisz prawdę? Naprawdę nic nie wiedziałeś?

–Jak Boga kocham, pani Bellman. Nie miałem najmniejszego pojęcia. Mama ma wielu przyjaciół. Lubi nazywać ich swoimi „narzeczonymi”. Parę razy miała już kłopoty z żonatymi facetami. Ale nic nie wiedziałem o niej i o panu Bellmanie, absolutnie. Gdybym wiedział, na pewno bym ją ostrzegł. Nie wolno mieszać biznesu z seksem. To wszystko popsuło.

–Żebyś wiedział, że popsuło. Jutro z samego rana spotkam się z Walterem van Burenem, żeby zablokować sprzedaż.

–Cholera jasna – jęknął cicho Norman.

Effie milczała. Nie było nic więcej do powiedzenia. Zaraz po powrocie do Pig Hill Inn zadzwoni do swojego adwokata, a potem do matki. Najpierw jednak zamówi dużą wódkę z tonikiem i lodem i zamknie na łańcuch drzwi sypialni.

Piątek, 16 lipca, 22.10

Siedziała przy kominku, kończąc drugiego drinka i obserwując dopalające się polana, kiedy drzwi otworzyły się nagle – i natychmiast zablokował je łańcuch.

–Niech to wszyscy diabli, Effie – usłyszała głos Craiga. Szarpnął kilka razy drzwiami w tę i z powrotem, a potem przestał.

–Effie! Słyszysz mnie, Effie? Muszę z tobą porozmawiać.

–Odejdź, Craig. Nie chcę nawet patrzeć na ciebie.

–Muszę z tobą porozmawiać, Effie.

–Cokolwiek masz do powiedzenia, nie chcę tego słuchać.

–Ale ja mogę ci wszystko wyjaśnić!

Pociągnęła łyk koktajlu. Był teraz tak rozwodniony, że ledwie wyczuwała w nim smak wódki.

–Wiem. Poślizgnąłeś się na wykładzinie i całkiem przypadkowo upadłeś na panią Moriarty, która całkiem przypadkowo leżała dokładnie przed tobą z rozłożonymi nogami.

–Effie... Pepper powie ci to samo. Ci ludzie, których widziałaś, ci ludzie, którzy się kochali, to wcale nie byliśmy my.

–Domyślam się, że wynajęłaś sobowtórów?

–Effie, to naprawdę nie byliśmy my! Nie w sensie, w jakim ty jesteś „Effie”, a ja jestem „Craigiem”. Pepper miała rację co do Walhalli, tam rzeczywiście mają miejsce wibracje psychiczne. Zachodzą tam najróżniejsze zdarzenia, wszystkie jednocześnie. Żyją tam najróżniejsi ludzie, wszyscy jednocześnie.

–I popełniane są najróżniejsze kłamstwa, wszystkie jednocześnie. Nie chcę tego dłużej słuchać, Craig. Naprawdę nie chcę. Nie wiem, czy w ogóle wierzyłam Pepper, kiedy opowiadała o żywotach równoległych i koincydencji. Wydaje mi się, że jedynym zbiegiem okoliczności, jaki ją interesował, było jej ciało zbiegające się z twoim. Daj spokój, Craig, to najbardziej niedorzeczne wytłumaczenie zdrady małżeńskiej, jakie ktoś kiedykolwiek wymyślił.

–Więc nie wierzysz mi, tak? I nie uwierzysz?

–Zgadłeś. Nie wierzę i nie uwierzę. I powiem ci, czego jeszcze nie zrobię: nie zgodzę się, żebyś kupił Walhallę. To miejsce przyniosło nam same nieszczęścia, odkąd tylko przekroczyliśmy jego próg.

–Nie możesz powstrzymać mnie przed kupnem Walhalli. W gruncie rzeczy już ją kupiłem. Dziś rano, zanim tam pojechałem, wręczyłem Walterowi van Burenowi nasz czek bankierski. W poniedziałek odbieram tytuł własności.

Effie wstała i podeszła do drzwi.

–Dałeś mu czek bankierski? Co najmniej jedna czwarta tych pieniędzy należy do mnie!

–To wspólne konto, kochanie, może nim dysponować każdy ze współmałżonków. Poza tym odniosłem wrażenie, że ostatnio miałaś całkiem przychylny stosunek do tej transakcji.

–To było, zanim złapałam ciebie i tę hipiskę pieprzących się na podłodze!

–Kochanie, ile razy mam ci powtarzać, że to nie byliśmy my?

–Nie wy? Myślisz, że mam nie po kolei w głowie? Stoisz przed perspektywą rozwodu, mój panie. Nie lódź się nawet, że może być inaczej. Zapłacisz mi za wszystko, a jeśli udało ci się już kupić Walhallę, zapłacisz mi i za to. Wtedy zobaczymy, czy to byłeś ty, czy ktoś inny.

Craig oparł się o uchylone na jeden cal drzwi. Effie czuła zalatujący od niego zapach alkoholu.

–To poważna sprawa, Effie. Naprawdę poważna. To, co zdarzyło się dzisiaj po południu, jest czymś niezwykłym.

–Nie wątpię. Jak ci z nią było? Czy potrafi lepiej ode mnie zaciskać mięśnie pochwy? Zauważyłam, że robi więcej hałasu.

–Effie... wydaje mi się, że byłem Jackiem Beliasem. Zamiast odpowiedzieć, zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem.

–Spotkałem Pepper w sali balowej – wybełkotał. – Odprawiała jakieś rytuały... no wiesz, próbując zlikwidować te wszystkie zakłócenia. Z początku byłem sobą, ale potem już nie. Nie wiem, co się ze mną stało. Zmienił się dom, zmieniła się Pepper. Ja też się zmieniłem. Byłem żonaty, wiedziałem, że jestem żonaty, ale wcale nie z tobą. Czuję w sobie moc, Effie. Wróciła mi cała pewność siebie. To, czego pozbawili mnie ci ludzie... ten taksówkarz, ci gangsterzy... wszystko to odzyskałem. Byłem pełen energii, pełen... sam nie wiem, czego. Wiesz, co opowiadają o tych czarnych dziurach, tych zapadających się gwiazdach, które mają tak wielką grawitację, że nie potrafi przed nią umknąć nawet światło. Wsysają wszystko, co pojawi się wokół nich: chmury gazu, meteory, całe planety. Tak właśnie się czułem. I wessałem w to Gaby.

–Gaby? – zapytała ostro Effie.

–Nie powiedziałem „Gaby”. Powiedziałem „Pepper”.

–Powiedziałeś wyraźnie „Gaby”.

–Na litość boską, Effie, Gaby, Pepper, co za różnica. Nie byłem sobą. Nie wiedziałem o niczym, dopóki Pepper nie podniosła się z podłogi. „Była tu Effie – powiedziała – widziała nas”. Dopiero wtedy z powrotem stałem się sobą.

Effie wypła do końca koktajl.

–Wtedy z powrotem stałeś się sobą – powtórzyła, przedrzeźniając go. – Wydaje ci się chyba, że jestem opóźniona w rozwoju.

–Przysięgam, Effie. To prawda. Naprawdę wierzyłem, że jestem Jackiem Beliasem.

–Chcesz powiedzieć, że ta twoja hipiska wymyśliła jakąś bzdurną historyjkę o psychicznych zakłóceniach, żeby wyciągnąć cię z opresji? Posłuchaj mnie, Craig, jutro spotykam się z moim adwokatem i to wszystko, co mam ci do powiedzenia, oprócz tego, że powinieneś poszukać sobie jakiegoś innego lokum. Na pewno znajdzie się dla ciebie łóżko w Hungry Moon.

–Effie! – ryknął niespodziewanie Craig. – To prawda, Effie! Byłem Jackiem Beliasem! Jestem Jackiem Beliasem!

Zapadła cisza, którą przerywało tylko jego ciężkie sapanie.

Przez dłuższą chwilę Effie stała zupełnie bez ruchu. Powinna domyślić się już wcześniej, że popełnia błąd, poddając się obsesji, która ogarnęła Craiga na punkcie Walhalli. Nie wrócił do zdrowia po swoim „wypadku”. Nie został wcale wyleczony. Był

wciąż tak słaby, że czepiał się wszystkiego, co mogło mu przywrócić jego jurność, bez względu na to, czy był to „wielki dom dla wielkiego mężczyzny”, czy ładna, pozbawiona zahamowań kobieta, która wierzyła w zaklęcia, magię luster i czary-mary. Przypomniała sobie noc, którą spędzili razem w Walhalli. Może Pepper ukryła się w którejś z sypialni na górze, a Craig wstał w środku nocy i poszedł się z nią kochać? Pepper wiedziała w końcu, gdzie jada.

I było całkiem możliwe, że kiedy Craig do niej zadzwonił, umyślnie potraktowała go agresywnie, żeby ukryć fakt, że są kochankami.

Effie czuła się głęboko zraniona, chociaż spodziewała się tego kryzysu, wcześniej czy później. Czuła niemal ulgę, że Craig dał jej pretekst, by mogła odwrócić się do niego plecami. Do niego i do Walhalli.

–Zadzwoń do ciebie – powiedziała, opierając się o drzwi, żeby je zamknąć. – Najpierw porozmawiam z moim adwokatem, a potem do ciebie zadzwonię.

–Wysłuchaj mnie, proszę. Byłem Jackiem Beliasem. Jestem Jackiem Beliasem. Potrafię to udowodnić.

–Odejdź, Craig.

–Effie, on siedzi w mojej głowie, tak samo jak ja. Nie mogę na to nic poradzić!

–Craig, jeśli nie odejdiesz, poproszę panią O'Brien, żeby wezwała policję.

–Chcesz, żebym ci powiedział, jak oszukiwać w bakarata? Czy wiedziałem o tym wcześniej? Chcesz, żebym opowiedział ci wszystko o podwójnej zbiórce i tasowaniu mostkiem? Naprawdę myślisz, że wiedziałbym cokolwiek na temat bakarata, gdybym nie był Jackiem Beliasem?

–Odejdź, Craig. Nie chcę z tobą rozmawiać. Wszystko skończone.

–Czego jeszcze chcesz, na litość boską? Chcesz, żebym opowiedział ci o tej nocy, kiedy wygrałem sześćdziesiąt tysięcy funtów od Nico Zographosa i Syndykatu Greckiego? Posłuchaj... posłuchaj... siedziałem przy drugim stoliku w Deauville i wygraliśmy już dwadzieścia sześć z dwudziestu dziewięciu rozdań. Ja sam wygrałem dwanaście. Poszedłem się czegoś napić, ale Nico Zographos chciał, żebym zasiadł z powrotem do stolika i dał mu szansę się odegrać. Wróciłem i wygrałem szybko sześć kolejnych rozdań, jedno po drugim. Wygrałem tyle forsy, że Zographos zapytał, czy nie chcę wejść do syndykatu.

–Craig...

–Mam ci opowiedzieć, jak zrujnowałem Berta Ambrose'a w Kasynie Zimowym w Monte Carlo? To było w październiku tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego. Mogę ci powiedzieć, jaka była każda odwrócona karta, rozdanie po rozdaniu.

–Craig, to szaleństwo. Chcę porozmawiać z moim adwokatem. Chcę się zastanowić.

–Jesteś mi potrzebna, Effie.

–Bo co? Bo zabrakło ci ludzi, z których mógłbyś się wyśmiewać?

–Mówię serio, Effie. Zrobię wszystko, co zechcesz.

Effie nie była w stanie się odezwać. Pomyślała o wszystkich tych szczęśliwych chwilach, które spędzili razem od momentu, kiedy zacytował Mallarmego, do długich słonecznych wakacji na Key West i Hilton Head Island. Pomyślała o hamburgerach u

P. J. Clarke'a i o spacerach po parku. A potem pomyślała o tych nie kończących się lunchach i kolacjach z Koreańczykami i Japończykami. „Dzień dobry, jestem żoną Craiga Bellmana, jak się pani miewa?”

Zamknęła drzwi i przekręciła dwa razy klucz. Craig nie zawołał już ani nie zapukał. Stojąc przy samych drzwiach słyszała, jak odchodzi w głąb korytarza.

Sobota, 17lipca, 10.21

W drodze do biura Waltera van Burena musiała minąć Hungry Moon.

–Zaczekaj, Effie – zawołała na jej widok Pepper, wybiegając ze sklepu. Ubrana była na czarno, a pod oczyma miała ciemne worki, tak jakby przez całą noc nie zmrużyła oka.

Effie wcale nie zwolniła i Pepper musiała prawie biec, żeby dotrzymać jej kroku.

–Czy mogłabyś chwilę poczekać? Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała.

–Cokolwiek masz mi do powiedzenia, nie chcę nic o tym wiedzieć.

–Posłuchaj... to, co zdarzyło się wczoraj wieczorem... to był prawdziwy koszmar.

–Nigdy nie sądziłam, że Craig jest aż taki zły w łóżku. Effie przeszła na drugą stronę ulicy, ale Pepper nie dawała za wygraną.

–Kiedy Craig powiedział, że to nie my, mówił prawdę. To nie byliśmy my. I to nie działo się także wczoraj wieczorem. To działo się zupełnie kiedy indziej.

–Co ty powiesz – mruknęła Effie, zatrzymując się przy Country Goose. – Uważasz mnie chyba za bardzo naiwną.

–Nie uważam wcale, że jesteś naiwna. Uważam, że jesteś dość inteligentna, żeby zrozumieć, co próbuję ci powiedzieć, i żeby w to uwierzyć.

–Wiem tylko tyle, pani Moriarty, że widziałam na własne oczy, jak leżała pani na plecach z zadartymi w górę nogami, i widziałam na pani swojego męża.

–Nieprawda. Osoba, którą widziałas, to była Gaby... tancerka Gaby Deslys. Była kochanką Jacka Beliasa.

–To ciekawe – odparła Effie. – Powiedz, ile zajęło wam obojgu wymyślenie tej historyjki.

–Bóg mi świadkiem, że to prawda. Ty przecież też tańczyłaś w innym czasie i pokaleczyłaś stopy.

–Norman mówi, że to było samoistne krwawienie.

–Norman to budowlaniec, nie jest obdarzony psychiczną wrażliwością.

Effie ruszyła dalej chodnikiem.

–Przykro mi, Pepper, ale rozmawiałam wczoraj wieczorem ze swoim adwokatem, który podejmuje w tej chwili kroki, aby zamrozić nasze wspólne aktywa i ustalić wkład finansowy, jaki wniosłam w nasze małżeństwo.

–Daj spokój! Nie myślisz chyba o rozwodzie?

–Jeszcze nie wiem. Po prostu chcę się zabezpieczyć.

–Musisz mi uwierzyć, Effie, proszę. Mnie i Craiga absolutnie nic nie łączy. Aż do wczoraj wieczorem zwracałam się do niego „panie Bellman”.

–Jesteście przynajmniej grzeczni.

–To nie był żaden romans i to nie byliśmy my. W Walhalli dzieje się coś, czego nawet ja nie rozumiem.

–To się nazywa skok w bok. Teraz rozumiesz?

–Effie, błagam cię. Walhalla była zawsze bardzo niespokojnym miejscem... zawsze wyczuwałam tam jakiś brak równowagi. Ale obecność Craiga wszystko to niesamowicie spotęgowała. Wczoraj wieczorem, kiedy weszliśmy do tego przedpokoju, gdzie nas znalazłaś, cały był kompletnie odnowiony, kompletnie

umeblowany, z lustrami w połączonych ramach, draperiami, dosłownie wszystkim. Wyglądał jak nowy. To znaczy byłam przekonana, że jest nowy. Effie... mamy tu do czynienia z psychicznymi zakłóceniami o niewiarygodnej sile. Doświadczałam tam przedtem wrażeń słuchowych, czułam wyraźne zapachy i wydawało mi się, że ktoś jest razem ze mną. Doświadczałam nawet uczuć, które nie miały nic wspólnego z tym, czego naprawdę doznawałam... na przykład okropnego smutku, tak jakbym siedziała sama w sypialni i niańczyła umierające dziecko. Ale ten przedpokój widziałam na własne oczy. Doświadczyłam go. Czułam. I zachowywałam się zupełnie jak Gaby Deslys, nie jak ja sama.

Effie posłała Pepper uważne spojrzenie. Na jej twarzy malowały się powaga i smutek. Zimny wiatr znad rzeki zaszumiał w gałęziach stojącej obok nich limony i cienie liści przesunęły się po jej policzkach.

–Nie wiem – powiedziała w końcu. – Przyznasz chyba, że cholernie trudno w to wszystko uwierzyć.

–Tańczyłaś w tej sali, Effie. Widziałaś ludzi, których tam nie było, pokaleczyłaś sobie nogi na szkło, które nie istniało. A jednak musiało istnieć, w jakimś innym czasie. Świadczą o tym blizny na twoich stopach.

–A jak ty potrafisz udowodnić, że byłaś Gaby Deslys?

–Przez sam fakt, że znam jej nazwisko i wiem o niej prawie wszystko. Wiem, gdzie się urodziła. Wiem, jak wyglądała jej matka. Wiem, że spowodowała w Portugalii zamieszki, które doprowadziły do abdykacji króla Manoela, rozpuszczając pogłoski, że ofiarował jej trzy fantastyczne naszyjniki z pereł, mimo że wcale tego nie zrobił. Wiem coś więcej: że dała sobie wytatuować na piersiach róże tylko po to, żeby sprawić przyjemność Jackowi Beliasowi.

Mówiąc to, rozpięła bluzkę i obnażyła piersi, tam gdzie stała, na ulicy. Kilku przechodniów zatrzymało się i wlepilo w nią oczy, a jakiś starszy pan o mało nie wpadł na drzewo.

–Pepper... nie tutaj -jęknęła Effie.

–Chcesz dowodu? Masz tu dowód – odparła Pepper.

Na jej obu piersiach Effie zobaczyła bardzo niewyraźne różowe smugi. Były tak słabe, że prawie niewidoczne, a jednak widziała ponad wszelką wątpliwość, że układają się w kształt róż.

–Tak, widzę – powiedziała kiwając głową i Pepper zapięła bluzkę.

–Te psychiczne zakłócenia są tak silne, że wywołują zmiany fizyczne. Spójrz na mnie! Mam nie tylko wspomnienia Gaby Deslys, ale również jej tatuaże. Co ze mną dalej będzie? Wcale nie chcę być Gaby Deslys! Chcę być sobą! Gaby Deslys żyła w latach dwudziestych, a ja nie chcę żyć w latach dwudziestych.

–Craig wciąż powtarza, że jest Jackiem Beliasem.

–Wiem, jak się czuje. Jestem pewna, że przez krótką chwilę był Jackiem Beliasem. I jednocześnie sobą. Ale przysięgam ci, Effie, że kiedy uprawialiśmy wczoraj wieczorem seks, ja nie byłam sobą i on też nie był sobą. Robiłam z nim rzeczy, których nie robiłam dotąd z żadnym innym mężczyzną, rzeczy, których nie chcę robić nigdy więcej.

–Nie chcę tego słuchać – przerwała jej Effie.

–Ale musisz. I musisz mi uwierzyć. Jeśli Walhalla nie zostanie

oczyszczona, Craig będzie się coraz bardziej upodabniał do Jacka Beliasa, aż w końcu stanie się Jackiem Beliasem, nie tylko umysłowo, ale i fizycznie. Jack Belias miał bardzo silną osobowość, bardzo dominującą... Craig jest od niego o wiele słabszy. Gaby Deslys była najwyraźniej silniejsza ode mnie i dlatego właśnie to ja mam na piersiach jej tatuaże, a nie ona biust mojego rozmiaru. Jak już mówiłam, te zakłócenia wywołują u ludzi konkretne zmiany fizyczne.

Effie przypomniła sobie nagle, jak bardzo podczas ostatnich dwu tygodni zmieniła się skóra i karnacja Craiga. Przypomniła sobie także o wrażeniu, jakie odniosła, kiedy się ostatnio kochali: że zamiast jednego ma dwa jądra.

A potem przyszło jej na myśl coś innego. Jego odciski palców. Jeśli mógł mieć skórę tak samo gładką jak Jack Belias i ciemniejsze włosy, dlaczego nie miałyby się również zmienić jego linie papilarne?

Sobota, 17lipca, 11.03

Walter van Buren ubrany był w swój sobotni poranny kostium: sportową marynarkę i golf, oba w tym samym odcieniu beżu co ubranie, które nosił w dzień powszedni. Effie nie mogła się oprzeć przekonaniu, że jeśli zaczną produkować beżowe samochody, Walter van Buren będzie pierwszy w kolejce. Kiedy weszła do gabinetu, nabijał swoją fajkę, przygryzając w skupieniu czubek języka.

–A... pani Bellman. Dobrze, że panią widzę.

–Dostał pan moją wiadomość?

–Oczywiście, i muszę powiedzieć, że bardzo mnie zmartwiła. Właściwie sprzedaż została już sfinalizowana. Wszystkie umowy są podpisane, a sprzedający otrzymali wasz czek bankierski. Nie wiem, co się stanie, kiedy Fulloni i Jahn odkryją, że konta państwa zostały zamrożone. Prawdopodobnie wytoczą państwu proces. Z pewnością podadzą was do sądu.

–Wydaje mi się, że chyba zmieniłam zdanie – powiedziała Effie. – Mój mąż i ja... doszło między nami wczoraj do małego nieporozumienia. Nie rozmawiałam z nim dzisiaj, ale sądzę, że powinniśmy znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

–Sprawiła mi pani wielką ulgę, pani Bellman. Jeśli nie liczyć walki zbrojnej, kupowanie domu jest podobno najbardziej stresującym działaniem, jakie podejmują ludzie.

–Wydaje mi się, że walka zbrojna nawet nie umywa się do tej transakcji.

–Tak, ma pani chyba rację. Ale powinna pani spróbować metody Feldenkreisa... to znakomity sposób na pozbycie się stresu. Musi pani wyobrazić sobie tylko, że pani siedzenie jest zegarem.

–Słucham?

–Musi pani nim obracać, rozumie pani. Swoim siedzeniem. To bardzo relaksujące.

–Omówię całą sytuację z mężem – powiedziała zbита z tropu Effie. – A potem porozmawiam ponownie z moim adwokatem i wrócę do pana.

–Cieszę się, że udało się pani znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Walhalla potrzebuje kogoś pokroju pani męża, kogoś, kto mógłby ją odrestaurować. – Walter van Buren odchylił się do tyłu na krześle i jego oczy zasnuły się mgiełką. – Kogoś, kto ma w sobie pasję. Byłoby szkoda, gdyby ten dom nadal obracał się w ruinę.

–Ma pan do niego prawie emocjonalny stosunek – stwierdziła z uśmiechem Effie, uświadamiając sobie, że uśmiecha się po raz pierwszy od wczorajszego wieczoru.

Walter van Buren wyprostował się i zamrugał oczyma, koncentrując z powrotem wzrok na jej twarzy.

–Cóż... – zaczął. – Powiedzmy po prostu, że jestem nim osobiście zainteresowany.

Effie odczekała chwilę, ale widząc, że Walter van Buren nie ma zamiaru wyjawic, z czego wynika jego osobiste zainteresowanie, wstała i ruszyła do wyjścia.

Walter van Buren odprowadził ją do drzwi i kiedy stanęła w progu, wziął delikatnie pod łokieć.

–Lubię panią, pani Bellman – rzekł. – Przypomina mi pani kogoś, kogo znałem dawno, bardzo dawno temu. Więc proszę na siebie uważać. Nie chcielibyśmy

przecież, żeby stała się pani jakaś krzywda.

–Nie bardzo rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć.

–Stare budynki mogą być czasami bardzo niebezpieczne. Niech pani nie zapomina o kasku.

–Nie zapomnę – odparła skonsternowana Effie.

Wyszła z agencji i ruszyła Main Street. Przechodząc przez ulicę obejrzała się i zobaczyła, że Walter van Buren obserwuje ją z okna swego gabinetu, z twarzą bladą jak ściana. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego, ale sposób, w jaki się w nią wpatrywał, wydawał jej się dziwnie złowrogi.

A potem duża chmura przesłoniła słońce i Main Street zrobiła się nagle szara. Kiedy Effie obejrzała się ponownie, Walter van Buren zniknął.

Sobota, 17lipca, 11.57

Norman musiał na nią czekać, bo gdy mijąca szybkim krokiem otwarte drzwi Hungry Moon, wyskoczył nagle jak diabeł z pudełka. Ubrany był w obszerną purpurowo-zieloną indiańską bluzę i miał na nosie przeciwsłoneczne okulary z bursztynowymi szklami.

–Pani Bellman! – zawołał. – Pani Bellman, naprawdę muszę z panią porozmawiać!

Effie zerknęła do środka sklepu i zobaczyła Pepper, która stała w obłoku papierosowego dymu przy zatłoczonej ladzie.

–Jeśli martwisz się o swój kontrakt, Norman, mogę cię uspokoić. Twoja mama przekonała mnie, żebym nie podejmowała na razie żadnych kroków.

–Powiedziała mi o tym – odparł Norman. – Mama bardzo rzadko czegoś żałuje. Ale tym razem było jej naprawdę przykro. Nie chciała zrobić pani przykrości, nigdy w życiu.

–Nie ma sprawy, Norman. Wydaje mi się, że doszliśmy do porozumienia.

–Bardzo się z tego cieszę. I nie tylko dlatego, że będę miał robotę i zarobię pieniądze. To znaczy, robota jest ważna i ważne są pieniądze, ale liczy się także przyjaźń.

–Masz rację, Norman. Liczy się także przyjaźń – powiedziała Effie i ruszyła dalej.

–Hej! Dokąd pani idzie? – zawołał zaniepokojony Norman. – Muszę pani coś pokazać.

–Jestem zmęczona, Norman. Miałam fatalny tydzień. Czy nie możemy zrobić tego kiedy indziej?

–Bardzo panią proszę. To może być odpowiedź na pytanie, co dzieje się w Walhalli. Widziałem wszystko na własne oczy. Nie wiem, czy to ma coś wspólnego z psychicznymi zakłóceniami i całym tym kramem. Wie pani, że na ogół traktuję te sprawy z dużym sceptycyzmem. Ale w tym przypadku jest inaczej.

–O co ci chodzi? – zapytała niecierpliwym tonem Effie.

–Zna pani Benton House w Salt Point? Effie potrząsnęła przecząco głową.

–Ja też nie. Ale mama dużo o nim słyszała. Twierdzi, że to dość znany dom, przynajmniej w środowisku ludzi zajmujących się zjawiskami paranormalnymi.

–Zjawiskami paranormalnymi? Wydaje mi się, że mam już dosyć wszelkiego rodzaju zjawisk paranormalnych.

–Nie dziwię się, ale niech pani posłucha: Benton House zbudowała w ostatniej dekadzie dziewiętnastego wieku ta nawiedzona sekta religijna, Bractwo Balama. Należy teraz do Towarzystwa Historycznego Hudson Valtey, jednak nigdy nie udało im się go odbudować. Próbowali zdaje się cztery albo pięć razy i za każdym razem musieli przerywać z powodu jakiegoś poważnego wypadku, w związku z tym dom jest zamknięty na cztery spusty. Ale Jim Bogard, jeden z członków rady nadzorczej, pożyczył mi klucze. Właściwie nie miał prawa tego robić, kiedy jednak w zeszłym roku naprawiłem mu altankę, rozumie pani, odwaliłem kawał roboty i miał wobec mnie, jak by to powiedzieć, pewne zobowiązania.

–Co to wszystko ma wspólnego ze mną?

–Może mieć dużo wspólnego, pani Bellman. Naprawdę, nie żartuję. Bractwo

Balama zbudowało ten dom w bardzo szczególny sposób... belki podtrzymujące podłogę ułożone są koncentrycznie, tak jak w pajęczej sieci. To bardzo nietypowa konstrukcja. Nie widziałem czegoś takiego nigdy w życiu, a oglądałem domy w tej dolinie, odkąd przestałem walić w pieluchy.

–I co z tego?

–To, że jedyną podłogę skonstruowaną w podobny sposób widziałem w bibliotece w Walhalli.

–Tak?

–Mama mówi, że Bractwo Balama nie dawało spokoju sąsiadom, ponieważ jego członkowie odprawiali różne rytuały i tak dalej. Ale kiedy sąsiedzi przyszli do nich, członkowie sekty zamknęli się w domu. A potem zniknęli, kompletnie zniknęli, i nikt ich już więcej nie widział.

–Daj spokój. Na pewno było tam jakieś tajne przejście.

–Nic z tych rzeczy. Sprawdziłem cały dom, od piwnicy do strychu. Żadnego tunelu, żadnych ukrytych drzwiczek.

–I co z tego wynika?

Norman podniósł rękę, nakazując tym gestem, żeby Effie nie ruszała się z miejsca, po czym zniknął we wnętrzu sklepu i po kilku chwilach wrócił, dźwigając wielkiego szarego kocura Pepper, który mrużył niezadowolony oczy, zwisając mu spod pachy niczym worek gajowego.

–Poznała już pani Houdiniego, prawda?

–Widziałam go w kuchni twojej mamy. Nie wiedziałam, że nazywa się Houdini.

–Zgadza się, Hairy Houdini. Dawniej nazywał się Merlin, na cześć tego czarodzieja, ale potem wpadł kiedyś w piekarni do mieszarki do ciasta i udało mu się jakoś precyzyjnie między ubijaczami i wydostać na zewnątrz. No nie, Houds? Prawdziwy z ciebie eskapista.

Houdini zmrużył jeszcze bardziej ślepią i spojrzał na Normana tak, jakby miał ochotę wydrapać mu oczy i nie robił tego tylko dlatego, żeby nie wybijać się ze snu.

–Norman... – powiedziała Effie. – Naprawdę nie jestem w nastroju do zabawy.

–To nie jest żadna zabawa... przysięgam. Po prostu jeśli nie pojedzie pani ze mną do Benton House i nie zobaczy tego na własne oczy, nigdy w to pani nie uwierzy.

–Chcesz, żebym pojechała z tobą do Salt Point? Teraz? Norman rzucił Houdiniego na tylne siedzenie swojego chargeera i zdjął ciemne okulary. Odgarnął do tyłu włosy i Effie stwierdziła nagle, że ma przed sobą poważnego i chudego, lecz całkiem przystojnego młodzieńca.

–Tak. Ja też nie bardzo mogłem zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi – przyznał. – Ale potem przeczytałem to i owo o Bractwie Balama w „Teologii nonkonformistów” na zapleczu sklepu mojej mamy. Jego członkowie byli w gruncie rzeczy bardzo porządni. Czcili upadłe anioły, uważali bowiem, że każdemu trzeba dać drugą szansę. To właśnie nie podobało się miejscowej ludności. To i chrzest, który członkowie bractwa przyjmowali zupełnie na golasa. Największą czią otaczali Balama, który był aniołem Zakonu Dominacji. Bałam został wyrzucony z nieba, ponieważ klócił się z Bogiem uważając, że kobiety są równe mężczyznom. Coś w

rodzaju wczesnego ruchu wyzwolenia kobiet.

–I co z tego?

–To, że Bałam był duchem dnia wczorajszego, dzisiejszego i jutrzejszego, wszystkich trzech. Był duchem czasu... tego, co niewidzialne, i tego, co wydarza się jednocześnie, czyli koincydencji. Bałam mógł powiedzieć, kiedy się pani urodziła, co pani będzie robić za pięć minut i kiedy pani umrze. I niech pani posłucha: ta podłoga, którą zbudowało bractwo, ta dziwaczna, przypominająca pajęczą sieć konstrukcja, nie była wcale zwykłą podłogą, po której się stąpa, choć mogła pani oczywiście po niej także chodzić. Była czymś w rodzaju zegara.

–Nie chcę tego dłużej słuchać, Norman.

–Ale czy pani tego nie widzi? Jack Belias musiał się dowiedzieć o podłodze w Benton House, zanim zbudował Walhallę. Musiał. Projekt jest identyczny, zmieniono tylko skalę. Jakiej rzeczy hazardzista może pożądać bardziej niż czegokolwiek w świecie? Porozmawiać z Balamem, prawda? Zadać mu kilka pytań! Dowiedzieć się, co się zdarzy, zanim się jeszcze zdarzyło!

–To, co opowiadasz, to czyste wariactwo – stwierdziła Effie. – O co ci, do diabła, chodzi?

Norman wziął ją za rękę. Jego palce były suche, ciepłe i przyjemne w dotyku.

–Próbuję tylko odkryć, co się tutaj dzieje, nic więcej. Próbuję odkryć, co jest prawdą, a co zmyśleniem.

–Wydaje mi się, że możemy śmiało uznać, że cała ta historia o Balamie jest zmyślona.

–A ten mężczyzna, z którym pani tańczyła? Mężczyzna, przez którego pokaleczyła pani stopy? On też jest zmyślony?

–Nie wiem. Jeśli o mnie chodzi, ta sprawa jest skończona.

–Ta sprawa z całą pewnością nie jest skończona, pani Bellman – oświadczył z wielką powagą Norman. – Proszę, niech pani pojedzie ze mną do Salt Point. Możemy zjeść coś w St Andrews Cafe. Mam tam przyjaciela, który uczy się w szkole gastronomicznej i prawie zawsze może mi załatwić stolik.

–Bardzo dziękuję za propozycję, ale nie jestem specjalnie głodna i nie chcę jechać do Salt Point.

Norman wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem włosy opadły mu z powrotem na twarz. Wydawał się taki niepokieszony, że Effie wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ręki.

–Miałam już tyle przykrości z Walhallą, Norman. Nie chcę tego dalej ciągnąć.

–W porządku – odparł. – Rozumiem. Ale dziś rano zabrałem Houdiniego do Benton House i to działało. Nie widzę powodu, dla którego nie miałyby działać teraz.

–Co takiego działało?

–Muszę pani pokazać. Inaczej pani nie uwierzy – upierał się Norman.

W tej samej chwili Effie spojrzała na ulicę i zobaczyła zatrzymującą się przed Pig Hill Inn taksówkę. Drzwi otworzyły się i z samochodu wysiadł Craig. Wiedziała, że musi odbyć z nim długą i poważną rozmowę. To dziwne, ale prawie wybaczyła mu to, co zdarzyło się wczoraj wieczorem. Logicznie rzecz biorąc, nie powinna była tego

robić, uwierzyła jednak niemal, że on i Pepper nie kłamią, mówiąc o tym, co przydarzyło im się w Walhalli. Mimo całej swej drażliwości Craig do tej pory zawsze mówił jej prawdę; miała również wrażenie, że Pepper nie ośmieliłaby się po prostu jej okłamać – zbyt mocno wierzyła w moce światła i ciemności oraz mistyczną zemstę.

Skoro Pepper była przekonana, iż szczypta magicznych ziół potrafi sprawić, że skóra kochanki pomarszczy się jak stare jabłko, jej oczy zmętnieją, a piersi obwisną jak dwa puste worki, musiała również wierzyć, że ktoś może to zrobić i jej.

Craig zniknął za frontowymi drzwiami Pig Hill Inn. Effie wahała się przez moment, a potem otworzyła drzwi chargera i siadła obok Normana.

–Jasne, musisz mi pokazać – powiedziała.

Norman nie wierzył własnemu szczęściu. Przekręcił kluczyk w stacyjce.

–Lubi pani Startling Pajamas? – zapytał.

–Nie wiem dlaczego mam wrażenie, że to nazwa zespołu rockowego, a nie zachęta, żeby sprawdzić, w co ubierasz się na noc...

Norman skręcił na północny wschód, w stronę Nelsonville i Taconic State Parkway. Houdini siedział z tyłu z zamkniętymi oczyma i zmierzwioną przez ciepłe podmuchy wiatru szarą sierścią.

Sobota, 17lipca, 15.04

Skręcili z szosy i podskakując na wybojach ruszyli zrytą koleinami, usłaną kamieniami polną drogą, która biegła skrajem kukurydzianego pola. Na północnym zachodzie gromadziły się ciemne chmury, ale lśniące kłosy i liście rosnących po obu stronach osik wciąż grzały się w promieniach słońca.

–Znalezienie tego miejsca zajęło mi całe wieki – stwierdził Norman. – Nie chciałbym mieszkać tutaj w zimie. Zamiast drugiego samochodu trzeba by sobie kupić pług śnieżny.

Po chwili drzewa się skończyły i wjechali na zarośnięte chwastami pięciokątne pole o powierzchni mniej więcej dwóch i pół akra. Pośrodku stał duży dom ze spadzistymi dachami i czterema pięciokątnymi wieżyczkami, po każdej w jednym rogu. Dach był zielony, a ściany pokryte szarą łuszczącą się farbą. Wszystkie okna były puste niczym pozbawione obrazów ramy; wszystkie z wyjątkiem jednego dużego po lewej stronie, w którym odbijały się płynące po niebie słońce, chmury i osiki.

Norman zatrzymał się i wysiedli z samochodu. Wiał przenikliwy zimny wiatr i Effie żałowała, że nie zabrała płaszcza.

–Powinna pani zobaczyć, jak zbudowali tę chałupę – powiedział Norman. – W tamtych czasach ludzie naprawdę znali się na ciesielce.

Effie zerknęła przez ramię na ozłoczone słońcem pole. Wydawało jej się dziwnie nierealne, jakby stanowiło dekorację do „Czarownika z Oz”. Wyobraziła sobie idącą po nim w towarzystwie Stracha na Wróble Judy Garland. A potem chmury zaczęły powoli zakrywać skraj słonecznej kuli, pole pociemniało i kłosy pochyliły się pod naporem wiatru.

–Chodźmy – ponaglił ją Norman. Pod pachą trzymał Houdiniego. – Musi pani to zobaczyć, naprawdę.

Wspięli się po schodkach na werandę i Norman otworzył drzwi z siatki.

–W dzisiejszych czasach nie budują już takich domów. Nie potrafią. Mają może i wiedzę, ale nie mają duszy. Ten dom został postawiony w tym miejscu, ponieważ jest dla niego odpowiednie. Zbudowano go z odpowiednich materiałów i pomalowano na odpowiedni kolor. To właśnie nazywa się duszą architektury.

Otworzył frontowe drzwi. Wisiała na nich matowa mosiężna kołatka w kształcie długiego, wycięczonego koziego pyska.

–Bałam – poinformował Norman.

–Wygląda jakby mizernie, nie sądzisz? – zapytała Effie.

–Niech pani zauważy, że jest zwrócony na wschód, tak samo jak uchwyt dzwonka w Walhalli.

Weszli do środka. Dom był cichy, mroczny i unosił się w nim zapach pustki.

–Nie ma tu ani grama wilgoci – zauważył Norman. – Jest zbudowany tak zmyślnie, że nigdy nie zatrzymuje wilgoci. Niech pani spojrzysz na ten dach. Wygląda, jakby skończyli go kłaść nie dalej jak wczoraj.

Poprowadził ją przez pustą sień, po wciąż połyskującej słabo pod warstwą kurzu podłodze. Dębowe klepki idealnie pasowały do siebie; żadna nie była spaczona i nie zmieniła ani trochę koloru.

–Niech pani spojrzy na tę podłogę... chce mi się po prostu płakać. I wie pani co? Jeśli archiwa Towarzystwa Historycznego Hudson Valley mówią prawdę, położył ją dziewiętnastoletni chłopak o nazwisku Ethan Carter. Dziewiętnastoletni chłopak! A ja nie mogę znaleźć porządnego parkieciarza wśród ludzi o dwa razy większym doświadczeniu od jego.

–Nie przejmuj się, Norman. Czasy się zmieniają.

–Tak pani sądzi? Może się zmieniają. A może nie. Wprowadził ją do największego pokoju w całym domu –

prostokątnego, wysokiego i prawie cztery razy większego od pozostałych. Co dziwne, nie było w nim żadnych okien. Jedyne światło wpadało przez otwarte drzwi.

–Niech pani spojrzy na tę podłogę – zachwycił się Norman. – A teraz niech mi pani powie: czy to podłoga, czy zegar?

Effie przeszła przez pokój. Podeszwy jej sportowych butów skrzypiały na wypastowanej przed dziesiątkami lat dębowej klepce.

–Jest ułożona koncentrycznie, to widać – stwierdziła.

–Jest niesamowita! – zawołał prawie z bólem Norman. – To najbardziej niewiarygodne arcydzieło ciesielki, jakie widziałem w całym swoim życiu.

Effie spojrzała w dół i musiała przyznać mu rację. Podłoga była niesamowita. Sporządzono ją wyłącznie z wygiętych dębowych deszczulek, które tworzyły kolejne koncentryczne kręgi.

–Jak oni to zrobili? – zapytała, kręcąc się w kółko.

–To bardzo łatwe... to znaczy raczej proste w teorii, niż łatwe. Ethan wycinał ręcznie łuki z dojrzałego dębu i dopasowywał je do siebie niczym w olbrzymiej układance. Niech pani tylko pomyśli, jaki był z niego fachman! Każdy krąg musiał mieć większą średnicę niż poprzedni. A cała podłoga składa się z ponad tysiąca klepek!

Effie nie przestawała kręcić się dookoła.

–Jaki to wspaniały parkiet do tańca! To niewiarygodne!

–Hej, niech pani przestanie! – krzyknął Norman. – Pani Bellman! Niech pani tego nie robi!

Effie zatrzymała się w miejscu.

–Czego mam nie robić?

–Kręcić się w kółko jak fryga. Powiedziałem już pani, to nie tylko podłoga, ale i zegar.

Ponownie spojrzała w dół.

–Dalej nie rozumiem, co masz na myśli.

–Dlatego właśnie przywiozłem Houdiniego. Nie można tego wytłumaczyć. Trzeba to pokazać.

Norman postawił kota na środku pokoju, a potem przykucnął obok i zaczął go głaskać. Houdini przeciągnął się, ziewnął i otarł o jego kolano. Wciąż głaszcząc go pod pyskiem, Norman sięgnął niepostrzeżenie do kieszeni, wyjął z niej złożoną na pół kartkę białego papieru z przyczepioną gumką i założył ją Houdiniemu na ogon.

Kot natychmiast obrócił się do tyłu. Rzucił się z pazurami na kartkę, chybił i

obrócił się ponownie. Po krótkiej chwili kręcił się jak szalony w kółko, próbując złapać tego irytującego białego motyla, który nie odstępował go na krok.

–Teraz niech pani uważa – powiedział cicho Norman, wyprostowując się. – Niech pani patrzy, co on robi i jak zmienia się jego kolor.

–Jego kolor?

–Tak. Już zaczął się zmieniać.

Houdini ścigał swój ogon tak zawzięcie, że widać było tylko kręcącą się wściekle rozmazaną futrzaną plamę. Mimo to Effie dostrzegła, że coś się z nim dzieje. Robił się coraz większy i ciemniejszy, aż w końcu stał się zupełnie czarny.

–Co się stało? – zapytała. – Wygląda teraz jak zupełnie inny kot.

Houdini nadal kręcił się, drapał pazurami podłogę i bez przerwy rósł. Effie dała krok do przodu, żeby zobaczyć, co się z nim właściwie dzieje, ale Norman złapał ją za ramię.

–Ostrożnie... on nas nie poznaje. Przynajmniej na razie.

–Spójrz na niego. Zupełnie zwariował! Norman zerknął na zegarek.

–Myślę, że ma już dosyć. Zdejmę mu z ogona tę kartkę. Przyklęknął i wyciągnął rękę, chcąc złapać zwierzę. Ale kiedy jego dłoń dotknęła kręcącego się kota, Houdini przestał nagle ścigać własny ogon i rzucił się na niego, wściekle prychając.

Norman podniósł ramię, żeby się zasłonić, i upadł na bok. Houdini jednak wślizgnął się pod jego pachę i przeorał twarz pazurami od oka aż po podbródek. Norman wrzasnął głośno, przewrócił się na brzuch i próbował wstać. Kot skoczył mu na plecy i zaczął drapać go po uszach.

–Zrzuć go ze mnie! – krzyknął Norman. – Na litość boską, zabierz go z moich pleców!

Effie zdjęła z nogi but i walnęła nim kota w głowę, a potem w grzbiet. Przy każdym uderzeniu rozlegał się okropny głuchy odgłos. Miała zamiar uderzyć zwierzę ponownie, kiedy nagle odwróciło się i wydało z siebie głośny syk: ochryply, gardłowy syk czystej nienawiści.

I wtedy zobaczyła, że to wcale nie Houdini, ale wielki czarny kocur z płonącymi żółtymi ślepiami, brudnym pozlepianym futrem i trójkątnym pyskiem, który bardziej przypominał kobrę niż kota.

Krzyknęła i cisnęła w niego butem. Zwierzak spadł z pleców Normana na podłogę. Chłopak podniósł się z trudem na nogi i kopnął go raz, a potem drugi. Kocur rzucił się z pazurami na jego stopę, ale wtedy Norman kopnął go jeszcze mocniej i napastnik umknął przez uchylone drzwi do sąsiedniego pokoju.

–Na litość boską, co mu się stało?! – zawołała Effie. – Co z twoim okiem, Norman? Popatrz na swoją twarz!

–Nic mi nie jest. – Norman wyjął z kieszeni szarą od brudu chustkę i przytknął ją do policzka. – Chodźmy za tym kotem.

–Mamy za nim iść? O mało nie wydrapał ci oka!

–Nie traćmy czasu – ponaglił ją Norman, wziął za rękę i poprowadził do pokoju, do którego uciekł czarny kocur. Zanim tam weszli, zajrzał ostrożnie do środka przez szparę w drzwiach.

Effie rozejrzała się niepewnie dookoła. Wszystkie drzwi i okna były pozamykane. Kominek szczelnie obity deskami. Po kocie jednak nie zostało ani śladu.

–Dokąd on pobiegł? By! taki ogromny. Gdzie się podział?

–Domyślam się, że wrócił do swoich właścicieli. Do Bractwa Balama.

–To był ich kot?

–Pasuje do opisu znalezionej w archiwach. Czarny kot o paskudnym usposobieniu, który pilnował zawsze werandy i atakował każdego, kto się zbliżył.

Effie rozejrzała się ponownie, nie wierząc własnym oczom. Kocur nie miał prawa w żaden sposób wydostać się z tego pokoju. A jednak zniknął – chociaż jeszcze przed chwilą tu był, o czym świadczyły głębokie zadrapania na twarzy Normana.

Z tyłu dobiegło ją nagle niskie, żalosne miauczenie. Spojrzała przez drzwi i zobaczyła Houdiniego, który stał pośrodku dużego pokoju. Był wystraszony i ogłupiały, ale fizycznie wcale nie zmieniony.

–On wrócił – szepnęła. – Był tam, potem tutaj, a teraz wrócił. To jakaś magia. Norman potrząsnął głową.

–To nie magia. To fakt naukowy. To architektura. Mama wie o tym znacznie więcej niż ja. Pierwszymi ludźmi, którzy budowali podobne podłogi, byli Majowie. W gruncie rzeczy każdy mógł to zrobić, Rzymianie, Grecy, ktokolwiek. Mieli swoją matematykę, mieli możliwości techniczne, ale żeby coś zrobić, trzeba wierzyć, że to będzie działać, w przeciwnym razie nikt nie ma ochoty spróbować. Nazywam to Syndromem Roweru z Deadwood...

Podszedł do Houdiniego, wziął go na ręce i pogładził. Kot trochę się opierał, ale najwyraźniej nie odniósł żadnych obrażeń w wyniku całej przygody.

–W tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku pewien facet przybył na Zachód ze szkicem roweru i dał go kowalowi w miasteczku Deadwood. Kowal odmówił wykonania zamówienia, ponieważ nie chciał przyłożyć ręki do czegoś, co, jak twierdził, nigdy nie będzie działać.

Effie wyciągnęła palec i Houdini polizał ją swoim szorstkim językiem.

–Kot bractwa wciąż tu jest, tak samo jak jego członkowie. Kiedy znikają, wcale się nie dematerializują, ale używają po prostu tej podłogi, żeby przenieść się do innego czasu. Może do tyłu, może do przodu. Moim zdaniem chyba do przodu. Któregoś dnia pojawią się ponownie, to pewne jak amen w pacierzu.

–Przenoszą się do przodu? W przyszłość?

–Tak mi się wydaje. Ale chyba nie ma na to mądrego. Żeby przenieść się do przodu, trzeba obracać się zgodnie ze wskazówkami zegara, a żeby przenieść się do tyłu, odwrotnie. Myślała pani kiedyś, dlaczego wskazówki obracają się w tę, a nie inną stronę? Nie ma przecież żadnego mechanicznego powodu. Tak jest po prostu urządzony czas, podobnie jak ta podłoga.

–Więc myślisz, że to, co się dzieje w Walhalli, podobne jest do tego, co zobaczyliśmy tutaj?

–Prawdopodobnie tak. Houdini trafił na kota z bardzo silnym temperamentem, więc zaczął wyglądać tak jak on i tak jak on się zachowywać. Pan Bellman trafił na Jacka Beliasa i Jack Belias zawładnął nim. Moja mama trafiła na tę Gaby Deslys, i

przytrafiło się jej to samo.

–Więc po to właśnie zorganizowałaś dla mnie to całe przedstawienie? Żeby udowodnić, że twoja mama jest niewinna?

Norman zrobił zakłopotaną minę.

–Jeśli chce pani znać prawdę, częściowo tak. Powiedziała, że to nie ona, i chociaż jest jasne jak słońce, że wyglądała zupełnie jak moja mama, wierzę jej. Muszę jej wierzyć, ponieważ powinniśmy oczyścić ten dom raz na zawsze, a ona jest jedyną znaną mi osobą, która potrafi to zrobić.

Wyszli z Benton House i ruszyli z powrotem do samochodu. Effie czuła się bardzo zmęczona; nie marzyła o niczym poza filiżanką mocnej kawy i kilkoma godzinami odpoczynku. Kiedy Norman posadził Houdiniego na tylnym siedzeniu, odwróciła się i po raz ostatni popatrzyła na Benton House. Czarne chmury prawie kompletnie zasnuły teraz niebo i na przednią szybę zaczęły padać pierwsze krople deszczu. Okna domu były tak ciemne, że nie sposób było zobaczyć, co jest w środku, przez krótki moment była jednak przekonana, że widzi w jednym z nich cień mężczyzny, odwróconego do niej plecami.

Wtorek, 20lipca, 18.36

Pepper zamknęła ostatnią książkę, odrzuciła ją na bok, ziewnęła i przeciągnęła się tak energicznie, że poirytowany Houdini o mało nie spadł jej z kolan. Effie skończyła czytać pół godziny wcześniej i oparta o wielką indiańską poduszkę przysłuchiwała się z zamkniętymi oczyma zawieszonym w salonie Pepper pobrzękującym dzwoneczkom.

–Czy nikt nie napisał nigdy bardziej szczegółowo o Jacku Beliasie? – dziwiła się Pepper. – Był przecież milionerem, wielkim hazardzistą i doprowadził do ruiny więcej swoich tak zwanych przyjaciół, niż potrafisz zliczyć na palcach obu rąk. Znał Agę Khana, siostry Dolly i cholernego księcia Westminsteru. No tak... napisali, ile pieniędzy wygrał, i jakie miał karty na ręku. Ale ani słowa o nim samym, o jego żonie, o jego romansach. Ani słowa o Gaby Deslys i o tym skandalu z żoną Douglasa Brofftona.

–Brawtona – poprawiła ją Effie, unosząc powieki. – To Brytyjczyk. Broughton wymawia się Brawton.

–Nic dziwnego, że nikt o nim nie napisał – odparła podenerwowana Pepper. – Nikt nie wiedział, jak wymawia się jego nazwisko.

–Craig i ja przyjaźnimy się z pewną brytyjską parą o nazwisku Cholmondeleigh – wyjaśniła Effie. – Wymawia się je „Chumley”.

–Jezu – jęknęła Pepper. – Ciekawe, jak wobec tego wymawiają „friendly”? – Otworzyła swoją puszkę i wyjęła z niej cierpiącego na anoreksję skręta. Kiedy go zapaliła, zapłonął jasnym ogniem i zostało z niego tylko kilka strzępów trawy i tytoniu oraz przelotny zapach Woodstock.

–Co z Craigiem? – zapytała po chwili niepewnym głosem, strzepując popiół z kociego futra. Mimo powtarzanych po wiele-kroć zapewnień i oczywistej transformacji Houdiniego, Craig wciąż stanowił dla nich obu drażliwy temat.

–Nie bardzo wiem – odparła Effie. – Nie rozmawialiśmy ze sobą zbyt długo. Chciałam pomówić o tym, co zdarzyło się w Walhalli... rozumiesz, żeby oczyścić atmosferę i spróbować odkryć, co się z nim dzieje. Jednak on oświadczył, że nie interesuje go dalsza dyskusja na ten temat, a jeśli mu nie wierzę, powinnam wrócić do Nowego Jorku.

–Przecież mu wierzysz?

–Nie mam chyba wielkiego wyboru, jeśli chcę z nim zostać. Ale on tak dziwnie się zachowuje. Spał prawie przez całą niedzielę, a wczoraj od rana do wieczora siedział w Walhalli. I przysięgam, że się zmienia. Jest inny, kiedy go dotykam, inaczej ze mną rozmawia. Inaczej pachnie. Jeśli chcesz znać prawdę, zaczynam się go bać. Nie ma najmniejszego zamiaru wycofać się z kupna Walhalli. Kiedy tylko o tym wspomnę, wpada w furję.

–Nie ma jakichś przyjaciół, z którymi mógłby o tym porozmawiać? Nie ma swojego doktora?

–Nie rozmawia już z żadnym ze swoich przyjaciół. Mówi, że ten dom jest wszystkim, czego potrzebuje. Próbowałam mu dyplomatycznie zasugerować, żeby porozmawiał ze swoim psychiatrą, doktorem Samstagiem, ale odwrócił się tylko i

wyszedł z pokoju.

Pepper przez chwilę milczała.

–Może rzeczywiście powinnaś na jakiś czas wyjechać? – zapytała.

I biorąc pod uwagę, pomyślała Effie, że może Craig wcale nie był Jackiem Beliasem, a Pepper nie była Gaby Deslys, zostawić ich oboje razem?

–Oczywiście, że myślałam o wyjeździe – odparła. – Ale co się stanie z Craigiem, jeśli to zrobię? Jest agresywny, wściekły i bardzo, bardzo dziwny, ale ja nadal go kocham.

–Przebaczyłaś mi, prawda? – zapytała Pepper. Jej oczy były jak srebro, jak dwie wypolerowane dziesięciocentówki.

–Nie wiem. Czy to tobie powinnam przebaczyć, czy tej całej Gaby? Craigowi czy Jackowi Beliasowi?

Pepper podeszła i usiadła obok niej. Miała na sobie luźno tkaną koszulę w kolorze indygo i obcisłe džinsy; na głowę założyła obwieszoną złotymi monetami opaskę. Effie zdawała sobie sprawę z jej zmysłowości; z tego, jak pod przezroczystą bawełną kołyszają się ciężko jej piersi. W porównaniu z nią czuła się przesadnie wystrojona. Ubrana była w biało-różową kraciastą bluzkę od Bergdorfa Goodmana i parę drogich płóciennych białych spodni. Pepper pachniała ziołami i przyprawami, spiżarnią miłości, a ona perfumerią z Piątej Alei.

–Wydaje mi się, że wszystko sprowadza się do Jacka Belia-sa – powiedziała Pepper. – Zbudował ten dom, żeby odciąć się od całego świata, z wyjątkiem tych kilku graczy, których zapraszał na karciane przyjęcia. Chciał narzucić życiu swoje własne warunki. Chciał panować nad światem i zrujnować wszystkich, którzy rzucili mu wyzwanie. Jestem pewna, że nikt go nie lubił, ale żaden z autorów nie stwierdza tego wyraźnie. Zerznął kiedyś na stoliku do gry żonę jakiegoś biedaka, i ten sam facet dał mu potem konia wyścigowego. Jest o tym wzmianka w dwóch książkach, ale nigdzie tego nie wyjaśniają.

Effie wzięła do ręki jedną z książek i przyjrzała się jej grzbietowi.

–Może niektórzy z autorów wciąż żyją. Może powinniśmy z nimi porozmawiać.

Pepper podparła się łokciem.

–Spójrz na te fotografie z tyłu. Czy wyglądają na facetów, którzy jeszcze żyją? Ten dziadek... spójrz tylko na niego... urodzony w roku tysiąc dziewięćset siedemnastym, ekspert od gier hazardowych. Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby rozsypał się zaraz po zrobieniu tej fotografii.

Effie otworzyła książkę i przeczytała notkę na pierwszej stronie.

–Harry Rondo... autor sześciu książek na temat hazardu i hazardzistów... zaprzysiężony kawaler, mieszka obecnie w Pocantico Hills.

–Cóż, to całkiem niedaleko – powiedziała Pepper. Wstała i stąpając boso po poduszkach podeszła do małego hinduskiego stolika, na którym stał faks i telefon. Polizła kciuk i zaczęła hałaśliwie przerzucać strony miejscowej książki telefonicznej. – Mam... Harold A. Rondo, 7773 Bedford Road, Pocantico Hills. Tę książkę wydano przed dwoma laty, ale jeśli udało mu się dożyć do dzisiaj, warto będzie z nim porozmawiać.

Effie spojrzała na zegarek.

–Muszę być z powrotem o wpół do ósmej. Craig zabiera mnie dziś na kolację do Hudson Inn.

–Szczęściara. Uwielbiam tę restaurację. Ale najpierw pozwól mi zadzwonić do Harolda A. Rondo... może uda nam się umówić z nim jutro na spotkanie.

Wystukała numer i czekała, słuchając powtarzającego się sygnału. Minęło prawie pół minuty, zanim ktoś odebrał telefon, a i potem słyszała w słuchawce tylko drżący oddech.

–Halo? Czy to mieszkanie pana Harolda A. Rondo? – zapytała.

–A kto chce wiedzieć? – odparł ochryply cichy głos.

–Jeśli mówię z panem Rondo, nazywam się Pepper Moriarty i prowadzę sklep z ziołami i zdrową żywnością w Cold Spring.

–Czy chce mi pani sprzedać coś zdrowego? Skoro tak, spóźniła się pani co najmniej o trzydzieści lat.

–Nie dzwonię, żeby panu cokolwiek sprzedać, panie Rondo. Moi przyjaciele kupili właśnie Walhallę.

–Co zrobili?

–Kupili Walhallę... dom, który zbudował Jack Belias.

–Co to za ludzie? – zapytał Harry Rondo. – Leczą się w zakładzie psychiatrycznym?

–Pan Bellman jest bardzo cenionym prawnikiem, specjalizuje się w problematyce gospodarczej, panie Rondo. Jego żona zajmuje się sztuką nowoczesną. Zamierzają odbudować Walhallę dokładnie w takim samym kształcie, w jakim wzniósł ją Jack Belias. Chcieliby dowiedzieć się o nim czegoś więcej, niestety istnieje bardzo mało pisemnych przekazów na temat jego życia osobistego.

Zapadła długa cisza. Pepper słyszała, jak Harry Rondo oblizuje wargi, słyszała prawie, jak się zastanawia.

–Czytała pani moją książkę? – zapytał po chwili.

–„Szansę jedną na milion"? Tak. Mam ją tu przy sobie. Opowiada bardzo szczegółowo o rozgrywanych przez Jacka Beliasa partiach. Ale tak naprawdę niewiele mówi o nim samym. Mam na myśli życie osobiste. Pan znał go osobiście, prawda, panie Rondo?

–Byłem bardzo młody. Ale tak, znałem go. Mój ojciec grał z nim w bakarata. Dlatego zbankrutował i dlatego mieszkam teraz na peryferiach Pocantico Hills, a nie przy Park Avenue. Mój ojciec był bardzo bogatym człowiekiem, lecz miał słabość do kart i Jack Belias wypatroszył go jak świątecznego karpia.

–Czy napisał pan kiedyś coś o życiu osobistym Jacka Beliasa?

–Myślałem o tym, ale wołałem nie ryzykować.

–Ryzykować? Co pan chce przez to powiedzieć? Belias nie żyje od tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku.

–Po prostu wołałem nie ryzykować, i koniec. Zrujnował mojego ojca w ciągu zaledwie trzech godzin... diabli wzięli kilkadziesiąt lat ciężkiej pracy w branży budowlanej. Zrobił to w dziewięciu rozdaniach... tylko tyle mu to zajęło.

–Czy zechciałby pan porozmawiać ze mną i moją przyjaciółką o Jacku Beliasie?

Po raz kolejny w słuchawce zapadła cisza.

–Nie sędzę. Rozmowa jest tak samo niebezpieczna, jak pisanie.

–Wydaje mi się, że wiem, o co panu chodzi, panie Rondo. Dlatego właśnie ja i moja przyjaciółka chcemy dowiedzieć się czegoś więcej. Będę grała z panem w otwarte karty. Jestem wrażliwa na zjawiska paranormalne. Byłam w Walhalli i doświadczyłam tam bardzo nieprzyjemnych rzeczy.

–Jest pani wrażliwa na zjawiska paranormalne, tak? – zapytał podejrzliwie Harry Rondo.

Effie odwróciła głowę na bok. Nie chciała myśleć o tym, czego Pepper doświadczyła w Walhalli. Wciąż widziała przed oczyma jej pedałuące w powietrzu bose stopy i zaciśnięte pośladki Craiga.

–Panie Rondo... jeśli usiłuje pan dać mi do zrozumienia to, co moim zdaniem usiłuje mi pan dać do zrozumienia, w takim razie Walhalla wymaga oczyszczenia. Trzeba zlikwidować wszystkie te psychiczne zakłócenia. Ale żeby to zrobić, muszę wiedzieć o wiele więcej o Jacku Beliasie. Muszę wiedzieć, kim naprawdę był.

Tym razem Harry Rondo milczał tak długo, że Pepper zaczęła się obawiać, iż odłożył słuchawkę.

–Chce pani wiedzieć, jaki był naprawdę? – odezwał się w końcu niskim i trochę drżącym głosem. – Był z niego wcielony Szatan, ot co.

–Szatan?

–W stosunku do niego na pewno nie jest to zbyt mocne określenie, proszę pani. W całym moim życiu nie spotkałem człowieka, który roztaczałby wokół siebie aurę takiego zła. Kobietom oczywiście bardzo się to podobało. Jednym poruszeniem brwi potrafił skłonić każdą z nich, żeby zrobiła to, co chciał. Zabierał żony innym mężczyznom i otwarcie chlubił się swymi podbojami. A potem, kiedy mężowie grali z nim w karty, żeby wziąć odwet, pozbawiał ich majątku i doprowadzał do bankructwa. Iluż on zrujnował mężczyzn... Bogatych, pewnych siebie mężczyzn. Mężczyzn, którzy mieli piękne żony, jachty i wszystko, co mogą dać pieniądze i wykształcenie. Niszczył ich, poniżał na oczach ich przyjaciół. I zabierał im dosłownie wszystko. Pojechał kiedyś do zamku George'a Michela i osobiście podarł jego długie na czterdzieści stóp atłasowe story, ponieważ Michel był mu winien masę pieniędzy. Najbogatsi ludzie na świecie łądownali przez niego w rynsztoku, jeden po drugim. Czasami popełniali samobójstwo, jeden albo dwóch próbowało go zabić. Nie potrafi pani sobie wyobrazić nieszczęść, jakie ten człowiek sprowadzał na innych. Odwiedzał Deauville, Cannes, Aix-les-Bains, La Baule i Biarritz, gładki i przez większość czasu czarujący, chociaż mówią, że potrafił być straszny, jeśli ktoś próbował stawić mu czoło. Odwiedzał wszystkie te miejsca i wszędzie, jak po przejściu zarazy, zostawały za nim śmierć i ruiny.

–Ale dlaczego rujnował tych wszystkich ludzi? – zapytała Pepper. – Jakie kierowały nim motywy?

Harry Rondo zaniósł się kaszlem.

–Wciąż jeszcze pani tego nie rozumie? Nie miał żadnych motywów. Robił to tylko

dlatego, że mógł to robić.

Wtorek, 20lipca, 21.06

Craig zamówił wódkę z lodem i martini i wypił ją duszkiem niczym człowiek, który uniknął przed chwilą śmiertelnego wypadku. Siedzieli na stołkach przy barze, czekając na swój stolik. Zamówili go na dwudziestą, ale Craig wrócił z Walhalli kwadrans później, zły, poirytowany i pilnie potrzebujący prysznic. Kiedy zjawili się w końcu w Hudson Inn, przy ich stoliku siedziała już inna para – a był to jeden z najlepszych stolików na dużej sali z belkowanym sufitem, w otoczonej kwiatami ceglanej alkwie.

Kierownik sali, niski ukladny mężczyzna z przylizanymi włosami, próbował udobruchać Craiga, proponując darmowe koktajle, ale Craig oświadczył mu z kamiennym spokojem, że widział trędowatych, którzy lepiej radzili sobie z szydełkowaniem, niż on radzi sobie z prowadzeniem tej budy.

–Przestań, Craig – powiedziała Effie, wbijając mu paznokcie w dłoń. – Nie chcę żadnej awantury. Jeśli się nie opanujesz, wracam zaraz do domu i zamówię sobie sandwicza.

Craig pokiwał z sarkazmem głową.

–Przepraszam – powiedział, zwracając się do kierownika sali – to było bardzo nieładnie z mojej strony. Zapomniałem, że nieduzi mężczyźni lubią od czasu do czasu pokazać innym swoją władzę.

Teraz siedział przy barze, gapiąc się na zajmującą ich stolik parę w średnim wieku tak, jakby samą siłą woli mógł sprawić, że oboje dostaną ataku serca.

–Craig... to przecież nie ich wina. Przestań się w nich wpatrywać.

–To nasz stolik. Stolik, który zarezerwowałem.

–Ale się spóźniliśmy. Prowadzą tutaj interes i mają pełną salę.

–No tak, rozumiem. Siedzimy przy tym barze niczym jacyś rezerwowi pasażerowie, podczas gdy ci obchodzący srebrne gody wieśniacy zajadają kolację przy naszym stoliku. A ty masz jeszcze czelność brać w obronę dyrekcję. Wiem, że prowadzą tutaj interes. Tak się składa, że ja też prowadziłem interes. I nie odniósłbym sukcesu, gdybym odtrącał najbardziej nadzianych klientów na rzecz kmiotków w łachmanach.

Mówiąc to, walnął szklanką w kontuar i strzelił palcami, dając znak barmanowi, żeby nalał mu kolejny koktajl. Drinki podawał wysoki nieśmiały młodzieniec z opadającym blond wąsikiem.

–Może mi pan mówić Michael – powiedział. – Albo Mikey. Tak zwraca się do mnie większość gości.

Craig utkwiał w nim bazylijszkowe spojrzenie.

–Czy my się znamy? – zapytał. Barman zaczerwienił się.

–Po prostu się panu przedstawiłem. Żeby nawiązać znajomość. Proszę nie rozumieć tego w zły sposób.

–Co pan tutaj robi? – wycedził Craig. Jego głos zrobił się nagle bardzo cichy; tak cichy, że barman nie usłyszał go za pierwszym razem.

–Słucham? – zapytał.

–Co pan tutaj robi? Za co panu płacą?

–Prowadzę bar.

–Zgadza się. Nie płacą panu, żeby nawiązywał pan znajomość. Nie płacą panu za nic oprócz podawania drinków, kiedy ma pan podawać drinki. Więc podaj mi pan drinka. A jeśli obraża pana to, że wzywając pana strzelam z palców, przepraszam. Następnym razem zagwiżdżę, pomacham flagą albo rozpalę ognisko i będę wysyłał sygnały dymne.

Barman zerknął na Effie, która pokręciła szybko głową. Nie denerwuj go, nie teraz, mówiło jej spojrzenie. Młodzieniec zabrał szklankę Craiga i podał mu kolejną wódkę z martini, a także szklany talerzyk z orzeszkami i solonymi migdałami.

–Pańskie orzeszki – powiedział z kamienną twarzą. Oczywiście był to tylko żart; barman nie mógł wiedzieć, z czym to się jego gościowi kojarzy: z deszczowym wieczorem w marcu, taksówką Zaghlula Fuada, Szprycą, Tyce'em i drogerią K-Plus. Craig wyprostował się, szybki i zwinny niczym jakiś drapieznik, i chwycił leżący na kontuarze szpikulec do lodu. Effie patrzyła z przerażeniem, jak łapie młodego człowieka lewą ręką za ramię i unosi w górę prawą. Przez milionową część sekundy uwierzyła, że Craig naprawdę przebije tamtemu serce; ale on odrzucił szpikulec na bok. Chromowane narzędzie potoczyło się z brzękiem po podłodze, a mężczyzna, który siedział po drugiej stronie baru, zeskoczył ze stołka i szybko je podniósł.

Młody barman cofnął się z rozszerzonymi strachem oczyma i twarzą tak samo białą jak jego kurtka. Mężczyzna, który podniósł szpikulec, ruszył w ich stronę.

–Daj spokój, chłopie, opanuj się – powiedział. Ale Craig podniósł ostrzegawczym gestem palec i mężczyzna uznał, że lepiej nie podchodzić bliżej.

Effie pociągnęła Craiga za rękaw.

–Craig! – szepnęła błagalnie. – Craig, jak mogłeś?

–Craig? – powtórzył, jakby nie poznawał własnego imienia. Obrócił się i wlepił w nią wzrok. Krew nabiegła mu do twarzy, nadając jej prawie brązowy kolor; oczy miał podpuchnięte i przekrwione i podobny był bardziej do demona niż do jej męża.

Podszedł do nich kierownik sali w towarzystwie potężnego, krótko ostrzyżonego młodzieńca w smokingu.

–Przykro mi, ale muszę pana poprosić o opuszczenie tego lokalu – oznajmił.

–Co takiego? – zapytał ochryplym głosem Craig. – Co pan wygaduje? Co on wygaduje, Effie?

–Przykro mi, proszę pani – powiedział kierownik sali, zwracając się do Effie. – Nie mogę w żadnym wypadku akceptować agresywnego zachowania wobec personelu. Jeśli pani towarzyszy zaraz nie wyjdzie, wezwę policję.

Effie odciągnęła Craiga od baru. Powłóczył nogami i zataczał się, jakby był pijany. Kiedy prowadzono ich pod eskortą w stronę drzwi, restauracja stopniowo cichła, stolik po stoliku, i wszyscy goście odwracali się, żeby im się przyjrzeć. Effie czuła, jak płoną jej policzki, a potem zrobiło jej się nagle gorąco i pomyślała, że zaraz zemdleje.

Kiedy doszli do wyjścia, kierownik sali wziął Craiga pod ramię.

–Chciałbym, żeby w przyszłości omijał pan mój lokal – oznajmił.

–Pewnie nie ma pan pojęcia, do kogo pan mówi, prawda? – zapytał Craig.

–Proszę... – powiedział kierownik sali. – Dobrze się pani czuje? – zapytał, przyglądając się Effie. – Bardzo pani zbladła.

Craig odepchnął go na bok.

–Ta pani należy do mnie, przyjacielu. Jest moja i tylko moja.

–Daj spokój, Craig – ponagliła go Effie. – Wracajmy do domu.

–Ta pani jest moja – powtórzył Craig. – Należy do mnie całkowicie, ciałem i duszą.

Nie waż się do niej odzywać, bo utnę ci głowę i nasikam do szyi.

Zeszli po schodkach i Effie powiodła Craiga przez parking.

–Ja poprowadzę – oświadczyła, otwierając drzwi z lewej strony, ale Craig odsunął ją dość brutalnie na bok i sam usiadł za kierownicą.

–Masz robić to, co ci każę, tak jak zawsze – oznajmił.

–Jeśli masz zamiar prowadzić, wróć do domu taksówką. Craig siedział przez chwilę nieruchomo, gapiąc się prosto przed siebie, jakby zastanawiał się nad czymś zupełnie innym. A potem wysiadł z samochodu, stanął przed Effie i położył obie ręce na jej ramionach.

–Kiedy ze mną zamieszkałaś, była umowa, że staniesz się moją własnością. Miałaś robić wszystko, co chcę, bez jednego słowa sprzeciwu, bez wahania, bez mrugnięcia okiem.

–Posłuchaj mnie, Craig... – przerwała mu Effie. – Posłuchaj, dzieje się z tobą coś złego, zmieniasz się.

–Taka była umowa, czy nie?

–Craig...

–Taka była umowa?

–Nie, wcale taka nie była. Przrzekłam, że będę cię kochać i szanować w chorobie i zdrowiu, i tylko dlatego nadal z tobą jestem, ponieważ dzieje się z tobą coś złego i jesteś chory! Ale na pewno nie zgodziłam się być twoją własnością i nigdy nią nie będę, wybij to sobie z głowy!

Spojrzał na nią groźnie, jakby nie wierzył, że ma czelność się z nim kłócić. Oczy miał jeszcze bardziej podpuchnięte niż przedtem, nozdrza rozchylone i wciągał powietrze do płuc z chrapliwym poświstem.

–Wsiadaj do samochodu – rozkazał.

–Powiedziałam ci, Craig. Jeśli upierasz się, że będziesz prowadził, ja upieram się, że pojedę taksówką.

–Mówię po raz ostatni, wsiadaj do samochodu. Effie pokręciła przecząco głową.

Nie wahając się ani chwili dłużej, Craig złapał za cienkie ramię jej krótkiej czerwonej wieczorowej sukienki i pociągnął ją w dół. A potem dwoma albo trzema szybkimi ruchami zdarł ją całkowicie. Effie była tak wstrząśnięta, że nie mogła oddychać. Craig złapał za biustonosz i ściągnął go jej przez głowę, zdzierając skórę z ramion i drapiąc po twarzy, po czym odrzucił go w mrok.

–Nie! – wyjąkała. – Co ty robisz, Craig!

Próbowała uciekać, ale on złapał jedną ręką za gumkę jej majtek, a drugą objął mocno w talii. Effie szarpała się i kopała, lecz Craig ściągnął jej majtki do kolan, a potem nadepnął na szeroko rozciągnięty materiał i zsunął go aż do kostek.

Naga, obróciła się do niego i zaczęła go drapać i okładać pięściami. Nie oddawał jej. Nie musiał. Był od niej o wiele silniejszy i w ogóle się nie przejmował tym, że biła go po policzkach i drapała paznokciami. Złapał ją wpół i zarzucił sobie na ramię, a potem obszedł dookoła samochód i cisnął ją na miejsce pasażera.

– Powiedziałem ci – oświadczył, pochylając się nisko. – Umowa była taka, że należysz do mnie całkowicie. Jesteś moja.

– Rozwodzę się z tobą – fuknęła na niego. – Tym razem nie żartuję. Rozwodzę się i każę ci zapłacić za wszystko.

– Nie możesz rozwieść się z kimś, z kim nie masz ślubu.

– O czym ty opowiadasz? Co to znaczy?

– Wydaje mi się, że za dużo wypiałś – stwierdził. – To twój problem, zbyt często zaglądasz do butelki. Jesteś zamężna, kochanie, ale nie ze mną.

– Nie wiem, do diabła, co ty opowiasz...

– Rozchyl nogi – zażądał.

– Co takiego? Craig, proszę, jeśli to Jack Belias próbuje nad tobą zapanować, postaraj mu się oprzeć. Proszę cię, Craig! Nazywasz się Craig Bellman, ja jestem Effie Bellman i jesteśmy małżeństwem. Mieszkamy w Sutton Buildings przy Wschodniej Osiemdziesiątej Szóstej w Nowym Jorku i... Craig, nie pozwól mu na to! Nie daj mu nad sobą zapanować!

– Rozchyl nogi – powtórzył. Effie zacisnęła mocniej uda.

– Craig... jeśli chcesz odwieźć mnie z powrotem do pensjonatu, w takim razie wsiądź do samochodu i odwieź mnie. Przerażasz mnie, Craig. Naprawdę mnie przerażasz.

Craig pochylił się jeszcze niżej i złapał ją lewą ręką za kark, mocno, ale niezbyt boleśnie.

– Rozchyl nogi albo skrucę ci kark. Wiesz, że jestem gotów to zrobić.

– Craig... – Oczy miała pełne łez. – Proszę cię, Craig, nie rób tego!

Zacisnął palce mocniej. Effie wydała z siebie wysoki, bolesny jęk.

– Wiesz, że jestem gotów to zrobić – powtórzył tym samym beznamiętnym tonem.

Trzęsąc się ze strachu, powoli rozchyliła uda. Nie odrywając wzroku od jej twarzy i wciąż lekko się uśmiechając, Craig wsunął między nie dłoń.

Kiedy wcisnął w nią wyprostowany środkowy palec, poczuła, jak na nagie piersi kapią jej ciurkiem łzy. Trzymał go w środku przez pięć albo dziesięć sekund, a potem wyjął.

– Mówiłem ci – oświadczył. – Należysz do mnie. Całkowicie.

Wtorek, 20 lipca, 23.36

Odczekała, aż przebrzmi warkot odjeżdżającego BMW, wstała z łóżka i ubrała się szybko w miękki sweter z białej angory i džinsy. Craig zabrał ze sobą klucz do pokoju i żeby móc dostać się do niego z powrotem, wsunęła między drzwi i framugę reklamówkę Pig Hill Inn. Stąpając na palcach zeszła po schodach i rozejrzała się ostrożnie po hallu na wypadek, gdyby się omyliła i to nie był jego samochód.

–Czym mogę służyć, pani Bellman? – zapytała uśmiechając się Wendy O'Brien. Effie odwzajemniła jej uśmiech.

–Dziękuję, nic mi nie trzeba. Nie mogłam po prostu zasnąć. Pomyślałam, że dobrze mi zrobi mały spacer.

–Nie chce pani szklanki gorącego mleka albo czegoś w tym rodzaju?

–Nie, dziękuję.

–Pani wybaczy, że pytam... ale czy wszystko jest w porządku?

–Jak najbardziej! Naprawdę świetnie się bawimy.

–Chodzi o to... to znaczy naprawdę nie chciałabym się wtrącać, ale słyszałam podniesione głosy dobiegające z państwa pokoju. A pani twarz...

–Wybrałam się na spacer po lesie niedaleko Walhalli i zaczęłam o gałąź dzikiej róży. Naprawdę nie ma się czym przejmować. I przepraszam, jeśli zakłóciliśmy komuś spokój. Odkąd kupiliśmy Walhallę, mój mąż jest bardzo podekscytowany i czasami go ponosi.

–To nie ma znaczenia, jeśli tylko dobrze się pani bawi, pani Bellman.

–Och, naturalnie.

Wyszła z pensjonatu i ruszyła ulicą w stronę Hungry Moon. Noc była ciepła i bezwietrzna. Księżyc pojawił się właśnie nad dachem Old Post Inn i oświetlił żarłoczne oblicze metalowego księżycy wiszącego nad sklepem Pepper. Effie nacisnęła dzwonek i przez chwilę czekała. Potem zadzwoniła ponownie. Przy końcu biegnącej w dół ulicy widać było Hudson River, połyskującą w mroku jak gęsta plama oleju.

W środku sklepu zapaliło się światło, a potem pojawiła się Pepper, potargana i ubrana wyłącznie w męską koszulę w paski. Zbliżyła twarz do szyby i z ruchu jej warg Effie domyśliła się, że pyta, o co chodzi.

–Wpuść mnie – odparła. – Coś się stało.

Pepper otworzyła drzwi. Effie weszła do środka i natychmiast poczuła suchy ziołowy zapach magicznych mikstur i potpourri.

–Już spałam – wyjaśniła Pepper. – Co się z tobą, do diabła, stało? Masz podrapaną całą twarz. Myślałam, że pojechaliście na kolację do Hudson Inn.

–Wybraliśmy się tam – odparła Effie, starając się mówić lekkim tonem. – Jednak Craig wrócił bardzo późno z Walhalli i oddali nasz stół komuś innemu. Craig dostał szału. Najpierw obraził kierownika sali, a później chciał przebić szpikulcem od lodu barmana.

–Nic mu nie zrobił?

–Och, nie. Ale przez sekundę myślałam, że go zadźga. Wyrzucili nas stamtąd i zagrozili, że wezwą policję. Nie potrafię ci powiedzieć, jak strasznie się wstydziłam. A

potem powiedziałam Craigowi, że ja będę prowadzić, ale on się nie zgodził. Oznajmiłam, że w takim razie wrócę do domu taksówką, i wtedy on zdarł ze mnie ubranie, żeby mnie powstrzymać.

–Co takiego?

Effie nagle zaczęła płakać. Nie mogła się po prostu powstrzymać. Przytuliła się do Pepper; jej szloch był tak głęboki i bolesny, że nie przypominał prawie wcale ludzkiego głosu.

–Zerwał ze mnie... zerwał ze mnie ubranie. Pośrodku parkingu. Po prostu je zerwał. Moją piękną sukienkę od Oscara Little'a. Wszystko. Nie mogłam nic na to poradzić. A on mówił i zachowywał się jak ktoś zupełnie inny...

–Sytuacja się pogarsza – stwierdziła Pepper. – Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Effie otarła oczy palcami.

–Powiedziałam, że się z nim rozwiodę, ale ja nie chcę się z nim rozwodzić. Nie z nim, nie z Craigiem. To wszystko wina tego człowieka, który nim zawładnął. Odzywa się do mnie, jakby w ogóle nie wiedział, kim jestem. Kiedy postraszyłam go rozwodem, odparł, że nie mogę się rozwieść z kimś, z kim nie mam ślubu.

–Boże Wszechmogący! To staje się znacznie poważniejsze, niż mi się z początku wydawało.

–Co chcesz przez to powiedzieć? Dlaczego?

–Ponieważ Jack Belias prawie kompletnie nim zawładnął. Twój mąż zaczyna wyglądać jak Jack Belias, mówić jak Jack Belias i zachowywać się jak Jack Belias. Zanim się zorientujesz, stanie się Jackiem Beliasem i stracisz go na zawsze.

–W ogóle tego nie rozumiem. Jak to możliwe, Pepper? Jak to możliwe?

–Nie wiem. Wiem tylko, że ścieżki czasu biegną równolegle i że w pewnych okolicznościach możemy widzieć ludzi z innych czasów i rozmawiać z nimi. Z przeszłości i być może także z przyszłości. Ludzie potrafią przenosić się w czasie, jeśli dysponują odpowiednim instrumentem, takim jak ta podłoga w Benton House. Wygląda jednak na to, że nikt nie może pozostać na stałe w innym czasie, jeśli nie dokona wymiany. Wymiany ciała...

–To znaczy?

–To znaczy, że Jack Belias chce żyć teraz, ale żeby to zrobić, musi wysłać Craiga w przeszłość. Szczerze mówiąc, nigdy nie wydawało mi się to możliwe. Czytałam o czymś takim w jednej z moich książek, w „Chroniconie”. Napisał go w siedemnastym wieku pewien hiszpański mnich. Dowodził tam, że pewni ludzie posługiwali się specjalnie zaprojektowanymi domami, żeby „przechodzić z jednego do drugiego pokoju w boskim pałacu, ale nie czynili tego w naturalny sposób”. „Poruszają się przy użyciu zegarów – napisał – zaprojektowanych pierwotnie przez Indian w Meksyku, którzy przepowiadali dzięki nim, jakie będą zbiory i jakie są najlepsze tygodnie na siew”. Nie używali tych zegarów zbyt często, wierzyli bowiem, że w przeszłości mieszkają demony, a jeszcze gorsze rzeczy mogą ich czekać w przyszłości. Co jakiś czas jednak wysyłali w przyszłość jednego albo dwóch niewolników lub przestępców, żeby dowiedzieć się, jaka będzie pogoda, i móc

odpowiednio zaplanować zasiewy, by nie tracić cennego czasu i nasion. Ci niewolnicy lub przestępcy czasami nie wracali, ale zamiast nich przybywał wówczas ktoś inny. Zastanawiam się, czy nie tego właśnie próbuje teraz dokonać Jack Belias... używając Craiga jako swego zastępcy, którego mógłby wysłać w rok tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy.

–Nie potrafię w to uwierzyć. Po prostu nie potrafię w to uwierzyć.

–Widziałaś to na własne oczy, Effie. Jack Belias zniknął w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym, ale teraz chce wrócić i posługuje się w tym celu Craigiem. Jego ciałem, jego intelektem, wszystkim.

–A ty?

–Cóż... ja czuję się w coraz większym stopniu jak tancerka z lat dwudziestych. I popatrz... miałam zamiar pokazać ci to jutro.

Rozpięła koszulę i obnażyła piersi. Zafascynowana Effie nie mogła się oprzeć, żeby ich nie dotknąć. Róże były teraz całkiem wyraźne, misternie i szczegółowo odrysowane i nasycone kolorami. Na jednym z kwiatów widać było nawet wytatuowane na płatkach krople rosy.

–Craig upodabnia się coraz bardziej do Jacka Beliasa, a ja do Gaby Deslys – powiedziała Pepper.

–Ale co się w końcu z nim stanie? – zapytała Effie. – Gdzie będzie, jeśli Jack Belias całkowicie nad nim zapanuje?

–Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

–Ale jeśli stracę Craiga...

–Po prostu nie wiem, Effie. Chciałabym to wiedzieć. Połowa z tego wszystkiego to tylko zgadywanki. Mogę się kompletnie mylić. Zawsze wierzyłam, że dni naszego życia nie odchodzą bezpowrotnie w przeszłość... że istnieją dalej i jeśli tylko ktoś potrafi, może do nich wrócić. Ale nigdy nie sądziłam, że ktoś, kto zmarł przed wielu laty, może zawładnąć ciałem i umysłem kogoś, kto żyje tu i teraz.

–To niemożliwe – stwierdziła Effie. – Wiem, że to niemożliwe. To musi być niemożliwe.

–W takim razie dlaczego Majowie używali swoich zegarów? Dlaczego Bractwo Balama skonstruowało tę podłogę? I dlaczego Jack Belias dokładnie ją skopiował?

–Nadal uważam, że to niemożliwe.

–Naprawdę nie widzisz, że to możliwe? To pierwsze racjonalne wyjaśnienie zagadki duchów, jakie ktokolwiek zaproponował. I pierwsze racjonalne wyjaśnienie, dlaczego ludzie znikają w tajemniczych okolicznościach. Oni nie znikają... przechodzą po prostu do innego „pokoju”.

Effie usiadła na stojącym za ladą małym krześle na kółkach.

–O Boże, Pepper. Jestem tak okropnie zmęczona i taka zdezorientowana.

Pepper ukucnęła przed nią i położyła jej ręce na kolanach.

–Uspokój się, kochanie. Nie poddawaj się. Spróbujemy sobie z tym poradzić. Spotkamy się jutro z Harrym Rondo i dowiemy wszystkiego, co się da, o Jacku Beliasie. Musimy odkryć, dlaczego on to robi i jak. To znaczy, czy robi to świadomie, czy dzieje się to jakby samo.

–Tak się boję o Craiga, Pepper. Tak się boję o nas oboje. Mam wrażenie, jakbym żyła z jakimś strasznym nieznajomym.

Pepper uścisnęła jej rękę. Starła się dodać Effie otuchy, ale nie potrafiła ukryć malującego się na jej twarzy zatroskania.

Środa, 21lipca, 11.32

Harry Rondo wyglądał na tak samo bliskiego śmierci jak na fotografii, którą zamieszczono na obwolucie jego książki. Mieszkał w pomalowanym na zielono obskurnym domku, położonym bliżej drogi numer 117 niż malowniczej wioski Pocantico Hills. Wjazd blokowała obwiązana zardzewiałymi łańcuchami zdezelowana brama, a domu pilnował agresywny cętkowany kundel.

Pepper nacisnęła klakson swojego pick-upa i po dłuższej chwili na progu pokazał się Harry. Obszedł dookoła sfatygowanego szarego lincolna continentala Mk IV, który stał zaparkowany przy drzwiach, gwizdnął ostro na psa i zaczął rozwiązywać gordyjski węzeł, który utrzymywał w pionowej pozycji skrzydła bramy.

–Było tu parę włamań – wyjaśnił. – Nie wiem, co chcieli ukraść. Nigdy nie trzymam w domu więcej niż sto dolarów, a mikrofalówka się zepsuła.

Szczupły i przygarbiony, miał podobną do trupiej czaszki głowę i przerzedzające się, zaczesane do tyłu włosy marmoladowego koloru, ufarbowane prawdopodobnie w domowej umywalce. Ubrany był w obsypaną popiołem z papierosów miękką szarą koszulę i workowate czarne spodnie, które mogły wydawać się szczytem elegancji w hawańskim kasynie około roku 1955. Miał jedną z tych dziwnych kanciastych twarzy, które przypominają kogoś znajomego.

–Wciąż nie jestem pewien, czy chcę z wami rozmawiać – rzucił przez ramię, prowadząc je w stronę domu. – To diabelnie ryzykowne. Jack Belias był niebezpiecznym facetem i założę się o wszystkie swoje pieniądze, że wciąż może być niebezpieczny.

–Ma pan na to jakiś dowód? – zapytała Pepper.

–Zależy, co pani uważa za dowód. Jeśli najgłębsze przekonanie jest dowodem, to tak.

Weszli do środka. Dom był duszny i zagracony; wszędzie leżały sterty książek i papierów. Obite tapetą w poźółkłe kwiaty ściany obwieszane były bez żadnego ładu i składu najprzeróżniejszymi fotografiami i drukami. Effie zobaczyła sepiową fotografię Ma-noela, byłego króla Portugalii, i jego pochodzącej z rodu Hohenzollernów żony, spacerujących po deptaku w Cannes – on bardzo elegancki, w kapeluszu z szerokim rondem i z laską w ręku, ona sprawiająca wrażenie znudzonej, w białym przylegającym do głowy kapelusiku i długim blezerze. Trochę dalej wisiały karykatury słynnych hazardzistów z lat dwudziestych, Berry'ego Walia i Solly'ego Joela, oraz oprawione w ramki karty dań ze Sporting Club, Rue Francois Premier w Paryżu i 43 Club w Londynie. Na menu Sporting Club wciąż widniała brązowa plama, pamiątka po sosie przyrządzonym i skonsumowanym pewnego wieczoru przed przeszło sześćdziesięciu laty.

Harry podszedł do zawalonego papierami biurka z zasuwanyim blatem, wyjął papierosa z rozdartej paczki cameli i zapalił go.

–Tylu ludzi ucierpiało z ręki Jacka Beliasa... tylu ludzi zrujnował lub upokorzył... Zaczęto wierzyć, iż samo wymienienie jego nazwiska może przynieść pecha. A wiecie panie, jak bardzo przesądni są gracze. Po wyjściu z wojska w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym zacząłem pisać artykuły i książki o hazardzie i hazardzistach i

oczywiście stale natykałem się na to jedno nazwisko: Jack Belias. Próbowałem porozmawiać o nim z moim ojcem, ale nie chciał. Próbowałem rozmawiać z kilkoma słynnymi karciarzami, ludźmi, którzy grali w bakarata z Beliasem w latach dwudziestych i trzydziestych. I z czym się zetknąłem? Z kompletną dziurą w pamięci. Wystarczyło, że powiedziałem „proszę opowiedzieć mi coś o Jacku Beliasie”, następowała całkowita amnezja.

Wypuścił dym, zakaszał i rozejrzał się dookoła.

–Może usiądziecie, panie? – zapytał. – Napijecie się kawy? Pewnie w to nie wierzycie, ale robię doskonałą kawę. Z wiórkami czekoladowymi.

Effie zebrała plik papierów z obitego zieloną tkaniną fotela i niezgrabnie na nim przycupnęła. Pepper udało się znaleźć jakiś kuchenny stół.

–Czy to pani jest osobą, która kupiła Walhallę? – zapytał Harry, zwracając się do Effie.

–To był bardziej pomysł mojego męża niż mój. Mnie ten dom wcale się nie podoba.

–Nie obawia się pani, że opowiadając o tym, co się tam wydarzyło, napędzę pani tylko stracha? Nie chciałbym zniechęcać pani do zamieszkania w Walhalli.

–Ona musi wiedzieć, podobnie jak ja – powiedziała Pep-per. – Pan nie ma pojęcia, co się tam teraz dzieje. Effie miała rodzaj wizji na jawie, że tańczy boso po rozbitym szkle, a kiedy się ocknęła, okazało się, że ma pokaleczone stopy. Innym razem słyszała płaczącą w jednej z sypialni na górze kobietę i widziała schodzącego po schodach dziwnego mężczyznę. Ja też tam byłam i widziałam całe wnętrze, tak jak wyglądały kiedyś, z meblami, lustrami i wszystkim...

Przerwała i po chwili dodała:

–Będąc tam, uwierzyłam, że nazywam się Gaby Deslys, że jestem tancerką i że Jack Belias i ja jesteśmy kochankami. Nie byłam jednak Gaby Deslys, a Jack Belias nie był Jackiem Beliasem. Był w rzeczywistości mężem Effie, Craigiem Bellmanem.

Harry zaciągnął się papierosem i pokiwał głową, a potem znalazł sobie krzesło na kółkach i przysunął je bliżej.

–Zawsze to powtarzałem – oświadczył. – Jack Belias nigdy nie umarł. Przynajmniej nie tak, jak umierają zwyczajni ludzie. Zostawił samochód niedaleko Bear Mountain Bridge, bo chciał, żeby wszyscy pomyśleli, że ze sobą skończył. Ale wcale tego nie zrobił. Przeszedł tylko, ujmując to metaforycznie, z jednego pokoju do drugiego. A potem przychodził tu od czasu do czasu, szukając kogoś, kto byłby od niego słabszy, kto potrzebował tego, co mógł mu zaoferować, to znaczy siły, rozumiecie mnie panie? Siły i całkowitego braku skrupułów... kiedy nie dba się o to, kogo i jak głęboko krzywdzimy i czy to jest usprawiedliwione, czy nie. No i jurności. Jack Belias był bardzo jurnym mężczyzną, potrzebował seksu tak, jak większość ludzi potrzebuje powietrza, i posługiwał się tą swoją jurnością, żeby dominować nad ludźmi.

–Więc co takiego wydarzyło się w Walhalli? – zapytała Effie. Nie mogła przestać myśleć o Craigu, o tym, co się z nim działo w dniach po „wypadku”. Niczego nie potrzebował wtedy bardziej desperacko niż siły i jurności. Jeśli Harry Rondo miał

rację, Jack Belias dopadł go w najgorszym możliwym momencie.

–Skoro chce pani zrozumieć, co zdarzyło się w Walhalli, musi pani zrozumieć, kim był Jack Belias – powiedział Harry. – Co go ukształtowało, jakie były jego motywacje. Przez całe lata krążyłem między jednym a drugim brzegiem Atlantyku, próbując dowiedzieć się o nim wszystkiego, co mogłem. Ostatecznie sprowadziło się to do kilku niezbitych faktów, setki domysłów i tysiąca zagadek. Tak jak już paniom powiedziałem, jedynym dowodem jest moje najgłębsze przekonanie. Chcecie poznać sprawdzone fakty? Jack Belias urodził się zimą roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego jako Craig Henry Belias w Pittsburghu w Pensylwanii. Jego ojcem był Walter Craig Belias, główny kasjer w First National Bank w Pittsburghu. Matka nie widziała świata poza małym Jackiem i zepsuła syna tak bardzo, że ojciec zagroził, iż wyśle go do szkoły z internatem. Annette Belias zmarła w roku tysiąc dziewięćset szóstym, kiedy Jack miał dziewięć lat, w wyniku komplikacji, które nastąpiły po urodzeniu córki, Lily. Z tego co wiem, Jack nigdy nie wybaczył swojej siostrze, że zabiła jego matkę, nigdy też nie wybaczył swojej matce, że zdradziła go dla innego dziecka. Od tego czasu miał generalnie bardzo negatywne zdanie na temat kobiet.

–Czy mamy na to jakiś dowód? – zapytała Pepper.

–O tak, naturalnie. W gazetach w Pittsburghu ukazały się w roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym i dwudziestym drugim doniesienia o niejakim Jacku Beliasie, który porywał i torturował prostytutki. W pierwszym przypadku oskarżono go o to, że przez siedem dni więził prostytutkę Mary O'Hagan i przybił jej piersi do kuchennego stołu. W drugim przypadku wepchnął pustą butelkę po dżinie w prostytutkę Georginę French i wlał do butelki wrzącą wodę.

–O mój Boże – westchnęła Pepper. – Nie mogę nawet o tym myśleć.

–Cóż, powiadają, że innym kobietom robił jeszcze gorsze rzeczy... ale przypadki, o których wspominałem, były jedynymi, kiedy dysponowano jakimiś dowodami. W końcu jednak uniewinniono go, mimo że kilka osób, wśród nich prokurator stanowy, Nathan Tidyman, oskarżało go o przekupienie ławy przysięgłych. Cztery tygodnie po ostatecznym wyroku uniewinniającym odnaleziono zwłoki Tidymana w przewróconym samochodzie. Miał złamany kark.

W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim Jack Belias objął posadę młodszego księgowego w Penn Textiles. Miał taki łeb do interesów, że w ciągu pierwszych sześciu miesięcy zarobił dla firmy setki tysięcy dolarów, a pod koniec pierwszego roku pracy mianowany został głównym księgowym. Wkrótce kierował całą działalnością Penn Textiles, łącznie z kupowaniem surowej bawełny na giełdzie w Memphis. Wiosną tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego dokooptowano go do rady nadzorczej, a zimą praktycznie objął kontrolę nad całą korporacją. Wydawał masę forsy na wszelkiego rodzaju eksperymenty z nowymi tkaninami i w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym wyprodukował bylon, który nie był prawdziwym syntetykiem, nie czymś w rodzaju nylonu, ale przetworzoną chemicznie bawełną, która nie gniotła się tak bardzo jak naturalna.

Bylon przyniósł mu fortunę. Tkanina ta dominowała na światowym rynku aż do

roku tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego, kiedy W. H. Carothers odkrył nylon 6:6. W ciągu trzech lat Penn Textiles zostało wyeliminowane z rynku, ale w tym czasie Jack Belias już nie żył. Albo przeprowadził się do innego pokoju, w zależności od tego, jakiego wolą panie użyć określenia.

W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym Jack Belias wart był ponad jedenaście milionów dolarów. Zaczął podróżować i uprawiać hazard, został stałym bywalcem Deauville, Monte Carlo i Biarritz. Nie siadał do stolika, żeby wygrywać pieniądze, ale żeby rujnować ludzi. To właśnie go podniecało. Traktował kobiety jak błoto, a mężczyzn jak swoje potencjalne ofiary. Rozmawiając z osobami, które znały Jacka Beliasa, nie znalazłem wśród nich ani jednej, która by się go nie bała. O mało nie doprowadził do bankructwa Nico Zographosa z Syndykatu Greckiego... wielu innych nie było tak sprytnych i nie miało tyle szczęścia. Bezczęścił ich żony i odbierał im pieniądze.

–Ale przecież się w końcu ożenił? – zapytała Effie.

–Oczywiście... ożenił się z francuską aktorką filmową, Jeannette Duclos. Była bardzo piękna, nie ma co do tego dwóch zdań. Grała w Au Revoir, Campagne i Notre Joie. Widziały może panie te filmy? Powinnyście je zobaczyć. Są stare, czarno-białe, ale oglądając je, zapłaczeć nad losem Jeannette Duclos.

–Ona umarła, prawda? – zapytała Effie.

Harry rozgniół papierosa w wypełnionej niedopałkami popielniczce, ozdobionej godłem hotelu Ritz w Paryżu.

–Tak, umarła. W tajemniczych okolicznościach, jak ujmują to autorzy większości książek. Ale ja sprawdziłem protokół lekarski: jej śmierć nie ma w sobie nic tajemniczego, absolutnie nic. Jediną zagadką jest, ile Jack Belias zapłacił koronerowi, żeby ten napisał w świadectwie zgonu wszystko oprócz tego, co się rzeczywiście zdarzyło.

–A co się zdarzyło? – zapytała Pepper.

–Naprawdę chcecie to wiedzieć?

–Jeśli pan nam nie powie, nie będziemy wiedzieć, z czym przyjdzie się nam zmierzyć.

–Z własnym pogrzebem – odparł Harry. – Jeannette Duclos umarła, podpalając sobie głowę.

–Co takiego zrobiła?! – zawołała Pepper.

–Belias chciał mieć dzieci. Chciał mieć syna i spadkobiercę, kogoś, kto mógłby nosić jego nazwisko. Widziałyście jego herb i wyryte na nim motto: Non omnis moriar... Nie całkiem umrę. Nie potrafił pogodzić się z tym, że jest śmiertelny. Wierzył, że będzie żyć wiecznie, jeśli tylko odprawi odpowiednie rytuały i odmówi właściwe modlitwy. Mimo to pragnął syna i spadkobiercy w przypadku, gdyby rytuały i modlitwy nie odniosły skutku. Nie wiedział jednak, że Jeannette poddała się w wieku trzynastu lat nielegalnej aborcji i nie mogła już mieć dzieci. Ponieważ żona wciąż nie dawała mu upragnionego potomka, obrzucał ją obelgami. Mam kilka relacji naocznych świadków, którzy widzieli, jak spoliczkował ją i wyzwał w Golf Hotel w Le Touquet. Wrzeszczał na nią w Palm Court hotelu Plaža w Nowym Jorku, nazywając ją

jałową wredną dziwką. Słyszał to Harold Ross, facet, który założył New Yorkera. Można o tym przeczytać w jednym z jego pamiętników.

Niespełna miesiąc później Belias wydał wielki bankiet w Wal-halli. Przyjechali tam prawie wszyscy. Były tańce, sztuczne ognie i trzydziestoosobowa orkiestra. Naoczni świadkowie twierdzą, że Belias spędził cały wieczór z tancerką Gaby Deslys. A potem, pod sam koniec wieczoru, na salę balową weszła Jeannette. Wyglądała, jakby świeżo umyła włosy. Nikt nie wiedział, że zanurzyła głowę w wiadrze benzyny. Przeszła przez całą salę, stanęła przed Beliasem i zapaliła zapałkę.

Harry zapalił kolejnego camela.

–Przyjechała policja, jednak wszyscy twierdzili, że kiedy to się stało, nie było ich na sali. „Wyskoczyłem akurat na papierosa do biblioteki”, „Byłem w toalecie”, „Dzwoniłem właśnie do mojej ciotki Matildy”. Ale mnie udało się porozmawiać z kilkoma uczestnikami bankietu. Wszyscy opowiadają w gruncie rzeczy to samo, tyle że jedni twierdzą, że Jeannette biegała krzycząc po całej sali, a inni, że tańczyła, tańczyła dla niego z płonąca głową.

–A Gaby Deslys? – zapytała Pepper. – Co się z nią

–Miała chyba sporo szczęścia. Beliasowi przez dłuższy czas nie szła karta i stracił tyle pieniędzy, że się rozstali. Miał potem mnóstwo kochanek. Z niektórymi zdołałem porozmawiać. Wszystkie opowiadały, jak bardzo był okrutny. Uwielbiał zadawać im ból, a one, młode, głupie i odurzone narkotykami, pozwalały mu robić ze sobą wszystko, co chciał. Miał stajnię i niektóre robiły to nawet z końmi, na jego oczach.

Effie przytknęła dłoń do ust. Nie jadła tego ranka śniadania i dusił ją dym unoszący się z papierosa Harry'ego.

–Przepraszam – powiedział Harry. – Nie zamierzałem pani urazić. Ale chciały panie wiedzieć, a z tego, co wszyscy opowiadają, tak to mniej więcej wyglądało.

–Jak to się skończyło? – zapytała Effie. – Dlaczego Jack Belias musiał zniknąć?

–Krażą na ten temat różne plotki i trudno stwierdzić, co jest, a co nie jest prawdą. Jedno jest pewne... Wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego Jack Belias zaprosił na weekend do Wal-halli jedenastu swoich przyjaciół. Mieli przez cały czas grać w ba-karata. Urządzał tego rodzaju imprezę raz w roku i była to nie lada okazja, ponieważ zawsze trzymał wtedy bank i przestrzegał zasady, którą Syndykat Grecki wprowadził w Deauville, pozwalającą na tout va, co oznaczało, że nie obowiązywał żaden górny limit proponowanych przez gości stawek.

–Słuchając tego, co pan o nim opowiada, dziwię się, że w ogóle odwiedzali go jacyś goście – powiedziała Effie.

–Chciało się z nim zmierzyć więcej graczy, niż mogła pomieścić Walhalla. Prawie wszyscy grający w bakarata karciarze po obu stronach Atlantyku mieli ochotę złamać dobrą passę Jacka Beliasa, a on co rok dawał im tę szansę, pojąc ich winem i karmiąc, i co rok pomnażał swoją fortunę. Ten człowiek mógł być Szatanem, ale grał w bakarata jak sam Bóg. Nikt nie zna nazwisk wszystkich gości, którzy złożyli mu wówczas wizytę, ale byli wśród nich na pewno Nico Zographos i Val Castlerosse, a także Michael Arlen, Remy Morse, Karl Marjorian i Douglas Broughton. Większość z tych ludzi przyjechała, żeby wyrównać stare porachunki, odebrać choćby część

pieniędzy, które Belias wygrał od nich w poprzednim roku. Ale Broughton potrzebował czegoś więcej. Latem tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku Belias ograł go na przeszło milion funtów szterlingów, które Broughton zmuszony był pożyczyć od swojej własnej firmy, Broughton Steelworks. Musiał sprzedać swój wiejski dom w Anglii, swój zamek we Francji i swój apartament przy Piątej Alei. Nie szukał wyłącznie rewanzu. Wiedział, że jeśli się nie odegra, grozi mu całkowite bankructwo.

Harry podszedł do ściany, zdjął z niej oprawną w ramki fotografię i podał ją Effie. Przedstawiała siedzącego w ogrodzie, mniej więcej pięćdziesięcioletniego przystojnego mężczyznę o prostodusznej twarzy, ubranego w trzyczęściowy drogi garnitur, getry i kapelusz z szerokim rondem. Miał białe wąsy, białą koźłą bródkę, pierścienie na palcach i minę, która mogła świadczyć, że przed chwilą powiedział coś bardzo komicznego. Obok, na niskim murku, siedziała o wiele od niego młodsza kobieta, z ostrzyżonymi na pazia ciemnymi lśniącościami włosami i dużymi ciemnymi oczyma. Była bardzo piękna – a dodatkowego uroku dodawało jej to, że chyba nie była tego świadoma: wyglądała jak wcielenie erotycznej niewinności. Miała na sobie krótką białą sukienkę o niskiej talii, z przypiętą na biodrze wielką kokardą, i białe pończochy. Na jej wargach błąkał się uśmiech, ale Effie nie mogła się oprzeć przekonaniu, że uśmiecha się do własnych myśli, a nie dlatego, że jej towarzysz powiedział coś śmiesznego.

–To jest Douglas Broughton? – zapytała Pepper.

–Zgadza się. A ta kobieta, która siedzi na murku, to jego żona Giną. Była od niego dwadzieścia trzy lata młodsza. W tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku zdobyła tytuł Miss Pittsburgha. Douglas zobaczył jej zdjęcie w gazecie, kiedy odwiedzał US Steel Corporation w Pittsburghu, i natychmiast wysłał do jej domu szofera z dwoma tuzinami róż i zaproszeniem na kolację. Trudno było się temu oprzeć, nieprawdaż?

–W porównaniu z nim wygląda jak dziecko – stwierdziła Effie.

–Owszem. Spotykając ich po raz pierwszy, ludzie brali na ogół Ginę za jego córkę. Ale była w nim bardzo zakochana i absolutnie mu oddana. Nawet kiedy stracił majątek i musieli sprzedać swoje domy i samochody, wciąż stała przy jego boku i robiła, co mogła, żeby dodać mu otuchy. Douglas Broughton wierzył, że Giną przynosi mu zawsze szczęście i że przegrywa tylko wtedy, gdy jej przy nim nie ma. Dlatego właśnie zabrał ze sobą Ginę do Walhalli tej wiosny.

Harry zgniótł papierosa i dodał po chwili:

–To była najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobił.

–Co się stało? – zapytała Effie.

–Grali oczywiście w bakarata. Val Castlerosse wygrał prawie osiem tysięcy dolarów w ciągu pierwszych kilku godzin i mogło się wydawać, że szczęście dopisuje również Douglasowi Broughtonowi. O północy w piątek był do przodu na szesnaście tysięcy i jak twierdzi Michael Arlen, naprawdę się rozgrzał. Ale Broughton grał systemem Martingale'a, co oznacza, że po każdej przegranej partii podwajał stawkę, żeby odzyskać to, co stracił. Martingale jest wspaniałą, kiedy sprzyja człowiekowi

szczęście. Kiedy jednak karta nagle się odwraca, to najlepszy sposób, żeby wykopać sobie grób. Już o drugiej w nocy z piątku na sobotę Broughton był do tyłu na jedenaście tysięcy. Inni przegrywali także. Wyglądało na to, że Jack Belias jest niepokonany.

Harry sięgnął po następnego papierosa, ale nagle znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać, jakby wydawało mu się, że ktoś wszedł przez frontowe drzwi.

–Wszystko w porządku? – zapytała go Pepper.

–Miałem po prostu jedno z tych przeczuć.

–Jedno z jakich przeczuć?

–To powtarza się za każdym razem, kiedy opowiadam o Jacku Beliasie. Może sam napędzam sobie stracha. Ale wciąż wydaje mi się, że on stoi tuż za drzwiami i podsłuchuje.

–Nic nie czuję – stwierdziła Pepper.

Harry nasłuchiwał jeszcze przez chwilę i potrząsnął głową, jakby dziwił się własnemu przeculeniu.

–To chyba głupota. Jednak zawsze powtarza się to samo. Zacząłem pisać o nim kiedyś artykuł i wciąż zacinała mi się maszyna. Napisałem mniej więcej pół strony i dałem sobie spokój.

Zapalił kolejnego camela i zaciągnął się nim z rozkoszą jak człowiek, który nie palił od tygodnia.

–Naprawdę nie wiem, czego się boję. Ale z drugiej strony wcale nie mam ochoty się dowiedzieć.

–Czy Jack Belias wygrywał przez całą noc? – zapytała Effie.

–Tak jak wam mówiłem, grał jak Bóg. Do świtu wszyscy stracili tyle pieniędzy, że zagrozili, iż odejdą od stolika i nie zostaną do końca weekendu. Belias wysunął wtedy pewną propozycję. Jeżeli są prawdziwymi graczami, każdy z nich powinien postawić jakąś rzecz, którą w życiu ceni najbardziej... rzecz, której utraty nie mógłby znieść.

Żaden z nich nie zdradzał z początku większego zainteresowania, jednak potem Belias powiedział, że sam zagra o Walhallę i o wszystko, co się w niej znajduje, i była to zbyt wielka pokusa, by któryś z nich mógł się oprzeć. Nie wiem, o co grał Val Castlerosse, ale Michael Arlen zaproponował prawa autorskie do „Zielonego kapelusza”, a była to wtedy jego najlepiej sprzedająca się powieść. Remy Morse założył się o swój jacht, a Karl Marjorian o swojego najlepszego konia wyścigowego. Douglas Broughton nie miał ani jachtu, ani koni, ani domów, nic. Miał tylko udział w należących do jego rodziny zakładach metalurgicznych i swoją żonę.

Giną nie chciała słyszeć o tym, żeby zaryzykował utratę całego swego majątku, i zaproponowała zamiast tego siebie. Przez trzy dni i trzy noce zwycięzca mógł robić z nią wszystko, co chciał.

–Mój Boże, nie mogę w to uwierzyć – powiedziała Effie.

–Widziałem graczy, którzy grali o coś więcej niż o swoje żony – oświadczył Harry, odgarniając ręką dym. – Teraz może się to wydawać niewiarygodne, ale pamiętajcie panie, że Douglas Broughton był w rozpacz, chciał popełnić samobójstwo, a Giną

zrobiłaby dla niego wszystko. Taką już była kobietą. Nie wiem, jak się dokładnie umówili. Każdy gracz mógł chyba przegrać określoną liczbę partii, zanim musiał oddać to, co postawił. Tak czy owak, Jack Belias potrzebował mniej niż godziny, żeby wygrać wszystko, łącznie z Giną Broughton.

–A ona rzeczywiście została z nim przez trzy dni i trzy noce? Harry zaniósł się kaszlem i potrząsnął głową.

–Została z nim przez osiem miesięcy. Nikt nie wie, dlaczego. Towarzyszyła mu wszędzie, gdzie się pojawił, a mimo to traktował ją gorzej niż psa. Popisywał się nią na każdym wydawanym przez siebie przyjęciu, pokazując, jak bardzo jest posłuszna. Robiła wszystko, o co ją poprosił. Któregoś razu nałożył łyżkę kawioru na czubek swojego buta i kazał jej w obecności wszystkich gości uklęknąć i zlizać go. Innym razem zmusił ją, żeby zrobiła dokładnie to, co przydarzyło się pani: żeby tańczyła boso po rozbitych kieliszkach od szampana. Kiedy byli sami, robił jej zapewne znacznie gorsze rzeczy, jednak nikt nie wie tego na pewno.

–Czy Douglas Broughton nie próbował jej odzyskać? – zapytała Pepper.

–Oczywiście. Wezwał nawet policję i oskarżył Beliasa o porwanie. Ale kiedy gliniarze przyjechali do Walhalli i poprosili o spotkanie z Giną, ta oświadczyła, że została z Beliasem z własnej woli, więc nie mogli nic zrobić.

–I co się z nim stało?

–Z Broughtonem? Nic szczególnego. Stracił kontrolę nad swoją hutą. Zbankrutował, a potem zachorował na Parkinso-na i w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym zmarł w szpitalu dla ubogich w Anglii. W jego pogrzebie uczestniczyły raptem trzy osoby. Skończył tak samo jak wszyscy, którzy próbowali zmierzyć się z Jackiem Beliasem: zrujnowany, zdradzony i upokorzony.

–A co stało się z Giną? – zapytała Effie.

Harry podszedł do swego biurka, otworzył jedną z bocznych szuflad, wyjął z niej połówki ze starości wycinek gazety i podał go jej ostrożnie, jakby to była święta relikwia.

Wycinek pochodził z Poughkeepsie Sentinel, z 11 listopada 1937, i nosił tytuł: **ŚMIERTELNY UPADEK NIEWIDOMEJ CIĘŻARNEJ. SPADŁA PROSTO NA SZTACHETY, ALE DZIECKO UDAŁO SIĘ URATOWAĆ**, informowano w podtytule.

„Funkcjonariusze policji i straży pożarnej – brzmiała treść notatki – których wezwano wczoraj wieczorem do Walhalli, pałacowej rezydencji tekstylnego magnata Jacka Beliasa, odkryli, że niedawno ociemniała żona jego bliskiego przyjaciela i wspólnika w interesach rzuciła się z okna na drugim piętrze i spadła prosto na żelazne pręty ogrodzenia trzydzieści stóp niżej.

Pani Giną May Broughton (lat 32), żona brytyjskiego milionera i potentata branży stalowej, Douglasa Broughtona (lat 55), z którym pozostawała w ostatnim czasie w separacji, zmarła krótko po przewiezieniu do Poughkeepsie Memorial Hospital. W sierpniu pani Broughton straciła wzrok w wypadku i od tego czasu trwała w stanie głębokiej depresji.

Lekarze stwierdzili, że pani Broughton była mniej więcej w siódmym miesiącu ciąży. Po jej śmierci dokonano cesarskiego cięcia i umieszczono dziecko w

inkubatorze. Noworodek, jak udało nam się ustalić, płci męskiej, znajduje się w ciężkim stanie, ale powinien przeżyć.

Kiedy doszło do śmiertelnego wypadku, pan Belias (lat 40) przebywał na terenie rezydencji, ale odmówił wszelkich komentarzy na temat tego tragicznego wydarzenia. Nie chciał także powiedzieć, jak bliskie stosunki łączyły go z panią Broughton i czy to on jest ojcem dziecka, które nosiła w swoim łonie".

Harry wręczył Effie kolejny wycinek, datowany następnego dnia. **ZNIKNIĘCIE TEKSTYLNEGO MAGNATA.** Notatka mówiła o odnalezieniu samochodu Jacka Beliasa, pozostawionego niedaleko Bear Mountain Bridge z otwartymi drzwiami i zapalonymi reflektorami. Sam Jack Belias zaginął bez wieści. Podejrzewano, że mógł się utopić, ale w Hudson nie odnaleziono żadnego ciała, mimo że poziom rzeki był wyjątkowo niski z powodu suchej zimy.

–To wszystko? – zapytała Effie. – To wszystko, co pan wie?

–To wszystko, co wiem. I tak duża część tego, co powiedziałem, opiera się na domysłach i spekulacjach. Ze wszystkich gości, którzy przyjechali do Jacka Beliasa w tamten weekend, gotów był się ze mną spotkać tylko jeden, Remy Morse, a kiedy z nim rozmawiałem, miał osiemdziesiąt siedem lat i mówił czasami od rzeczy. Twierdził jednak, że dokładnie pamięta chwilę, kiedy Douglas stracił Ginę. Powiedział, że ryknął wówczas niczym śmiertelnie ranione zwierzę. Jestem w stanie w to uwierzyć. Odbierając mu Ginę, Jack Belias zabił go. Było to dokładnie tak, jakby wyjął nóż i wbił mu w samo serce.

–Ale dlaczego Giną została z nim tak długo? – chciała wiedzieć Effie. – Miała zostać tylko trzy dni. Dlaczego to trwało aż osiem miesięcy? Co on jej takiego zrobił? I w jaki sposób straciła wzrok?

–Na temat utraty wzroku nic nie wiem – odparł Harry. – Szeryf wszczął śledztwo, ale potem nagle je zamknął. Może ktoś mu zapłacił. A co się tyczy tych ośmiu miesięcy, wasze domysły są równie dobre jak moje. Dlaczego niektóre kobiety zostają z mężczyznami, którzy je biją? To, że są bite, sprawia, że czują się pożądane. To, że są bite, podwyższa poziom adrenaliny w ich krwi i wnosi trochę ekscytacji w ich życie. Nie wiem, co Jack Belias zrobił Ginie Broughton, i nie sądzę, żebym się kiedykolwiek dowiedział, ale moim zdaniem było to coś gorszego niż wszystko, co potraficie sobie wyobrazić, i w końcu nawet ona nie mogła tego znieść. Pomyślcie tylko: co mogłoby skłonić którąś z was do skoku z okna w siódmym miesiącu ciąży, kiedy macie dziewięćdziesiąt procent pewności, że zabijecie również dziecko?

–Wciąż boi się pan Jacka Beliasa? – zapytała Pepper.

–Niech mi pani poda choć jeden powód, dla którego miałbym się go nie bać.

–Umarł w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku. Harry przyjrzał się jej z ukosa.

–Nie wierzy pani w to podobnie jak ja. Dlatego pani tu przyjechała. Wierzy pani, że Jack Belias wciąż żyje w Walhalli. Wierzy pani, że chce przenieść się z przeszłości w dzień dzisiejszy i żeby to zrobić, posługuje się ludźmi... tak, jak obecną tu panią Bellman i jej mężem.

Effie nie musiała pytać, czy Jackowi Beliasowi uda się w końcu przenieść w dzień

dzisiejszy. Widziała, co dzieje się z Craigiem – w jaki sposób zmieniają się rysy jego twarzy, obniża tembr głosu, wygładza skóra. Widziała zmiany w Pepper, zmiany, które nie ograniczały się tylko do róż wytatuowanych na piersiach. Najbardziej jednak niepokoił ją sposób, w jaki zmieniała się sama. Pozornie była dalej sobą, zaczęła jednak podejrzewać, że robi się coraz słabsza, coraz bardziej uległa i że wkrótce nie będzie niczym więcej jak posłuszną odmóżdżoną marionetką, gotową, jeśli jej każą, lizać mężczyzn po butach, tańczyć po rozbitym szkłe, otwierać ciało i duszę na wszystko, co chcą jej zrobić.

Najgorsze było to, że owo poczucie degradacji dziwnie ją podniecało. Pragnęła być obnażana, wykorzystywana, karana w obecności innych ludzi. Pierwsza kobieta uczyniona została w końcu z błota. Dlaczego się w nim nie tarzać? Dlaczego próbować się z niego wyczołgać?

–Jack Belias zbudował ten dom, ponieważ chciał żyć wiecznie – dodał po dłuższej chwili Harry. – Z tego, co mówią ludzie, wynika, że uważał się prawie za świętego. Miał zamiar napisać własną Biblię, własną księgę magii, etyki i objawień. Megalomańskie bzdury, oczywiście. Ale jeśli uda wam się kiedykolwiek znaleźć jego pamiętniki, dowiedziecie się być może, dlaczego Giną postanowiła z nim zostać i co zdarzyło się owej nocy, kiedy rzuciła się z okna.

–Co się stało z jej synem? – indagowała Pepper. – Czy przeżył?

–Nie mam pojęcia. Jeśli umarł, poddano go kremacji. Jeśli przeżył, ma teraz pięćdziesiąt osiem lat.

–Czy ma pan jakieś zdjęcia Jacka Beliasa? – zapytała Effie. – Udało mi się znaleźć tylko jedno.

–Z tego co wiem, istnieje tylko jedna jego fotografia – powiedział Harry, sięgając do brązowej koperty i wyjmując z niej zdjęcie Jacka Beliasa na deptaku w Deauville. – Czy to jest to, które pani znalazła?

Effie wzięła odbitkę i kiwnęła głową. Ale potem przyjrzała się zdjęciu uważniej i poczuła, jak po plecach przechodzą jej zimne ciarki.

–Spójrz – powiedziała, wręczając fotografię Pepper. Nie było żadnych wątpliwości. Mężczyzna na zdjęciu stał w tym samym miejscu i w tej samej pozycji, co Jack Belias w książce, którą wypożyczyła Effie. Ale twarz miał inną. Przypominał wyraźnie Craiga.

–Coś się stało? – zapytał Harry. – Tak pani zbladła Gdzieś w głębi domu Effie usłyszała zamykające się cicho drzwi. Była pewna, że słyszy lekkie, przemierzające przedpokój kroki mężczyzny w wizytowych półbutach. Mężczyzny, który podsłuchuje cię, kiedy się tego najmniej spodziewasz. Złego, niemoralnego mężczyzny, który rzuca ludzi na kolana tylko dlatego, że może to zrobić.

Środa, 21 lipca, 15.01

Kiedy wróciła do Pig Hill Inn, przed wejściem czekali na nią porucznik Hook i sierżant Winstanley. Obaj sprawiali wrażenie zmęczonych i zgrzanych. Towarzyszył im korpulentny zastępca szeryfa, który bez przerwy odchrząkiwał i mrugał oczyma.

–Dzwoniliśmy wcześniej – powiedział porucznik Hook – ale nie było pani.

–Wybrałam się na wycieczkę po okolicy – odparła ostrożnie Effie.

–Nie pojechała pani razem z mężem?

–Pojechałam z przyjaciółką. Mąż jest bardzo zajęty, załatwia sprawy związane z naszym nowym domem.

–Pani Bellman... czy odwiedziła pani wczoraj wieczorem razem z mężem Hudson Inn?

–Tak, zgadza się. Mieliśmy tam zjeść kolację. Dlaczego pan pyta?

–Mieliście tam zjeść kolację, ale nie zjedliście?

–Zgadza się. Spóźniliśmy się, a oni posadzili przy naszym stoliku kogoś innego, więc wyszliśmy.

–Spokojnie?

–Słucham?

–Czy wyszliście stamtąd państwo spokojnie, czy też doszło do małej awantury? Do konfliktu między pani mężem a personelem? Chodzi mi o to, czy wzruszyli państwo po prostu z rezygnacją ramionami i wyszli, czy też raczej wyrzucono was z lokalu?

–Męża poniosły być może w pewnej chwili nerwy. Nie chcę mówić na ten temat nic więcej.

–Pani mąż zachowywał się w sposób agresywny i obraźliwy i został wyprowadzony z sali. Czy to nie jest bliższe prawdy?

–Sprowokowali go! Posadzili przy naszym stoliku tych... – Effie przerwała nagle, uświadamiając sobie, co mówi.

–Tak? – zapytał cierpliwie porucznik Hook. – Posadzili przy waszym stoliku tych...?

Effie przez dłuższy czas milczała.

–Tych ludzi – dokończyła w końcu. – Dali nasz stolik tym ludziom. Ubrani byli chyba w poliester.

Zdawała sobie sprawę, że to co mówi, jest chore. Wiedziała jednak, że nie bacząc na nic musi bronić męża. Craig postępował irracjonalnie, ale to nie było ważne. Ważne było, żeby trzymali się razem, żeby pomóc Craigowi i dać mu to, czego żądał, wszystko, czego żądał. Na samą myśl o tym ogarnęło ją podniecenie.

–Byłem wczoraj wieczorem w biurze prokuratora – powiedział sierżant Winstanley. – Iz tego, co tam słyszałem, posiadanie poliesterowego ubrania nie stanowi jeszcze przestępstwa.

–Pani mąż groził barmanowi, prawda? – zapytał porucznik Hook. – Mamy na to mnóstwo świadków.

–Był po prostu podenerwowany. Chcieliśmy spędzić miły wieczór i skończyło się to tak bez sensu.

–O wiele gorzej skończyło się to dla barmana. Nazywał się Michael Shelby, miał dwadzieścia pięć lat i za sześć tygodni miał się żenić.

–Ale Craig nic mu nie zrobił. Nawet go nie dotknął.

–Ktoś musiał go dotknąć. Jego zwłoki znaleziono na parkingu mniej więcej pół godziny po zamknięciu lokalu. Ktoś poderżnął mu gardło rozbitym kuflem od piwa, a potem okaleczył twarz. Obciął mu nos i wargi, jeśli chce pani poznać całą prawdę.

Effie przycisnęła dłoń do ust. Miała wrażenie, jakby czas zwolnił swój bieg, jakby całe gorące popołudnie zastygło w kropli bursztynu. Widziała dokładnie każdy szczegół otoczenia: spojenia cegieł na murze za ramieniem porucznika Hooka i blade liście bluszczu, które kołysały się powoli niczym chusteczki machających komuś na pożegnanie sierot. Widziała nie wygolone ciemne włoski na górnej wardze porucznika Hooka i rozwidloną bliznę na policzku sierżanta Winstanleya.

Winstanley sięgnął do kieszeni i wyjął z niej plastikową torebkę, taką, w jakich policja przechowuje dowody rzeczowe. Effie przyjrzała się jej z ukosa, jakby bała się popatrzeć wprost. Zobaczyła poplamioną krwią dziewiątkę karo.

–Tę kartę znaleziono na zwłokach. Miejscowy szeryf natychmiast przypomniał sobie morderstwa na Manhattanie i zadzwonił do nas od razu wczoraj w nocy.

–Ale te morderstwa... sprawdziliście przecież odciski palców i ustaliliście, że nie należą do Craiga.

–Zabraliśmy ze sobą kopie i zdążyliśmy już porównać je z odciskami zdjętymi z potłuczonego kufła, który znaleziono obok ciała Michaela Shelby'ego. Zabiła go ta sama osoba, która pozbawiła życia tamtą szóstkę.

–Ale to przecież nie Craig? Sami to mówiliście.

–Odciski palców mówią, że to nie on, pani Bellman. Jednak wszystkie inne poszlaki zdecydowanie na niego wskazują. Pani mąż miał pretensje do wszystkich siedmiorga. Jeszcze zanim odkryto wczorajsze morderstwo, mieliśmy zamiar tu przyjechać i ponownie z nim porozmawiać.

–Jaką pretensję mógłby mieć do Stevena Fishera? Steven był jego partnerem, znali się od lat.

–Pani Bellman... Mamy relacje naocznych świadków, którzy twierdzą, że mężczyzna odpowiadający rysopisowi pani męża odwiedzał regularnie mieszkanie należące do zamordowanej Khryssy Bieleckiej. Kontrola połączeń telefonicznych Craiga Bellmana wykazała, że dzwonił do niej dwa albo trzy razy w tygodniu.

Effie była tak wstrząśnięta, że nie wiedziała, co odpowiedzieć.

–Może wejdziemy do środka i usiądziemy – zaproponował porucznik Hook. – Niełatwo będzie to pani znieść.

–Craig... miał z nią romans?

–Wszystko na to wskazuje. Przykro mi, że dowiaduje się pani o tym właśnie ode mnie.

–Wie pan, jak długo to trwało?

–Z tego, co mówią nasi świadkowie, ponad rok.

–Chodźmy do środka – powiedziała Effie. – Rzeczywiście muszę chyba usiąść.

Weszli do hallu Pig Hill Inn i usiedli przy oknie. Promienie słońca prześwitywały

przez liście rosnącego w wielkiej donicy pachnącego groszku i odbijały się od wahadła wysokiego zegara, który stał przy przeciwległej ścianie.

Hook wyjął gumę do żucia i poczęstował Effie, ale ona potrząsnęła głową. Porucznik wsunął batonik między zęby i zaczął żuć.

–Pani mąż zadzwonił do pani Bieleckiej rankiem tego samego dnia, kiedy został napadnięty w drogerii K-Plus. Ostatni raz zatelefonował do niej tydzień po powrocie ze szpitala. To w każdym razie ostatnia rozmowa, o której wiemy. Nie sprawdziliśmy jeszcze, pod jakie numery dzwonił z tego pensjonatu.

–Jak ona wyglądała, ta Khryssa? – zapytała Effie. – Nie widziałam nigdy jej zdjęcia.

Sierżant Winstanley ponownie przeszukał kieszenie i w końcu wydobył zrobione polaroidem zdjęcie Khryssy Bieleckiej. Stała na pokładzie promu kursującego ze Staten Island, uśmiechając się i kiwając palcem.

–Jest bardzo ładna – wybąkała Effie. Wpatrywała się w fotografię dziewczyny, jakby ta mogła do niej przemówić, wyjaśnić, dlaczego Craig nie dochował jej wierności. Co takiego było w tamtej, czego ona nie miała? Czy była zabawniejsza? Bardziej namiętna? Czy była lepsza w łóżku?

Porucznik Hook odebrał jej delikatnie odbitkę i oddał ją sierżantowi Winstanleyowi.

–Wiem chyba, jakie dręczą panią pytania, pani Bellman – powiedział. – Ale żadne z nich nie ma już znaczenia. Pani Bielecka jest martwa.

Effie chciała przełknąć ślinę, ale zupełnie zaschło jej w ustach.

–A ci inni ludzie? – zapytała. – Ten taksówkarz i ci młodociani gangsterzy?

–Co do taksówkarza nie mamy pewności. Ale dzień po przyjęciu do szpitala pani mąż złożył zeznanie, w którym stwierdził, że jakiś „durny, nie znający miasta arabski taksówkarz” nie dowiózł go do celu z powodu ulicznego korka i dlatego w ogóle szedł pieszo Czterdziestą Ósmą. Zamordowany taksówkarz, Zaghlul Fuad, był Egipcjaninem i pracował owego wieczoru, kiedy napadnięto pani męża.

–Nie sądzicie chyba, że Craig wytropił go i zabił tylko dlatego, że facet utknął wtedy w korku?

–Wygląda to na morderstwo z zimną krwią, prawda, pani Bellman? Ale pan Fuad nie miał żadnych wrogów, o których byśmy wiedzieli, i z jego taksówki nie zabrano ani dolara... – Porucznik Hook zamilkł i przez chwilę żuł gumę. – Co do tych młodocianych przestępców, jest bardzo prawdopodobne, że pani mąż został napadnięty przez Samuela Josepha Cartera i Malcolma Deedesa i że uczestniczyła w tym także Susan Amelia Clay. Okazało się, że młotek, znaleziony przez nas w garderobie, w której zamordowano całą trójkę, nie został pozostawiony, jak początkowo sądziliśmy, przez stolarza, ale używany był w charakterze broni przez Samuela Josepha Cartera.

–Więc to on mógł być tym bandytą, który zaatakował Craiga?

–Nie mamy na to niezbitego dowodu, ale wszystko wydaje się na to wskazywać.

–A odciski palców? – zapytała Effie. Porucznik Hook wzruszył ramionami.

–Dlatego właśnie tu jesteśmy. Mieliliśmy już przypadki przestępców, którzy

wypalali sobie opuszki palców kwasem, zetknąłem się także z kilkoma próbami pozostawienia fałszywych odcisków przy użyciu gumowych rękawiczek z odlanymi w lateksie liniami papilarnymi. Efekty nie były jednak nigdy zbyt przekonujące. Nie... chcemy po prostu upewnić się, czy nie popełniliśmy żadnego błędu, kiedy zdejmowaliśmy po raz pierwszy odciski pani męża. No i chcemy z nim oczywiście porozmawiać.

– Jest teraz w naszym nowym domu. Nadzoruje prace budowlane. Chcecie panowie, żebym pojechała razem z wami i pokazała drogę?

– Już tam byliśmy, proszę pani – oświadczył sierżant Winstanley. Wyjął notatnik, polizał kciuk i zaczął go kartkować. – Nie zastaliśmy pana Bellmana, ale obecny tam pan Norman Moriarty, który wraz z trzema innymi cieślami reperuje podłogę w bibliotece, powiedział, że dziś rano, około dziewiątej, przyjechali razem do Walhalli i że pan Bellman oznajmił mu, iż ma zamiar przejść się po budynku i sporządzić listę miejsc, które najpilniej potrzebują remontu. Wtedy pan Moriarty widział go po raz ostatni.

– Więc pewnie tam dalej jest.

– Przeszukaliśmy cały dom od piwnicy aż po strych – oświadczył porucznik Hook. – Zajęło nam to ponad godzinę. Jeśli pani mąż wciąż tam jest, potrafi świetnie bawić się w chowanego.

– Może jednak pani domyśla się, gdzie przebywa pani mąż, pani Bellman? – zapytał sierżant Winstanley. – Może miała pani od niego jakąś wiadomość?

– Jedliśmy razem śniadanie. Myślałam, że spędzi cały dzień w Walhalli.

Umówiliśmy się, że wróci tutaj o szóstej, żebyśmy mogli wybrać się na kolację.

– Czy nie wydawał się ostatnio jakiś dziwny? Wytrącony z równowagi? Czymś zaabsorbowany?

– Zachowywał się tak samo, jak zwykle. Porucznik Hook wstał z fotela.

– Sierżant Winstanley i ja zamierzamy się tu jeszcze trochę pokręcić. Kiedy tylko spotka się pani z mężem, proszę zadzwonić do biura szeryfa i poprosić do telefonu zastępcę Shrike'a.

Korpulentny zastępca wręczył Effie swoją wizytówkę.

– Chcemy wyjaśnić tę sprawę tak szybko, jak to tylko możliwe, proszę pani – powiedział.

Cała trójka wyszła i Effie została w hallu sama, dławiona bólem i rozpaczą, które w jej pamięci na zawsze już miały kojarzyć się z silną wonią pachnącego groszku.

Środa, 21lipca, 16.06

Przetrząsnęła całą szafę, przerzucając wszystkie skarpetki i szorty Craiga i sprawdzając wszystkie kieszenie. Znalazła rachunek z restauracji Lafayette w Drake Swissôtel przy Park Avenue. Mogła to być wliczona w koszty reprezentacyjne kolacja z jednym z jego klientów. Ale znalazła również zapalki z Richmondtown Country Club na Staten Island, a Craig nigdy nie wspomniał, że był tam z którymś z klientów. Jej też nigdy tam nie zaprosił.

Była wstrząśnięta i przygnębiona, mimo to jednak wcale nie reagowała tak, jak wyobrażała sobie kiedyś, że zareaguje na wiadomość o romansie Craiga. Myśli, że może być takim kobieciarzem, dziwnie ją podniecała. Próbowwała opanować to uczucie, wiedziała bowiem, że powinna kipieć ze złości. Im dłużej jednak myślała o Craigu, tym mniej była na niego wściekła, chociaż nadal budził jej palącą zazdrość fakt, że nie zachował całej swej męskości dla niej.

Pierwsza górna szuflada z prawej strony komody była zamknięta i Craig zabrał klucz. Z początku Effie bezskutecznie nią potrzasała i szarpała, a potem wyjęła niższą szufladę i próbowała dostać się do niej od tyłu. W końcu wzięła z dna swojej szafy długą łyżkę do butów, wcisnęła ją w szparę na górze, przechyliła w dół i wyłamała zamek. Komoda była zabytkowym meblem w stylu kolonialnym, ale wcale się tym nie przejmowała. Craig mógł za nią zapłacić.

Wysunęła energicznie szufladę, wysypując niechcący całą jej zawartość na dywan. Były tam wyłącznie karty do gry, dwadzieścia kilka talii, w większości opakowanych w celofan. Jednak co najmniej trzy talie były rozpakowane i rozsypały się po podłodze.

Effie uklękła i zaczęła szybko zbierać karty i układać je kolorami. Trefle, kiery, karo i piki. Kiedy kończyła układać pierwszy komplet karo, wiedziała już, co jest nie w porządku. Nie było dziewiątki. Sprawdziła gorączkowo inne rozsypane talie, ale w nich także nie było dziewiątek karo.

Przykucnęła na piętach, drżąc z przerażenia. Domyślała się, co stało się z tymi dziewiątkami, jednak nie mogła pogodzić się z tą myślą.

Wstała, usiadła na skraju łóżka i podniosła słuchawkę telefonu.

–Czy może mnie pani połączyć z biurem szeryfa? – zapytała.

–Chwileczkę.

Po kilkunastu sekundach w słuchawce odezwał się zgryźliwy głos:

–Biuro szeryfa, czym mogę służyć?

Effie spojrzała na leżące na dywanie karty. Zburzony domek z kart. Rozbite małżeństwo. Siedem brutalnie zabitych osób.

–Halo? Tu biuro szeryfa, czym mogę służyć? – powtórzył głos.

–Przepraszam – wyjąkała. – To nic takiego. – Odłożyła słuchawkę na widełki i nadal wpatrywała się w karty.

W książce, którą ostatnio czytała, autor przytoczył wypowiedź Athanase'a Vagliano, jednego z członków Syndykatu Greckiego, który zapytał kiedyś Beliasa, dlaczego gra w karty. „Czy istnieje jeszcze coś poza tym? – odparł Belias. – Karty to życie i karty to śmierć, a czym jeszcze można się zajmować poza życiem i śmiercią?”

Podniosła ponownie słuchawkę i wykręciła numer Hungry Moon. Pepper sporządzała właśnie ouangę dla jednego ze swoich stałych klientów i zapytała, czy Effie nie mogłaby zadzwonić do niej później.

–Pepper, to nie może czekać. Musimy natychmiast oczyścić Walhallę. Policja szuka Craiga. Powiedzieli, że byli tam, ale go nie zastali. Ale on pojechał do Walhalli z Normanem i nie wrócił przecież na piechotę. Policja uważa, że zabił kilka osób. Myślą też, że zabił barmana z Hudson Inn. Proszę cię, Pepper, musimy natychmiast coś zrobić.

–Spokojnie, spokojnie, nie wpadaj w panikę – próbowała ją uspokoić Pepper. – Co to za historia z barmanem?

–Znaleźli go martwego wczoraj w nocy i to był ten sam barman, z którym Craig się pokłócił. Leżała przy nim dziewiątka karo, a ja wyłamałam zamek szuflady Craiga i leżało tam mnóstwo talii, ale w żadnej rozpakowanej nie było dziewiątki karo.

–A dziewiątka karo to ta karta, którą Jack Belias stale wypominał Zographosowi, tak?

–Pepper... nie wiem, co się dzieje z Craigiem, ale proszę, pomóż mi.

— W porządku. Daj mi dwadzieścia minut, żebym zdążyła spakować rzeczy, i podjedź po mnie tym swoim wspaniałym BMW.

Środa, 21lipca, 17.26

Minęły Red Oaks Inn i szpaler rosochatych dębów. Niebo zachmurzyło się i zaczął wiać nieprzyjemny silny wiatr. Po trawnikach sunęły liście i drobne gałązki. Podjeżdżając pod główne wejście do Walhalli, usłyszały ogłuszający huk i zobaczyły olbrzymią brezentową płachtę, która łopotała nad dachem niczym walcząca z morskim prądem wielka płaszczka.

Ze zwiezionej na patio sterty sypnęło im w twarze piaskiem i jedno ziarenko wpadło Effie do oka. Starła się wyjąć koniuszkiem chusteczki, kiedy frontowe drzwi otworzyły się i w progu ukazał się Norman. Był szary od pyłu, a na głowie miał zawiązaną zieloną bandanę.

–Mama? Co ty tutaj robisz? Dzień dobry, pani Bellman.

–Cześć, Norman. Czy jest tu gdzieś pan Bellman? Wiemy, że szukają go gliniarze. Norman potrząsnął głową.

–Przyjechał tu ze mną dziś rano. Wszedł na górę po schodach i tyle go widziałem. Szukaliśmy go potem wszędzie, ale podejrzewam, że nie jest chyba zbyt trudno ukryć się w domu tej wielkości.

–Zrobił to... – powiedziała Effie. – Jestem pewna, że to zrobił. Postąpił dokładnie tak samo, jak Jack Belias po śmierci Giny Broughton. Zniknął, odszedł i zostawił nas wszystkich na lodzie.

–Nie bądź tego taka pewna – odparła Pepper. – Może ukrył się gdzieś w Walhalli.

–Tak czy owak, musimy oczyścić ten dom – stwierdziła Effie. – Jeśli to zrobimy, wróci.

–Jeden z nich na pewno będzie musiał wrócić – zgodziła się Pepper, podciągając w górę skraj swojego długiego brunatnego kaftana i zakładając na ramię wyszywaną torbę. – Jack Belias zdołał zawładnąć Craigiem tylko dzięki temu, że w tym domu mają miejsce poważne zakłócenia. Jeśli je zlikwidujemy, będą musieli się oddzielić: cieleśnie, psychicznie i duchowo. Dwie osoby nie mogą zajmować jednocześnie tego samego ciała, możemy więc mieć do czynienia z czymś podobnym do odrzucenia przeszczepionych organów... tyle że w sferze psychicznej.

–Brzmi to niezbyt ciekawie – zauważył Norman.

–Nigdy nie widziałam tego na własne oczy, ale podejrzewam, że rzeczywiście może okazać się nieciekawe – przyznała Pepper, wchodząc po schodach. – Wystarczy uprzytomnić sobie, co się dzieje, kiedy dwie osoby w dwóch samochodach próbują zająć jednocześnie to samo miejsce w przestrzeni.

Norman ruszył w ślad za nią, dźwigając jej poobijaną walizkę z lustrami. Mijając uchwyt dzwonka, wyszczerzył do niego zęby i Effie była niemal pewna, że wilczy pysk odpowie mu tym samym.

–Pracowaliśmy dzisiaj w bibliotece – powiedział Norman, kiedy szli we trójkę korytarzem w stronę sali balowej. – Mam do pomocy trzech naprawdę niesamowitych facetów. Nie ma takiej rzeczy, której by nie wiedzieli na temat drewnianych podłóg. Nie potrafimy ręcznie wycinać zakrzywionych klepek, tak jak robił to Ethan Carter w Benton House, ale udało nam się dopasować całkiem pokaźny kawałek parkietu przy użyciu piły elektrycznej.

–Czy spotkamy tych trzech naprawdę niesamowitych facetów? – zapytała Pepper.

–Nie dzisiaj. Powiedzieli, że wolą nie pracować tutaj po zmroku. Ciarki im chodzą po grzbiecie.

–Wcale im się nie dziwię – odparła Effie, rozglądając się dookoła. W miarę jak się ściemniało, cienie w kątach i pod sufitem wydawały się gęstnieć i rosnąć, jakby tkwały je niewidzialne pająki. Kiedy płomienie lamp ciśnieniowych rozjarzyły się w przeciagu, mogło się wydawać, że przechodzi je bolesny dreszcz.

–Lepiej nie zbliżaj się z tymi wszystkimi lampami i świeczkami do drugiego końca sali balowej, mamó. Stoi tam czterdzieści galonów płynu do mycia podłóg.

–Nie martw się, będę ostrożna.

–Myślisz, że Craig wciąż gdzieś tu jest? – zapytała Effie, kiedy przemierzali szybkim krokiem salę balową. – Czy można to w jakiś sposób stwierdzić?

Pepper położyła swoją torbę pośrodku sali, uklękła i zaczęła w niej czegoś szukać. Po dłuższej chwili wyjęła wysuszony korzeń zawieszony na srebrnym łańcuszku.

–To mandragora – wyjaśniła. – Jeśli Craig tu jest, zaraz nam o tym powie. – Podniosła korzeń w górę. – Legenda mówi, że mandragora rośnie pod szubienicą, w miejscu, gdzie spadło nasienie powieszzonego. Dlatego właśnie tak mocno reaguje na obecność każdego mężczyzny, zwłaszcza złego mężczyzny.

–Daj spokój, Pepper. Craig mógł ściągnąć sobie na głowę kłopoty, ale w gruncie rzeczy nie jest zły.

–Może nie jest. Ale Jack Belias na pewno był zły... albo jest. A kto w tej chwili potrafi powiedzieć, który z nich jest który?

Przez chwilę obserwowały, jak wysuszony korzeń kręci się raz w jedną, raz w drugą stronę na srebrnym łańcuszku.

–Co robi, kiedy wyczuje, że ktoś tu jest? – zapytała Effie.

–Patrz – odparła krótko Pepper.

Ale korzeń kręcił się tylko w tę i z powrotem, w tę i z powrotem.

–Nic? – zapytał Norman.

–Na razie nic – odparła Pepper. – Mimo to wyczuwam bardzo silne zakłócenia. Mój Boże, zupełnie jakby zbierało się na burzę. Nie czujesz tego, Effie? Nie czujesz tego w powietrzu?

Norman rozejrzał się po sali balowej.

–Na pewno wyczuwam jakiś rodzaj atmosferycznego napięcia. Tak, jakby gwałtownie spadało ciśnienie. Tak, jakby zaraz miała się popsuć pogoda.

–To nie pogoda – powiedziała Pepper. – To Jack Belias. Odkrył, w jaki sposób przechodzi się z jednego „pokoju” do drugiego.

Położyła na podłodze korzeń mandragory i zaczęła ustawiać swoje lustra i świeczki, tak jak robiła to za pierwszym razem, kiedy przeszkodził jej Craig. Effie obchodziła tymczasem dookoła salę balową, nasłuchując odgłosów kroków albo otwieranych czy zamykanych drzwi. Podeszła do drzwi biblioteki i już miała je otworzyć, kiedy Norman podniósł ostrzegawczym gestem rękę.

–Ostrożnie! Nie ma tam prawie połowy podłogi. Pokażę pani później.

Effie ruszyła dalej w wędrówkę wokół sali, czekając, aż Pepper skończy zapalać swoje świece, ustawiać pod odpowiednim kątem lustra i rozkładać swoje zioła, talizmany i potpourri. Wkrótce cała sala zaczęła pachnieć tak samo, jak wnętrze Hungry Moon. Effie chciała właśnie zatoczyć trzeci krąg, kiedy nagle usłyszała kroki, zbliżające się korytarzem od głównego wejścia. Zdecydowane, ostre kroki, takie, jakie mógł stawiać rozgniewany mężczyzna.

–On tu jest, Pepper! – syknęła najgłośniejszym głosem, jak tylko się odważyła. – Nadchodzi korytarzem.

–Kto? – zapytała Pepper. – Twój mąż Craig, czy Jack?

–Nie wiem... chodzi o to, że...

W tej samej chwili drzwi sali balowej otworzyły się na oścież i wszyscy, łącznie z Normanem, dali krok do tyłu. Do środka wszedł wysoki Murzyn, trzymający w rękach duże metalowe pudło, wielkości dziecinnej trumny. Powoli zbliżył się do kręgu świeczek, zatrzymał się i bardzo ostrożnie złożył swój ciężar na podłodze.

–Znalazłem coś, co może państwa zainteresować – powiedział.

Kiedy odwrócił się do nich, płomień świecy strzelił na chwilę wyżej i oświetlił jasno jego twarz. Effie zobaczyła, że to Brewster Ridge, czarny inspektor budowlany, którego partner zginął w pierwszym dniu inspekcji Walhalli.

–Co pan tutaj robi, panie Ridge? – zapytała. Brewster wskazał głową zielone poobijane pudło.

–Zawiozłem to najpierw do Pig Hill Inn, ale powiedziano mi, że pojechała pani tutaj. Wie pani, co jest w środku? Znalazłem to w Albany, w archiwach stanu Nowy Jork, szukając jakichś dokumentów, które mogłyby podnieść wartość Walhalli. Nie znalazłem niczego z wyjątkiem tego pudła, które rdzewiało w magazynie od tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Jest zamknięte na kłódkę i nikt nie ma do niej klucza. Nikt się nim także najwyraźniej nie interesuje. Przez wszystkie te lata nikt się po nie nie zgłosił ani nie chciał nawet zajrzeć do środka.

–A co jest w środku? – zapytała Effie.

–Numer katalogu 13444965/JB... ogniotrwały pojemnik, zawierający pamiątki i plany budowlane należące do pana J. Beliasa, zamieszkałego w Walhalli przy Red Oaks Lane w Highland Falls w stanie Nowy Jork.

–Próbował pan otworzyć kłódkę? – zapytała podekscytowana Pepper.

–Nie mam klucza i nie byłem pewien, czy mi wolno. Nie chciałem ryzykować kolejnej awantury z panem Bellmanem, otwierając coś, co teraz, kiedy przejął Walhallę, należy prawdopodobnie do niego.

Norman klęczał już na podłodze, przyglądając się uważnie kłódkę. Po chwili odchylił się do tyłu, wyjął kółko z kluczami, które dał mu Walter van Buren, i wybrał najmniejszy z nich.

–Chce pani, żebym spróbował, pani Bellman?

–Skoro pan Ridge zadał sobie tyle trudu, przywożąc to aż tutaj, możesz spróbować.

Norman włożył klucz w otwór zamka, pomanipulował przy nim chwilę i przekręcił go.

–Odwrócone zapadki w zamku – stwierdził. – Otwierają się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a nie odwrotnie. – Mówiąc to otworzył kłódkę i uniósł w górę wieko.

Wszyscy zgromadzili się wokół skrzyni. Po lewej stronie leżały w dwóch równych stosach oprawy w krokodylą i cielęcą skórę i obwiązane elegancko czarną wstążką czerwone i czarne pamiętniki, w środku rulony kalki technicznej z planami pięter i elewacji Walhalli, a po prawej stronie cztery albo pięć dużych profesjonalnych talii kart, oprawa w czarną skórę książka z wytłoczonym złotem tytułem „Edykty Balama” oraz duża brązowa koperta, opatrzona czarną pieczęcią z wosku.

Norman wziął do ręki pamiętniki, rozwiązał jedną ze wstążek i przekartkował kilka z nich. Wszystkie zapisane były pochyłym, eleganckim charakterem pisma, czarnym atramentem, który po tych wszystkich latach przybrał rdzawy kolor.

–Coś interesującego? – zapytała Pepper.

–Może i tak, jeśli pasjonujesz się kartami. Wygląda na to, że facet zapisywał tutaj wszystkie partie bakarata, chemine-de-fer i trente-et-quarante, które rozegrał w całym swoim życiu. Na pierwszy rzut oka nie ma tu nic więcej. Żadnych intymnych wyznań. Żadnych skandali.

Brewster wyjął rulony kalki i ostrożnie je rozwinął.

–Warto będzie z nich skorzystać – oświadczył. – To kopie oryginalnych planów. Mogą wam bardzo pomóc przy odbudowie. Spójrzcie tutaj... tak wyglądała balustrada na dachu. Teraz już jej nie ma, ale możecie ją odbudować dokładnie w takim kształcie, w jakim została zaprojektowana.

–Oczywiście – odparł bez większego entuzjazmu Norman. Brewster dopiero teraz rozejrzał się i zobaczył zapalone świece, lustra i miseczki z ziołami.

–Urządzacie tutaj jakieś przyjęcie? – zapytał.

–Niezupełnie – odparła Pepper. – Bardziej ceremonię niż przyjęcie.

Brewster obszedł dookoła świece i zajrzał do misek.

–Moja babcia robiła kiedyś coś podobnego... mówiła, że odpędza w ten sposób złe duchy. Chyba nie bawicie się tutaj w takie rzeczy?

–Nie całkiem. My nie wierzymy w złe duchy. Urządzamy po prostu parapetówę – poinformował go Norman.

Brewster rozejrzał się ponownie dookoła.

–Wyceniam domy w Hudson Valley od dwudziestego czwartego roku życia i widziałem rzeczy, w jakie nigdy byście nie uwierzyli. Byłem w domach, których pierwszy właściciel nie żył już od dwudziestu lat, ale w środku wciąż wyczuwało się jego obecność. Wyczuwało się jego dumę. Jego arogancję. Czasami czuło się miłość, jaką darzył okolicę albo osobę, dla której zbudował dom. Ale ten jest inny, człowieku. Nie zbudowano go, żeby w nim mieszkać. Nikt nie mieszka w takim domu jak ten, nikt nie wznosi go, żeby tylko w nim mieszkać. Ten dom zbudowano w bardzo specyficznym celu. Jego okna są nieproporcjonalne, drzwi zbyt szerokie, a podłogi niepodobne do żadnych podłóg, które dotąd widziałem. Zadano sobie mnóstwo trudu, konstruując schody i stropy w sposób, który jest nie tylko czasochłonny, ale również całkowicie bezużyteczny. Posłużono się tu specjalną proporcją. Słyszeliście

kiedyś o Złotym Środku? To współczynnik 1:1,618, zbudowano według niego katedrę w Chartres. Miał nadawać budynkowi idealne proporcje. Człowiek, który zaprojektował ten dom, posłużył się jednak zupełnie innym rodzajem matematyki. Jest oczywiście skuteczna. Budynek stoi i prawdopodobnie będzie stał dłużej niż planowano, ale zaprojektowano go umyślnie tak, aby każdy, kto tu się zjawi, poczuł się mały i zagubiony. Spójrzcie choćby na elewację. Na pierwszy rzut oka wydaje się wam masywna, mimo to jednak macie niepokojące wrażenie, że unosi się w powietrzu. Nie możecie wyobrazić sobie, jakich rozmiarów jest budynek, ponieważ architekt specjalnie wyeliminował wszelkie odniesienia do skali ludzkiej. W hallu dwie klatki schodowe prowadzą na ten sam podest. Którą z nich wybrać? Kiedy już się zdecydujecie, stopnie okażą się nieco wyższe niż normalnie, żebyście poczuli się mniejsi. Witraże z zakonnicami, które mają zamknięte oczy, i z odwróconymi tyłem ludźmi? Chylący się ku upadkowi Rajski Ogród? Ten dom miał czemuś służyć, mówię wam. Nie wiem tylko, czemu.

Norman otworzył brązową kopertę i wyjął z niej kilka czarno-białych fotografii. Przyjrzał się im i szybko wsunął z powrotem do koperty.

–Pokaż, Norman – zażądała Effie.

–Może powinna to pani zobaczyć później.

–Dlaczego? Co tam jest? Chcę to obejrzeć.

–To chyba nie najlepszy pomysł – odparł wyraźnie zakłopotany Norman.

Pepper wyrwała mu kopertę i ponownie otworzyła. Przerzuciła bardzo szybko fotografie i wręczyła je Effie. Jej twarz była nieprzenikniona.

–Powinnaś to chyba zobaczyć – powiedziała. – O tym właśnie mówił Harry Rondo.

Fotografie były bardzo niewyraźne i pozbawione kontrastu. Przedstawiały wnętrze sypialni z żelaznym łóżkiem, małym kominkiem i oknem, z którego widać było dach bocznego skrzydła budynku. Effie natychmiast je poznała. To był pokój z błękitnym dywanem, pokój, w którym słyszała płacz kobiety. Kiedy tam zaglądała, był pusty. Ale na fotografiach widać było nocny stolik, szafę i religijne obrazy na ścianach.

I kobietę leżącą na łóżku. Kobietę, której rozpoznanie nie sprawiło Effie trudności.

Była cała naga, ręce i nogi miała związane sznurami. Jej białą skórę pokrywały sińce i plamy, fotografie nie były jednak dość wyraźne, aby móc dokładnie określić charakter obrażeń. Kobieta była w ciąży; zdaniem Effie w szóstym albo siódmym miesiącu.

Na kolejnej fotografii pokrywały ją setki karaluchów. Pełzały po całym jej ciele, a ona nie mogła ich zrzucić. Zbliżenie pokazywało karaluchy wchodzące i wychodzące z jej ust i nosa. Oczy kobiety utkwione były w obiektywie i nieruchome, jakby była martwa.

Każda następna fotografia była gorsza od poprzedniej. Effie wiedziała, że zrobiono je ponad sześćdziesiąt lat temu, lecz mimo to nie mogła opanować przerażenia. Zaczęła nieświadomie obgryzać paznokieć kciuka – rzecz, której nie robiła od ukończenia szkoły średniej. Spojrzała na Pepper i Pepper spojrzała na nią, ale z jej twarzy nadal nie można było nic wyczytać. Effie miała wrażenie, że dawno temu, być może w czasach, które nastąpiły po Woodstock, jej również mogło

przydarzyć się coś podobnego.

Chciała przestać oglądać te zdjęcia, ale nie mogła się powstrzymać. Każda fotografia była chłodnym zapisem nieopisanej degradacji – degradacji, która nie miała żadnego celu ani sensu oprócz tego, że kobieta była bezbronna, a jej prześladowca mógł robić z nią bezkarnie wszystko, co mu się podobało.

Zerknęła na fotografię, na której widniał mężczyzna, trzymający długą igłę tuż przy lewym oku kobiety. Wyraz jej twarzy był tak przerażający, że Effie wepchnęła wszystkie fotografie z powrotem do koperty. Serce biło jej jak oszalałe.

–Wiesz, kto to jest, prawda? – zapytała przyjaciółkę. Czują się zdezorientowana i wściekła, ale zarazem podniecona.

Pepper kiwnęła głową.

–Giną Broughton. Kobieta, która zgodziła się spędzić z nim trzy dni i w końcu została na osiem miesięcy. Kobieta, która została oślepią.

–Dlaczego? – zapytała Effie, prawie krzycząc. – Dlaczego pozwoliła, żeby Jack Belias jej to zrobił?

–Pamiętasz, co powiedział Harry Rondo. Pozwoliła, bo potrafił to zrobić. Pozwoliła, bo jej mąż zgodził się zagrać o nią w karty. Co mogło się jeszcze po czymś takim liczyć? Trzy dni, trzy tygodnie, trzy miesiące... To nie miało już żadnego znaczenia. Jack Belias pragnął jej przynajmniej w dostatecznym stopniu, żeby ją degradować. Jej mąż nie pragnął jej wcale.

–Mój Boże – szepnęła Effie. Oddychała tak głęboko, że zakręciło jej się w głowie. – Jesteśmy jednak błotem, prawda? Jesteśmy wszystkie Lilith... żadna z nas nie jest Ewą.

Środa, 21lipca, 18.17

Norman i Brewster postanowili obejść jeszcze raz cały dom i poszukać Craiga. Pepper kończyła ustawiać swoje świece i lustra.

–Może wrócił na piechotę albo ktoś go podwiózł – zasugerowała, Effie widziała jednak, że sama w to nie wierzy. Gdyby Craig chciał wrócić wcześniej do Cold Spring, mógł po prostu poprosić Normana, żeby go odwiózł. Był w końcu jego pracodawcą.

–Ten dom od lat czekał na kogoś takiego jak Craig – powiedziała. – Już kiedy jechaliśmy tu po raz pierwszy, przyciągał go niczym magnes. Nie masz pojęcia, jak bardzo ten napad zdruzgotał jego pewność siebie, jego dumę. Wystarczająco straszne musiało być to, że ktoś napada człowieka i nie ponosi z tego tytułu żadnych konsekwencji. Ale żeby pozbawić go w ten sposób męskości...

–To nie dom go potrzebuje – sprostowała Pepper. – To Jack Belias. Chce znowu żyć naprawdę. Chce żyć tu i teraz, nawet jeśli to oznacza, że będzie musiał żyć w cudzym ciele. Na twoje nieszczęście trafił akurat na Craiga.

Zapaliła kolejny rząd świec długą żerdką z drzewa sandałowego. W jej oczach zabłyśło srebro.

–Kiedy po raz pierwszy zobaczyłaś zbiegającego po schodach Jacka Beliasa, on też cię zobaczył, ale tylko jako nierealną postać, w ten sam sposób, w jaki ty widziałaś jego. Innymi słowy, ty ukazałaś mu się w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym, a on ukazał się tobie w naszym czasie. Oboje znaleźliście się w epicentrum tego samego psychicznego zakłócenia, tak jakby ktoś przerzucał kartki książki do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu tak długo, aż dwa wydarzenia zły się ze sobą i nie sposób już ich było odróżnić. Belias musiał zdać sobie wtedy sprawę, że ty i Craig weszliście w jego życie i dajecie mu szansę ucieczki.

–Może ja też powinnam pójść poszukać Craiga – powiedziała Effie.

–Nie. Na twoim miejscu bym tego nie robiła. Zakłócenia psychiczne są bardzo silne. Nie wiadomo, co się może zdarzyć.

–Wobec tego zajrzę tylko na chwilę do kuchni.

Wyszła z sali balowej i przeszła przez bibliotekę. Norman ze swoimi pomocnikami zdążył położyć zaledwie połowę parkietu, a dziurę, przez którą spadł Morton Walker, wciąż przykrywała brezentowa płachta, ale udało jej się jakoś, stąpając tuż przy prawej ścianie, obejść niebezpieczne miejsce i wydostać na korytarz. Przystanęła na chwilę u stóp schodów, słuchając wiatru, który gwizdał w spaczonych framugach, i gałęzi drzew, które stukały bez ustanku w szyby, jakby jakiś szkielet próbował zwrócić na siebie uwagę.

Wspięła się kilka schodków na górę i jej wzrok padł na stojącą po drugiej stronie podestu gipsową postać. Odkąd Norman uszczelnił dach, zaczęła schnąć i pod jej nosem ukazała się teraz przypominająca usta głęboka szpara. Wyglądała z nią tak, jakby za chwilę miała odezwać się szkaradnym stłumionym głosem.

–Craig? – szepnęła Effie. – Craig? Jesteś tu, Craig?

Nie doczekała się żadnej odpowiedzi. Wiatr śpiewał cicho pod drzwiami sypialni i zasysał powietrze z pustych kominków. Effie stała przez chwilę, nadal nasłuchując,

ale wiedziała, że Craiga tu nie ma. W gruncie rzeczy mogło go nie być nigdzie. Przynajmniej nie tutaj, nie dzisiaj. Mógł być w zupełnie innym czasie, poza jej zasięgiem. Choćby przeszukała cały świat, nigdzie go nie znajdzie – w zasadzie równie dobrze mógłby już nie żyć. Gut ist der Schlaf, przypomniał jej się napis na witrażu. Der Tod ist besser. Teraz rozumiała znaczenie tych słów.

Zrozumiała też, co oznacza zakonnica pośród lilii i mężczyzna odwrócony plecami. Kobieta o czystym czole i niegodziwym sercu, Lilith, która sprzeciwiła się mężczyźnie i przez to sprzeciwiła się woli Boga. Główną intencją Jacka Beliasa nie było wcale unicestwienie mężczyzn, z którymi grał w karty. Chciał im po prostu pokazać, że ich kobiety nie są niczym więcej jak marnościami – gotowe wystawić ich zawsze do wiatru, zdradzić, a potem porzucić, gdy popadną w kłopoty.

Powoli zeszła z powrotem na parter. Poczekała w hallu jeszcze chwilę i otworzyła drzwi do kuchni. Wewnątrz panowała cisza i chłód, mimo że wieczór był całkiem ciepły. Z jednego z kranów kapą powoli, kropla za kroplą, co świadczyło o tym, że Norman musiał podłączyć wodę. Przez zakurzone okno widziała świeżo wypielony ogród, ze stertami przygotowanych do spalenia chwastów.

–Craig?! – zawołała i jej głos odbił się echem w kuchni. Żadnej odpowiedzi.

Otworzyła drzwi do piwnicy i w mroku na dole usłyszała stłumiony szmer.

–Craig?! – zawołała ponownie. – To ty, Craig?

Ale potem dobiegło ją chrobotanie pazurów o rury kanalizacyjne i uświadomiła sobie, że to szczury.

Zamknęła szybko drzwi do piwnicy i przekręciła klucz w zamku. Brzydziła się szczurów. W gruncie rzeczy brzydziła się wszystkiego, co skradało się, pełzało albo sunęło po ziemi. Może stanowiło to najlepszy dowód, że nie pochodzi od Ewy: wąż nigdy nie zdołałby jej skusić do grzechu.

Wychodziła już z kuchni, kiedy jej wzrok przyciągnął nagle jakiś ruch w ogrodzie. Przystanęła czując, jak ciarki chodzą jej po karku, i ponownie wyjrzała przez okno. Z początku nie widziała nic poza poszarpaną rdzawą linią janowca, który rósł na skraju grządek z warzywami, po chwili jednak zobaczyła ubranego na czarno mężczyznę w czarnym kapeluszu z szerokim rondem, który szedł dość szybkim krokiem w stronę domu.

Nie widziała wyraźnie jego twarzy. Idąc mijał smugi światła i cienia i nadawało to jego ruchom dziwne, migotliwe drżenie, zupełnie jakby oglądała stary film wyświetlany na rozsypującym się sprzęcie. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że mężczyzna pojawia się i znika, pojawia i znika. Nie całkiem umrę.

Wybiegła szybko z kuchni i ruszyła korytarzem. Zjawiła się w sali balowej równocześnie z Normanem i Brewsterem, którzy wracali z obchodu wyższych pięter Walhalli i o mało się z nią nie zderzyli.

–Hej, gdzie tutaj rozdają pieniądze? – zaśmiał się Brewster.

–Widziałam go – wykrztusiła Effie. – Szedł przez ogród w tę stronę.

–Craig? – zapytała Pepper.

–Craig, Jack, nie wiem. Może żaden z nich, może obaj. Nie widziałam jego twarzy. Pepper pochyliła się i podniosła korzeń mandragory. Przez dłuższą chwilę

trzymała go w górze i obserwowała, ale on zachowywał się tak jak poprzednio, kręcąc się w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. A potem Effie usłyszała nagle wysoki, przenikliwy krzyk. Był tak przeszywający, że poczuła, iż ma zatkałe uszy.

Wszyscy oprócz Pepper popatrzyli po sobie zdumieni.

–Wy też to słyszeliście? – zapytał Brewster. – Miałem wrażenie, że ktoś krzyknął mi w środku głowy.

–Ja też – powiedziała Effie.

Norman wsadził sobie palec w lewe ucho i zaczął nim energicznie potrząsać.

–Ogłuchłem chyba do końca życia – poskarżył się.

–To mandragora – oświadczyła Pepper. – Krzyczy, kiedy wyciąga się ją z ziemi, i krzyczy, kiedy zbliżają się mordercy.

–Robi pani sobie z nas żarty – mruknął Brewster. – Roślina nie mogła wydać z siebie takiego dźwięku.

–Istnieje całkiem racjonalne psychobotaniczne wyjaśnienie tego zjawiska. Jej soki są wrażliwe na ludzkie fale alfa, a ludzie, którzy zdolni są zabijać innych ludzi, mają zupełnie inne fale alfa. Mandragora krzyczy ze strachu. Jest pozbawiona wyobraźni, ale mimo to krzyczy.

Podniosła swoją rozwidloną gałązkę. Effie posłała jej zatroskane spojrzenie.

–Siedmioramienna różdżka nie jest dość wrażliwa – wyjaśniła Pepper. – To tak, jakby ktoś próbował zjeść ciastko z założonym na zęby aparatem.

–Nie będzie pani przeszkadzać, jeśli zostanę? – zapytał Brewster. – Pani syn opowiedział mi o wszystkim... o podłodze biblioteki i w ogóle. Bardzo mnie to interesuje.

–Może pan zostać tylko na własne ryzyko – ostrzegła go Pepper.

–Chce pani powiedzieć, że to niebezpieczne?

–Czy trzęsienie ziemi nie jest niebezpieczne?

Effie stanęła tuż przy Pepper, między świeczkami i lustrami. Pepper zaczęła obracać powoli gałązką, kierując ją w kolejne rogi sali. Miała szeroko otwarte oczy i rozchylone usta.

Przez jakiś czas omiatała leszczyną salę, bardzo skoncentrowana i bardzo cierpliwa. Brewster chciał coś powiedzieć, ale Norman przycisnął palec do ust.

–Musimy teraz zachować ciszę – szepnął.

Po dwóch albo trzech minutach gałązka zaczęła drżeć i wyginać się. Nagle skoczyła do góry i wyprostowała się, dygocząc tak gwałtownie, że Pepper ledwie mogła ją utrzymać.

–Niech mnie kule biją – wymamrotał Brewster. – Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego.

Pepper zmarszczyła brwi.

–To jest dzisiaj silne, bardzo silne. I bardzo chaotyczne, nie ma w tym żadnego ładu, tak jakby do fluktuacji dochodziło w całym domu. Muzyka, czy słyszycie muzykę? Teraz grają coś innego. I słyhać ludzkie głosy!

Effie wyteńczyła słuch. Pepper miała rację. Najpierw usłyszała muzykę jazzową, dobiegającą niewyraźnie z sąsiedniej sali. Po chwili rozległ się śmiech kobiety i walc

„Nad pięknym modrym Dunajem”, a potem ponownie jazz i głosy mężczyzn, którzy rozmawiali ze sobą podnieconymi głosami.

–Czy gdzieś tu odbywa się jakiś bankiet? – zapytał zdumiony Brewster.

–Cicho – syknął Norman.

Effie słyszała śmiech, coraz głośniejszy śmiech. Wiedziała, że stoi tuż obok Pepper, a jednak w dziwny sposób wcale tam nie stała. Znajdowała się o wiele bliżej drzwi, które prowadziły do biblioteki. Spojrzała na Pepper, ale przyjaciółka nie wydawała się jej w ogóle widzieć. Salę przemierzał szybkim krokiem jakiś mężczyzna. Duży łysiejący mężczyzna o bladej, kluskowatej twarzy, przypominającej rosnące w ziemi warzywo. Okulary bez oprawek z podniesionymi ciemnymi szklami upodabniały go do krupiera. Jego bawełniane beżowe spodnie były pogniecione, a koszula pokryta plamami potu. W ręku trzymał przenośny magnetofon i latarkę i mówił sam do siebie.

Minął Effie, nie skinąwszy nawet głową.

–Próchno, zgnilizna, rozległe szkody spowodowane przez termyty... – wymruczał, przechodząc obok niej.

Otworzył drzwi biblioteki, wszedł do środka i zamknął je za sobą. Effie odwróciła się do Pepper.

–Widziałaś go? – zapytała. – Widziałaś go, Pepper? Co to za facet?

Ale Pepper zupełnie ją zignorowała. Kołysała powoli różdżką, zataczając coraz mniejsze kręgi, aż w końcu zlokalizowała punkt, w którym zakłócenia były największe.

–Pepper... – powtórzyła Effie. Pepper jednak miała teraz zamknięte oczy i nie ulegało wątpliwości, że pogrążyła się w medytacji. Kimkolwiek był łysiejący mężczyzna, najwyraźniej nie odgrywał tutaj większej roli. Może był to po prostu jeden z cieśli Normana, robiący ostatnie notatki. Może Effie go sobie wyobraziła.

Otworzyła drzwi biblioteki i weszła do środka. Wzdłuż wszystkich ścian stały tu wysokie od podłogi do sufitu półki, wypełnione oprawnymi w skórę książkami o złożonych grzbietach. Książki pachniały intensywnie sumakiem i cielecą skórą, a ich zapach mieszał się z wonią cygar i męskich perfum – jeśli się nie myliła, było to Floris Special No.27 (choć nie miała pojęcia, skąd o tym wie). W oknach wisiały ciężkie zielono-białe zasłony, na podłodze leżał butelkowozielony dywan. Pośrodku, przy pokrytym sukrem stole z rzeźbionymi mahoniowymi nogami, grało w karty dwunastu mężczyzn w wieczorowych strojach, pilnowanych przez krupiera o ziemistej twarzy.

Większość graczy była jej dobrze znana: przy stole zajmowali miejsca Michael Arlen, wicehrabia Castlerosse, Karl Marjorian, Remy Morse i Nico Zographos ze swoimi wiecznie wydętymi wargami i niewielkim wąsikiem. I oczywiście Douglas – kochany Douglas z białą grzywą włosów i spanikowanym uśmiechem na twarzy.

Po drugiej stronie stołu, na obrotowym czarnym skórzanym fotelu siedział, rozdając karty z „buta”, ciemnooki mężczyzna w olśniewająco białej koszuli. Jego też znała. To był Jack Belias. Czasami podnosił wzrok i patrzył wprost na nią. Jego spojrzenie nie było ani aroganckie, ani lubieżne. Było to spojrzenie, które mówiło bez ogródek: wkrótce będziesz należeć do mnie.

Bała się go. Zawsze się go bała. Wyczuwała w nim człowieka, który wie, że jest silniejszy, okrutniejszy i o wiele sprytniejszy od każdego, kto chce się z nim zmierzyć. Miał pięknie rzeźbione rysy, głęboko osadzone oczy i wydatne kości policzkowe, ale szpeciły go liczne blizny, mogące świadczyć o złym odżywianiu w dzieciństwie i wychowaniu surowszym, niż potrafi sobie wyobrazić większość ludzi.

Najbardziej jednak przerażał ją jego wzrok. Kiedy ostatnim razem widziała wpatrzony w siebie w ten sposób oczy, były to oczy człowieka, który siedział na tylnym siedzeniu rozbitego kabrioletu delage, na nadmorskiej drodze na zachód od Nicei, zakrwawiony i martwy.

Mimo to podeszła do stołu i ostentacyjnie pogładziła Douglasa po policzku. Spojrzał na nią i pocałował w nadgarstek, ale widać było, że jowialny wyraz, jaki malował się na jego twarzy, przytwierdzony jest do niej dwucalowymi gwoździami.

–Nie powinna pani go rozpraszać, moja droga – powiedział Jack Belias, strząsając delikatnie długi na cal słup popiołu z cygara. W jego głosie nie było wesołości, uprzejmości czy kokieterii. Powiedział to tak, jakby miał ochotę zgasić cygaro na jej czole. – Niech pani stąd zmyka i pozwoli mężczyznom zająć się tym, do czego są stworzeni.

Ignorując go obeszła stół dookoła i przyjrzała się kolejno każdemu z graczy.

–Co pan postawił? – zapytała Remy'ego Morse'a. Morse odgarnął do tyłu swoje wybrylantynowane czarne włosy.

–Mój jacht, „Agrypinę”, razem z całą załogą.

–A pan? – zwróciła się do Karla Marjoriana.

–Mojego konia wyścigowego, Wielkiego Pretendenta.

–Mój zamek – odparł inny gracz.

–Brylant Cope. Czterdzieści siedem i pół karata – wyznał kolejny.

Effie wróciła do Douglasa i przytuliła się do jego pleców.

–Mój mąż nie postawił konia wyścigowego ani klejnotów. Jest o wiele odważniejszy. Postawił swoją żonę... swoją własną żonę, kobietę, którą poprowadził niegdyś do ołtarza. Dlatego mam prawo go rozpraszać. Jeśli przegra, ja przegram razem z nim.

–Ale może również wygrać – oznajmił Jack Belias, zakładając nogę na nogę i odsłaniając gołą, pokrytą ukąszeniami komarów kościstą łydkę. – Wie pani, jaki jest bakarat. W jednej chwili klęska, w następnej wybawienie. Wszystko zależy od zimnej krwi.

Effie pochyliła się niżej.

–Dałam ci wszystko – szepnęła Douglasowi prosto do ucha. – Dałam ci pieniądze, pewność siebie i szczęście. Jeśli będę musiała przespać się przez ciebie z Jackiem Beliasem, przysięgam na Boga, że nigdy już do ciebie nie wrócę.

Douglas wytrzeszczył oczy.

–To tylko trzy dni i trzy noce. Na litość boską, Giną, co chcesz przez to powiedzieć?

–Tak to sobie wyobrażałeś? Trzy dni i trzy noce? Zgodziłam się na to, ponieważ cię kocham i ponieważ wychodząc za ciebie przyrzekłam, że wszystko, co mam,

należy do ciebie. Ale robiąc to, daję ci wszystko, co mam. Nie pozostanie mi nic więcej. Nie będę już miała ani pieniędzy, ani majątku, ani ciała, ani duszy.

–Powiedziałaś przecież...

–Tak! Powiedziałaś! Zaproponowałam to! Zgodziłam się! Ale ty nie musiałeś przyjmować mojej oferty. Byłeś moim mężem. Czy nie przyszło ci do głowy, że mogłeś powiedzieć „nie”?

Douglas był teraz szary, miał twarz koloru zmoczonej deszczem gazety i trzęsły mu się ręce.

–Kiedy powiedziałaś „tak”, nie zdawałem sobie sprawy z tego, co to naprawdę znaczy – wymamrotał.

Effie wyprostowała się. Jack Belias obserwował ją z uciechą, ponieważ wiedział, że niszczy Douglasa, całkowicie go dekoncentrując. Nie przysłużyłaby się mu lepiej, pokazując wszystkie mężowskie karty.

–W gruncie rzeczy nie ma znaczenia, kto wygra, a kto przegra – rzuciła Effie w twarz Douglasowi. – Nie możesz stracić mnie, grając w bakarata, ponieważ straciłeś mnie już teraz.

–Ależ proszę państwa! Proszę! Czy możemy kontynuować? – zapytał Jack Belias. – Nie znoszę, kiedy pasjonującą grę psują drobne domowe niesnaski.

–Mój Boże – szepnęła Effie. – Co z pana za człowiek? On klęczy tu przed panem na kolanach, a pan wciąż chce więcej. Dlaczego pan z tym po prostu nie skończy i nie strzeli mu w łeb?

Jack Belias uśmiechnął się, obnażając dwa rzędy szarych zębów.

–Nie zależy mi na pani mężu, pani Broughton. Obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Nie dbam o to, czy umrze, czy będzie żył. Nie dbam, czy zachoruje na dżumę, czy zdobędzie Nagrodę Nobla. Nie obchodzi mnie, czy jest szczęśliwy, i nie obchodzi mnie, czy jest w rozpacz.

Wziął między dwa palce kartę i przekręcił tak, aby Effie mogła ją zobaczyć. Królowa kier.

–Chcę pani – oświadczył i wyszczerzył jeszcze bardziej zęby. Kilku graczy odchyliło się do tyłu z widocznym zakłopotaniem.

–Daj spokój, Jack, tak nie można – powiedział Michael Arlen, a Remy Morse wypuścił z ust obłok dymu z cygara, jakby chciał się w nim schować.

–Doskonale, chce pan mnie – odparła Effie. – Ale to jedyny sposób, w jaki może mnie pan zdobyć. Wygrywając mnie w bakarata, niczym wyścigowego konia, brylant albo dom. Nigdy nie udałoby się panu zdobyć mnie inaczej.

Jack Belias nie przestawał się uśmiechać, ale jego oczy zrobiły się dziwnie małe, jak oczy świni.

–Bardzo dobrze. Jeszcze zobaczymy. Najpierw niech mi pani pozwoli wygrać. Potem zobaczymy, czy nie zmieni pani zdania. Obiecuję ci, Gino, że będziesz jeszcze czołgała się przede mną na czworakach. Będziesz tańczyła dla mnie boso po rozbitym szkle. Co ty na to? Zatańczysz dla mnie boso po rozbitym szkle?

–Daj spokój, staruszkę – zaprotestował Douglas. – To nieelegancko. Grajmy.

Nie spojrzął więcej na Effie, ale Jack Belias posłał jej swój uśmiech kota z

Cheshire, uśmiech, który trwał na jego twarzy przez cały czas, kiedy zajmował się ponownym rozdawaniem.

Effie odwróciła się i już miała zamiar wrócić do sali balowej, żeby zobaczyć, co robi Pepper, kiedy jej uwagę zwrócił nagły ruch. Przyjrzała się uważnie graczom. Jack Belias obracał się powoli, prawie niedbale, na swoim fotelu: dwa, trzy, cztery razy. Z początku nie miała pojęcia, po co to robi. Dla zabawy? Potem jednak – czując, że ciarki przechodzą jej po karku – zobaczyła, jak z jego krzesła unosi się niewyraźna, na pół przezroczysta postać i obchodzi szybko stół, zaglądając w rozdane przed chwilą, leżące przed innymi graczami karty. Po kilku sekundach Belias usiadł z powrotem na krześle i wydawał się tak samo rzeczywisty jak przedtem. Żaden z graczy najwyraźniej nic nie dostrzegł; ani oni, ani krupier. Wyglądało to tak, jakby duch Jacka Beliasa opuścił na chwilę jego ciało i zajrzał przeciwnikom w karty.

To nie jest podłoga, to zegar, powiedział jej Norman. Dlatego właśnie Jack Belias grał w bakarata w bibliotece, tam, gdzie sama konstrukcja sali pozwalała mu przenosić się w czasie i sprawdzać, co zdarzy się za jakiś czas... albo zupełnie bezkarnie zaglądać w karty, które rozdał. Po chwili, gdy czas dobiegł punktu, w którym Jack wstał z fotela, Effie zobaczyła, że karty trzepoczą lekko. Zaraz jednak wróciły do normalnej pozycji i mężczyźni przystąpili do gry.

–Cheval – powiedział Douglas, kładąc tysiąc dolarów między jedyneką i dwójką.

Effie wyszła z biblioteki. Zamykając za sobą podwójne drzwi, zobaczyła, że Jack Belias podnosi głowę i mierzy ją chłodnym, władczym spojrzeniem. W tym momencie przypominał bardziej Craiga niż Jacka Beliasa, wiedziała jednak, że Belias zawładnął jej mężem tak kompletnie, iż nie ma sensu apelować do jego uczuć – uczuć człowieka, który oznajmił kiedyś, że będzie ją kochał „przez całą wieczność i jeszcze kilka miesięcy dłużej”.

Zamknąwszy drzwi wahała się przez ułamek sekundy, zastanawiając się, czy nie powinna otworzyć ich ponownie, po prostu żeby sprawdzić, czy Jack Belias i jego współtowarzysze wciąż tam są. Zamiast tego jednak podeszła szybko do Pepper i dotknęła jej ramienia. Pepper pogrążona była w transie. Obróciła się do Effie i zamrugła oczyma, jakby w ogóle nie zdawała sobie sprawy z jej obecności.

–To Jack Belias. Jest tutaj – powiedziała Effie.

–Skąd wiesz?

–Byłam w bibliotece. Gra w bakarata z przyjaciółmi.

–Co to znaczy? Kiedy tam byłaś?

–Przed chwilą. Przed dwudziestoma sekundami.

–Co się stało? – zapytał Norman, podchodząc do nich.

–Effie mówi, że była przed chwilą w bibliotece. Norman zrobił zdziwioną minę.

–Jak ci się to udało? Stałaś tu przez cały czas.

–Byłam w bibliotece, przysięgam. Jest tam Jack Belias, a razem z nim jego przyjaciele. Są prawdziwi. Naprawdę tam są. Chodźcie zobaczyć, jeśli mi nie wierzycie!

Pepper spojrziała na swoją różdżkę. Wciąż była odchylona do tyłu, ale już nie dygotała.

–Cholera – zaklęła i rzuciła ją na podłogę.

–Co się stało? – zapytała Effie.

–Nie rozumiesz? Wszystkie te zaklęcia, wszystkie świece, wszystkie te przeklęte lustra kompletnie nic nie dają.

–Ale ja zobaczyłam mężczyznę wchodzącego do biblioteki i kiedy za nim poszłam, był tam Jack Belias.

–Nie widzieliśmy żadnego mężczyzny. Jak wyglądał?

–Trochę łysy... niezbyt przystojny. Miał białą koszulę i pogniecione spodnie...

aha, i czerwono-zielone szelki.

–Mój Boże – odezwał się Brewster. – Dokładnie tak wyglądał mój partner, Morton Walker.

–Widziała pani Mortona? – zapytał z niedowierzaniem Norman.

–Widziała czerwono-zielone szelki. To nie mógł być nikt inny – upierał się Brewster.

–Ależ na litość boską, Brewster, Morton nie żyje.

–Podobnie jak Jack Belias – wtrąciła Pepper.

–Nie potrafię zrozumieć, dlaczego go nie widzieliście – zdziwiła się Effie.

–Z tego samego powodu, z jakiego nie działają żadne z moich zaklęć, a wymachiwanie różdżką jest stratą czasu. Psychiczne zakłócenia nie występują ot tak sobie. One wiążą się z tobą,

z Craigiem, z Jackiem Beliasem i z tym, co zrobił Ginie Broughton.

–No więc co tu się w końcu dzieje? – zapytał Norman.

–Jack Belias wrócił, oto co się dzieje. Nie widzicie? Postanowił, że zbuduje Walhallę w ten sam sposób jak Benton House, aby móc przenosić się w czasie kilka sekund do przodu i oszukiwać przy grze w karty. Na pewno nie wzniósł tego domu z przyczyn religijnych... był ateistą. Zarobił na nim miliony i żaden z graczy nie odgadł, jak się to odbywa. Jak mieli to odgadnąć, skoro byli podenerwowani i nie potrafili myśleć logicznie? Specyficzna konstrukcja pomagała mu pierwotnie przy grze w karty. Ale kiedy Ginę Broughton wypadła z okna i zabiła się, doszedł do wniosku, że może wykorzystać ten dom do czego innego. Popełniłam chyba błąd myśląc, że znikając przy Bear Mountain Bridge, Jack Belias usiłował ująć przed karzącą ręką sprawiedliwości. Miał gdzie sprawiedliwość. Rzucając się z okna, Ginę Broughton nie pozwoliła, by ją kompletnie złamał. Nie doznał dotąd takiej zniewagi od żadnej kobiety. I dlatego właśnie teraz wraca. Żeby jeszcze raz spróbować.

–Nie możemy go powstrzymać? – zapytała Effie. – Mówiłaś zdaje się, że te lustra pomogą się go pozbyć.

–Jest tylko jeden sposób, żeby się go pozbyć – oświadczyła z przekonaniem Pepper. – Trzeba zburzyć cały dom.

–Chyba żartujesz! – zawołał Norman. – Bellmanowie utopili w nim wszystkie swoje oszczędności, a ja wykonałem już robotę za kilka tysięcy dolarów.

–Nie ma innego sposobu – stwierdziła Pepper. – Tak długo, jak długo będzie istniała Walhalla, Jack Belias będzie mógł przenosić się z dekady do dekady i z osoby do osoby.

–Ale mamo, przypuśćmy, że się mylisz. Przypuśćmy, że zburzymy ten dom, a facet tu zostanie, będzie spacerował po ogrodzie i wachał kwiatki. Co wtedy?

–Czy jeśli zburzymy ten dom, odzyskam Craiga takiego, jakim był przedtem? – zapytała Effie.

Pepper kiwnęła głową.

–Jestem tego prawie pewna – odparła.

–Prawie? – zapytał Norman.

–Muszę się zastanowić – powiedziała Effie. – Muszę porozmawiać z adwokatami.

Muszę porozmawiać z Craigiem.

–Za późno. Nie możesz już porozmawiać z Craigiem. Craig jest Jackiem, a Jack jest Craigiem. Ich życie toczy się równolegle.

Norman spojrział na zegarek.

–Może przeszukamy jeszcze raz dom i na dzisiaj damy sobie spokój? Kiedy słyszę te historie o równoległym życiu, zaczyna mnie boleć głowa.

–W porządku – odparła Pepper. – Co o tym myślisz, Effie? Rozejrzemy się jeszcze raz?

–Dobrze – zgodziła się Effie. – Moim zdaniem powinniśmy zacząć od biblioteki.

Podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież. Biblioteka była pusta. Nie było oprawnych w skórę książek, stołu do bakarata, cygarowego dymu i żadnego z dwunastu graczy. Effie weszła ostrożnie do środka i obeszła dookoła cały pokój, dotykając palcami ścian.

Gdzie jesteś, Jacku Beliasie? – pomyślała. Musisz ukrywać się gdzieś blisko... w mroku jutrzejszego poranka, tuż przed brzaskiem... albo w cieniach wczorajszego wieczoru.

Zatrzymała się pośrodku, tam gdzie stał obity sukнем stół, i spuściła wzrok. Na parkiecie leżał niewielki szary przedmiot. Kiedy pochyliła się i podniosła go, rozsypał się jej między palcami. Popiół z cygara.

–Co to jest? – zapytała Pepper, podchodząc do niej.

–On jest tak blisko – szepnęła Effie. – On i Giną Broughton, oboje. Są tak blisko, że prawie ich czuję.

–Ja też ich czuję – mruknęła Pepper. Miała bose stopy, a na opasce, którą założyła na głowę, dzwoniły złote monety.

Effie podeszła do okna.

–Nie rozumiem tylko, jakim cudem Giną przenosi się tu także i próbuje mną zawładnąć. Przecież popełniła samobójstwo, rzucając się na sztachety. On jest w stanie wrócić i posłużyć się tym domem, żeby przenieść się w inny czas, ale ona tego nie potrafi.

Pepper zapaliła wygiętego skręta i wypuściła dym nozdrzami.

–Może zanim tu się przeniósł, cofnął się w czasie i zabrał ją ze sobą, kiedy jeszcze żyła. Kto wie? Mam w głowie straszny mętlik.

Effie położyła obie dłonie na piersiach. Czuła w sobie coś, czego nie doświadczyła jeszcze nigdy do tej pory. Przyjemne ciepło, podobne do tego, którego doznaje się, wychodząc na słońce, tyle że rozchodzące się od środka.

–Czy nie wyglądam inaczej? – zapytała, zwracając się do Pepper.

–W jakim sensie?

–Nie wiem, po prostu inaczej. Czuję się inaczej. Myślisz, że Nico będzie tu dzisiaj wieczór?

–Co takiego?

–Powiedziałam, że czuję się inaczej.

–Nie, potem... Zapytałaś, czy Nico przyjdzie tu dziś wieczór. Effie ruszyła powoli w stronę drzwi.

–Naprawdę cię o to zapytałam? Tak, zapytałam, to prawda. Wiem również, kogo miałam na myśli. Nico Zographosa.

Pepper objęła ją i mocno uścisnęła.

–Chodź – powiedziała. – Szukajmy dalej. Może znajdziemy coś, co będzie stanowiło klucz do rozwiązania tej zagadki.

–To się już zaczęło, prawda? – zapytała Effie. – To, po co wrócił Jack Belias. Wrócił albo przeniósł się w czasie do przodu.

–Nie bój się – odparła Pepper. – Nie udało mu się złamać Giny i nie ma najmniejszej szansy złamać ciebie.

Środa, 21 lipca, 19.42

Norman i Brewster po raz drugi tego wieczoru weszli na pierwsze piętro – Norman schodami po lewej, Brewster po prawej stronie.

–Moja babcia wierzyła w czary – powiedział Brewster, kiedy spotkali się na górze. – Jeśli ktoś prześladował mnie w szkole, mówiła, żebym uciął mu ukradkiem kosmyk włosów i przyniósł do domu. Mieszała je z kurzą krwią, solą i garścią mąki, ugniatała z tego ciasto i wieszała na werandzie, żeby padło na nie światło księżyca. Mówiła, że moi wrogowie postradają od tego zmysły, ale dzieciaki w naszej szkole i tak były na ogół stuknięte, więc nigdy nie wiedziałem, czy czary poskutkowały.

Otworzyli drzwi do przedpokoju. Przez milionową część sekundy Norman spodziewał się niemal, że zobaczy leżącą z zadartymi w górę nogami matkę, a na niej Craiga Bellmana. Ale pomieszczenie było puste i mroczne i unosił się w nim zapach kurzu.

–Nie mogę uwierzyć, że moja mama chce zburzyć Walhallę – powiedział. – Ten dom jest całkowicie unikalny.

–A wierzysz, że Jack Belias posługuje się nim, żeby wrócić?

–Nie wiem, co ci powie. Zbudował go na wzór Benton House... a w tamtym domu działy się bardzo dziwne rzeczy.

–Myślisz, że pani Bellman naprawdę widziała Mortona?

–Opisała go dość dokładnie, choć z tego, co wiem, nigdy w życiu go nie spotkała.

–Jezu, biedny Morton. Moja babcia wierzyła w duchy. Nigdy nie pozwoliłaby, żeby w pokoju stał pusty wazon, bo mógł się w nim ukryć jakiś duch.

–Jak nazywała się twoja babcia? Baba Jaga?

Podeszli do drzwi głównej sypialni, z wyrytymi w drzewie milczącymi twarzami.

–Ten dom może i jest całkowicie unikalny – powiedział Brewster – ale nie chciałbym w nim mieszkać. Musiałbym na przykład zakryć czymś te drzwi, bo stale bałbym się, że te kobiety otworzą nagle oczy.

–Daj spokój, człowieku, nie strasz mnie.

–Przepraszam. Sprawdziliśmy już chyba tę sypialnię?

–Nie zaszkodzi zajrzeć tam jeszcze raz.

Otworzyli podwójne drzwi i weszli do wielkiej, przypominającej kościelną nawę sypialni. Okienne ramy drżały pod naporem wichury, a drzewa za oknami gięły się i wymachiwały gałęziami niczym szaleni tancerze.

–Fuj – mruknął Norman i przesunął ręką po twarzy.

–Co się stało, człowieku?

–Pajęczyna. Nie znoszę pajaków.

–W tym domu jest ich mnóstwo. Istne komnaty Arachne.

–Uparłeś się, żeby mnie jednak nastraszyć, tak?

Przeszli przez sypialnię i zajrzeli do przylegającej do niej łazienki. Była pusta i zimna; w pomalowanej na biało wannie siedział wielki czarny pajak. Norman zamknął szybko drzwi i przekręcił klucz.

–Wolałbym spotkać ducha niż jednego z tych sukinsynów – oznajmił.

Wyszli z sypialni i ruszyli biegnącym na południe korytarzem.

–Zanosi się na niezłą burzę – zauważył Brewster, zaglądając do pokoju do szycia. Prawie jak na zawołanie nad odległym szczytem Storm King Mountain ukazała się błyskawica. – Powinienem już chyba wracać. Czeka na mnie żona. Niedawno zaszła w ciążę.

–Już mi o tym mówiłeś.

–Naprawdę? Przepraszam. Wciąż jestem z tego taki dumny. Doszli do miejsca, w którym stała gipsowa figura.

–Zajrzyj na górę, a ja sprawdzę do końca całe piętro – zaproponował Norman. – Inaczej zajmie nam to całą wieczność.

–W porządku – zgodził się Brewster.

Wszedł na drugie piętro i ruszył korytarzem, otwierając po kolei drzwi i zaglądając do środka. Ten dom zdecydowanie mu się nie podobał. Chociaż był taki wielki, coś w jego atmosferze sprawiało, że czuł się zdeprymowany i złapany w pułapkę, z której nigdy nie miał wydostać się na zewnątrz. Idąc korytarzem, zaczął nucić wymyślony naprędce rap. Wiatr postukiwał framugami, jakby chciał je wyrwać z zawiasów, a zabezpieczająca dach brezentowa płachta zaczęła huczeć i łopotać.

–Przyszedłem raz do domu, w którym coś straszyciło... a duchy wyszły z dziury i figlowały aż miło... – mruczał pod nosem.

Przystanął przy trzecich z kolei drzwiach i położył dłoń na klamce. Robiąc to miał wrażenie, że słyszy czyjś stłumiony szloch. Znieruchomiał i natężył słuch, ale przez dłuższą chwilę słyszał tylko stukot framug i uporczywe kłapanie brezentu.

Zdawało mu się, że gdzieś z boku przemknął szybko jakiś cień. Odwrócił się w stronę podestu i omiół wzrokiem korytarz. Nikogo tam nie było. Serce waliło mu jak oszalałe, a oddech wydawał się absurdalnie głośny, niczym pompujące powietrze kowalskie miechy. Ktoś tutaj jest, podpowiadał mu instynkt. To niemożliwe, odpowiadał rozum.

Ktoś tutaj jest, upierał się instynkt. Ktoś tutaj jest!

Brewster czekał prawie całą wieczność. A potem usłyszał ten dźwięk ponownie, tym razem całkiem wyraźnie: wysoki stłumiony płacz dziecka albo cierpiącej kobiety. Nie chcę tam wchodzić, pomyślał. Tam ktoś jest.

Mimo to przekręcił klamkę i otworzył drzwi.

–Jest tu kto? – zapytał zdławionym, ochrypłym od flegmy głosem. – Jest tu kto?

Tuż przy oknie stała, wyglądając na zewnątrz, postać w bieli. Odwrócona była do niego plecami i nie poruszała się, chociaż jej podobne do prześcieradła okrycie unosiło się leniwie w przeciągu. Na dworze niebo było intensywnie szare, niczym zabrudzone węglem drzewnym płótno, ale dachy Walhalli wciąż połyskiwały w słońcu. Pusty kominek westchnął i zagwizdał, a potem ponownie westchnął.

–Przepraszam – powiedział Brewster. – Szukam pana Bell-mana. Nie zaglądał tu przypadkiem?

Postać nie odpowiedziała ani się nie poruszyła. Brewster dał kilka kroków w głąb wysłanego niebieskim dywanem pokoju, nie był jednak pewien, czy starczy mu odwagi, żeby pójść dalej. Postać nie zdradziła ani jednym gestem, że zdaje sobie sprawę z jego obecności. Zupełnie nie przypominała Craiga Bellmana: była od niego

zdecydowanie szczuplejsza i miała węższe ramiona. Wyglądała bardziej na kobietę niż na mężczyznę, nie zmniejszało to jednak obaw Brewstera. Dał kolejny krok do przodu, a potem jeszcze jeden, chociaż ani na chwilę nie mógł przestać myśleć o odzianym w czerwoną opończę karle z „Nie oglądaj się teraz” i o innych horrorach, które oglądał w telewizji i w których ludzie odwracali się nagle, odsłaniając straszliwe twarze.

Podniósł rękę, chcąc dotknąć prawego ramienia postaci w bieli. W tym samym momencie chmury przesłoniły ostatni jasny skrawek nieba i pokój pogrążył się w mroku. Nie mogę tego zrobić, przeleciało przez głowę Brewsterowi. Za bardzo się boję. Zanim jednak zdążył się cofnąć, jego palce same zacisnęły się na kościstym ramieniu kobiecej postaci, która obróciła się w jego stronę.

To, co zobaczył, tak nim wstrząsnęło, że mimowolnie skoczył do tyłu. Twarz kobiety była biała niczym okrywające ją prześcieradło. Jej oczy były również białe: białe jak mleko i kompletnie ślepe.

–Cholera! – zaklął Brewster i przeżegnał się szybko dwa razy. – Nie chciałem pani...

Kobieta w ogóle nie odpowiedziała, dała tylko krok do przodu i wyciągnęła do niego lewą dłoń. Brewster próbował się cofnąć, ale ona odnalazła jego rękę, a potem ramię i delikatnie objęła palcami kark. Brewster cofnął się o krok. To chyba jakiś koszmar, pomyślał. Sekundę później poczuł uderzenie w brzuch, niezbyt mocne, ale bolesne i ostre. j – Co ty wyprawiasz, do diabła? – krzyknął. – Oszalałaś czy co?

Odsunął się do tyłu, próbując uwolnić się z jej uścisku, i dopiero teraz zobaczył, że prześcieradło pokrywają czerwone plamy i że kobieta trzyma w ręku coś, co przypomina zaostriżony pogrzebacz. Cofnął się jeszcze o krok i poczuł, jak jego brzuch przeszywa okropny ból, gorszy od wszystkich niestrawności, jakie kiedykolwiek mu dokuczały. Przód jego zielonej kraciastej koszuli był mokry i lśnił od krwi.

–Na litość boską, dlaczego mi to zrobiłaś?! – wrzasnął. – Przyszedłem tu, żeby ci pomóc.

Ale ona najwyraźniej go nie słyszała albo nie zwracała uwagi na to, co mówił. Wyciągnęła lewą rękę i zaczęła go po omacku szukać, trzymając w prawej podniesiony pogrzebacz.

Brewster zatoczył się, oparł o łóżko, a potem odwrócił, pochylił i próbował umknąć w stronę drzwi. Kobieta ruszyła za nim, wciąż wymachując na oślep lewą ręką. Zamachnęła się i chybiła, zamachnęła się powtórnie i tym razem trafiła go w ramię. Brewster nie tylko poczuł, ale i usłyszał, jak ostrze wbija się w jego mięsień. Opadł na kolana, kaszląc krwią. A potem poczuł, jak kobieta dotyka zwinnymi palcami jego pleców, żeby ustalić dokładnie, gdzie klęczy. Gala, pomyślał. Gala, kochanie. Jak ja ci to wszystko wytłumaczę, dziecinko?

Zacisnąwszy pogrzebacz w obu rękach, kobieta uderzyła go sześć albo siedem razy w plecy i ramiona. Za każdym razem odczuwał bolesne ostre szturchnięcie. Słyszał jej krótki, urywany oddech, nic więcej. Kobieta w ogóle się nie odzywała. Brewster miał wrażenie, jakby ktoś obił mu całe plecy kijem do baseballu, nie zdawał

sobie jednak sprawy, że ma przebite oba płuca i wątrobę i że ostatnie dźgnięcie minęło zaledwie o jedną czwartą cala serce.

Nadal klęczał na czworakach, nie mogąc się poruszyć i ociekając krwią niczym szlachtowana świnia. Kątem oka zobaczył, że kobieta krąży wokół niego i że okrywające ją prześcieradło zsunęło się na podłogę. Próbował podnieść wzrok, lecz widział tylko jej bosc stopy i kostki. Próbował ją zapytać: „Dlaczego?” – ale z jego ust wydobył się tylko wielki krwawy bąbel. Czuł jego metaliczny smak.

Powoli, bardzo powoli pochylił głowę i dotknął czołem podłogi. Nie odczuwał teraz żadnego bólu, wiedział jednak z całkowitą jasnością, że umiera. Wokół niego migaly bosc stopy kobiety, ale nie chciał się im przyglądać. Kobieta nie była ważna, to, kim była, nie miało już znaczenia. Tylko żywym zależy na ustaleniu tożsamości morderców, pomyślał. Martwi są zbyt martwi, żeby ich to obchodziło.

Ta myśl wydała mu się tak głęboka i głupia zarazem, że zachciało mu się śmiać. I właśnie to nieudane parsknięcie było ostatnim dźwiękiem, jaki wydał, osuwając się ciężko na dywan.

Kobieta stała nad nim prawie przez całą minutę, chociaż nie mogła go zobaczyć. Jej nagie ciało ozdabiała liczne blizny, oparzenia, zadrapania i sińce. Była w zaawansowanej ciąży; nabrzmiące piersi opierały się o jej brzuch niczym dwa przejrzale owoce.

W końcu uklękła przy Brewsterze, dotykając delikatnie jego ciała, obmacując jego kontury. Ktoś, kto by ją obserwował, mógł pomyśleć, że żałuje tego, co zrobiła. Jednak po kilku chwilach wstała, podniosła z podłogi prześcieradło, owinęła się nim jak togą i stawiając ostrożnie stopy wyszła z pokoju.

Brewster pozostał w sypialni, wpatrując się nieruchomymi oczyma w podłogę. Krew z jego ran lała się po dywanie, tworząc plamę w kształcie koźlej głowy z dwoma asymetrycznymi rogami.

Środa, 21lipca, 19.53

Norman sprawdził wszystkie pokoje gościnne i łazienki aż do zachodniego krańca Walhalli, skąd roztaczał się widok na Hudson Highlands. W niektórych sypialniach pozostały tylko odłóżące od ścian tapety, podłoga z surowych desek i plamy wilgoci, podobne do map nie odkrytych kontynentów. W innych wciąż stały łóżka i komody z poukładaną elegancko bielizną, w oknach wisiały pożółkłe firanki, a na podłogach leżały dywany. Załamania poszew i prześcieradeł poszarzały ze starości, kilka poduszek zniszczyły myszy. Mimo to Norman nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ludzie, którzy tu mieszkali, wyszli tylko na chwilę i mogą zaraz powrócić.

Z każdego umeblowanego i nie umeblowanego pokoju otwierał się ten sam widok na pociemniałe niebo, cienkie jak liźnięcia wężowych języków błyskawice i potoki deszczu, który lał równo w całej Hudson Valley, od Kingston na północy aż do Tarrytown na południu. Norman miał poczucie, że zbliża się Apokalipsa, nadchodzi Dzień Sądu. Zaczynał żałować, że tak pochopnie zgodził się wziąć udział w podjętej przez matkę próbie oczyszczenia Walhalli. O wiele lepiej czułby się teraz w barze Clarke'a, rozmawiając z kumplami o listwach profilowych i wklęsłych gzymsach.

Jeśli o niego chodziło, najgorsze były łazienki. Za każdym razem, kiedy je otwierał, widział w lustrze swoje blade odbicie, a w każdej umywalce siedział włochaty czarny pająk z niesamowicie długimi nogami. To wszystko przez ten deszcz, pomyślał. Pająki zawsze włączają do domu, kiedy zanosi się na deszcz.

Po jakimś czasie wrócił do miejsca, gdzie stała maskara z gipsu.

Początkowo, póki nie zwróciła mu na to uwagi pani Bellman, wcale nie uważał, że jest podobna do ludzkiej postaci, teraz jednak obserwował ją z niepokojem, pamiętając, żeby ani na chwilę nie odwrócić się do niej plecami. Czuł, że jeśli to zrobi, maskara ruszy szurając nogami przez podest i skoczy mu na plecy, a potem otworzy szerzej swoje popękane skrzywione usta i wbije mu zęby w tętnicę szyjną.

Spojrzał na zegarek. Brewster powinien się zaraz pojawić. Na drugim piętrze było tylko dwanaście sypialni, osiem garderób i cztery łazienki. Oparł się o balustradę, zabębnił w nią palcami i zanucił przez nos Ali Apologies Nirvany. Była to najbardziej ponura melodia, jaką mógł sobie przypomnieć. Ponownie zerknął na zegarek. Pospiesz się, człowieku, ponaglił Brewstera w myślach.

Wciąż opierał się o balustradę, kiedy zupełnie niespodziewanie z maskary oderwał się kawał gipsu i rozbił na drobne części, wzbijając w górę tuman kurzu. Norman podskoczył ze strachu.

Z brakującą połową czoła gipsowa postać wydawała się jeszcze bardziej ponura i zniekształcona.

–Pierdolę cię – zaklął głośno Norman, po czym podszedł bliżej i kopnął ją prosto w opasły, zdeformowany brzuch.

Z początku nie zrobiło to na gipsowej postaci większego wrażenia, ale po kilku dalszych kopniakach brzuch odpadł i na podłogę posypały się kawałki gipsu, grzybni i mokrej tapety. Norman kopnął maskarę w twarz i odłupał jej dolną szczękę. Kopnął ją w oko i oko zniknęło. A potem kopał ją tak długo, aż pozostały z niej tylko porozrzucane po całym podeście poszarzałe okruchy.

Był tak zaabsorbowany tym, co robi, że nie usłyszał szybkich lekkich kroków zbiegającego po schodach mężczyzny. Po chwili wyczuł jego obecność, ale przekonany, że to Brewster, wymierzył maszkarze ostatniego kopniaka.

–Jak ci się to podoba, człowieku? – zapytał. – Przyspieszyliśmy trochę remont klatki schodowej. – Dał krok do tyłu, otrzepując ręce i przyglądając się z podziwem dziełu zniszczenia. – Powinienem zostać kick-bokserem. Jak myślisz? Steven Seagal może się schować!

Dał kolejny krok do tyłu i odwrócił się, ale wcale nie zobaczył przed sobą Brewstera. Stał przed nim wysoki ciemny mężczyzna o niewyraźnych, trudnych do rozpoznania rysach twarzy. Ubrany był na czarno i trzymał w ręku laskę. Norman pochylił się do przodu, żeby mu się lepiej przyjrzeć, okazało się to jednak zupełnie niemożliwe.

–Kto pana tutaj... – zaczął, ale kiedy mężczyzna zrobił krok do przodu, uznał, że lepiej będzie zamilknąć.

–To mój dom – poinformował go mężczyzna. Miał bardzo głęboki i bardzo uprzejmy głos, lecz mimo to było w nim coś przerażającego.

–Nie wydaje mi się – odparł Norman. – Ten dom należy do pana Craiga Bellmana i jego małżonki. Moje nazwisko brzmi Norman Moriarty. Zlecono mi prowadzenie prac remontowych. Czy jest pan zainteresowany tego rodzaju usługami? Mogę panu dać moją wizytówkę.

–To mój dom – powtórzył mężczyzna. – Wymyśliłem go, stworzyłem i zbudowałem.

–W takim razie – oświadczył nonszalanckim tonem Norman – musi pan być Jackiem Beliasem.

Mężczyzna nie odpowiedział, podniósł tylko laskę i złapał drugą ręką za jej koniec, jakby miał zamiar złamać ją na pół.

–Kłopot polega niestety na tym, że Jack Belias odszedł do domu, którego nie zbudował człowiek – podjął Norman – i stało się to w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym.

–A kiedy był rok tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy?

–Co to znaczy: kiedy był rok tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy?

–Nie wiesz, kiedy był rok tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy?

–Przepraszam, ale tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy był chyba w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym. To tak, jakby pytać, kiedy była piąta po południu.

Mężczyzna dał krok do przodu i Normana uderzył w nozdrza silny zapach kwiatowej wody kolońskiej.

–Powie ci, kiedy był rok tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy, ty głupi gnojku. Tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy był teraz; tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy był jutro; i tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy był za pięćdziesiąt lat.

Norman próbował odchrząknąć, ale z jego gardła wydobyło się tylko suche szczeknięcie.

–Chce pan powiedzieć, że naprawdę nazywa się Jack Belias? – zapytał.

Mężczyzna podszedł jeszcze bliżej. Był znacznie wyższy od Normana i górował

nad nim niczym stojące nad Storm King Mountain burzowe chmury. W jego głosie brzmiała wyraźna groźba.

–Chyba w to nie wątpisz?

Norman podniósł w górę obie ręce. Nie był to tylko gest pojednania; chciał obronić się przed ewentualnym uderzeniem. Jack Belias dał dwa kroki do przodu.

–Naruszasz cudzy teren – oświadczył. – Nie byłeś przypadkiem na górze? Nie wypuściłeś mojej małej niewolnicy?

–Posłuchaj, człowieku, nie wiem, o czym mówisz. Nie wiem, o co ci chodzi. Jeśli chcesz, żebym sobie stąd poszedł, odejdę. Głos Jacka Beliasa zmienił się nagle w ryk:

–Myślisz, że ujdzie ci to na sucho?! Myślisz, że odejdiesz stąd nie ukarany?!

–Człowieku, już mnie tu nie ma... – wyjąkał Norman. Ale Jack Belias podniósł bez ostrzeżenia swoją laskę i uderzył go na ukos w prawe ramię, blisko szyi.

–Kurwa, człowieku! – krzyknął Norman. Nadal trzymał podniesione w górę ręce, lecz Jack Belias uderzył go po raz drugi, trzeci i czwarty, tak mocno i z taką wściekłością, że Norman mógł tylko cofać się chwiejnym krokiem.

–Nienawidzę tych, którzy naruszają cudzy teren, nienawidzę wandalów i nienawidzę ciebie! – wrzasnął Jack Belias. Uderzył Normana w lewą dłoń i chłopak usłyszał, jak pękają mu kości w trzech palcach.

–Zostaw mnie w spokoju! – krzyknął. – Zostaw mnie w spokoju! Nic ci nie zrobiłem!

Jack Belias jednak okładał go dalej, nie zważając na protesty – po rękach, po ramionach i głowie. Za każdym razem, kiedy Norman usiłował się cofnąć, Jack Belias dawał krok do przodu. Rysy jego twarzy wciąż wydawały się jakby rozmazane i nieostre, lecz Norman widział, że są wykrzywione z gniewu: brwi były ściągnięte, a kąciki ust opuszczone w dół, jak w masce japońskiego demona.

Odwrócił się, potknął i w tej samej chwili Jack Belias zaczął walić go w plecy. Łomot, który towarzyszył każdemu uderzeniu, przerażał Normana tak samo mocno jak ból. Brzmiało to tak, jakby jakiś szaleniec próbował zatłuc na śmierć starą kanapę.

Pokuśtykał korytarzem. Jack Belias ścigał go, nadal okładając laską po plecach i nogach.

–Myślisz, że ujdzie ci to na sucho?! – ryczał. – Myślisz, że pozwolę ci odejść?

Norman uchylił się, obrócił nagle na pięcie, złapał laskę za drugi koniec i spróbował wyrwać ją z ręki Jacka Beliasa. Przez chwilę mocowali się ze sobą, przepychając się i głucho stękając. Norman obracał laskę dookoła jak wskazówkę zegara, usiłując osłabić uchwyt przeciwnika. Żaden z nich nie odzywał się ani słowem.

W pewnej chwili Norman przeraził się, że Jack Belias złamie mu pozostałe palce, ale potem udało mu się szarpnąć nagle laskę raz w jedną, raz w drugą stronę i Belias wypuścił ją z ręki. Odbiła się okuciem od podłogi i zatańczyła na korytarzu, jakby obdarzona była własnym życiem.

Norman odepchnął z całej siły Jacka Beliasa i pokuśtykał w stronę najbliższego

okna. Dzwoniło mu w uszach, rwało go w szczęce i całe ciało bolało tak, jakby przywalila go masywna belka. Słyszał, jak Belias ryczy z wściekłości, wracając po swoją laskę, i wiedział, że nie wytrzyma drugiego takiego lania. Następnym razem wykorkuje.

Walnął okaleczoną pięścią w klamkę okna i wichura natychmiast otworzyła je na oścież. Jedno ze skrzydeł uderzyło o ścianę i wypadła z niego szyba. Deszcz smagnął Normana w twarz, a firanki załopotwały wściekle na wietrze.

–Ty wandalu! Zaraz cię nauczę! – wrzasnął Jack Belias i uderzył go laską w czubek głowy. Norman stracił równowagę i o mało nie wypadł na kamienne patio trzydzieści stóp niżej. Uratował się, łapiąc za okienną ramę, która zatoczyła się przypadkiem w jego stronę.

Przez dwie albo trzy mrożące krew w żyłach sekundy wisiał wychylony połową ciała na zewnątrz, przywierając rozpaczliwie do parapetu, podczas gdy Jack Belias okładał go laską po nogach. Ale potem zdołał wymierzyć mu celnego kopniaka i wspiął się na wąski kamienny gzyms, który biegł wzdłuż całego pierwszego piętra aż do frontowej ściany budynku.

–Dostanę cię jeszcze, ty sukinsynu! – zawołał Jack Belias. Nad drzewami zamigotała błyskawica i na krótki moment cały świat zaalało oślepiające, błękitnobiałe światło. A po chwili nad Walhallą rozległ się huk gromu i Norman przywarł do mokrej kamiennej ściany, czując, jak deszcz smaga go po plecach i zamienia jego dżinsowe spodnie w groteskowe ciężkie legginsy.

Pociągając nosem z bólu, zaczął oddalać się od otwartego okna. Jedyne uchwyty zapewniało mu wąskie chropowate spojenie między ceglami. Trzy palce u lewej ręki miał złamane, trzymał się więc ściany tylko małym palcem, przyciskając kciuk do muru, by zachować równowagę. Wysoko na górze rynny były dziurawe i galony wody lały się po ścianie na jego głowę.

Od najbliższego okna dzieliło go już kilka stóp, kiedy usłyszał nagle głośny łomot. W następnym, gwałtownie otwartym oknie pokazał się Jack Belias.

–Naprawdę myślałeś, że pozwolę ci odejść? Naprawdę myślałeś, że cię nie ukarzę? Nigdy nie uda ci się uciec! – wrzasnął.

Norman oparł czoło o ścianę. Nie mógł iść do przodu i nie mógł się cofnąć. Wiedział, że przy każdym oknie, do którego się zbliży, będzie na niego czekał Jack Belias. Nie mógł także wytrzymać długo na gzymsie. Był przemoczony do suchej nitki, a palce bolały go tak bardzo, że przestało mu już prawie zależeć, żeby trzymać się dalej ściany. Nie chciał patrzeć w dół, wiedział bowiem, że od zalanego deszczem patia dzieli go długi skok.

–No szybciej, na co jeszcze czekasz? – sztychł z niego wychylony z okna Jack Belias.

Norman przesunął się kilka cali dalej. Mokre włosy przykleiły mu się do twarzy. Zaczął cicho szlochać. Zerknął ponownie w stronę swego prześladowcy i zobaczył nagle, że po ścianie biegnie z góry na dół metalowa rura. Gdyby udało mu się przypiąć do niej paskiem, mógłby zaczekać do chwili, kiedy nadejdzie pomoc albo Beliasowi znudzi się czekanie w oknie.

Ruszył dalej po gzymsie. Jack Belias wychylił się jeszcze bardziej przez okno i zaczął walić laską po ceglach, próbując go uderzyć albo przynajmniej przestraszyć, ale Norman wiedział, że znajduje się poza jego zasięgiem. Przesuwał się cał po calu w stronę rury i w końcu zdołał objąć ją prawą ręką. Na moment stracił równowagę i wydawało mu się, że zaraz runie do tyłu, jednak po chwili udało mu się chwycić rurę mocniej.

Najtrudniejsze było rozpięcie paska. Musiał zrobić to prawą ręką, ponieważ palce lewej nie nadawały się do niczego. Trzymając się ściany jednym tylko małym palcem lewej ręki, zatoczył się kilka razy do tyłu i musiał szybko puścić pasek, żeby złapać się rury i odzyskać równowagę. Kiedy udało mu się w końcu przesunąć pasek wokół rury i zapiąć go z powrotem, płakał z bólu i zmęczenia.

–Zamierzasz tam nocować? – naigrawał się z niego Jack Belias. – Cóż, w takim razie niech cię wszyscy diabli! Mam nadzieję, że wrony wydziobią ci oczy!

Norman odwrócił się w jego stronę.

–Pierdolę cię, człowieku! – zawołał. – Czy zrobiłem ci kiedyś coś złego? Co z ciebie za sadysta? Czy zrobiłem ci kiedyś coś złego? Wcale nie niszczyłem twojego zmurszałego domu! Próbowałem go odbudować!

–W takim razie jesteś większym głupcem, niż myślałem! – odkrzyknął Jack Belias. – Ten dom jest odbudowany. Będzie zawsze odbudowany, tak samo jak zawsze będzie w ruinie!

–Pierdolę cię! – powtórzył Norman.

W tej samej chwili z chmur wiszących nad Walhallą wychyliło się, migocząc niczym język żmii i szukając linii najmniejszego oporu, słabe wyładowanie wstępne potężnej błyskawicy. Przyciągnęły je wysokie kominy Walhalli, ale potem iskra skręciła nagle w bok i dotknęła wieńczącej piorunochron miedzianej burbońskiej lilii. Natychmiast po nim nastąpiły dwa wyładowania główne, każde o napięciu większym niż dwieście tysięcy wolt, i w chwilę później rozległ się ogłuszający huk rozgrzanego powietrza – przez jedną setną sekundy gorętszego od powierzchni słońca.

Klatka piersiowa Normana rozjarzyła się od wewnątrz, niczym potworna, oświetlona od środka dynia. A potem dosłownie eksplodował. Jego poczerniałe ręce i nogi spadły na patio, osmalona głowa z wciąż tłącymi się włosami potoczyła się w krzaki.

Piorun wstrząsnął Walhallą i zagrzechotał framugami okien. Ale okno, w którym jeszcze przed chwilą stał Jack Belias, stało puste, i tylko firanki powiewały na deszczu jak śmiertelne całuny.

Środa, 21 lipca, 20.17

Pepper rozejrzała się niespokojnie.

–Co to było? – zapytała Effie.

–Błyskawica – odparła Pepper. Jej srebrne oczy błędziły niespokojnie po sali. –

Ale nie tylko.

Odwróciła się do Effie i nagle pobladła.

–Stało się coś złego – dodała. – Czuję... sama nie wiem... czuję, jakbym coś nagle utraciła.

–Daj spokój – powiedziała Effie. – To wszystko przez te zakłócenia.

–Nie – zaprotestowała Pepper, przyciskając dłoń do czoła. – Czuję, jakby czegoś zabrakło. Nie potrafię tego wyjaśnić.

–Może powinniśmy poszukać Normana i Brewstera i dać sobie spokój z resztą?

–A co z Craigiem? Jeśli go teraz opuścisz, nigdy już do ciebie nie wróci.

–Zrobiłaś już dosyć – odparła Effie. – To jest moja wojna. Moja i Craiga.

–Nie mogę zostawić cię tu samej.

–Sama powiedziałaś, że to ja wywołuję te wszystkie psychiczne zakłócenia: ja i Craig. Co możesz na to poradzić?

–Mogłabym udzielić ci moralnego wsparcia. Effie potrząsnęła głową.

–Tylko jedno pozostaje tu do zrobienia, Pepper, i świetnie o tym wiesz. Trzeba pokazać Jackowi Beliasowi, że niezależnie od tego, ile razy spróbuje złamać Ginę Broughton, ona nigdy się nie podda. Może zawładnąć Craigiem i może posłużyć się mną, żeby wskrzесиć Ginę. Ale bez względu na to, co jej zrobi, Ginę nigdy się nie podda. Biczował ją, znęcał się nad nią i w końcu ją oślepił. Ale Ginę nie skapitulowała. I ja też tego nie zrobię.

–No, no – mruknęła, wydymając usta, Pepper. – Tak właśnie mówią córki Lilith. Nie ustąpię ani na krok dalej.

–Ty to powiedziałaś.

Pepper sięgnęła pod kaftan, wyciągnęła swoją ouangę, zdjęła ją przez głowę i podała Effie.

–Nie wiem, czy ci pomoże. Żadne z moich zaklęć najwyraźniej tu nie działa. Ale może uchroni cię przed niebezpieczeństwem.

Effie wzięła ouangę i pocałowała Pepper w policzek.

–Wiara, nadzieja i własnoręcznie sporządzona ouanga. Nie może mi się nie udać.

–Bądź bardzo ostrożna – ostrzegła ją Pepper. – Czas wyczynia tutaj dzisiaj dziwne sztuki. Zupełnie jakby wszystkie kartki książki zlepily się ze sobą. Mam na myśli, że wszystko może się zdarzyć.

–Wiem – odparła Effie. – Ale zamierzam zaryzykować. Wydaje mi się, że ciągnęło mnie tutaj prawie tak samo mocno jak Craiga. Tyle tu nie zakończonych spraw, którymi trzeba się zająć.

–Muszę odnaleźć Normana – oznajmiła Pepper. – Nie wiem... wciąż mam naprawdę złe przeczucia. Co chcesz teraz zrobić?

Effie skinęła głową w stronę biblioteki.

–Zobaczę, jak im idzie gra – powiedziała.

Patrzyła, jak Pepper wychodzi z sali balowej. Teraz, kiedy wiedziała dokładnie, co powinna zrobić, czuła w sobie siłę i determinację, jakich nie doświadczyła nigdy dotąd. Zakochała się w Craigu, kiedy był młodszy, urzeczona jego mistycznymi, romantycznymi cytatami z Mallarmego. Przez cały czas trwania ich małżeństwa pomagała mu w pracy. Dodawała mu otuchy, pochlebiała mu i pochlebiała jego klientom. Dała mu zbyt wiele, aby pozwolić teraz Beliasowi nim zawładnąć – albo aby pozwolić Beliasowi zawładnąć sobą.

Usłyszała dochodzący z biblioteki śmiech. Nawet przez zamknięte drzwi czuła zapach cygar. Przekręciła jednocześnie obie klamki i otworzyła drzwi na oścież.

Biblioteka była w pełni umeblowana; wzdłuż ścian stały książki, jednak gęsty dym z cygar sprawiał, że widziała tylko oświetlony lampą z zielonym kloszem stół do bakarata i siedzących przy nim mężczyzn. Kiedy weszła, obrócili się w jej stronę i twarze wszystkich były jednakowo przygnębione – wszystkich oprócz twarzy Jacka Beliasa, który rozpierał się w swoim fotelu, śmiejąc się i zapalając kolejne cygaro.

–No, no! – zawołał. – Wygląda na to, że pojawiła się we własnej osobie moja pierwsza wygrana.

Douglas Broughton obrócił się na krześle; z jego oczu wycierała desperacja.

–Gina – powiedział – Gina, ja naprawdę wierzyłem, że wygram.

Effie podeszła do stołu i mężczyźni odwrócili się z zakłopotaniem – wszyscy oprócz spoconego Douglasa Broughtona, który nie przestawał się w nią wpatrywać, błagając o wybaczenie, i oprócz Jacka Beliasa, który uśmiechnął się i zaciągnął cygarem.

–Przebac mi – zapłakał Douglas Broughton, padając na kolana i łapiąc Effie za rękę. – Przebac mi, Gina.

Dotknęła lekko jego białych potarganych włosów, pod którymi widać było krewetkoworóżową skórę czaszki.

–Co ci mam wybaczyć? Że grałeś o swoją żonę w bakarata czy że przegrałeś?

–O Boże, Gina, przebac mi wszystko.

–Nie ma tu nic do wybaczenia. Zgodziłam się, ponieważ tego chciałeś. Czy nie po to właśnie są żony? Żeby robić to, czego chcą od nich mężowie?

Jack Belias skinął lekko dłonią. Natychmiast podszedł do niego kelner w białych rękawiczkach i nalał bourbona.

–Jesteś teraz moja – oznajmił Belias twardym, rzeczowym głosem. Zebrał pozostałe karty, potasował je i wsunął z powrotem do „buta”. – Twój mąż może przysłać do Walhalli stroje i inne rzeczy, których będziesz potrzebować. Ty tymczasem przejdź się na górę i znajdź sobie sypialnię. Zajrzę do ciebie później, kiedy uda mi się oskubać do reszty obecnych tu moich przyjaciół.

–Ja pasuję – oznajmił Remy Morse, spoglądając na zegarek. – Wieczór okazał się jak zwykle bardzo niebezpieczny, bardzo ekscytujący i niezbyt przyjemny, mon cher Jack. Mam nadzieję, że któregoś dnia przebiegnie ci drogę czarny kot, że potkniesz się o niego i skreślisz swój twardy kark.

–Nigdzie nie idę – powiedziała Effie. – Nie jestem Gina, a ty nie możesz wygrywać ludzi w karty.

Gdzieś koło domu przetoczył się kolejny grom, ale burza odsuwała się już na wschód. Pepper szła przez patio w swoim trzepoczącym na wietrze kaftanie, stąpając bosymi stopami po popiele. Znalazła coś, co przypominało trójkątną kielnię, nie było to jednak narzędzie z epoki kamienia łupanego, lecz ludzka łopatką. Potem odkryła następne kości, całą wypaloną klatkę piersiową i kręgosłup. Znalazła zwęglone pudełko po pomarańczowych i na pół stopione pudełko po cytrynowych tik-takach. Dwa małe elementy zrównoważonej diety Normana.

Dopiero wtedy zrozumiała uczucie pustki, którego doznała w sali balowej. Dopiero wtedy stanęły jej przed oczyma wszystkie dni, które spędziła wychowując Normana, od różowego tłustego bobasa, który nigdy nie mógł spokojnie zasnąć, aż do chudego, pochrzającego nastolatka, który potrafił kłaść glazurę, tynkować i łączyć belki w jaskółczy ogon, i który nigdy nie mówił o niczym poza Nirvaną, karmiczną dietą i przywracaniem starym domom ich dawnej chwały.

Nie był jeszcze na tyle dorosły, żeby zdać sobie sprawę, że ta chwała jest tylko złotą świątynią arogancji; że wielkie domy Hudson Valley są monumentami wystawionymi samym sobie przez ludzi, na których pomniki nikt inny nie dałby złamanego centa.

Pepper pochyliła się nad zmoczonymi deszczem prochami i z jej oczu pociekły łzy. Płakała bardzo długo, tak długo, aż zygzaki błyskawic zniknęły na wschodzie, nad Connecticut, i wiatr zaczął powoli cichnąć.

W końcu jednak podniosła głowę, otarła oczy wierzchem dłoni i odwróciła się ku Walhalli. Spojrzała na jej wieżyczki, kominy i ciemne asymetryczne okna, i zdała sobie sprawę, co powinna zrobić. Podeszła do frontowych drzwi, wspięła się po schodach i dotknęła wilczego uchwyty dzwonka, jakby spodziewała się, że da jej siłę. Był tutaj, aby chronić dom przed złymi mocami. Może tego wieczoru spełni swoją rolę.

Minęła hali wejściowy i korytarz, otworzyła drzwi do sali balowej i bez chwili wahania ruszyła ku ustawionym w rogu pięciogalonowym kanistrom z płynem do mycia podłóg. Podniosła jeden z nich i za taszczyła na środek sali. Potem przyniosła następny i jeszcze następny, odkręciła nakrętki i zaczęła je z głośnym bulgotem opróżniać. Płyn rozlewał się powoli po lśniącej parkiecie z kanadyjskiego klonu. Unoszące się w górę opary falowały niczym rozgrzane powietrze nad autostradą.

W bibliotece Jack Belias wstał z fotela i poprawił kamizelkę. – Jest pani w błędzie, pani Broughton – oświadczył. – Pani mąż postawił panią i przegrał. Dlatego jest pani moja, całkowicie moja przez trzy długie dni i trzy długie noce, i mogę w ich trakcie robić z panią, co mi się żywnie podoba. Zgodziła się pani na to, pani Broughton, niech pani o tym nie zapomina. Dała pani słowo. A w grze w karty słowo jest święte.

–To chyba pan o czymś zapomniał – odparła Effie. – Nie po raz pierwszy prowadzi pan tę grę. Nie po raz pierwszy wygrywa pan tę nagrodę. Pan może się nie zmienić, ale zmieniają się czasy i zmienia się świat. Odkrył pan sekret Balama, panie Belias. Przeskakuje pan z epoki do epoki, z życia do życia. Ale należy pan do czasów, w których się pan urodził, i zawsze pan tam pozostanie.

Rysy Jacka Beliasa stwardniały z gniewu.

–Masz zamiar złamać zakład, Douglas? – zapytał, nie spuszczać oczu z Effie. – Tak?

–Nie wiem – odparł żalonym tonem Douglas Broughton. – Jeśli ona naprawdę się na to nie zgadza...

–Nie ma żadnego wyboru – przerwał mu ostro Jack Belias. – Postawiłeś ją. Zgodziła się. Teraz należy do mnie. Tak, jak należy do mnie zamek, tak, jak należy do mnie koń, i tak, jak należy do mnie ten cholerny jacht.

–Nie – powiedziała Effie. – Nie należę do nikogo. Należę tylko do siebie. Nie sądziła, że kiedyś w życiu zdolna będzie nie tylko w to uwierzyć, ale wypowiedzieć na głos te słowa. Jeśli Douglas Broughton naprawdę jej pragnął, będzie musiał stanąć przy jej boku i wycofać się z zakładu. Jeśli Jack Belias naprawdę jej pragnął, będzie musiał dobrze ją traktować.

Jeśli Craig naprawdę jej pragnął, będzie musiał przezwyciężyć wpływ brutalnej osobowości, która zawładnęła jego duszą.

Nie należała do nikogo. I uświadomienie sobie tego sprawiło, że łzy pociekły jej nagle po policzkach, ponieważ poczuła się wolna. Bóg jeden wiedział, co straciła. Może własne małżeństwo, może wszystkie pieniądze. Może te lata spędzone z Craigiem. Ale była wolna.

Jack Belias cisnął na podłogę talię kart, które rozsypały się po dywanie. Obszedł dookoła stół, stanął przed Effie i podparł się pod boki zaciśniętymi pięściami. Był bardzo wysoki i czuła promieniujący od niego magnetyzm. Podniosła powoli głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Nie zobaczyła w nich nic prócz gniewu, nic oprócz pogardy.

–Należysz do mnie – powtórzył, wymawiając każde słowo z ogromną delikatnością. – Twój mąż jest mi winien dziewięćdziesiąt siedem tysięcy dolarów i tylko ty możesz wyrównać ten dług samą sobą. Nie masz nic. Żadnych pieniędzy, żadnych wierzytelności, nic. Twój mąż jest mi winien wszystko. Dlatego należysz do mnie.

Effie bardzo długo przyglądała się Jackowi Beliasowi. Wiedziała, czego szuka: jakiegokolwiek śladu Craiga. Błysku w oku, skrzywienia warg. Wydawało jej się, że odkryła coś z Craiga w sposobie, w jaki przechylał lekko głowę na bok, ale mógł tak przechylać głowę każdy.

Uderzyła go w twarz. Nie wiedziała nawet, jak to się stało. Po prostu jej ręka zamachnęła się sama i spoliczkowała go.

–Ty podły sukinsynu! – zawołała.

–Kto jest sukinsynem? Odpowiadaj, dziwko! Kto jest sukinsynem?

–Ty, sukinsynu!

Belias również trzasnął ją w twarz, tak silnie, że głowa odskoczyła jej jak piłka w bok. Poczowała, jak płonie jej policzek i boli nadwerężona szyja.

Spoliczkowała go ponownie, a on znów jej oddał. Miała zamiar znowu dać mu w twarz, ale on uderzył ją jeszcze raz – tym razem jeszcze mocniej. Zatoczyła się i oparła o półkę z książkami, z której wypadło kilkanaście oprawnych w skórę woluminów.

–Ty dziwko! Zobacz, co zrobiłaś z moją biblioteką! – wrzasnął.

Cisnęła w niego najpierw jedną, a potem drugą książką. Pierwszy tom przeleciał obok, ale drugi trafił go w ramię.

Belias wpadł w prawdziwą pasję. Odepchnął na bok stół, na którym stał biały porcelanowy wazon, kopnął leżące na podłodze książki i złapał Effie za ramiona. Wszędzie pełno było pochłapanych wodą kwiatów i skorup porcelany. Jack Belias trząsał się i oblewał potem, a oczy zachodziły mu mgłą z wściekłości. – Należysz do mnie – powtórzył. – Zostaniesz moją konkubina, jeśli taki właśnie będę miał kaprys. Zostaniesz moją squaw. – Craig... miałeś za dużo wrażeń, jesteś przeciążony – powiedziała Effie. – Ten cały dom pełen jest rzeczy, których nie rozumiesz. Nie wiesz nawet, dlaczego i po co został zbudowany i co potrafi z tobą zrobić.

–Należysz do mnie, kochanie – powtórzył Jack Belias, podnosząc powoli palec na znak, że nie powinna mu się nigdy sprzeciwić.

Wziął ją za rękę i choć wiedziała, że to Belias, czuła, że jego dłonie podobne są w dotyku do dłoni Craiga. Niczyje dłonie nie przypominały dłoni Craiga... nawet jeśli miał inne odciski palców.

–Craig – powtórzyła. – Błagam cię, Craig. Bądź silny. Bądź sobą. Nie pozwól, żeby ktoś odebrał ci twoją osobowość.

Jack Belias przez chwilę milczał, kiwając głową, a potem uderzył ją w policzek tak mocno, że poleciała do tyłu i rąbnęła plecami w futrynę drzwi.

Była na pół ogłuszona. Próbowwała wstać, ale dzwoniło jej w uszach i nie wiedziała, gdzie się znajduje.

–Do diabła, Jack, nie możesz tak się zachowywać! – powiedział, wstając od stołu, Douglas Broughton. – To moja żona!

Jack Belias pchnął go z powrotem na krzesło.

–Należy teraz do mnie, Douglas, i nic tego nie zmieni. Wygrałem ją i mogę z nią robić, co mi się podoba.

–Jack... – odezwał się błagalnym tonem Michael Arlen. – Jack... to naprawdę nie wypada.

–Nie wypada? Nie wypada?! – krzyknął na niego Jack Belias. – W tym miejscu liczy się tylko gra. Wszystkie stawki są dozwolone. Tout va! Wygrałem tę kobietę w uczciwej grze.

Effie usiadła na podłodze. Lewe oko miała podpuchnięte, z jej ust sączyła się krew i ślina.

–W uczciwej grze? – powtórzyła, przedrzeźniając go. Było jej teraz zupełnie wszystko jedno. – Posłużyłeś się tą biblioteką, żeby oszukiwać... posłużyłeś się tą podłogą, żeby oszukiwać... wiem wszystko o Balamie i o podłogach, które wcale nie są podłogami. Oszukiwałeś, kiedy wygrałeś Ginę, ale mimo to nie udało ci się jej złamać.

–Co to za historia z oszukiwaniem? – chciał wiedzieć Remy Morse. – O co chodzi z tą podłogą?

–Obróć się kilka razy zgodnie z ruchem wskazówek zegara, to zobaczysz.

–Co takiego? – zapytał kompletnie osłupiały Remy Morse. Teraz Jack Belias

rozgniewał się nie na żarty. Podniósł Effie z podłogi i uderzył ją w ucho, a potem w policzek.

–Zabiję cię – szepnął. – Przysięgam, że cię zabiję.

–Więc dobrze, zabij mnie – wymamrotała spuchniętymi wargami. – Ale nigdy nie uda ci się mnie pokonać.

Jack Belias ruszył po swoją laskę. Effie zdołała się tymczasem podnieść na nogi. Okrążyła stół do bakarata i wyskoczyła na korytarz.

–Zatrzymajcie ją! – ryknął Belias, waląc laską w stół, aż podskoczyły wszystkie karty. Jednak pozostali mężczyźni siedzieli nieruchomo, jakby byli woskowymi figurami lub zamrożonymi w czasie wspomnień – i prawdopodobnie nie byli niczym więcej.

Effie przebiegła przez korytarz i wpadła do kuchni. Obrotowe drzwi zamknęły się za nią, skrzypiąc i stukając. Obiegała stoły, otwierając szuflady i szukając noży, szukając czegokolwiek, czym mogłaby się obronić, ale nie było tam nawet łyżki do herbaty. Usłyszała, że Jack Belias otwiera obrotowe drzwi, i o mało nie wpadła w panikę. Po chwili jednak zobaczyła drzwi do piwnicy z wciąż tkwiącym w zamku kluczem, otworzyła je i zbiegła po pogrążonych w półmroku schodach. W dwóch trzecich drogi potknęła się i o mało nie wywróciła, w końcu jednak zdołała dotrzeć na sam dół i rozejrzała się dookoła.

Piwnicę oświetlało wyłącznie światło padające przez kuchenne drzwi. Widziała połyskującą od wilgoci podłogę i kilka podpierających sklepienie filarów, lecz dalej zalegała kompletna czerń. Dała ostrożnie dwa kroki do przodu. Była pewna, że za filarami słyszy niewyraźny chrobot i szuranie. Wbiła wzrok w ciemność i po chwili w słabym padającym zza jej pleców świetle zaśniła jedna, a potem następna para czerwonych oczu.

O Jezuu, jęknęła w duchu. Szczury. Nie znoszę szczurów.

Miała zamiar uciec z powrotem na górę, ale w tej samej chwili z kuchni dobiegło ją wyraźne skrzypienie skórzanych podeszew. Po chwili usłyszała uderzenie laski i drzwi do piwnicy otworzyły się szerzej.

–Gina? Jesteś tam na dole? Co ty, do diabła, wyprawiasz? Rozkazuję ci wrócić! Rozkazuję ci wrócić na górę!

Effie nie odpowiedziała. Stała w półmroku ze złożonymi jak do modlitwy rękoma, zupełnie nie wiedząc, co robić.

–Do diabła, Gina! Zabiję cię za to!

Nie, nie zabijesz, pomyślała. Wolę stawić czoło szczurom, niż sprawić ci tę przyjemność.

Ruszyła dalej – mijając pierwszy rząd filarów oraz kotły centralnego ogrzewania i kierując się w stronę najciemniejszej części piwnicy, tam gdzie nie odważyli się zapuścić specjaliści od deratyzacji. Chrobot szczurzych łap przypominał jej przybój na plaży w Hyannis, dokąd zabierali ją rodzice, kiedy była mała. W piwnicy musiały się ich gnieździć całe tysiące. Całe podziemne królestwo, rządzone zębami i pazurami.

Zapuszczała się coraz dalej i dalej, wyciągając przed siebie ręce, żeby nie zderzyć

się w ciemności z którymś z filarów. Szczurze piski i chrobotania dobiegały teraz z całkiem bliska i Effie zaczęła pojękiwać ze strachu. Nie chciała, ale nie mogła się powstrzymać. Nagle po jej bucie przebiegł pierwszy szczur. Poczuela, jak po łydce smagnął ją jego podobny do sznurowadła ogon, i musiała zakryć dłonią usta, żeby nie krzyknąć.

Usłyszała kroki na schodach i obejrzała się. Jack Belias szedł w ślad za nią, machając na wszystkie strony laską niczym ślepiec. Najszybciej jak mogła, dała nurka w najgłębszą ciemność, mając nadzieję, że nie nadeptnie na nic strasznego, i modląc się, żeby nie skoczyły na nią szczury.

–Gina? – zawołał Jack Belias. – Wygrałem cię, Gina, wygrałem cię w uczciwej grze! Idę po ciebie, Gina!

Effie zrobiła kolejny krok do przodu, a potem następny i wtedy właśnie szczury zaatakowały. Poczuela, jak jeden z nich skacze jej na plecy i wbija pazury w bluzkę. Po chwili dwa albo trzy zaczęły gryźć ją w kostki, przez buty i skarpetki. Kolejny wylądował na jej ramieniu, ale kiedy się obróciła, spadł w ciemność.

Trzęsła się ze strachu i obrzydzenia. Widziała jednak, że Jack Belias zbliża się w jej stronę, zataczając szerokie kręgi laską, i wiedziała, że woli stawić czoło szczurom niż jemu. Dla szczurów była tylko żerem. Dla Jacka Beliasa była ofiarą, należącym do niego przedmiotem, świadectwem wyższości przyznanej mężczyźnie przez Boga.

Następny szczur usiłował wspiąć się po jej nodze. Udało jej się go strącić, ale poczuela, że ugryzł ją w rękę. Boże, jakiego rodzaju choroby mógł przenosić? Był prawdopodobnie cały zawszony, a wszy przeszły na niego z wiewiórek, tchórzy, nietoperzy i innych dzikich zwierząt, na pewno chorych na wściekliznę. Na łydkę skoczył jej kolejny szczur, ciężki jak worek z piaskiem, po chwili wspiął się jeszcze jeden i wkrótce miała na nogach wijące się wysokie buty z żywych gryzoni.

Machnęła gwałtownie w powietrze jedną i drugą nogą, niczym rozkopujące stertę liści dziecko, i kilka szczurów poleciało w ciemność. Ale potem następny gryzoń skoczył jej na ramię i w chwilę później w jego ślady poszedł kolejny. Czuela ich pazury wbijające się w bluzkę, czuela zęby, które rozrywały jej skórę. Próbowwała obrócić się i strząsnąć je na podłogę, one jednak wczepiły się w nią ze wszystkich sił i bała się, że jeśli je oderwie, wygryzą jej całe kawałki ciała.

Uklękła na dywanie rojących się i kotłujących gryzoni. Jakiś szczur przebiegł jej po plecach i wbił pazury we włosy. Inny próbował wspiąć się po jej piersiach. Effie klęczała przez chwilę bez ruchu, z pochyloną głową, jakby pogodziła się ze swoim losem, ale potem wzięła głęboki oddech i powiedziała sobie: nigdy nie zgodzę się być niczyją ofiarą, mężczyzn, szczurów ani w ogóle nikogo!

Okryta płaszczem szczurów podniosła się na nogi, po czym potykając się o kolejne gryzonie dotarła do najbliższej ściany, obróciła się do niej tyłem i uderzyła plecami w cegły. Słyszała, jak pękają szczurze kości, czuela, jak pękają ich brzuchy. Uderzyła plecami w ścianę ponownie, po raz drugi i trzeci, aż w końcu wszystkie szczury spadły na podłogę. A potem oderwała te wczepiające się w przód jej bluzki i odrzuciła je tak daleko, jak tylko mogła.

Na górze Pepper zapukała ostrożnie do drzwi biblioteki.

–Jesteś tam, Effie? – zawołała.

Czekała, ale nie było odpowiedzi. Przekręciła bardzo powoli obie klamki i uchyliła drzwi nie więcej niż na dwa, trzy cale.

–Effie?

Biblioteka była pusta. Effie musiała szukać Jacka Beliasa w jakiejś innej części domu. A może Jack Belias już ją zabrał? – pomyślała Pepper.

Spojrzała z obawą na rozlany na podłodze sali balowej płyn do mycia. Nie chciała, żeby Effie i Brewster znaleźli się w pułapce w Walhalli, kiedy już podłoży ogień.

Wiedziała jednak, że musi to zrobić, musi zrównać ten dom z ziemią, w przeciwnym razie Effie i Craig nigdy się od niego nie wyzwolą – i nie wyzwoli się nikt inny, kto przybędzie tutaj szukać domu, który zaspokoiłby jego dumę i ambicję.

–Effie! – zawołała. – Zaraz podłożę ogień. Uciekaj z domu, Effie, gdziekolwiek jesteś!

Przez chwilę nasłuchiwała, ale nadal nie było odpowiedzi. Odczekała jeszcze pół minuty, a potem zamknęła drzwi biblioteki, przeżegnała się i zapaliła zapalniczkę.

Effie widziała między filarami sylwetkę trzymającego w ręku laskę Jacka Beliasa. – Gina? – zawołał. – To ty, Gina?

Wszędzie wokół jej stóp żywe szczury rozrywały na strzępy ciała swoich martwych pobratymców. Kopnęła jednego i drugiego, ale były zbyt zajęte, żeby zwrócić na nią uwagę.

–Gina! – ryknął Jack Belias, wpatrując się w ciemność. Effie rozejrzała się szybko dookoła, namyślając się, w którą stronę pójść. Zastanawiała się, czy nie pobiec z powrotem w kierunku schodów, ale po chwili zauważyła prześwitujące z góry słabe światło i kiedy podniosła wzrok, zamiast kamiennego sklepienia zobaczyła nad głową wielką płachtę brezentu. Nie znajdowała się już w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym. W miejscu, gdzie runął Morton Walker, w podłodze biblioteki wciąż ziała dziura. A jeśli Morton Walker spadł przez nią na dół, ona mogła spróbować wdrapać się tędy na górę.

Ruszyła po omacku do przodu. Kilka stóp przed nią majaczył jakiś kształt, wysoki i ciemny. Czymkolwiek był, mogła wspiąć się po nim i dosięgnąć płachty, która zakrywała podłogę biblioteki. Posuwała się dalej cal po calu, poobijana, pogryziona i na pół sparaliżowana strachem. Zdawało jej się, że minęły całe wieki, zanim dotarła do celu. Jack Belias krzyczał co parę sekund „Gina!”, podążając za nią powoli w głąb piwnicy, waląc laską po ścianach i łamiąc grzbiety nielicznym szczurom, które odważyły się do niego zbliżyć. Każdemu jego krokowi towarzyszyło głośne łupnięcie i bolesny pisk.

Effie wyciągnęła na oślep ręce i dotknęła majaczącego przed nią ciemnego przedmiotu. Był miękki i bardzo mokry. Cuchnął świeżą krwią, kwaśnymi sokami żołądkowymi i czymś jeszcze gorszym.

–Uuuch – jęknęła głośno, cofając się ze wstrętem. Dopiero jednak, gdy przeciąg uniósł na chwilę brezent i do piwnicy wpadło trochę światła, uświadomiła sobie, czego dotknęła.

Miała przed sobą wbitego na metalową rurę Mortona Walkera, martwego,

ogryzionego przez szczury i gotowego do pochówku. Ale przecież pogrzeb Walkera odbył się już dawno temu. Nie powinno go tu wcale być. Jego ciało leżało na cmentarzu Cold Spring, wciąż czekając na nagrobek.

Ale co powiedziała Pepper? Czas wyczynia tu dzisiaj dziwne sztuczki.

Jack Belias walnął laską w jeden z filarów, i odgłos uderzenia przetoczył się echem po całej piwnicy.

–Gina! – zawołał. – Wiem, że gdzieś tu jesteś, Gina! Należysz do mnie, Gina! Chcę, żebyś wróciła i oddała mi się, tak jak obiecałaś. Wygrałem cię, Gina! Chcę cię mieć z powrotem!

Effie schowała twarz w dłoniach i zmówiła modlitwę za duszę Mortona Walkera. Jakiś szczur skoczył jej na łydkę i rozdarł skarpetkę. Kopnęła nogą w ścianę i złamała mu kark. A potem, nie wahając się ani chwili dłużej, podeszła do Mortona i zaczęła się wspinać, używając jego kolan i miednicy jako oparcia dla stóp, a obojczyka jako uchwytu dla ręki.

Jego ciało było śliskie, lepkie i nieopisanie odrażające. Spod palców Effie wypływały gąbczaste płuca i tkanka tłuszczowa. Kości ramienia wysunęły się z panewek, kiedy próbowała się ich przytrzymać, a porośnięta białymi kępkami włosów zakrwawiona głowa odchyliła się do tyłu w geście skrajnej rezygnacji.

Opierając jedną stopę na obojczyku Mortona, drugą zaś na jego miękkiej, kluskowatej twarzy, Effie zdołała złapać jeden ze sznurów, który mocował brezentową płachtę. Od stóp do głów usmarowana była krwią i śluzem, ale nie zwracała na to uwagi. Jack Belias nie mógł dostać jej w swoje ręce. Pomyślała o zdjęciach, które robił torturowanej Ginie, i wiedziała, że nie pozwoli, aby kiedykolwiek dotknął już jakiejś kobiety.

Stojąc na głowie wbitego na pal Mortona Walkera, zakołysała się niczym cyrkowa akrobatka. Klatka piersiowa trupa zapadła się pod jej ciężarem. Chociaż w piwnicy było chłodniej niż w pozostałej części domu, ciało było całe przegniłe. Przez moment myślała, że podzieli los Mortona i nadzieje się na tę przeklętą rurę, ale potem udało jej się złapać skraju spróchniałej podłogi.

–O Boże – modliła się. – Nigdy więcej. Wszystko, tylko nie szczury. Proszę cię, nigdy więcej.

Podciągnęła się do góry i ciężko dysząc upadła na podłogę biblioteki. Była cała straszliwie obolała i nie mogła powstrzymać drżenia. Miała podbite oczy i okropnie spuchniętą lewą stronę szczęki, a jej pozlepiane krwią włosy bardziej przypominały szczurze gniazdo niż prawdziwe szczurze gniazda na dole. Wciąż nie mogła przestać myśleć o tamtych fotografiach i o tym, co Jack Belias zrobił Ginie Broughton. Torturował ją, gwałcił, tatuował, ranił i w końcu oślepił. I jakby tego było mało, znieważył Douglasa Broughtona w najgorszy możliwy sposób, czyniąc jego żonę ciężarną.

Podniosła się z bólem na nogi. Robiąc to miała wrażenie, że czuje zapach spalenizny. Pociągnęła raz i drugi nosem i teraz była już pewna: w powietrzu unosił się dym. Spojrzała na drzwi do sali balowej i zobaczyła wypełzające spod nich cienkie blade i smużki.

Podeszła do drzwi i przez chwilę nasłuchiwała. Z sali balowej dochodził stłumiony huk. Dotknęła dłonią drewna. Jeszcze się nie nagrzało; może pożar dopiero się zaczął. Wiedziała, że nie powinna otwierać drzwi, ale bała się, że Pepper wciąż może tam być, ranna albo nieprzytomna.

Wahała się jeszcze chwilę, a potem zaryzykowała. Osłaniając twarz ręką, uchyliła drzwi na kilka cali, ale natychmiast zatrzasnęła je z powrotem. Sala balowa zamieniła się w oślepiające, roztańczone ogniste inferno. Całe pomieszczenie przypominało przedstawiane przez średniowiecznych malarzy obrazy piekła: z podłogi unosiły się na dwadzieścia i trzydzieści stóp w górę języki płomieni, a w stronę owalnego świetlika buchała kolumna czarnego dymu.

Nie zobaczyła jednak nigdzie Pepper. Nawet jeśli tam była, i tak nie miała szans jej uratować.

Wyszła szybkim krokiem z biblioteki i przystanęła na korytarzu. Wiatr ucichł, burza przeszła dalej. Odgłosy pożaru tłumiły solidne dębowe drzwi i w Walhalli panowała deprymująca cisza.

–Pepper! – zawołała głośno, po czym zerknęła w stronę drzwi do kuchni. Bała się, że w każdej chwili wypadnie zza nich Jack Belias. – Gdzie jesteś, Pepper? Norman? Brewster? Czy ktoś tu jest?

Zaczęła wchodzić po schodach i w tej samej chwili usłyszała kobiecy płacz. Bolesny, niski, udręczony płacz; tym razem wiedziała, kto płacze.

Wbiegła szybko na pierwsze piętro. Na całym podeście leżały szczątki rozbitej gipsowej figury. Zatrzymała się na chwilę i nasłuchiwała; kobieta nie przestawała płakać. Już idę, Gino, pomyślała. I tym razem zamierzam cię wyzwolić.

Usłyszała, jak ktoś trzaska drzwiami gdzieś na dole, w kuchni, i ten dźwięk również nie budził w niej żadnych wątpliwości. To był Jack Belias, wybiegający z piwnicy, wściekleszy niż kiedykolwiek. Zaczęła wspinać się na drugie piętro, ale już po kilku sekundach dobiegło ją skrzypnięcie obrotowych drzwi i kroki przemierzającego hali Beliasa. Słyszała, jak biegnie szybko po schodach, stukając okuciem laski o balustradę.

Łapiąc kurczowo powietrze dotarła na półpiętro, gdzie znajdował się witraż z zakonnicą. Jednak Jack Belias był zbyt szybki i zbyt rozjuszony, by zdołała mu uciec. Nadbiegł z dołu niczym czarny android i złapał ją za rękaw.

–Puszczaj! – krzyknęła Effie. – Norman! Norman! Ratunku!

Belias zamachnął się laską, ale Effie rzuciła się na podłogę, przeturlała w lewo, i nie zdołał jej trafić. Poczowała ostry powiew powietrza, kiedy laska przemknęła zaledwie cal od jej twarzy.

–Wstawaj, żebym mógł cię ukarać! – ryknął na nią. – Wstawaj, dziwko, żebym mógł cię ukarać!

Zamachnął się ponownie, lecz Effie zerwała się tymczasem na nogi. Laska utknęła między prętami balustrady i Jack Belias przez chwilę nie mógł jej wydostać.

–Zaraz zostaniesz ukarana, ty dziwko!

Zamachnął się laską do tyłu i przypadkowo zahaczył nią o witraż. Na schody posypały się fragmenty przedstawiającego lilie panelu. Jack Belias obrócił się i utkwiał

wzrok w witrażu, który niebezpiecznie zatrzeszczał i zaczął osuwać się w dół.

–Nie! – zawołał.

Ale ołów między szybkami był popękany i sfatygowany, a cała rama na pół przegniła, i nagle, w powodzi pękającego kolorowego szkła, cały witraż runął prosto na niego. Jack Belias stał, osłaniając rękoma głowę, a kiedy ostatni kawałek szkła rozbił się na podłodze, opuścił ramiona i popatrzył na Effie. Nigdy jeszcze na niczyjej twarzy nie widziała tak demonicznego wyrazu. Był tak rozwścieczony, że jego rysy prawie nie przypominały ludzkich. Wokół jego stóp leżały fragmenty witrażu – lilia, zamek i połowa twarzy zakonnic z przymkniętą powieką.

–Klnę się na Boga, że cię złamię – powiedział. – Klnę się na Boga Wszchemogącego.

Przez chwilę stali oboje w milczeniu, mierząc się wzrokiem. A potem Effie usłyszała ponownie ten szloch. Niezbyt głośny i nie tak udręczony jak przedtem, ale bardzo żaloszny.

Nie mówiąc ani słowa, odwróciła się i pobiegła na górę.

–Nie! – krzyknął za nią Jack Belias. Ale ona nie zamierzała dać się powstrzymać. Wiedziała, co musi zrobić, i wiedziała, że wyłania się przed nią teraz ostatnia szansa.

Dobiegła do sypialni z niebieskim dywanem, przekręciła klamkę i otworzyła drzwi. Przy łóżku, w ciemnej kałuży krwi, leżał odwrócony bokiem Brewster, a obok niego porzucony pogrzebacz.

Giną, pomyślała Effie. O Boże, ona jest ślepa. Musiała wziąć Brewstera za...

Ponownie usłyszała szloch. Dochodził z innej sypialni, w głębi korytarza. Wskoczyła z pokoju i o mało nie zderzyła się z nadbiegającym Beliasem. Chciał ją złapać za ramię, ale uderzyła go w głowę, po czym zatrzymała się nagle i podstawiła mu nogę.

Belias runął ciężko na podłogę, jednak w ostatniej chwili udało mu się zamachnąć laską i uderzyć ją w łydkę.

Po chwili zerwał się na nogi i zaczęli ze sobą walczyć. Uderzył ją w ramię, a Effie krzyknęła głośno z bólu i pchnęła go w pierś.

Nagle otworzyły się drzwi jednej z sypialni i wytoczyła się z niej owinięta białym, pochłapanym krwią prześcieradłem postać. Wpadła na ścianę, a potem zaczęła się oddalać, kuśtykając i obmacując gorączkowo boazerię. Biegając, zanosila się piskliwym płaczem.

Effie wyrwała się Jackowi Beliasowi i pobiegła korytarzem.

–Wracaj, dziwko! – wrzasnął, rzucając się za nią w pościg. Daleko przed nimi ślaniająca się postać w bieli o mało nie potknęła się o deski zabezpieczające miejsce, w którym podłoga zarwała się pod Mortonem Walkerem. Effie pędziła za nią, czując, jak jej całe ciało eksploduje od adrenaliny.

To była Giną Broughton, a ona, Effie, też była Giną Broughton – podobnie jak Craig był Jackiem Beliasem i podobnie jak ciałem i duszą Pepper zawładnęła Gaby Deslys.

Wszystko teraz rozumiała. Równoległe żywoty, równoległe wydarzenia. Była Giną w chwili, kiedy Jack Belias wygrał ją w bakarata, a przed sobą miała Ginę w

chwili, gdy doznała już od niego wszelkich możliwych tortur. Jedno wydarzenie zachodziło na drugie. Jedno życie zachodziło na drugie. Ale Nemezis obu im deptała teraz mocno po piętach.

–Gina! – zawołała. – Uciekaj, Gina! On tu jest! Kobieta na chwilę przystanęła. W mrocznym korytarzu wyglądała jak migoczący biały płomień świecy.

–Nie zatrzymuj się! – krzyknęła Effie. – Cokolwiek się stanie, nie zatrzymuj się! Za sobą, o wiele za blisko za sobą, słyszała stukającą o ściany laskę Jacka Beliasa i jego chrapliwy, wściekły oddech. Był teraz zbyt zdyszany, żeby obrzucać ją wyzwiskami, ale wiedziała, że się nie zatrzyma. Nie zatrzyma się, dopóki nie złamie ich obu i nie każe im przyznać, że są błotem tej ziemi.

Kobieta w bieli dotarła do sięgającego podłogi okna na samym końcu korytarza, jednego z okien, które znajdowało się we frontowej ścianie budynku. Effie widziała, że szarpie klamkę, a potem je otwiera.

–Nie tędy! – zawołała ochryplym głosem. Ale było już za późno. Kobieta wdrapała się na balustradę. Effie podbiegła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Noc była teraz ciepła i wietrzna; w powietrzu unosiły się kłęby dymu i zapach niedawnej burzy. Czuła na twarzy podmuchy wiatru i widziała gwiazdy.

Kobieta stała dwadzieścia stóp dalej. Głowę miała odchyloną do tyłu, ręce rozkrzyżowane. Palce jej stóp obejmowały samą krawędź kamiennej balustrady. Trzydzieści stóp niżej czekało ogrodzenie ze sterczącymi w górę wysokimi ozdobnymi prętami. Wiatr unosił w górę i zwijał w loki jej ciemne włosy i przyciskał prześcieradło do ciężarnego brzucha. Była dzika, piękna i jednocześnie przerażająca.

–Nie rób tego! – zawołała Effie. – Nie musisz! Nigdy nie musiałaś! Jednak w tej samej chwili do okna dopadł Jack Belias i uderzył ją laską w ramię. –Gdzie ona jest?! – ryknął. – Gdzie ona jest?

Wyjrzał przez okno i zobaczył balansującą na balustradzie Ginę.

–Nie! – zaskrzeczał. – Nie... nie możesz tego znowu zrobić! Effie złapała go za rękaw i próbowała odciągnąć od okna, ale

on uderzył ją wierzchem dłoni w twarz tak silnie, że poleciała na ścianę. Potem uderzył ją powtórnie i kopnął w biodro. Effie podniosła obie ręce, żeby się zasłonić.

W tej samej chwili Belias zachwiał się i na moment stracił równowagę. Daleko w głębi korytarza rozległ się głośny huk i oboje odwrócili głowy w tamtą stronę. Spomiędzy stanowiących tymczasową podłogę desek i sklejki buchał dym zmieszany z jas-nopomarańczowymi iskrami. Ogień musiał zająć bibliotekę i dziury w podłodze i suficie, które wybił swoim ciałem Morton Walker, działały teraz jak komin.

Jack Belias przez długą, mrozącą krew w żyłach chwilę wpatrywał się w kłęby dymu. Iskry sypały coraz gęstszymi snopami, niczym z rzymskiej racy, i wkrótce zobaczyli wysuwające się spomiędzy desek języki ognia. Cały dom zaczął huczeć i gwizdać. Ogień zasysał powietrze przez wszystkie możliwe otwory – okna, drzwi, dziurki od klucza, szyby wentylacyjne – i brzmiało to tak, jakby pędziła olbrzymia lokomotywa.

Jack odwrócił się do Effie.

–To twoja sprawka! To twoja sprawka, ty dziwko! – wrzasnął.

Coś dziwnego działo się z jego twarzą. O wiele mniej przypominała teraz twarz Jacka Beliasa, o wiele bardziej Craiga. Sprawiał wrażenie niezdecydowanego: podnosił swoją łaskę, jakby chciał Effie uderzyć, ale po chwili zmieniał zdanie i opuszczał ją na dół.

Płomienie wydostały się przez dziurę w podłodze i zaatakowały sufit. Zapaliły się dwie futryny i ogień zaczął sunąć wzdłuż pokrytych lakierem listew podłogowych.

Jack Belias cofnął się dwa kroki od Effie. Nogi uginały się pod nim, jakby zardzewiały mu kolana.

–To twoja sprawka, ty dziwko – powtórzył. – Powinienem był wiedzieć.

Odwrócił się z wściekłością w stronę okna. Giną wciąż stała na balustradzie, rozkładając szeroko ręce.

Domem wstrząsnęła potężna eksplozja, po której usłyszeli brzęk tłuczonego szkła. A potem kolejne wybuchy.

–Dziwka! – ryknął Jack Belias. – Zabiję cię za to, ty dziwko!

–Och, możesz mnie zabić – odparła Effie. – Możesz zrobić ze mną, co ci się podoba. Ale nigdy nie zdołasz mnie złamać. Popatrz... stoję tutaj na zewnątrz, oślepiąca i udręczona, a jednak nie udało ci się mnie pokonać. I nigdy ci się to nie uda.

Belias zaczął walić łaską w ścianę.

–Pokonam cię! Pokonam cię teraz i pokonam cię wtedy! Wychylił się przez okno, zahaczając butem o parapet. Effie próbowała złapać go za ramię, ale on odtrącił ją, o mało nie tracąc przy tym równowagi. Spojrzał jej prosto w twarz, a ona spojrzała w jego.

–Craig... – powiedziała. – Nie rób tego, Craig. Zmarszczył brwi i wyglądał teraz prawie jak Craig – był do niego o wiele bardziej podobny niż jeszcze przed kilku chwilami. Ogień dotarł do biblioteki i paliła się jej podłoga. Zegar został zniszczony; zniszczone zostało urządzenie, które pozwalało Jackowi Beliasowi przenosić się w czasie.

–Craig – powtórzyła błagalnym tonem Effie. – Wróć. Wszystko się skończyło.

Jack Belias zastanawiał się przez kilka sekund, a potem ledwo dostrzegalnie pokręcił głową.

–Dziwka – mruknął.

Odwrócił się do niej plecami i ruszył po balustradzie, stawiając na zewnątrz stopy, jakby szedł po linie.

Od Giny dzieliło go nie więcej niż sześć, siedem stóp, kiedy ta odwróciła się nagle w jego stronę. Mimo swojej ślepoty, mimo swoich ran wciąż była bardzo piękna. Ściągnęła z siebie prześcieradło i podniosła je w górę. Biała płachta załopotiała na wietrze, a ona stała blada, ciężarna i zupełnie naga, lśniąc niczym posąg w świetle księżyca.

–Nie! – zawołał Jack Belias i wyciągnął rękę, żeby złapać prześcieradło.

Podeszwy jego butów zaszurały po kamieniu. Zachwiał się i przechylił do przodu i do tyłu. Przez krótką chwilę Effie myślała, że spadnie do środka, ale on krzyknął nagle „Effie!” i runął w mrok. Nastąpiła przerażająca chwila ciszy, a potem usłyszała

głębokie chrupnięcie i straszliwy rezonans prętów ogrodzenia, na które spadło coś ciężkiego.

Wstrząśnięta Effie spojrzała na Ginę. Ta nadal stała naga na balustradzie, podpierając złożonymi dłońmi nabrzmiały brzuch.

Ale po chwili jej zarys zaczął blednąć i coraz mniej przypominała Ginę. Twarz roztopiła się niczym wata z cukru, a ciało zrobiło przezroczyste. Po paru sekundach jej postać nie różniła się wiele od sunących po wieczornym niebie chmur i Effie uświadomiła sobie, że stoi w otwartym oknie zupełnie sama. Poczowała, jak do oczu napływają jej łzy.

Daleko, w alei wysadzonej rosochatymi dębami, ujrzała migające czerwone i niebieskie światła. W stronę Walhalli pędziły dwa wozy policyjne, ambulans i straż pożarna. Opony zachrzęściły na żwirze, trzasnęły drzwiczki. Zobaczyła wybiegającą z domu Pepper i usłyszała odzywające się w policyjnych radiostacjach głosy.

–Jezu... widziałeś to? – powiedział ktoś. – Tu leży facet przebity przez sztachety. Musiał wyskoczyć z okna.

Effie zobaczyła, jak Pepper obraca się wstrząśnięta, a potem spogląda w jej stronę. Przekazały sobie spojrzeniem coś, co potrafią zrozumieć tylko dwie kobiety.

Walhalla paliła się przez całą noc. W akcji brało udział osiemnaście wozów strażackich przybyłych z okręgów Putnam, Rock-land i Westchester, ale dom płonął, jakby postanowił spłonąć, E jakby nie chciał, by go ugaszono, dopóki nie wypali się do końca. Płomienie sięgały dwustu stóp wysokości, a łunę widziano z odległości blisko dwudziestu mil.

O świcie pozostała z Walhalli tylko zwęglona skorupa, z pojedynczą sterczącą w górę ścianą. Wiatr niósł jej popioły na wschód, skąd przybywają demony.

Czwartek, 22 lipca, 7.16

Effie stała w kostnicy okręgu Putnam, patrząc na zwłoki Craiga i nie wiedząc, co powiedzieć. Czuła, że powinna go pocałować i pożegnać, ale miała wrażenie, że zrobiła to już dawno temu. Jego rysy wciąż miały w sobie pewną brutalność, która przypominała jej Jacka Beliasa. Może zawsze był do niego w jakiś sposób podobny.

–W porządku? – zapytał pracownik kostnicy i Effie kiwnęła głową.

Na dworze czekali na nią porucznik Hook i sierżant Winstanley, wymięci i nie ogoleni.

–Pani Bellman? Po prostu chcieliśmy, żeby pani wiedziała, jak bardzo nam przykro.

–Dziękuję – powiedziała, nie zwalniając kroku.

–Proszę chwilę poczekać! – zawołał za nią porucznik Hook. – Sprawdziliśmy post mortem odciski palców pani męża. Pomyślałem, że powinna pani wiedzieć, że oczyściliśmy go z wszelkich podejrzeń. Ktokolwiek zabił tych ludzi, to nie był on.

Effie nie odpowiedziała. Nawet się nie odwróciła. Wiedziała już wcześniej, że Craig był niewinny.

Piątek, 30 lipca, 10.28

Był ciepły pochmurny poranek. Ubrana na czarno Effie siedziała w biurze Waltera van Burena. Van Buren spóźnił się kilka minut i wpadł zaczerwieniony do gabinetu, trzymając w ręku styropianową filiżankę z czarną kawą.

–Naprawdę bardzo mi przykro, że kazałem pani czekać. Finalizowałem właśnie pewną transakcję w West Point.

–Nic nie szkodzi, panie van Buren. Mam teraz mnóstwo czasu.

Walter van Buren usiadł za biurkiem. Wylało mu się na blat trochę kawy i próbował zetrzeć plamę wydartą z notatnika kartką.

–Z wielką przykrością dowiedziałem się, co się stało – powiedział. – Mam na myśli pani męża. To prawdziwa tragedia.

–Tak pan uważa?

Van Buren posłał jej badawcze spojrzenie.

–Oczywiście, że tak uważam.

–Wie pan, co się zdarzyło, prawda?

–Tak. Pani mąż poślizgnął się i spadł na ogrodzenie.

–To samo ogrodzenie, na które w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym spadła Giną Broughton.

–Słucham?

–Niech pan da spokój, panie van Buren. Wiedział pan doskonale, co działo się w Walhalli – powiedziała Effie. – Wiedział pan wszystko o tych tragediach i samobójstwach. O całym tym domu nawiedzonym przez tak zwane duchy. Wiedział pan, dlaczego Walhalla została zbudowana tak, jak została zbudowana, i co się wydarzy, kiedy odpowiednia para zdecyduje się na jej kupno.

–Nie jestem pewien, czy wiem, o czym pani mówi.

–Owszem, wie pan. Ja i moja przyjaciółka, Pepper Moriarty, zebrałyśmy trochę materiałów na temat historii Walhalli. Wycinki z gazet, wyciągi z ksiąg okręgu i

podobne rzeczy. Bardzo nam w tym pomógł pan Harry Rondo. Zna go pan? Nosi się z zamiarem napisania książki o Jacku Beliasie. Już dawno powinien to zrobić.

Walter van Buren pouklądał w rzędku swoje ołówki i długopisy, a potem zaczął intensywnie wpatrywać się w bibularz.

–Nie chciałyśmy wcale grzebać w pana przeszłości, skądże znowu – ciągnęła Effie. – Interesowało nas po prostu, co wydarzyło się po owej nocy w Walhalli, kiedy zginęła Gina Broughton. Interesowało nas, co się stało z jej dzieckiem.

–Ach tak...? – mruknął Walter van Buren.

–Sprawdziłyśmy w archiwach okręgu. Dziecko przeżyło. Chłopczyk. Zaadoptowali go państwo Berrymanowie, którzy prowadzili Red Oaks Inn, niedaleko Walhalli. Ale z tego, co wyczytałyśmy w archiwach, wynikało, że mieli z nim poważne kłopoty. Mały nie mógł spać i wciąż był niespokojny. W końcu przekazali je innej rodzinie, mieszkającej w Albany. Oczywiście Albany znajdowało się wystarczająco daleko, żeby uchronić dziecko przed niekorzystnymi wpływami, które miały swoje źródło w Walhalli. Syn Giny Broughton wyrósł na zdrowego młodzieńca i ukończył z wyróżnieniem liceum. Później nie zrobił chyba wielkiej kariery. Ale nie wszyscy przecież możemy sięgać po najwyższe laury, prawda, panie van Buren?

Walter van Buren milczał, wpatrując się w swoją parującą kawę.

–O co panu chodziło, panie van Buren? Chciał się pan zemścić na Jacku Beliasie za to, że zabił pańską matkę? Czy też miał pan do niego żal, że porzucił pana i zniknął, mimo że wiedział pan, iż stale tutaj przebywa? Wyczuł pan od razu, że Craig da się na to złapać. Zarzucił pan haczyk i wciągnął go w tę całą awanturę.

Walter van Buren wziął głęboki oddech.

–Przykro mi z powodu pani męża – oświadczył. – Naprawdę cieszę się, że jego linie papilarne nie pasowały do odcisków zdjętych na miejscu tych zbrodni. Utrata najbliższych jest bardzo smutna, ale jeszcze większy ból sprawia nam wiadomość, że mogli popełnić coś złego.

–Tak, panie van Buren – odparła Effie.

Spojrzał na nią swymi osadzonymi w bezbarwnej twarzy oczyma.

–Przypuszczam, że będzie pani chciała sprzedać tę posiadłość? – powiedział. – Czy mogę pani w tym pomóc?

–Oczywiście – odparła Effie. – Kiedy się nad tym dobrze zastanowić, jesteśmy prawie spokrewnieni.

Walter van Buren pokiwał głową.

–To dziwne, prawda, cała ta historia z czasem i wspomnieniami? Czy sądzi pani, że teraz, kiedy z Walhalli pozostały tylko fundamenty, mimo to będzie istnieć dalej? Effie wstała i podała mu rękę.

–Nawet jeśli będzie istnieć, panie van Buren, ja nie zamierzam już tu wracać.

Na ulicy czekała na nią ubrana w czarny kaftan Pepper.

–Załatwione? – zapytała.

Effie kiwnęła głową i ruszyły razem ulicą.

Pepper nagle się zatrzymała. W jej oczach zalśniły łzy.

–Wiesz co? – powiedziała. – Wyglądamy jak dwie wdowy.

EPILOG

Siedem miesięcy później Pepper przysłała Effie ogłoszenie wycięte z Poughkeepsie Messenger.

BRACTWO BALAMA

Nowo zawiązane bractwo organizuje inspirujące zebrania we wtorki i czwartki o godzinie 19.30. Przyłącz się do bliskiego kręgu przyjaciół, którzy wierzą w tolerancję, przebaczenie i jedność Wszechświata. Nabyliśmy ostatnio od Towarzystwa Historycznego Hudson Valley stary Benton House i wszystkie zebrania będą odbywać się w jego słynnych i uświęconych murach.

WRÓCILI, nabazgrała pod spodem Pepper czerwonym długopisem.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-10-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/